

POEZJA  
PROZA  
ESEJE

# ZAPIS

Nr 6 · kwiecień 1978

numer

przygotowali:

Jerzy ANDRZEJEWSKI  
Stanisław BARAŃCZAK  
Jacek BOCHENSKI  
Tomasz BUREK  
Jakub KARPIŃSKI  
Adam MICHNIK  
Kazimierz ORKOŚ  
Barbara TORUŃCZYK  
Wiktor WOROSZYLSKI  
Adam ZAGAJEWSKI

NIEZALEŻNA  
OFICyna  
WYDAWNICZA



**Z A P I S   n r   6**

**Poesja - proza - eseje - kronika**

**ZAPIS nr 6 przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak,  
Jacek Bocheński, Tomasz Burek, Jakub Karpłowski, Adam Michnik,  
Kazimierz Orłoś, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński, Adam Za-  
gajewski.**

**Kwiecień 1978**

# S P I S T R E Ś C I

Wiktor Woroszyński: x x x / W kamieniu grzęzawisku/	1
Herak Turbecz: Polska - rok 1984	2
Lothar Herbst: Z listów w sprawie wiary i nadziei	15
Stefan Kisielewski: Po 10 latach /0 marca 1968/	16
Jerzy Ficowski: Nowe wiersze	19
Andrzej Drewicz: Nasze Biennale	23
Andrzej Drewicz: Z nami jest ten, kto...	29
Głosy znad Wełtawy:	33
Ludvik Vaculik: Proszę przekazać panu doktorowi praw h.c.	34
Zdeněk Mlýnař: O donosicielstwie, szantażu oraz innych motywach nadchodzącej wiosny	36
Ludvik Vaculik: Śmierć na choroba	38
Jiří Boreš: Nłemy pogrzeb	40
Ludvik Vaculik: Pogrzeb rzecznika	42
Anka Kowalska: Rozmowy z braćmi/wiersze/	45
Zyta Gryszyn: Czarna iluminacja /fragmenty powieści/	48
Piotr Wierzbicki: Dwa rozdziały z powieści "Cyryk"	
XX. Listy do Ropuchy	56
XXII. Pisarz ileo przemawia na sympozjum "Artyzm-Humanizm-Pokój"	63
Wanda Chylińska: Assyryjski eksperyment	71
Tadeusz Korzeniewski: Dlaczego napisałem "W Polsce"	74
Jan Prokop: Polska znijaczona albo lodowiec z gówna	80
Ignacy Matuszewski: Zniesienie cenzury a literatura piękna	84
Stanisław Hartman: Przedmowa do Słownika Racjonalnego	86
Władysław Bienkowski: Filozofia dziejów a teoria społeczna/2/	90
Stanisław Barańczak: Summa Czesława Miłosza:	98
Leszek Szaruga: Sztuczna oddychanie	106
G.S.: O "Ewolucji czy rewolucji" Marka Tarniewskiego	112
Stanisław Warecki: Walka, ponawierka i gorycz	118
Kazimierz Orłoś: Świadectwo mimo woli	120
Jan Walci: Być docentem, sekretarzem i poetą...	124
Kronika	
Oświato niezależna	127
Episkopat Polski o krępowaniu kultury	128
Solidarność	129
Wieczór "Zapisu" u Welendowskich	129
Protesty Instytucji społecznych przeciw cenzurze	130
Prymas Polski o cenzurze	131
A cenzura swoje	131
Wybory delegatów na zjazd ZLP	132
Sprawy wewnętrzne Związku Literatów - pod ochroną cenzury	133
Z policyjnego punktu widzenia	133
Historia cichociemnych zakazana	134
Represyjne zwolnienia z pracy	134
Wymuszone zakończenie cennej działalności	134
Spotkania z poezją w Klubie Inteligencji Katolickiej	135
Wieczory literackie w całej Polsce	135
Drugi numer "Pulsu"	135
Bardzo dobre "Spotkania"	135
Również Iwaszkiewicz przeciw przechrzczeniu Młodowic na Walterow	136
Znowu "zapłaty karzeł reakcji" ?	136
Likwidacja zespołu filmowego	137
Śmierć studenta" na taśmie filmowej	137
Kto nie zastużył na nagrodę	137
Kto zastużył na nagrodę	137
Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej trwa	138
"Nierzeczywistość" w Paryżu	138
"Sztuczne oddychanie" z ilustracjami Lebensteine	138
"Kontynent" o "Zapisie"	138
Ekspozycja polska z Wenecji "Fasada i tyły" wędruje po świecie	139
Z ostatniej chwili: przebieg zjazdu Literatów w Katowicach	139
Noty o autorach	

Wiktor Woroszyński

X X X

W kamieniejącym grzęzawisku  
naszej powszedniej głuchoj wojny  
w tym koczowisku w tym uścisku -  
nigdy nie byłem taki woiny

Pod tą powierzchnią rozbełtaną  
gdzie podły prąd i płaz podwodny  
z rozdartą wargą stoną raną -  
nigdy nie byłem taki woiny

Za ciemnej gwiazdy poruszeniem  
wbity na gwizd na qwóźdz potworny  
Z tym poniżeniem porażeniem -  
nigdy nie byłem taki woiny

Gdzie skrzypli tramwajowa pętla  
gdzie błyśk i zamach niezawodny  
w pułapce zmurszałego piękna -  
nigdy nie byłem taki woiny

Bo wszystko w wołość się zamienia  
gdy zniewolenia pełna miara:  
ciężki dech ziemi krzyk kamienia  
i ta zapięta ława sara

I krębny obrót słonecznika  
i czujny sen i strzęp natchnienia  
to - przestrzeń z klucza się odmyka  
to - wszystko w wołość się zamienia

I spod powłoki spod zaćmienia  
życie swą jasną twarz wychylił  
bo wszystko w wołość się zamienia  
czego dotkniemy w takiej chwili

Wiktor Woroszyński

## Wstęp

Chcę podjąć się ryzykownego zadania - próby oceny, jak może rozwinąć się sytuacja w Polsce w bliskim czasie. Artykuł ten jest w pewnym stopniu kontynuacją mego poprzedniego tekstu //1/.

O przyszłości dobrze jest myśleć metodą "scenariuszy" - analizowania wchodzących w grę czynników, różnych możliwości rozwoju sytuacji, szacowania ich prawdopodobieństw i wyciągania wniosków. Tego rodzaju "przewidywanie" przyszłości ma z założenia ograniczoną wartość. Zbyt wiele występuje czynników nawzajem od siebie zależnych, których działania nie sposób jednoznacznie przewidzieć. Nie można dokładnie przewidzieć historii. A jednak analiza taka ma pewną wartość. Umożliwia bowiem uznanie pewnych sytuacji za bardzo mało prawdopodobne, pozwala czasem z grubsza określić ramy, w jakich może zawrzeć się przyszłość, czy też przedstawić kilka prawdopodobnych, choć różnych, wariantów przyszłości.

Rozważaniami swymi obejmę okres do roku 1984 - słynnej daty Orwella i Amalrika. W przeciwieństwie do Amalrika przewiduję, że w tym okresie sytuacja światowa będzie w znacznym stopniu stabilna, co umożliwiła stawianie prognoz naszej sytuacji wewnętrznej.

Zasadniczą tezą mojego artykułu jest twierdzenie, że najprawdopodobniej Polska roku 1984 nie będzie zasadniczo różniła się od dzisiejszej - że istnieje niewielka szansa, aby doszło w tym okresie do głębokich przemian struktury i praktyki politycznej systemu. Jednak opozycja może próbować poprzez swoje działania zmienić choć w pewnym stopniu te praktykę. Istnieją ramy, poza które nie uda się wyjść, ale mamy pewien wpływ na to, czy w tych ramach rzeczywistość będzie jaśniejsza, czy ciemniejsza.

Ostatnie lata:

Lata 1976-77 były kolejnym przełomem w dziejach PRL - być może najważniejszym z dotychczasowych. U źródeł tego przełomu leżały: narastające zniecierpliwienie opozycyjnie nastawionej inteligencji, wywołane cofaniem się "małej odwilży" początku lat siedemdziesiątych /sprawa zmian w Konstytucji postużyła jako detonator/, bunt robotniczy w czerwcu 1976 roku i wstrząs, jaki wywołały represje wobec robotników.

Po zlikwidowaniu antykomunistycznego podziemia działającego po wojnie i po zdławieniu jawnej opozycji /PSL/ przeważająca większość przeciwników systemu doszła do wniosku, że nie jest możliwe obalenie tego systemu od wewnątrz. Uznano, że wywołanie Polski spod rosyjskiej dominacji i obalenie rządów komunistycznych może nastąpić tylko jako skutek militarnego pokonania Rosji przez Zachód. Możliwość taka istniała rzeczywiście - dopóki Rosja nie posiadała dostatecznej ilości broni nuklearnej, aby konflikt zbrojny oznaczał klęskę dla obu stron. Zachód jednak nie chciał tej wojny.

Rok 1956 przyniósł znaczne złagodzenie sytuacji i stworzył nadzieję na wewnętrzną przemianę systemu komunistycznego. Wierzone w odrzucenie błędów i wypaczeń", w liberalizację systemu pod wpływem konieczności ekonomicznych, w zwycięstwo liberalnej frakcji, itp. Od 1957 roku przez cały czas występowały sporadyczne akty operu i protestu /mającego przeważnie charakter apelu do dobrej woli władz/. W społeczeństwie dominowała jednak postawa BIERNA. Postawa ta przyczyniła się istotnie do tego, że naród nie utrzymał zdobytych z lat 1956-57 i 1970-71. Zrywy 1956 roku, 1968 roku, 1970 roku i 1976 roku nie mogły zastąpić trwałego nacisku na władzę, jaki jest konieczny.

Lata 1976-77 przyniosły rozpowszechnienie się postawy czynnej, postawy trwałego oporu, stwarzania faktów wbrew władzom /takich jak KOR, ruch wydawniczy, SKS-y/ - a nie apelowania do dobrej woli i rozsądku władz. Przyniosły świadomość, że jest możliwa zmiana tej rzeczywistości pod wpływem działań od wewnątrz, że działania takie jest konieczne - że będziemy musieli żyć w tej rzeczywistości, o ile nie wywalczymy sobie jej zmiany.

Postawę taką przyjmuje obecnie aktywna opozycja, stanowiąca bardzo nie-



wielką część społeczeństwa. Losy tego systemu i losy Polski zależą w znacznym stopniu od tego, czy ta postawa rozpowszechni się szerzej.

### Istotne czynniki

Na sytuację w Polsce wpływają następujące zasadnicze czynniki zewnętrzne:

1. Postawa Rosji wobec Polski; sytuacja w Rosji
2. Postawa krajów Zachodu
3. Sytuacja w pozostałych europejskich państwach komunistycznych
4. Światowa sytuacja gospodarcza
- 4 i następujące czynniki wewnętrzne:
5. Postawa rządzących Polską
6. Postawa społeczeństwa polskiego
7. Polska sytuacja gospodarcza
8. Postawa Kościoła
9. Białalność opozycji

### Czynniki zewnętrzne

Nie mogę tutaj poświęcić zbyt wiele miejsca czynnikom zewnętrznym. Zamierzam zająć się nimi szerzej w innych tekstach. Tutaj przedstawię tylko zasadnicze konkluzje, nie podając ich uzasadnienia.

Uważam, że jest niewielka szansa, aby w rozpatrywanym okresie czynniki zewnętrzne zmieniły zasadniczo naszą sytuację.

Do roku 1984 nie powinny zajść większe zmiany w stosunkach Wschód - Zachód, to znaczy powinna się utrzymać polityka umiarkowanego odprężenia. Odejście od niej nie leży ani w interesie Rosji, ani państw zachodnich. Od czasów rosyjskiej wojny domowej /1918-20/ demokracje zachodnie pozostają wobec Rosji stroną defensywną i nie ma powodu, aby miało to się zmienić. Polityka odprężenia odpowiada zachodnim społeczeństwom. Interesy Rosji jako mocarstwa również wymagają kontynuowania dotychczasowej polityki. Zaostrzenie konfrontacji Wschód - Zachód nie może jej przynieść żadnych korzyści. Odbiłoby się natomiast fatalnie na sytuacji gospodarczej Rosji i państw satelitarnych /odcięcie handlu, technologii i kredytów/, co absolutnie nie leży w interesie rosyjskich przywódców. Ponieważ rosyjskim przywódcom zależy na odprężeniu, więc prawdopodobnie nie będą oni na razie próbowali radykalnie zniszczyć ruchu opozycyjnego w Rosji i w państwach satelitarnych. Próba taka wymagałaby znacznego nasilenia terroru, co zraziłoby zachodnią opinię publiczną i musiałyby istotnie odbić się na odprężeniu.

Należy więc oczekiwać, że w rozpatrywanym okresie Rosja nie będzie dążyć do nasilenia konfrontacji Wschód - Zachód i nie będzie naciskać na polskich przywódców, aby radykalnie zdławili istniejącą opozycję. Sytuacja ta mogłaby się jednak zmienić w przypadku dojsca do głosu po upadku czy śmierci Breżniewa frakcji stawiającej na terror w imię swej postawy czy swoich interesów, a wbrew interesom Rosji jako mocarstwa.

Istotną zmianę systemu rosyjskiego w okresie do roku 1984 uważam za wykluczoną. Zbyt wielką jest bowiem bierność i zniewolenie rosyjskiego społeczeństwa. Rosja pozostanie czynnikiem uniemożliwiającym zmianę systemu politycznego w Polsce.

Opozycja polska nie może liczyć na większą pomoc państw Zachodu - na tzw. politykę Cartera. Możliwości takiej pomocy są ograniczone, a Zachód nie wykorzysta w pełni i tych możliwości, które istnieją. Istotne jest jednak, że przywódcy komunistyczni muszą się liczyć ze względów gospodarczych z zachodnią opinią publiczną. Utrudnia to im bardzo zastosowanie ostrego terroru przeciwko opozycji.

Opozycja polska nie może również oczekiwać gwałtownego wzrostu ruchów opozycyjnych w innych krajach komunistycznych. Ruchy te prawdopodobnie

będą się rozszerzać - tak jak rozszerzają się od czasu Helsinek - ale nie w tym stopniu, aby zaważyły istotnie na układzie sił, /najkorzystniejsze warunki dla rozwoju opozycji istnieją w Polsce/. Nie można również liczyć na gwałtowne przemiany w którymś z krajów komunistycznych /w stylu pras-kiej wiosny/.

### Perspektywa światowego kryzysu.

W rozpatrywanym okresie światowa sytuacja gospodarcza będzie chyba w znacznym stopniu stabilna. Natomiast po roku 1984 zaczyna narastać zjawiska związane z kryzysem światowym, przewidywanym w I i II Raporcie dla Klubu Rzymskiego /2,3/. Na świecie zacznie brakować energii, surowców, żywności. Z pewnością wystąpią ostre konflikty polityczne i społeczne w wielu krajach, oraz konflikty pomiędzy państwami. Sytuacja światowa straci charakter stabilny. Najistotniejsze jest, jak ułożą się wówczas stosunki pomiędzy Rosją a Zachodem - czy będzie rozwijać się współpraca, czy też dojdzie do zaostrzenia konfrontacji. Oczywiście nie można przewidzieć, jak rozwinie się wtedy sytuacja światowa. Podstawowym warunkiem umożliwiającym "przewidywanie" przyszłości jest względna stabilność wchodzących w grę czynników - gdyż można wówczas ekstrapolować obecne tendencje, zakładając, że otrzyma się stan najbardziej prawdopodobny.

Polska jest w dużym stopniu narażona na skutki kryzysu. Przyczyniła się do tego między innymi krótkowzroczna i bezplanowa polityka gospodarcza ekipy Gierka. Rozwijane były energochłonne, surowcochłonne i wodochłonne gałęzie przemysłu. Zakupywano licencje nieco tańsze, ale o wiele bardziej energochłonne. Rozwinięto motoryzację.

Ropę naftową kupujemy głównie od Rosji, która około 1985 roku stanie się z eksportera importerską energii. Wydobycie węgla jesteśmy w stanie zwiększyć w niedużym stopniu. Jesteśmy najbardziej zacofani wśród europejskich krajów komunistycznych w zakresie energetyki jądrowej.

Nie uzdrowiono sytuacji w rolnictwie; wprost przeciwnie - spowodowano ostry kryzys miesięcy przez wadliwą strukturę cen i kolejny raz zawiedziono zaufanie rolników, nie dotrzymując warunków kontraktacji. Fatalny stan rolnictwa będzie nas drogą kosztował w przypadku kryzysu żywnościowego.

Zaniechyszenie środków staje się u nas większe, niż w najbardziej uprzemysłowionych krajach zachodnich, ponieważ nikt temu nie przeciwdziała.

Kryzys światowy będzie dla Polski szczególnie groźny ze względu na nasz system polityczny i gospodarczy, oraz na postawę społeczeństwa.

Nasz system gospodarczy jest w wysokim stopniu nieefektywny. Uniemożliwia racjonalne i sprawne gospodarowanie. W naszych warunkach politycznych kluczowe decyzje gospodarcze są podejmowane przez ludzi niefachowych i pod naciskiem rozmaitych grup interesów. Przy pozorach systemu planowego gospodarstwo rozwija się w sposób w istocie bezplanowy, bez przemysłowych długofalowych koncepcji. Ten system gospodarczy, który nie zdał egzaminu w warunkach dobrej koniunktury i spokoju gospodarczego na świecie, szczególnie ostro zareaguje na kryzys światowy.

Na kryzys ekonomiczny nie jest również przygotowane nasze społeczeństwo. Nie jest ono świadomym, odpowiedzialnym podmiotem - zdolnym do cierpliwości, do ograniczeń i samowyrzeczeń. Nie są takimi obecnie społeczeństwa demokratyczne Włoch, Anglii, jak wiec można oczekiwać tego po społeczeństwie państwa totalitarnego. A z drugiej strony społeczeństwo nasze nie przejawia takiej cierpliwości, pokory i strachu, jak społeczeństwa innych krajów komunistycznych. Gdy przyjdzie kryzys, mogący spowodować znaczne obniżenie stopy życiowej, społeczeństwo polskie przetrzuci całą winę na rządzących i na system - tym bardziej, że winą ich jest oczywiście ołbrzymia. Zareaguje rozprzeżeniem lub nowym wybuchem gniewu - tak jak w roku 1976.

Nie sposób oczywiście przewidywać, co kryzys światowy przyniesie Polsce. Nie wiadomo, czy spowoduje dalszą erozję lub rozpad obecnego systemu, czy też wprost przeciwnie - umocnienie "rządu silnej ręki", zniszczenie opozycji. Pewne jest, że kryzys ten niesie groźbę zarówno dla władzy, jak i dla opozycji i społeczeństwa. I dlatego tak bardzo jest ważne, co opozy-

cja osiągnie w okresie, jaki nam do tego kryzysu pozostaje.

### Władze

Uważam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że polityka władz w Polsce nie zmieni się istotnie w rozpatrywanym okresie. Bardzo mało jest prawdopodobne, że dojdzie do "dużej odwilży" - daleko idącej liberalizacji, a tym bardziej do strukturalnych zmian systemu. Niezbyt prawdopodobne, ale bardziej niż odwilż/ jest "mocne przykrcenie śruby".

Polityka ekipy Gierka jest z zasadzie zgodna z jej interesami, polegającymi przede wszystkim na utrzymaniu się przy władzy. Jest ona jednak sprzeczna z interesami narodu polskiego.

Polityka ta jest także sprzeczna z długofalowymi interesami systemu komunistycznego w Polsce. Aby ten system stał się bardziej stabilny/ miał większą szansę długotrwałego istnienia/, musi stać się bardziej akceptowalny dla polskiego społeczeństwa, musi zdobyć szersze poparcie.

Aby zapewnić sobie neutralność, czy wręcz poparcie, większości społeczeństwa, władze musiałyby osiągnąć następujące cele:

- stały wzrost stopy życiowej
- zaspokojenie potrzeb rynkowych, gdy chodzi o mięso i artykuły przemysłowe
- zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych
- stworzenie robotnikom lepszych warunków pracy
- zapewnienie swobodnego rozwoju indywidualnych gospodarstw rolnych
- zapewnienie sobie neutralności Kościoła
- oraz unikać posunąć drażniących uczucia Polaków/takich, jak zdjęcie "Dziadów" czy zmiany w Konstytucji/. Sytuację taką próbował stworzyć Gierek. Doświadczenie wykazywało jednak, że nie jest możliwe w Polsce osiągnięcie tych celów bez wprowadzenia głębszych zmian, nie tylko gospodarczych, ale i politycznych - bez stworzenia pewnego zakresu społecznej kontroli nad wszystkimi szczeblami aparatu władzy. Dla zwiększenia stabilności systemu jest więc potrzebna nie tylko reforma gospodarcza, ale i kontrolowana odwilż polityczna - demokratyzacja, zwiększenie wońności słowa, stworzenie autentycznego samorządu robotniczego. Możliwe jest niewątpliwie dokonanie pewnych zmian, pewnych ustępstw wobec społeczeństwa bez naruszenia systemu monopolistycznego i bez naruszenia rosyjskiej dominacji. Odwilż taka miała miejsce w Rosji po śmierci Stalina, w Polsce w 1956 roku i w mniejszym stopniu w roku 1971. Przemiany z roku 1956 w Rosji i w Polsce, częściowo cofnięte, ale częściowo mające charakter trwały, były bardzo korzystne ze względu na stabilność systemu - właśnie dzięki zapewnieniu mu szerszej akceptacji /czy choćby neutralności/ ze strony społeczeństwa.

W obecnej sytuacji władzom grozi wybuch kolejnego buntu robotniczego; opozycja zaś może wzrastać w siłę i może liczyć na milczące poparcie większości społeczeństwa. System jest w znacznej mierze stabilizowany z zewnątrz - groźbą rosyjskiej interwencji. Wspomnienie Węgier i Czechosłowacji ogranicza rozwój tendencji liberalnych w partii i odstręcza ludzi od angażowania się w działalność opozycyjną; tworzy atmosferę beznadziejności. Gdyby groźba ta znikła, system komunistyczny w Polsce załamałby się najprawdopodobniej. Sytuacja ta jest dogodna dla Rosji, ponieważ uzależnia od niej władze polskie. Jest niekorzystna dla systemu komunistycznego w Polsce, ale jest korzystna dla trwałości rosyjskiego imperium.

Ekipa Gierka z pewnością nie przystąpi do przeprowadzenia odwilży ze względów pryncypialnych - dla dobra narodu czy systemu. Gierek, nie będąc "zamordystą", nie jest także "liberałem". Przeprowadzenie większej odwilży "nie opta mu się" z punktu widzenia jego interesów /utrzymanie się przy władzy i wzmocnienia swej pozycji/ - nie jest mu bezpośrednio potrzebna, niesie zbyt wielkie ryzyko i wymaga zbyt wielkiego wysiłku. Odwilży nie zaakceptowałyby prawdopodobnie Rosja. To, że Rosja zezwala na stan obecny, nie oznacza, że będzie chciała zezwolić na więcej - Polska nie może różnić się w zbyt wielkim stopniu od reszty krajów komunistycz-



nych. Przeciwno odwilży byłaby również znaczna część aparatu partyjnego gdyż odwilż musiałaby przynieść ograniczenie jego władzy. W wyniku odwilży ekipa Gierka musiałaby zapewne rozliczyć się ze swych win - błędów gospodarczych, zmarnowania kredytów, poczerwocowych represji, nieumiarkowanego czerpania korzyści materialnych ze swych stanowisk. Próbując przeprowadzić dalej idącą odwilż Gierka ryzykowałby więc, że zostanie odsunięty od władzy.

Ekipa Gierka rządzi na zasadzie "po nas choćby potop". Jeśli nawet komunistyczni przywódcy zdają sobie sprawę z nianawisci, jaką większość społeczeństwa darzy ich i ten system, to i tak nie wpływa to istotnie i trwale na ich politykę. Zbyt mała jest szansa, aby musieli za swe postępowanie zapłacić inaczej, niż samym odsunięciem od władzy.

"Przykręcanie śruby" byłoby również ryzykowne dla ekipy Gierka. Poruszyłoby to w dużym stopniu zachodnią opinię - włączyć jeszcze dość przychylną dla Gierka, Gierkowi i jego ekipie zależy na prestiżu w oczach Zachodu i na akceptacji przez zachodnią opinią publiczną. Akceptacja ta jest im potrzebna, ponieważ umocenia ich pozycję polityczną /wizyta w Pałacu, wizyta Cartera/, a przede wszystkim jest potrzebna ze względów ekonomicznych. Kompromitacja w oczach zachodniej opinii groziłaby Gierkowi utratę wszelkiej pomocy gospodarczej i represjami ekonomicznymi, co przy obecnej zależności Polski od Zachodu mogłoby spowodować kolejny kryzys. Kryzys taki groziłby kolejnym buntom robotniczym, który prawie napewno spowodowałby odsunięcie Gierka od władzy.

"Przykręcanie śruby" ze rządów Gierka jest jednak możliwe, o ile w efekcie walk frakcyjnych wzmochnęłyby się znacznie wpływy kierunku nacjonalistyczno-represyjnego. /Również część repacji może być wynikiem nie odgórnej polityki, ale oddolnej inicjatywy organów represyjnych. "Góra" - opierająca się na aparacie represyjnym - w pewnych sytuacjach może nie czuć się na siłach, aby powstrzymać takie akcje, choćby były one sprzeczne z jej polityką i interesami./ Do wprowadzenia terroru może także dojść, jeśli rosyjscy przywódcy postawiliby na terror.

Układ sił frakcyjnych w partii wydaje się dosyć stabilny. Pozycja Gierka i sił konserwatywnych - odpowiedzialnych za dotychczasową politykę - jest mocna. Odejście Gierka od władzy w rozpatrywanym okresie jest niezbyt prawdopodobne, o ile nie dojdzie do nowego buntu robotniczego. /Zmiany w władzy w państwach komunistycznych są zjawiskiem rzadkim/. Buntu tego ekipa Gierka bci się i stara się go uniknąć nie przeprowadzając jawnej i jednogazowej podwyżki cen żywności. Upadek Gierka prawdopodobnie niewiele zmieniłby obecną sytuację; a jeśli zlaniliby, to raczej w kierunku niakorzystnym.

Następca Gierka mógłby przeprowadzić "małą odwilż" - tak, jak Gierka w roku 1971. "Duża odwilż" jest bardzo mało prawdopodobna. To, że miała ona miejsce w roku 1956, było spowodowane tym, że równocześnie głębokie zmiany zachodziły w Rosji; walką dwóch frakcji, które odwoływały się do poparcia społeczeństwa /4/, oraz znacznie większym napięciem społecznym niż obecnie.

Większość partyjnych nie jest zadowolona z obecnej sytuacji - tak jak reszta społeczeństwa. Ale masy partyjne - przyzwyczajone do postulatu sił i konformizmu - jeszcze nigdy w historii krajów komunistycznych nie wystąpiły pierwsi. W przypadku, gdyby istniała u góry silna frakcja "liberalna" lub stawiająca na liberalizm /to znaczy dążąca do przeprowadzenia odwilży/, i gdyby rozpoczęła ona ofensywę, wówczas mogłaby napewno liczyć na znaczne poparcie wśród szeregowych członków partii. Obecnie tendencje liberalne w partii znajdują bardzo słaby wyraz /5/ i jest mało prawdopodobne, aby powstał w partii liczący się ruch, dążący do liberalizacji i odnowy. Wrogosć w stosunku do postaw liberalnych jest jedną z zasadniczych cech sowieckiego komunizmu. Prawa zawsze według "linii partyjnej" dążenia liberalna stanowią zagrożenie - przychodzący od strony wroga zewnętrzne czy wewnętrzne /"rewizjonistów"/. Jak to już zaznaczylem, przeciwno liberalizacji jest Rosja i znaczna część aparatu partyjnego. W tej sytuacji działacze zajmujący - postawę liberalną ponoszą duże ryzyko - bardzo łatwo mogą przegrać. Mechanizmy działające w partii prawie uniemożliwiają dochodzenie do wyższych szczebli ludziom skłonny do bez-

**Interesownych działań.**

Znacznie aktywniejszy od nurtu "liberalnego" jest kierunek nacjonalistyczno-represyjny. Ma on poparcie w aparacie, policji i wojsku. Mogłoby zastrumfować po upadku Gierka i dążyć do przeprowadzenia "normalizacji" w Polsce w stylu czechosłowackim. Ludziom tym znacznie bardziej zależałoby na zdławieniu opozycji i wprowadzeniu "rządów silnej ręki", niż na opinii zachodniej i na gospodarce.

Z punktu widzenia Interesów Gierka błędna była polityka prowadzona wobec opozycji od czerwca 1976 do lipca 1977 roku. Zbyt mało wiemy, aby powiedzieć, w jakiej mierze ponosi winę Gierka, a w jakiej mierze była ona wynikiem działania jakichś sił frakcyjnych w partii i w policji. Pozasądowe represje /tortury, bicia, wyrzucanie z pracy/, zastosowane wobec zbuntowanych robotników, i tak nie były wystarczające, aby zapobiec kolejnemu wybuchowi - trzeba by do tego terroru o znacznie większym natężeniu. Ukarać nie drosze prawnej uczestników /rzeczywistych lub rzekomych/ zajęć w Radomiu i Ursusie było konieczne z punktu widzenia rządzących - każdy system musi się bronić przed użyciem przeciwko niemu siły. Ale w sytuacji kiedy rzecz nabrąta rozgłosu światowego, kiedy powstał ruch pbrony robotników i nie dał się szybko stłumić przez policyjne szykany /znowu zbyt ślabe/, jedynym rozsądnym wyjściem była całkowita amnestia. Gierka w końcu zdecydował się na nią, co dobrze o nim świadczy jako o polityku. Zrobił to jednak o wiele za późno, co pozwoliło na rozrośnięcie się i okrzepnięcie ruchu opozycyjnego. Amnestia była bowiem jedynym wyjściem - zdławienie opozycji terrorem nie było możliwe ze względu na sytuację gospodarczą i napięcie polityczne w kraju, sytuację międzynarodową /odpreżenie, Belgrad/ i na ekonomiczną zależność od Zachodu. W rezultacie Gierka dokonał niezbędnej "małej odwilży" /amnestia, dialog z Kościołem, "manewr gospodarczy", pozostawienie opozycji we względny spokoju/, osłabiając pewną spacyfikowanie nastrojów społecznych. Nie opłacałoby mu się jednak, jak już powiedziałem, posuwać dalej na tej drodze.

Władze mogą obecnie zostawić opozycję w spokoju, ponieważ istnienie jej nie zagraża im bezpośrednio - groźniejsze mogłaby się okazać próba jej likwidacji. Istnienie opozycji zagraża długofalowo systemowi, podważa podstawowe zasady totalitaryzmu - ale to ma dla władz drugorzędne znaczenie. /Znaczenie pierwszorzędne mają ich aktualne interesy, wymagające unikania dodatkowych napięć i liczenia się z zachodnią opinią w trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej/.

Obecnie władze stosują wobec opozycji inteligentną taktykę. Policja zbiera informacje, aby być gotowa na wszelki wypadek, stara się zniszczyć bazę poligraficzną, przeszkadza w działalności Towarzystwa Kursów Naukowych na prowincji i utrzymuje pewien - stosunkowo niewysoki - poziom represji /tych rozmiarów i aby nie wywołać poruszenia, a jednocześnie aby zachować pewną barierę strachu, ograniczającą rozszerzenie się opozycji/.

**Spółczesność**

Nie można oczekiwać, aby w ciągu rozpatrywanego okresu zmieniła się radykalnie postawa społeczeństwa polskiego - aby przystąpiło ono na szerszą skalę do aktywnego oporu przeciwko komunistycznemu totalitaryzmowi. Proces przemiany świadomości i postaw społeczeństwa jest procesem długotrwałym. Pokolenia obecnie czynne są ukształtowane w sposób dosyć trwały przez dotychczasowy stan rzeczy.

W warunkach komunistycznego totalitaryzmu władza rządząca przeciwko społeczeństwu wywodzi się z niego, ze wszystkich grup społecznych. Na tym polega wspaniały /z punktu widzenia trwałości i skuteczności dyktatury/ wygalazek ogólnonarodowej partii totalitarnej. Jest to jedną z przyczyn atomizacji społeczeństwa i stwarza dla Polaków sytuację nową i trudniejszą niż podczas zaborów i okupacji niemieckiej, gdy istniała narodowa solidarność wobec wroga.

W skład postawy narodu polskiego wchodził patriotyzm i nawyk oporu przeciwko obcej dominacji. Wchodzi do niej również - wywodzące się z czasów "złotej wojności" szlacheckiej i z czasów zaborów - "niepokorność" wobec

władzy i przywiązanie do wolności /tym na ogół Polacy różnią się od Rosjan/. Natomiast w przeciętnej świadomości Polaków nie jest żywe poczucie politycznych praw człowieka, nie są obecne kompleksy zachowań i postępców związanych z demokracją, samorządnością, tolerancją /to nas różni od Amerykanów, Anolików czy Norwegów, a częściowo upodabnia do Rosjan/. Wolność jest przez Polaków rozumiana zwykle jako wolność od narzucanych ograniczeń, a nie jako korzystanie z przysługujących praw. Jest to skutkiem długotrwałego pozbawienia narodu polskiego demokracji i wolności politycznej /od końca XVIII wieku, oprócz krótkiego i trudnego okresu lat 1918-26/. Tradycja demokracji szlacheckiej odgrywa wyjątkową rolę w sferze mitu; nie stanowi źródła aktualnych postaw. Demokracja szlachecka uległa zwyrodnieniu, przybierając karykaturalne formy /liberum veto, drastyczne osłabienie władzy wykonawczej/, co stało się jedną z głównych przyczyn upadku Polski. Natomiast w XIX i XX wieku, kiedy w Europie zachodził proces emancypacji mas ludowych - kształtowała się nowoczesnych narodów - Polska prawie nie znała demokracji. Fakt, że świadomości współczesnych Polaków znacznie bliższe są wartości patriotyczne, niż wartości demokracji, wolności politycznej i samorządności, jest bardzo istotny.

Istotnym czynnikiem, powodującym bierność społeczeństwa wobec totalitaryzmu, było to, że wskutek reformy rolnej i industrializacji zaszły proces awansu społecznego i materialnego mas chłopskich. Stara klasa robotnicza, przyzwyczajona do walki o swe prawa, roztopiła się w tej napływającej masie. Większość inteligencji pochodzi "z awansu". Ludzie uczestnicząc w procesie awansu społecznego nie są skłonni buntować się, ryzykować tego, co zdobyli. Masy ludowe w Polsce przeszły przez proces emancypacji politycznej w znacznie mniejszym stopniu, niż miało to miejsce na Zachodzie. Wciąż jeszcze dla znacznego ich procentu istotne są tylko sprawy bytowe, wolność religijna i niepodległość Polski /w tym znaczeniu, według którego obecnie Polska jest niepodległym państwem - własny rząd, język, wojsko, itd./.

W ostatnich latach mobilność społeczna w wielkiej mierze zanikła. Obecnie społeczeństwo polskie charakteryzuje się wyraźnymi podziałami społecznymi. Fakt ten przeniknął już do świadomości społecznej. Ułatwia to i będzie ułatwiać rozwój postaw opozycyjnych.

Badania Socjologiczne /6/ wykazują, że pokolenia urodzona w latach pięćdziesiątych nie jest skłonna do angażowania się w działania ogólnospołeczne; jest zwrócone ku celom indywidualnym. Jest to skutkiem dojrzewania w okresie "ciszy społecznej" - w okresie, gdy społeczeństwo nie miało wyrobionej postawy i systemu oporu przeciw totalitaryzmowi, gdy "zaangażowanie społeczne" oznaczało zaangażowanie się po stronie systemu. Badania te wykazały również, że dla tej młodzieży wielką wartość stanowi idea patriotyczna. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu postawa "niezaangażowania" jest niezmienną; czy zmieni ją działalność opozycji.

Zobaczymy, jakie będzie pokolenie przeżywające obecnie w szkołach - dorastające w atmosferze lat ostatnich i patrzące na zwycięstwa 1970, 1976 i 1977 roku.

W jakiej mierze dwa ostatnie lata - lata istnienia jawnej i otwartej opozycji - wpłynęły na świadomość polskiego społeczeństwa?

Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. Większość społeczeństwa jest wrogo nastawiona wobec władzy, ale nadal pozostaje bierna. Trudno oczekiwać czegoś innego - nawyki wielu lat nie mogą zniknąć nagle. Ale bierność społeczeństwa nie oznacza przecieży, że nic nie zmienia się w jego świadomości. Niewątpliwie przenikają do niej nowe wzorce zachowań, znika strach, poczucie bezsilności i beznadziejności. Powszechna jest postawa przychylności wobec opozycji.

Przemiany świadomości i postaw społeczeństwa, niewidoczne w okresie spokoju, mogą przejawiać się w chwili "wstrząsu". /Na przykład Studenckie Komitaty Solidarności powstały w wyniku wstrząsu wywołanego śmiercią Stanisława Pyjasa/.



W warunkach dyktatury "ciszę społeczną" przerywa albo niezorganizowany wybuch, albo liczebne jednostki - ze statystycznego "ogona". Jeśli uda im się wywalczyć drogę i jeśli wyrażają dążenia, sporej części społeczeństwa, to po pewnym czasie ruch zaczyna rozszerzać się lawinowo.

W rozpatrywanym okresie aktywna opozycja może kilkakrotnie powiększyć swą liczebność /pozostając wciąż wąską elitą/, o ile potrafi wykorzystać swe szanse, i o ile władza nie zastosuje ostrego terroru. Opozycja może znacznie rozszerzyć swe wpływy wśród inteligencji; może zdobyć szerokie oparcie wśród studentów /młodzi łatwiej angażują się w ruchy oporu/. Ogromne znaczenie posiada fakt, że ruch opozycyjny dociera do robotników i znajduje - słaby na razie - oddźwięk. Nie sądzę jednak, aby do roku 1984 rozwinął się szerszy opozycyjny ruch robotniczy, a tym bardziej - chłopski. Wymaga to chyba jeszcze dłuższego czasu.

Jedną z największych win systemu i ludzi będących u władzy jest demoralizacja społeczeństwa. Przejawami jej są między innymi: rosnący alkoholizm, nawyk złej roboty, pobłażliwy stosunek do rozkradania własności publicznej, korupcja. Nawet jeśli by doszło do zmiany systemu, demoralizacja długo jeszcze pozostanie dla nas wielkim obciążeniem.

### Sytuacja...gospodarcza

Nie ma szans na istotne polepszenie się naszej sytuacji gospodarczej. Należy wręcz oczekiwać pogarszania się sytuacji z powodu spłaty kredytów, pogarszania się struktury cen, nadmiaru pieniądza na rynku, starzenia się licencji /ucierpi eksport/ i rosnącego niezadowolenia i demoralizacji ludności /obniżania wydajności i jakości pracy/.

Przy obecnej strukturze - nie zmienianej zasadniczo przez cały okres istnienia PRL - gospodarka ta nie może działać w sposób efektywny. W latach 1971-73 istniał ruch, dążący do dokonania reformy gospodarki i istniały ku temu realne możliwości. Ekipa Gierka miała spore poparcie społeczeństwa, miała kredyty zagraniczne - miała luz. Obecnie nikt

u góry nie myśli o głębszej reformie /5/, a przeprowadzenie reformy byłoby bardzo trudne. Nawet najlepsza reforma gospodarcza musi powodować przejściowe trudności, związane z przestawieniem się ludzi i struktur, oraz z nieuniknionymi kosztami eksperymentalnymi. Trudno więc jest dokonywać reformy w obecnej sytuacji ekonomicznej i społecznej. Gierk stracił poparcie społeczeństwa. Nie ma możliwości uzyskania poważniejszych kredytów przy obecnym zadłużeniu.

Bardzo istotne byłoby, gdyby przynajmniej konsekwentnie przeprowadzono obecny manewr gospodarczy - zahamowanie inwestycji. Trudno jednak na to liczyć, ponieważ w rozwoju inwestycji zainteresowane są rozmaite silne grupy nacisku, powiązane z aparatem władzy, czerpiące z nich swoje znaczenie. Manewr jest więc przeprowadzany nie dość radykalnie, w sposób niekonsekwentny i nieprzemysłany.

Gospodarka nasza będzie więc działała nadal w stary, fatalny sposób, obciążona stratą zmarnowanych kredytów. Uniemożliwi to istotny wzrost stopy życiowej.

Tragiczna jest sytuacja rolnictwa. Władza nie chce zezwolić na powstawanie dużych gospodarstw chłopskich i nastawić się na rozwój indywidualnego rolnictwa /produkować odpowiednio maszyny rolnicze, na szeroką skalę sprzedawać chłopom ziemię/, a boi się i nie jest w stanie ze względu na koszty przeprowadzić pegeeryzacji wsi. Utrzymuje więc stan obecny - wieś rozdrobnioną, niezmechanizowaną, niewydajną.

W roku 1971 polska gospodarka stała na rozdrożu. Istniała możliwość dokonania głębokiej reformy, wybrania optymalnych kierunków rozwoju /na przykład rozwinięcia przemysłów, pozwalających na opłacalny eksport/, rozwinięcia rolnictwa i przebudowy wsi, trwałego znacznego podniesienia stopy życiowej.

Zszansa ta została zmarnowana. Dokonane ogromne inwestycje nie poprawiły istotnie naszej sytuacji. Zdeteterminowały nas natomiast w fatalny sposób w obliczu nadciągającego światowego kryzysu.

### Kościół

Chrześcijaństwo jest bardzo ważnym źródłem wartości moralnych, źródłem nakazów walki o prawa człowieka, o sprawiedliwość, o lepszy ład społeczny. Może być istotnym czynnikiem kształtowania świadomości i postaw społeczeństwa - odgrywało tę rolę niejednokrotnie.

W dziejach swych Kościół katolicki wielokrotnie występował i działał przeciwko temu, co określany dzisiaj jako "prawa człowieka". Licytacja państw w XIX i XX wieku uniemożliwiła Kościołowi posługiwanie się siłą. W samym Kościele nastąpiły również przemiany doktrynalne / zwaśzcza od czasu II Soboru Watykańskiego /, prowadzące do zaakceptowania większości elementów zawartych we współczesnej koncepcji praw człowieka.

Wielką szansą Kościoła we współczesnym świecie mogłoby być zaangażowanie się w najdonioślejsze kwestie moralne epoki - między innymi w walkę o prawa człowieka. Naturalnym jest, że dla Kościoła / rozumianego jako instytucja / na pierwszym miejscu musi stać spełnianie funkcji religijnych, ale Kościół powinien również działać w imię wartości moralnych Ewangelii, w imię miłości bliźniego. Obecnie Kościół nie robi tego w takim stopniu, w jakim byłoby to możliwe. W polityce Kościoła zdecydowanie dominuje troska o możliwość swobody działania w sferze religii, swobody funkcjonowania i nauczania. W trosce o tę swobodę Kościół nie zabiera często głosu w sprawie ludzi zabiłanych, torturowanych, zniewolonych - unika przeciwstawiania się władzy świeckiej. / Dotyczy to zwaśzcza polityki Watykanu /. Za wszelką cenę broni się przed zejściem do katakumb, stawia na ilość, nie na jakość. W ostatnich czasach można zauważyć pewne przemiany w tej postawie / postawa części kieru w Ameryce Południowej /, ale jak dotąd nie zaszyły one zbyt daleko.

Po wojnie Kościół polski twardo opierał się naciskowi władz, dążących do maksymalnego zredukowania jego wpływów i znaczenia. Udało mu się w znacznym stopniu utrzymać swe pozycje i pozostać bardzo istotnym czynnikiem, z którym władze obecnie muszą się liczyć i muszą iść na daleko idące kompromisy. Różni to zasadniczo sytuację polską od sytuacji w innych krajach komunistycznych. Ten opór Kościoła był bardzo ważnym czynnikiem kształtującym postawę społeczeństwa - uczącym go oporu przeciw totalitaryzmowi. Kościół polski stanowi zorganizowaną siłę, dysponującą szerokim poparciem i możliwością oddziaływania na duży procent społeczeństwa.

Kościół polski przede wszystkim broni swych praw i swego stanu posiadania. Ale Kościół również, szczególnie w ostatnim czasie zabiera głos w sprawach całego narodu, walcząc o prawa człowieka, występując przeciwko poszczególnym instytucjom / policja polityczna, cenzura /, praktykom i posunięciom państwa totalitarnego.

Możliwości Kościoła w zakresie obrony praw człowieka są spore. Nie można od niego wymagać, aby angażował się głębiej w działalność opozycyjną / gdyż cele jego są innej natury, a za przegraną mógłby zapłacić zbyt wielką cenę - znacznym ograniczeniem możliwości spełniania funkcji religijnych /. Ale może konsekwentnie piętnować złą, wychowywać wiernych, osłaniać katolicki ruch opozycyjny, a przede wszystkim przeciwstawiać się represjom wobec ludzi walczących o swe prawa - choćby za cenę ostrej konfrontacji z władzami. Może kształtować świadomość i postawę społeczeństwa w znacznie większym stopniu, niż to jest w stanie osiągnąć ruch opozycyjny.

Czy Kościół polski jest w stanie sprostać temu zadaniu?



Wielu spośród dzisiejszych opozycjonistów wywodzi się z klubów inteligencji katolickiej i z duszpasterstw akademickich. Świadczy to najlepiej o roli, jaką może spełniać katolicyzm i niezależne katolickie ośrodki, kształtujące i wychowujące. Ośrodków tych jest jednak bardzo mało - znacznie mniej niż by być mogło. Kościół w Polsce w niewielkim stopniu nastawiał się dotąd na tego rodzaju działania. Kościół ten ma charakter bardzo tradycyjny. Polski kler, pochodzący głównie ze wsi, jest konserwatywny. Brak mu kultury politycznej. Są księża działający nie stereotypowo, stający się ośrodkami życia duchowego, angażujący się w działalność opozycyjną, ale stanowią oni nieliczną - choć bardzo ważną - mniejszość. Ogranicza to w znacznym stopniu możliwości pracy wychowawczej Kościoła. Możliwe jest jednak w bliskim czasie rozszerzenie się młodzieżowego ruchu katolickiego i zmiana jego charakteru - znaczne rozszerzenie się funkcji pozareligijnych. Ruch ten mógłby stać się istotnym źródłem odnowy katolicyzmu polskiego.

Wiele zależy od tego, czy Kościół polski utrzyma i pogłębi swą politykę angażowania się w walkę o prawa całego narodu. Kościół nie jest w stanie zasadniczo zmienić sytuacji/ na przykład wymusić obecnie zmiany strukturalne systemu/. Może jednak istotnie przyspieszyć bieg procesów, o które walczy opozycja, i może przeważać szalę w niejednej kwestii.

### Opozycja

O zadaniach opozycji pisałem obszernie w poprzednim artykule ///. Obecnie chciałbym zaktualizować i rozszerzyć niektóre z zawartych tam tez.

Przez dwa lata działalności opozycja osiągnęła bardzo dużo - tyle, ile to było możliwe.

Amnestia dla robotników z Radomia i Ursusa była w pierwszym rządzie załugą KOR-u. KOR stworzył system pomocy dla represjonowanych robotników. Istnienie Biura Interwencyjnego stwarza możliwość niesienia pewnej pomocy prześladowanym i możliwość skuteczniejszego informowania opinii publicznej o bezprawnych popełnianych przez władzę i policję.

Opozycja stworzyła niezależne od państwa, trwałe działające organizacje i ruchy społeczne. Stworzyła niezależny ruch wydawniczy. Stworzyła Towarzystwo Kursów Naukowych. Powstały ośrodki dyskusyjne, salony interaktywne i biblioteki społeczne.

Władze pogodziły się chwilowo z faktem jej istnienia, im dłużej będzie ona działać, im bardziej fakt jej istnienia utrwali się w świadomości władz, społeczeństwa i zachodniej opinii publicznej, tym trudniej będzie ją zlikwidować. Utrwała się nowe status quo - wciąż jeszcze bardzo chwiejne.

Uważam, że przed opozycją stoją następujące zasadnicze cele:

- 1/ Kształtowanie świadomości i postaw społeczeństwa
- 2/ Tworzenie nieoficjalnych struktur i więzi społecznych
- 3/ Tworzenie nieoficjalnej kultury, niezależnej myśli politycznej, społecznej i filozoficznej
- 4/ Tworzenie elit politycznych i kulturalnych
- 5/ Inicjowanie ewolucji praktyki politycznej i struktury systemu.

Wydaje się, że w okresie, który rozpatruje, możliwości realizacji ostatniego celu będą znikome. Nie można się spodziewać, że dojdzie do przemian strukturalnych systemu, czy nawet istotniejszych zmian praktyki politycznej. Nie ma bowiem szans, aby zaszyły zmiany w Rosji, które umożliwiłyby takie zmiany u nas, i nie będzie jeszcze możliwe w tym czasie stworzenie zorganizowanego nacisku społeczeństwa. Opozycja musi nastawić się na to, że jej działalność przyniesie ostateczne owoce w dalszej przyszłości./Nieodpowiedzialnym byłoby stawianie pełnej suwerenności czy demokracji parlamentarnej za cele osiągalne w bliższej perspektywie. Utrudnia to zadanie opozycji, ponieważ kształtowanie świadomości i postawy społeczeństwa jest znacznie mniej atrakcyjnym hasłem, niż demokracja i suwerenność. Ludzie są gotowi poświęcać się dla większych haseł religijnych, narodowych czy socjalnych i dla bliskich celów/.

Najistotniejszą zmianą praktyki społecznej systemu, jaką można wywoł-

czyż w bliskim czasie, jest to mianowicie, że istnienie i działalność opozycji stanie się normalnym elementem sytuacji w Polsce, że władze pogodzą się trwale z jej istnieniem i prawie zupełnie zaprzestaną represji.

Cel - według mnie najważniejszy - jakim jest kształtowanie świadomości i postaw społeczeństwa, opozycja realizuje przede wszystkim przez sam fakt swego istnienia i działania, /Niezależna myśl polityczna i informacja mają znaczenie drugorzędne. Posiadają ograniczony zasięg. Natomiast o istnieniu i działaniu opozycji informowany jest przez zagraniczne radio znaczny procent społeczeństwa/. Opozycja stanowi wzorzec moralny aktywności, "niepokorności", odwagi. Ukazuje, że jest możliwe działanie wbrew regułom narzucanym dotąd przez system, i że działanie to może przynosić sukcesy.

O ile nie nadejdą "rządy silnej ręki", opozycja będzie mogła rozwijać dotychczasowe kierunki działalności, powiększać się i docierać do coraz szerszych kręgów społeczeństwa. Nie sądzę jednak, aby do roku 1984 powstały niezależne reprezentacje pracowników w zakładach pracy, niezależny ruch związkowy. Nie sądzę, aby proces budzenia społeczeństwa zaszedł w tym okresie tak daleko, żeby celowym stało się utworzenie nieoficjalnych partii politycznych. Aby doszło do tego, trzeba jeszcze dłuższego czasu działania opozycji. Tak bujny rozkwit w ciągu tych dwu lat był możliwy, gdyż opierał się na wykorzystaniu istniejących już uprzednio możliwości oraz ludzi pozostających w bezczynności, a gotowych do działania. Obecnie opozycja musi się nastawić na nadejście okresu pewnej stabilizacji - okresu zasiewów.

Wydaje mi się, że w bliskiej perspektywie tylko kolejny wstrząs społeczny mógłby radykalnie zmienić sytuację. Wstrząsy ujawniają to, co naprawdę czuje i myśli społeczeństwo - co tkwi w głębi pod skorupą bierności i milczenia. Kształtują ludzi, wyzwalają aktywność, tworzą nowe ruchy. Przyspieszają znacznie bieg procesów historii. Kolejny wstrząs/bunt robotniczy czy ogólnopolskie zamieszki studenckie/ mógłby wywołać falę terroru i zduszenie opozycji, ale mógłby również spowodować daleko idącą liberalizację systemu, lub przynajmniej gwałtowne spotęgowanie się ruchu opozycyjnego. Wstrząs taki może nastąpić znowu w ciągu kilku następnych lat wskutek kolejnej podwyżki cen, lub z innego powodu. Opozycja powinna maksymalnie wykorzystać ten okres spokoju, jakim dysponuje, aby i ona, i społeczeństwo były jak najlepiej przygotowane do konfrontacji z władzą - przez powstające niezależne ruchy społeczne i międzygrupowe więzi/związki - zaś pomiędzy inteligencją a robotnikami/, pisma, przez nawyk i umiejętność działania.

W najbliższym okresie najważniejszym zadaniem jest obrona tej swobody działania, jaką cieszyła się opozycja przez ostatnie pół roku, oraz rozszerzenie zakresu tej swobody. Opozycja działa zgodnie z prawami przystępującymi jej na mocy Paktów Praw Człowieka. Opozycyjnemu nastawieniu intelektualistów, Kościoła, zachodnia opinia publiczna powinny walczyć jak najusilniej o swobodę działania dla opozycji, przeciwstawiać się represjom, bronić dotychczasowych osiągnięć/8/..

Doświadczenie potwierdziło rzecz oczywistą - jawna działalność uprawiana przez KOR i ROPCZIO jest o wiele bardziej owocna od działalności tajnej. Istniejące niejawne ugrupowania /jak PPN/ mają o wiele mniejszy wpływ na społeczeństwo i znacznie mniej są w stanie osiągnąć.

Przyhlerając w siłę czy rozpoczynając nowe akcje opozycja ryzykuje, że władze poczują się zagrożone i uznają, że nie mogą jej dłużej tolerować. /Na przykład aresztowanie działaczy KOR-u w maju 1977 roku było reakcją na krakowską manifestację/. Oczywiście jednak opozycja musi w granicach rozsądku podejmować to ryzyko.

Ponieważ zadania i cele, jakie aktualnie może sobie stawiać opozycja, są dosyć oczywiste, zachodzi obecnie zasadnicze podobieństwo działania i haseł poszczególnych jej odłamów. Nie wyklarowały się jeszcze prądy i kierunki opozycyjne, oparte o różne koncepcje przyszłej Polski, różne systemy wartości, różne wizje społeczeństwa i państwa, różne prognozy. W przyszłości jednak najprawdopodobniej to nastąpi, ponieważ istnieją w naszym

społeczeństwie rzeczywiste i głębokie różnice tradycji myślenia i postaw, wywodzące swą genezę jeszcze z końca XIX wieku, oraz po prostu dlatego, że możliwości wyboru drogi są różne.

W nieoficjalnych wydawnictwach publikowane są na razie przede wszystkim: serwis informacyjny, publicystyka polityczna, oraz literatura i poezja.

Wydawanie nieoficjalnej literatury ma duże znaczenie nie tylko kulturalne, ale i polityczne. Wśród inteligencji polskiej popularna jest postawa niechęci do polityki. Nieoficjalna literatura może znaleźć znacznie więcej czytelników, niż artykuły polityczne i informacyjne. Umożliwia więc szersze oddziaływanie na postawy inteligencji przez swą treść i sam fakt swego istnienia.

Poziom publicystyki politycznej jest bardzo niejednorodny - zbyt często powtarza ona rzeczy oczywiste, wielekroć powiedziane. Jest to zjawisko normalne i nieuniknione - zwłaszcza w pierwszej fazie, gdy tworzy się dopiero niezależna myśl polityczna. Uważam jednak, że istnieje paląca potrzeba publikowania nieoficjalnych/tzn. niecenzurowanych/ prac z zakresu socjologii, historii, ekonomii, zwłaszcza z zakresu socjologii - tak ma to bowiem wemy o naszym społeczeństwie, i tak bardzo jest nam ta wiedza potrzebna. W ruchu opozycyjnym działają socjologowie i mogliby oni tutaj wyładować swoje ambicje zawodowe. Istnieją interesujące wyniki oficjalnie prowadzonych badań na temat młodzieży, patologii społecznej, postaw represyjnych - niedostępne szerszym kręgom odbiorców. Odpowiednie opracowanie ich i opublikowanie nie nastrocałoby większych trudności. Niestychnie ważne byłoby przeprowadzenie sondaży na temat oblicza współczesnego polskiego patriotyzmu, stosunku do idei socjalizmu/ i poszczególnych idei z nią związanych/, psychospołecznych przyczyn bierności społeczeństwa, itd.

Bardzo poważną słabością ruchu opozycyjnego jest brak dostatecznego zainteresowania problematyką ekonomiczną. Ukazała się na ten temat niewieleka jedynie ilość publicystycznych artykułów, gdzie można znaleźć prawdy powtarzane od 1956 roku. /Chwałebnym wyjątkiem jest tutaj podająca aktualne realia "Robotnik".

Zdaję sobie sprawę z trudności. Do dokonywania głębszych analiz sytuacji gospodarczej niezbędne są dane trudno dostępne lub takie, którymi nikt nie dysponuje. Przeprowadzenie przez opozycję badań sytuacji ekonomicznej społeczeństwa/rejonów nędzy, gwałtownie rosnącego rozwarstwienia/ jest w praktyce niemal nierealne/ w odróżnieniu od pewnych badań socjologicznych/. Opozycja nie może zmusić władz do dokonania reformy gospodarczej. Może jednak stworzyć Komitet Obrony Konsumenta - choć stanowi to bardzo trudne zadanie. Możliwe też byłoby sformułowanie apel/ choćby w formie podpisywanych masowo listów protestacyjnych/, związanych z problematyką ekonomiczną i socjalno-bytową /Kodeks Pracy, zasady rozdziału mieszkań, i in./, oraz opracowanie reportaży z rejonów nędzy, lub na temat warunków pracy robotników, chorób zawodowych, czy sytuacji na wsi. Miałoby to ogromne znaczenie, nie tylko propagandowe, ale i moralne. Szersze podjęcie tych zadań przekracza chyba siły dzisiejszej opozycji, ale przystąpienie do nich uważam za niezbędne.

Przyczyny zapędzenia problematyki ekonomicznej tkwią chyba głównie w tym, że w działalność opozycyjną angażują się ludzie, którzy zdecydowani są ryzykować swą sytuacją życiową i materialną, i w tym sensie sprawy materialne mają dla nich drugorzędne znaczenie. Znacznie istotniejszy dla nich jest brak wolności politycznej, demokracji, wolności słowa, sprawiedliwości. Ale to właśnie zasadniczo różni aktywną opozycję od reszty społeczeństwa, dla której sprawy materialne mają priorytet. Niezainteresowanie sytuacją materialną społeczeństwa odcina od niego opozycję. Opozycja traci szansę wywarcia o wiele większego wpływu, niż wywiera obecnie. Ludzie dochodzą - świadomie czy nieświadomie - do wniosku, że opozycja, tak jak władze, nie troszczy się o ich sytuację. Władze znają dobrze swoją najstabszą stronę. Twierdzą stałe, że opozycja wykorzystuje "przejściowe trudności gospodarcze". Ale opozycja właśnie tego nie robi!...

Nie chciałbym, aby tekst ten został odebrany jako pesymistyczny. Przewiduję, że sytuacja pozostanie stabilna do roku 1984, ale uważam, że w nieco dalszej przyszłości mogą nastąpić głębokie zmiany. Może dojść do formowania się w Polsce silnego ruchu oporu przeciwko totalitaryzmowi, powstania niezależnego ruchu robotniczego - umożliwiającego wywarcie silnego nacisku na władze. Mogą wzmoć się znacznie konflikty wewnętrzne w Rosji - przede wszystkim na tle narodowościowym.

Światowy kryzys ekonomiczny wstrząśnie całym światem, całym ustalonym porządkiem. Nie sposób przewidywać, co wtedy nastąpi, ale nierozsądnym byłoby pokładać w kryzysie zbyt wielkie nadzieje. /Zachód może okazać się znacznie wrażliwszy na kryzys, niż Rosja/. Kryzys ten jest bardzo groźny i dla Polski. Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że dojdzie wówczas do wstrząsów społecznych - do zasadniczej konfrontacji między władzą a opozycją i resztą społeczeństwa.

Idąc w ślady Kotakowskiego /9/ uważam, że opozycja powinna nastawiać się raczej na stopniową ewolucję systemu, a nie na nagłe jego załamanie wskutek rewolucyjnego zrywu. Nie można jednak wykluczyć, że - wcześniej czy później - wskutek ostrego kryzysu politycznego w Rosji i w Polsce /jak w 1956 roku/ otworzy się nagle możliwość gwałtownych zmian.

I Wojna Światowa stworzyła możliwość odrodzenia się niepodległej Polski. Możliwość ta została wykorzystana dzięki temu, że społeczeństwo było na to przygotowane. Mogła zostać zmarnowana.

-----

Nie możemy liczyć na rychłe zwycięstwo. Jednak działając w ruchu opozycyjnym nie tylko walczymy w imię wartości etycznych, ale i zdobywamy dla siebie najwyższy stopień wolności dostępny w obecnym systemie.

Polska, luty 1978.

#### Przypisy

1. M. Turbacz: Możliwości działania opozycji w Polsce, Polska, 1976; Aneks 16/17, Upsala - Londyn, 1978.
2. D. Meadows: Granice wzrostu, Warszawa, 1973.
3. M. Meszarowicz: Ludzkość w punkcie zwrotnym, Warszawa, 1977.
4. W. Jedlicki: Klub Krzywego Koła, Paryż, 1963.
5. Sytuacja frakcyjna w PZRR jest bardzo niejasna. "Mówiło się" o istnieniu w partii "frakcji liberalnej", wymieniając nazwiska Stefana Olszowskiego, Tejchmy, Barcikowskiego. Frakcja ta miała dążyć między innymi do przeprowadzenia reformy gospodarczej. Pozycja tych działaczy nie wydaje się jednak mocna, a trudno stwierdzić, czy rzeczywiście tworzyli oni jakąś wspólnie działającą frakcję.
6. H. Datner, I. Krzemieński: O postawach i systemie wartości młodego pokolenia, Więź, 9/197, 1974.
7. Znamienny jest przebieg niedawnej dyskusji w sprawie rozwodów we Włoszech, gdzie pozycja Kościoła jest wciąż bardzo silna, a katolicyzm bardzo tradycyjny. Kościół usiłował narzucić niewierzącym swe prawa - zakaz rozwodów. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, że nakazy mogą dotyczyć tylko wiernych, że nie wolno ich narzucać w drodze prawnej całej społeczności.
8. Wydaje się, że ostatnio władze postanowiły uniemożliwić działanie Towarzystwa Kursów Naukowych poza Warszawą. Należy temu przeciwdziałać choćby w drodze masowej i zdecydowanej akcji protestacyjnej /w rodzaju tej, jaką prowadzono w związku ze zmianami w Konstytucji/. Nie wolno dopuścić do tego, aby władze uporały się stopniowo z ośrodkami, które powstały na prowincji /tak jak zlikwidowały w roku 1957 ruch klubów dyskusyjnych, pozostawiając najdłużej przy życiu Klub Krzywego Koła w Warszawie/.
9. L. Kotakowski: Tezy o nadziei i beznadziejności, Kultura, 6/285, 1971.

-----



Lothar Herbst

Z LISTÓW W SPRAWIE WIARY I NADZIEI

L i s t 7

ciemność mnie ogarnia ale i jasność przeraźliwa  
kiedy widzę te twarze zmęczone czekaniem jutro  
kiedy widzę te szpalty gazet przepiętione hymnami  
na cześć ludzi i moją  
kiedy nie ma już czym oddychać  
bo powietrze zadrutowane milczeniem  
i tylko dowcip czasami zakrąży doleci zmaleje  
i padnie u stóp stróżów mojego ładu i naszego porządku  
tylko lustro mój własny stróż sumienia  
jeszcze lekko oddycha  
lecz jeszcze jak długo trwać będzie ten dialog  
w świetle jaskrawym  
bo własnym

L i s t 11

kolejny pogromco prawdy i słów które się za nią kryją  
nie wydzieraj mi wiary z gardła i krwi  
nie drap mnie po twarzy  
pod nią nie znajdziesz  
maski  
i usprawiedliwienia dla siebie

L i s t 18

znam ludzi  
którzy nie wierzą w niewinne aresztowania  
którzy nie wierzą w wymuszanie zeznań  
którzy nie wierzą w przymusowe donosy  
którzy nie wierzą w telefoniczne podsłuchy  
którzy nie wierzą w otwierane listy  
którzy nie wierzą w istnienie własnego zdania  
którzy nie wierzą w istnienie nie urzędowej prawdy

i to są szczęśliwi ludzie

L i s t 20

widzę ludzi którzy podnoszą głowy i wyciągają ręce  
z oczów zmywają sen ten przewlekły  
ich kroki są coraz pewniejsze i głośniejsze  
ich głos staje się krzykiem  
odzyskanej wiary i nadziei  
ich ręce głosują tylko za prawdą  
ich oczy szukają drugiego człowieka  
i widzę uśmiechy ulgi na ich twarzach  
i dostrzegam poetę niosącego dumnie swoje wiersze  
i widzę jak ludzie w jego wiersze  
zawijają swoje życie

Lothar Herbst



## P O 1 0 Ł A T A C H

/ 0 marca 1968 /

Polska, jak szereg innych krajów Europy Wschodniej, nie posiada życia politycznego. To znaczy, przepraszam, nie posiada życia politycznego funkcjonującego publicznie, polityki "dla ludności". Istnieją, owszem, jakieś życie polityczne, ściślej ukryte, rozgrywane się między naszymi władzami, gdzieś na wyżynach biur politycznych i komitetów centralnych. Ale to nie jest dla zwykłych ludzi, to dla wybranych.

Czasem jednak Polska "funduje sobie" na trochę życie polityczne, jawne i konfliktowe. Funduje sobie ogromnym moralnym i wręcz fizycznym wysiłkiem grup ludzkich, nierazko przez krew, prześladowania, upokorzenia. Ale daty tych wysiłków pozostają, jak symbole, znaki milowe na drodze budzenia się i samouświadamiania usypianego społeczeństwa. Czerwiec i październik 1956 i październik 1957 /demonstracje po zamknięciu "Po prostu"/, marzec 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976 i jego konsekwencje w 1977 - oto owe daty, wobec których terapia ciszy, terapia cenzury, dezinformacji i zapomnienia staje bezradna. Te daty zostaną, choć nie ma ich w żadnych kalendarzach, diariuszach czy protokołach, choć milczy o nich oficjalna historia PRL - jeśli taka w ogóle istnieje. Bowiem rządzący przekładają władzę nad prawdę czy historię, nie na rękę im są wszelkie minione, "nieprawdliwe" fakty, wspominki, opisy. Dlatego też tępi się i likwiduje literaturę o współczesności: każde świadectwo jest niepożądane, zwłaszcza świadectwo o autentycznych wstrząsach politycznych, mogących nasunąć przypuszczenie, iż coś takiego jeszcze się powtórzy. Rządzący nie lubią jakich myśli, myśli o nieuniknionym końcu wszelkiej władzy i o rozpadzie wszelkich, na pozór najtrwałszych i najmocniejszych politycznych konstrukcji.

Ale wspomnienia są uparte. Zwłaszcza wspomnienia wydarzeń nie do końca wyjaśnionych, dwuznacznych, których interpretacja do dziś budzi wątpliwość i podziały wśród tych, co nie godzą się całkowicie utracić pamięci. A jednocześnie wydarzenia, które otworzyły nową psychiczną kartę w dziejach grup polskiej młodzieży studenckiej, stając się zaczynem przyszłych ogólnych już fermentów, przemysień i działań.

Taki był właśnie Marzec 1968: autentyczny wstrząs polityczny, ale wstrząs trudny, nie od razu zrozumiany, bo demonstracje myślących i żywych ideowców i spragnionych prawdy środowisk młodzieży splecione zostały z akcją prowokatorską, z wewnątrzpartyjnymi działaniami mafii i koterii, z ukrywana przed szeroką opinią walką o władzę. Jak zawsze w ustroju totalnym kamuflaż i rozmyślna gra pozorów, utajona reżyseria i próby zniesienia zastępczych namietności, odegrały tu ogromną rolę. Ale nieznanymi reżyserzy bardzo się zawiedli: nie udało im się osiągnąć władzy, prowokacje chybiły celu, a grupa młodzieży, z której zrobiono pretekst i kozła ofiarne, mimo terroru fizycznego, więzień i zniesławiających procesów, wyszła z próby zwycięsko, z podniesionym czołem, pokazując, że w ostatecznym rozrachunku wygrywa ten, co zachowa wolność ducha.

Jednakże początkowo wydarzenia marcowe trudne były do pojęcia dla "normalnego" obywatela, odwykłego od jawnego, publicznego, ba, na ulicy rozgrywanego się życia politycznego. Onia 8 marca 1968, w piątek, zdużeni przechodnie ujrzeli na ulicach stolicy istrye polowanie na demonstrującą młodzież, ujrzeli chmary uzbrojonych po zęby oddziałów policyjnych oraz długie szeregi niezwykłych pojazdów "bojowych", z kratami w oknach, z nadajnikami radiowymi, z całym arsenałem przedziwnej aparatury. O co chodzi, kto tu z kim walczy i o co?

Z użytecznymi wyjaśnieniami pospieszyła natychmiast ekipa pozbawionych skrpułów, nie wiadomo skąd nagie wyrojonych pismaków, radio, telewizja, zmechanizowany, scentralizowany w nieznanych rękach aparat masowej sugestii. Sięgnięto do starych metod Czarnej Sotni, rzucono zatruwająca wersje o "syjonistycznym spisku", odgrzebano zapomniane polityczne postacie dawnych działaczy Zambrowskiego i Staszewskiego, w absurdalny sposób przypisując im jakąś demotyczną walkę o władzę, naszeptowano o dziwnych, tajemniczych klubach "Ba-

bel" i "poszukiwaczy sprzeczności", o "komanosach", próbowano wyciągnąć na wokandy wszelkie rozmańniętne podejrzania i oskarżenia, wzywając wręcz - zadziwiająco rzecz w uśpionym politycznie kraju - do publicznych samosądów. Ale wszystko to zawiodło i nie chywiło: zbyt było głu- pie i tandetne, zbyt kontrastowało z realną, widzielną na ulicach rzeczy- wistością. A rzeczywistość ta dała się sprowadzić do dwóch prostych stwierdzeń: że brutalnie bita na ulicach wolnościowa młodzież studencka broni się jak może i że "prasa kłamie"/ prasa, radio, telewizja i wszelkie oczywiste publiczne środki przekazu/.

Młodzież zyskała podziw i sympatię wśród tych nawet, którzy pojąć nie mogli, o co właściwie chodzi - dreszcz przbudzenia przeszedł przez całe społeczeństwo. Odczuł to nawet biegłem powracający z Bułgarii Gomułka, który zresztą nie bardzo zrozumiał, że cała akcja rozpetana została i wy- obrzymiona przez jakies czynniki partyjne właśnie przeciwko niemu, aby go skompromitować, wykazując jego nieudolność, słabość czy też sprzyjanie "syjonistom" /pod tajemniczą tę nazwą szalejący pismacy podciągnęli wów- czas wszystko: co na plaży, to nieprzyjaciel/, o kompletnej dezorientacji Gomułka świadczyły jego nonsensowne wypowiedzi, zwłaszcza ta "słynna" 19 marca w Sali Kongresowej. Ale jednak Gomułka, choć "kupił" wszelkie spisko- we i syjonistyczne koncepcje i sugestie - utrzymał się. Nie nadeszła Jesz- cze widać jego godzina, niezadługo walcie podtrzymać go miała wobec Kremia gorliwość w akcji przeciw rewoltującym się Czechom i Słowakom. Skoro zaś wygrał to poparli go wszyscy, z inicjatorami całej historii na czele i przez długie dni wysłuchiwailiśmy w telewizji pochlebnych, a gromko wykli- nających "włóczych" i "błwiadczeń sekretarzy wojewódzkich Partii.

Ukoronowaniem propagandowego sabatu stała się dwudniowa sesja Sejmu 10 i 11 kwietnia, gdzie choraśnie a groźnie potępiano postów koła "Znak" za interpelacje, dotyczącą bicia młodzieży przez milicję, "ORMO" i inne for- macje, oraz za piękne przemówienie Jerzego Zawieyskiego. Był to ostatni wy- padek, gdy koło postów katolickich "Znak" wystąpiło solidarnie a zgodnie ze swą rolą grupy niezależnej, symbolizującej jeśli nie opozycję to swobod- ną tak pod względem światopoglądowym jak i politycznym opinię narodową. Piękne wystąpienie skłodaż to ostatnie. Potem był już tylko samotny zryw Stanisława Stompy podczas głosowania nad Konstytucją w lutym 1976.

W przemówieniach Gomułki i pomniejszych notabli, oraz w kampanii pras- owej, obok nazwiska Michnika, Kuronia, Modzelewskiego, Toruńczyk, Grudzińskiej Bojuckiej, Blumsztajna, a także Stonimskiego, Kijowskiego, Leszka Kołakowskie- go i innych, przejawiały się uporczywie nazwiska trzech nienajmłodszych już członków Związku Literatów: Jana Grzedzińskiego, Pawła Jasienicy i... Stefana Kisielewskiego. Określano ich m.in. na wyrost i hurtem jako star- czych działających bez skrupułów spekulantów politycznych, ludzi, którzy chcą wślizgnąć się na widownię tylnymi drzwiami". Sprawa socjalizmu jest im najzupełniej obojętna, jak obca jest im również sprawa narodu polskiego".

Otóż prawda jest, że w okresie tym odegrałem pewną rolę, choć dosyć przypadkowo i trochę inaczej niżbym chciał. Po prostu wzięłem udział w nad- zwyczajnym zebraniu warszawskiego oddziału Związku Literatów, gdzie prze- mawiając na najbardziej mi doskwierający temat - cenzury - użyłem określe- nia "dyktatura ciemniaków", które zrobiło sporą, choć wypaczoną karierę. Ciekawe, że przed tym zebraniem otrzymałem anonimowy telefon, przyjacielsko ostrzegający, abym na owo zebranie nie chodził, bo "to nie o mnie idzie". Podobny telefon otrzymał Paweł Jasienica. Najwyraźniej nie pasowaliśmy do z góry opracowanego scenariusza, co potwierdza moją tezę o elementach pro- wokacji, która odegrała rolę zarówno w przygotowaniu tego zebrania, jak i w przebiegu ostatniego i przedostatniego/ w obecności Kliszki/ przedsta- wienia "Dziadów" oraz rzekomo spontanicznej manifestacji pod pomnikiem Mickiewicza. Tak więc "spiskowa teoria historii" miała niewątpliwie w mar- cowych wydarzeniach swoje częściowe zastosowanie.

Ważne jest jednak, że moralnie i historycznie wygrali nie autorzy spisku i prowokacji, lecz - sprowokowana młodzież. Po kampanii oszczerstw i represji, po procesach oraz po wymuszonej, haniebnej emigracji "pochodze- niowej", która tak bardzo zaszkodziła Polsce w świecie, nastąpiło otrzeźwie-

nie i - wymierzenie sprawiedliwości, Sprawiedliwości, jeśli jeszcze nie sądowej, to moralno ideowej. Dezinformowana i wprowadzana w błąd opinia ludzi myślących w Polsce ocenia dziś jednolicie marcowsy zryw młodzieży jako istotny i cenny, jako odważną manifestację swobody narodowego myślenia i dążenie do zrzucenia psychicznych okowów, nakładanych na ludzką psychikę przez biurokratyzowany totalizm. Wolność słowa, myśli, dyskusji, pluralizm poglądów, zdobywanie wiedzy o prawdziwej historii i polityce, oto były młodzieńcze hasła, niezrozumiałe wówczas przez robotników, którzy już w roku 1970 pożądawali swego błędu, a w roku 1976 próbowali go naprawić. Posław marcowsy 1968 nie przepadł więc w niepamięć, nie przepadł też w życiu społecznym, korzystamy z niego wszyscy, choćby ja, mogąc dziś dla krajowego czytelnika pisać niniejsze słowa. "Der böse Geist", który, według Goethego, chcąc zła stworzyć dobro, podzielał i tutaj: porachunki partyjne i ukryta walka o władzę, wbrew swej woli i świadomości, wyniosły trwale na forum społeczne właśnie "marcową młodzież", owe młodzieńcze siły opozycyjne, których praca owocuje i owocować będzie. Po 10 latach rzecz jest konkretna, uchwytna, zakorzeniona już w życiu, widziana gołym okiem. Stąd i nowa nadzieja, bez której, mimo całego mojego "programowego" pesymizmu, żyć byłoby trudno.

Stefan Kisielewski

Warszawa, styczeń 1978

Jerzy Ficowski

## NOWE WIERSZE

## SZATY PEŁNE NIKOGO

Skonczyła się owacją  
 monarsza parada  
 Nowe Szaty Cesarza  
 mogły dopiąć swego  
 mimo brzucha na którym  
 pruły się iluzje  
 aż nagi włożył gacie  
 wzięt insygnia stare  
 ogrzał się na komnatach  
 przeszedł do historii  
 Teraz nas olśniewają  
 same szaty puste  
 z Łąkretem za pazuchą  
 z bezkrólewem w środku  
 na miarę i na wiarę  
 na ostatni guzik  
 i za grósz ostatni  
 kiedy ktoś zakrzyknie  
 że w tych szatach sutych  
 jest pełno och nikogo  
 z tych fałd rękawów zwinna  
 obstawa wyskoczy  
 żeby go zrewidować  
 czy aby w ubraniu  
 nie przemycił siebie

## Z KRONIKI WYDARZEŃ - 2

W domu powieszzonego  
 mówiono płynnie  
 o wodzie

w domu topieica  
 poruszano węzłowe problemy  
 sznurka

to wywołało ożywienie  
 pełne śmiertelnej powagi

prelegentami byli  
 powroźnik i pletwonurek  
 co zapewniło  
 wysoki poziom  
 wody  
 i zwięźłość  
 stryczka

## Z KRONIKI WYDARZEŃ - 4

O o frrr ptaszek leci  
 o tam widzisz jaki  
 o już troszkę go nie ma  
 o znów jest

o upierzeniu dowolnym  
 na zimę nie odlatuje  
 jest pod ścisłą ochroną  
 gnieździ się w dziuplach  
 kłopotliwych okoliczności  
 gniazda nie kała

Kiedy jaś nie chce jeść  
 kiedy Jan chce jeść  
 kiedy Nic schwytane w garść  
 staje się pięścią  
 kiedy pytanie pada i  
 nie podnosi go żadna odpowiedź

wtedy frrr ptaszek leci  
 o tam widzisz jaki  
 o już troszkę go nie ma  
 o jest znów

ostatnio widziano "okaz  
 wyjątkowo sporych rozmiarów

#### OTWARTE DRZWI

Znalazł się w sytuacji  
 bez wyjścia

stał u otwartych drzwi  
 wyważał je w milczeniu  
 tak szczelnie stojące otworem  
 że się pukanie nie przeciśnie

a z drugiej strony  
 samo niedoczekanie  
 mosiężna klamka zielona  
 od tyłu spoconych rąk  
 i sufit krztusił się zaduchem ciszy

aż języki nieobce języki  
 odparzone od milczenia  
 zabełkotały śmiesznie o nim  
 wdzięczne aż do czerwieni  
 za wyjęcie knebli

wtedy go dostrzeżono

Zabłyśło tak krótko  
 że nie zdążył rzucić cienia

#### EPITAFIUM

Pamięci Kazimierza Moczarskiego

On b. lubił kwiaty  
 /niech pachną za jego duszę/  
 włęc położyli mu u stóp  
 męczeńskiego krzyża  
 wieniec biało-czerwony  
 b. podobny do  
 kółka ratunkowego  
 dla zmarłych na dnie  
 żeglarzy



PO POLSKU  
Pani Lucienne Rey

W żadnym żadnym krajobrazie  
nie ma tyle, tyle co tu, co tu  
cierpliwości, cierpkich traw  
płaskiego czekania nizin

każdy z nas  
oś wryta w ziemię  
aż po zgrzyt obrócony w rdzę  
widnokrąg nie obraca się

i tylko karuzela, gdzieś na Placu Kłeski  
w polichromiach państwowych odpustów  
potwierdza pokrętnie  
ostatnie słowa galileusza

więc szubienica obrotowa  
kręci się zamiast

ze zwojów mózgowych  
wywieka i snuje  
nić długą, długą  
nią, pęta nas  
nią, opęta  
z wywalonymi jezorami  
sztucznych ogni  
wisielczo, humorystycznych

PS. chciałbym to dać do zrozumienia  
braciom innojęzycznym, ale  
obawiam się, że  
to nieprzetłumaczalne

może gestem iluzjonisty  
nie słowem, nie znalazłem go  
w cudzoziemskich słownikach  
wyrazów ogniotrwałych

myślałem o komentarzu, ale  
nie znają go języki obce  
wywłódtby tylko  
w bezdroża torfowiska chude  
których unika nawet unicornus  
w których zdychają syreny  
gdzie dni swoich dożywa od wieku po wiek  
ten kraj, donośnie niemy  
w historii  
karczowanych chaszczach

i gasi pragnienia nasze  
zaciekle  
z niedocieczonych źródeł

PLANETA ZIEMIA

Z bardzo, bardzo daleka mamy hojnie blasku  
z bardzo, bardzo daleka świecimy okrągło  
tam, z daleka, jesteśmy w liczbie pojedynczej  
obieżyszechświat z UFO stwierdza to naocznie,  
na czarnym tle kosmosu się pieczętujemy.

Jedną tarczą wspólnoty wpisani w jej koło  
Z bliska Jesteśmy ciemni bardzo ciemni sobie  
oddaleni od siebie o tysiąc lat mroku  
nie wiemy po omacku kto My a kto Oni  
włęcz przyświecamy sobie światłością pożarów  
abyśmy patrząc w serce mogli trafić w serce  
Wtedy się nam planeta i z bliska rozjaśnia

Jerzy Ficowski

Andrzej Drawicz

## NASZE BIENNALE

1. Pierwsze Biennale zdarzyło mi się dwadzieścia dwa lata temu, w 1956 /"o roku ów..."/, podczas pierwszego w życiu wyjazdu zagranicę, więc, choćbym chciał, od wspomnień porównujących się nie opędę; niech mi czytelnicy "Zapisu" te dygresje osobiste wybaczą. Był początek lata, Polska ostygła właśnie od wstrząsu poznańskiego, ale dość było innych emocji, żeby atmosferę podgrzewać. We włoszech patrzyły na nas plakaty ze zdjęciami poznańskich zwoźców i wielkimi napisami: "Komunisto włoski, co ty na to?" Świat jakby miał się przechylić ku jakimś nowym rozstrzygnięciom, i oszałamiające perspektywy aż zapierały nam, dwudziestoletnim smarkaczom dech, bo sądziliśmy, że to właśnie od nas i przez nas wszystko się zaczyna nie na nowo i lepiej w "ulepszonym" komunizmie. Nie mogliśmy wiedzieć tak, że i tego, że to już była kulminacja; właśnie wtedy Chruszczow dooblecał się do założenia w Związku drugiej partii. Tymczasem była jednak Wenecja, i było Biennale, które pozostawiło mi wspomnienie niestychanej plastycznej gigantomachii. Kilometry bieżące płóci: abstrakcjonści geo- i nie-geometryczni, półabstrakcjonści, figuraliści, a wśród nich jak jedyny punkt odniesienia Renato Guttuso, któregośmy uznawali przedtem oficjalnie, bo był "postępowy", z jakimiś nadnaturalnymi, bolesnymi brzydactwami. Wschodnie pawilony narodowe - bastiony socrealizmu, w naszej ekspozycji cępowada już nadszarpniętego i zrównoważonego kulturalnym koloryzmem; za to w radzieckim jeszcze, żeby nie skłamać, krwał chyba w najlepsze Aleksander Gierasimow, tyle, że już bez swoich Stalinów. Wszystko było na wysoki połysk, tłume, szumne, odstające od siebie wewnętrznie, niemożliwe do ogarnięcia, i przybysz od nas czuł się, według dobrego rosyjskiego określenia, jak trzepnięty zza węgła zapyłonym workiem; dokładnie tak.

I - teraz, bez mała ćwierć wieku później. Miasto, ze swoją witrynową, przesadną, dwuwymiarową pięknością - prawie takie same, trochę zbledniałe. Gama kolorów przycmiona, słońce ukośne, zimowe, chłodna wilgoć. Większy spokój, bo nie sezon, widać mieszkańców. Biennale zupełnie nietypowe, wsunięte trochę wstydliwie w tę porę roku, w kilku pomieszczeniach, w samym centrum, ale i na peryferiach; trzeba wiedzieć, gdzie tego wszystkiego szukać. Tu i ówdzie plakaty z pięciokolorową błękitnie okonturowaną gwiazdą; jedno z ramion rozchyłone. Wyjście poza obręb zamknięty, ujęcie ku czemuś innemu, nieodwołalnie; taką formułę plastyczną znalazłono dla "Biennale di Dissenso". Są wystawy, pokazy filmowe, dyskusje, ale wszystko skromne, ściśnione, mniej zauważalne. Atmosfera wielkiego targowiska próżności nawet się teraz nie śni. Auerola wielkoświatowego blichtru nie śni. A mimo to...

Najpierw jednak - jak do tego doszło. Otóż ta skromność, nie oszukujemy się, jest skrojona nie tylko na miarę powagi spraw, ale też przymusowa. Walka o to Biennale była dramatyczna, i została wygrana ze stratami. Początkowo organizatorzy, przykładając do sprawy miary przyzwyczajających społeczeństw, sądzili, że wszystko będzie normalnie. Ale reakcja ze strony teoretycznie biorąc/"naszej" - rozwiła te złudzenia. Zastosowano zmasowaną formę psychicznego szantażu, i to w formach całkowicie otwartych, łącznie z różnymi włoskimi instancjami, od najwyższych władz państwowych począwszy. Nie zabrakło również metod nacisku ekonomicznego; jest publiczną tajemnicą, że grożono zerwaniem różnych umów o współpracy, przerwaniem eksportu filmów itp. Jawność tej procedury i jej cynizm - ponieważ trudno tu było cokolwiek dowieść, więc nie dowodzone niczego, krzycząc tylko, że impreza jest "prowokacyjna" - były pouczające, i bodaj wreszcie nauka ta nie poszła dla Zachodu całkowicie w las. Najlepszy dowód, że Biennale jednak doszło do skutku. Choć wielu ludzi, dawszy się widać zaszantażować fezysem gruntownie przekłamanym pojęć "postępowego" i "wstecznego", zrezytowało i, najpierw oblecawszy udział, słowa nie dotrzymano: mnożyły się przeszkody techniczne; brakowało pieniędzy, zaplecia, sal, materiałów. Władze lokalne i centralne uprawiały różne zwody i uniki. Działy się różne

korowody między- i wewnątrz-partyjne. Komuniści zdystansowali się od imprezy, uznawszy ją za reklamówkę socjalistów, choć ich przedstawiciel, Trombadori, powitał Biennale - i znowu zastrzegając się, że czynił to we własnym jedynie imieniu/"Jeden Trombadori nie czyni eurokomunistycznej wlosny" - napisała jakaś gazeta/. Socjaliści również częściowo zdezawuowali swego własnego adherenta, prezydenta Biennale, Carla Ripa di Meana; do udziału w imprezie włączyła się natomiast aktywnie dysydencka grupa "Il Manifesto", organizując przed-biennialową dyskusję historyków i politologów; widziałem też afisze jakichś ugrupowań marksistowsko-lewackich, które wbijając szpile komunistom i socjalistom owładcaży, ze gorąco Biennale witają. W praktyce, ku końcowi, di Meana i niewielka grupa jego współpracowników prowadziła bellum contra omnes, przy akompaniamencie nieustających pokrzykiwań od Wschodu, przy czym ton prasy polskiej trzeba, porównawczo, uznać za stosunkowo umiarkowany. Kiedy się już szala ostatecznie przeważyła, Związek Radziecki jeszcze rąbnął z grubej rury, przysyłając do Wenecji wystawę "Złoto Scytów"; przyjechały też jakieś cenne dzieła sztuki z NRD, i ekspozycje Biennale wcisnęły się gdzieś zaraz po tym i pomiędzy to, przy czym wymowa tego przekupstwa była tak obnażona, że nawet Vittorio Strada, rusycysta i komunista, napisał gdzieś parę cierpkich zdań o tym, co ma martwe złoto do żywych spraw dzisiejszego świata. I znów: napisał - ale na Biennale nie przybył, choć przed niewieloma laty literacki ultradogmatyk moskiewski Wsiewołod Koczetow wylał na niego kubek pomoy w swojej powieści-paszkwilu "Czego że ty chcesz", i choć kosztowałoby go to wyjątkowo mało fatygi, ponieważ mieszka w Wenecji....

Wokół imprezy kipiła więc namiętność wiele, i byt jej był wielokrotnie zagrożony. Żyjemy jednak w świecie, który choć z oporami, czegoś się uczy - chociażby czytając Sotzenicyna. Ryć może zresztą dysydenckie Biennale powinno się samo znaleźć w półdysydenckiej sytuacji; jeśli uznamy to za właściwe, to batalię wokółwenecką można potraktować jako najzupetniej spontaniczny happening, tak ceniony jako forma gdzieś sztukę nowoczesną. W tej roli owa walka z szantażem, wygrana z takim wysiłkiem w świecie żyjącym wśród pełni swobód i przywalającym wszystkim na coraz więcej - powinna zostać zapisana do kronik społecznych i artystycznych.

A kiedy szła już się przeważyła, i upór garstki ludzi, utwierdzających się w nim w miarę jak szantaż rósł, przyniósł owoce - wtedy, jak w takich razach bywa, szybko okazało się, że nie jest tak źle, i Biennale balansujące na granicy niespełnienia momentalnie stanęło na mocnych nogach. Znalazły się, choć skromne, fundusze, znalazły sale, mimo oficjalnych zakazów ze wszystkich stron popłynęły materiały, improwizacja, przyrządek i szczęście, które sprzyjał miąty, sprzedęły się z organizacyjnym zrywem, a ci, którzy wykalkulowali sobie, że lepiej się nie pojawiać - ich sprawa, ich strata - zostali, by tak rzec, z nawiązką zrekompensowani przez innych, którzy przybyli zewsząd w bardzo reprezentatywnym składzie, spragnieni poważnej konfrontacji.

II.

Czytelnikom "Zapisu" winienem pewną ilość elementarnych informacji. Biennale 1977 "Il dissenso culturale", a więc "dysydenctwizmu w kulturze", poświęcone krajom Europy Wschodniej, odbywało się w dniach 15 listopada - 15 grudnia. Powołane zczasu zespoły koncepcyjne, złożone z najpoważniejszych zachodnich i emigracyjnych fachowców, ustaliły, że w tych ramach czasowych odbędzie się szereg autonomicznych spotkań problemowo-dyskusyjnych, jak to /w nawiasach podaje ich hasła - tytuły/: historyczne /"Wolność i socjalizm; dysydenctwizm jako zjawisko historyczne"/, sztuk plastycznych /"Awangardy i neoawangardy w Europie Wschodniej"/, filmowe /"Film awangardowy i problemy dysydenctwizmu", druga część: "Nacjonalizowane kino - jego sukcesy i jego problemy"/, religijne /"Dysydenctwizm religijny: współpraca między chrześcijanami, wierzącymi, niechrześcijanami i niewierzącymi w walce o prawa człowieka"/, literackie /"Inna literatura: kryzys hegemonii i sprzeczności w kulturze Wschodu"/, teatralne /"Teatr - prowokacja; element nonkonformizmu w działaniach teatru wschodnioeuropejskiego"/, naukowe /"Wolność peszkuwań naukowych; problemy

nauki i naukowców w krajach Europy Wschodniej"/. Spotkania następowały po sobie w wyliczonym tu chronologicznie porządku; w ten sposób poszczególne odcinki czasowe Biennale miały swoje problemowe dominanty, i przybysze mogli /jeśli rzeczywiście mogli; nie dotyczyło to, rzecz jasna, zaproszonych licznie przedstawicieli naszego obozu, bo o ile znajdowali się w swoich krajach, to pozwolenia na wyjazd nie otrzymali/ wybrać z wczasu porę dla znalezienia się w gronie o podobnych zainteresowaniach. Ponadto przez cały czas drugi plan Biennale tworzyły wystawy, z których najważniejsze były dwie: samizdatowa /książki, czasopisma, plakaty, fotografie, taśmy z nagraniami/ oraz "Nowa sztuka radziecka z nieoficjalnej perspektywy", czyli malarstwo, zebrane ze zbiorów zachodnich. Skromnie, ale w miejscu dobrym, bo uczęszczanym, przytuliła się też osobna ekspozycja polska. Przygotowano ją po polsku, to znaczy dzięki samozaparcia, uporowi i improwizacji dwojga ofiarnych osób, którym tutaj szczęście dopomógł znaleźć się gdzie trzeba we właściwym czasie. Ten tutaj szczęścia sprawił, że eksponaty, w różny sposób wysyłane i porozpraszane, udało się w ostatniej chwili zebrać.

Były również wystawy bardziej szczegółowe, ponadto wyświetlano filmy, odbywały się koncerty piosenkarskie i poetyckie; przedstawiono obszerne zbiory dokumentacyjne, dotyczące poszczególnych aspektów dysydemizmu. To współistnienie różnych sposobów ekspresji i ekspozycji, starannie zaplanowane, ale, jak to zwykle bywa, również doimprowizowane, gdy okoliczności się zmieniały - sprawiły, że materia Biennale była gęsta, chociaż ani w przybliżeniu tak bajecznie kolorowa jak przy ekspozycjach "normalnych". Ten kontrast musiał normalnych widzów skłaniać do refleksji, i już dzięki temu impreza osiągała swój cel. Jej publicznością byli przede wszystkim młodzi Włosi; widziałam codziennie, jak dużymi grupami obsiadywali monitory, wystawione na klatkach schodowych Museo Correr, gdzie odbywały się obrady, i korzystając z symultanicznych tłumaczeń uważnie wszystkiego słuchali. Widziałam i czułam ścisk w salach wystawy samizdatu, przez które trudno się było przecisnąć. Widzowie, najpierw nieco skonsternowani zgrzebną ekspozycją /listy z łagrów, fotografie, pomięte maszynopisy, powielaczowe pisma; o-bok, naturalnie, publikacje wydawane na Zachodzie/, później, w widoczny sposób wciągali się w wytwarzaną przez nie atmosferę. Udzielano sobie nawzajem wyjaśnień, spierano się, powstawały spontaniczne grupy dyskusyjne. Chodziłam tam i nadstawiałam ucha, tłumaczono mi urywki rozmów: "Bo widzisz, był taki jeden Lenin, i on zrobił rewolucję... A znowu - taki Trocki...". Pewien dziennikarz z prasy, którą u nas określa się słowami "bratniego kraju", doszedł w demaskowaniu ohydy Biennale aż do tego, że przypisał organizatorom spędzanie pod przymusem włoskich szkół, żeby miazmatami dysydemckimi indoktrynować niewinne duszyczki; w ten sposób dał dowód wiary w to, że metody wojskowe są w świecie powszechnie stosowane, co - przynajmniej w Polsce, który trochę bywał w Europie - dosyć zabawnie o nim świadczy.

Aby nie popełnić podobnych - nawet mimowolnych - błędów w drugą stronę, będę się trzymał tego, co sam widziałem, i za co mogę czytelnikowi ręczyć. Widziałem zaś tylko wycinek Biennale: spotkanie literackie. O nim za chwilę. Z drugiego planu zdążyłam zobaczyć dwa filmy: czeski "Zart" według znakomitej i cenionej u nas książki Milana Kundery - bardzo dobry w fakturze, ale mniej przejrzysty i klarowny od pierwowzoru, oraz "Trzy dni w Szczecinie" Bolesława Sulika, rzecz arcyciekawa. Jest to, dokonana w Anglii, w doskonale dobranej scenarii stoczniowej, przy pomocy zawodowych aktorów i statystów - jak by to precyzyjnie określić? - dokumentalna inscenizacja. Sulik dorobił obraz do znanej taśmy dźwiękowej z zapisem spotkania przywódców partyjno- państwowych ze stoczniovcami w czasie szczecińskiego strajku w r. 1971; ponadto uczestniczył w filmie Edmund Bałuka, wówczas przewodniczący komitetu strajkowego, dziś emigrant polityczny. Wyszło to bardziej niż przekonywująco; główne postacie zostały zagrane nad podziw autentycznie, i dobrze się stało, że film ten szedł m.in. w telewizji RFN; szkoda, że w kraju zobaczymy go pewnie nieprędko... Słuchałam też poetyckiego śpiewu, bo czymś takim to było, Josifa Brodskiego, znakomitego poety-emigranta rosyjskiego, który w wypełnionej po brzegi sali teatru Ateneo Veneto najpierw wspinał się głośno bardzo wysoko, a potem, na jednostajnie wytrzymywanej nucie wykonywał swoje



utwory, by w końcu raptownie oberwać głos. Można tej recytacyjnej szkoly nie lubić /sam za nią nie przepadam/, ale daje ona pewne przeżycie, i nas trój na sali był prawie modlitewny. Drugiego wieczoru w tejże sali śpiewał Aleksander Galicz. Posadzone go na bardzo wysokim barowym stołku, a stołek na normalnym stole; w ten sposób rosyjski bard o smutnych oczach, trochę otyły, niegdyś pozeracz serc, zdawał się, w niezbyt wygodnej pozycji, nadrealistycznie fruwać z gitarą wśród ukrzyżowań i wlebowstąpień, pokrywających sklepienie sali teatralnej - i kiedy tak wtaśrie, z góry, spomiedzy skłębicznych, barokowych ciał przekazywał sali swoje: "Ach kak prosto past'w pełaczi. Promotczy, promotczy, promotczy", odczuwało się to, razem /gdzie Wenecja, gdzie Moskwa, gdzie my wszyscy?.../ jakoś szczególnie przejmująco, chociaż nikt ze słuchaczy nie mógł wiedzieć, że to ostatni z tylu koncertów; niedługo potem Galicz zmarł. W ten sposób, znając prawie wszystkie jego magnetofonowe zapisy, wysłuchałem po raz pierwszy i ostatni jego samego. Mając znowu na uwadze to, co luminarze prasy ojczystej i zaprzyjaźnionej pisali na temat krachu Biennale i kompletnego braku zainteresowania - dodam, że ścisł i parcie na salę było takie, że wejście musieli ochraniać karabinierzy.

Polska wystawa, umieszczona w centrum prasowym Biennale, zawierała m.in. egzemplarze opozycyjnych czasopism, zdjęcia członków KSS KOR i autorów "Zapisu", serwisy fotograficzne z festiwalu "Sacrosong", z procesji Bożego Ciała, z głodówki u św. Marcina, listy, apele, komunikaty, list Prymasa, sprawozdanie z konferencji cenzury z naczelnymi redaktorami czasopism, program pierwszych zajęć Uniwersytetu latającego, egzemplarze publikacji autorów krajowych, wydane w oficynie "Nowa" i zagranicą. Słowem: pulsowało na tej wystawie autentyczne życie zbiorowe, które dane jest dziś u nas coraz większej liczbie ludzi dobrej woli. Dobrze było tam, co jakiś czas, w przerwie, wpaść, postać, ucieszyć oko tym zestawem nigdy tak - razem - nie widzianym, tak wlele mówiącym, chociaż skromnym. Wszystko było w porządku, i ta "obecność polska" znaczyła akurat to, co powinna była znaczyć. Nic dziwnego, że, wzbogacona, wystawa z powodzeniem jeździ teraz po zagranicach.

### iii.

Na sali obrad w Museo Correr zebrał się, na spotkaniu literackim, zarówno dysydenci wtaściwi jak dysydentolodzy, i początkowo rozmowa toczyła się jakby dwoma oddzielnymi nurtami, przy czym nurt naukowy dominował. Dało to nawet asumpt Włodzimierzowi Maksymowowi, naczelnemu redaktorowi najpoważniejszego organu nowej rosyjskiej i wschodnioeuropejskiej emigracji, "Kontynentu", do zgryźliwych uwag o "ichtiologach", którzy nie dopuszczają do głosu "ryb". Istotnie, uczeni mężowie z Zachodu stawili się licznie /doskonale reprezentowana była rusycystyka anglosaska i francuska, nieźle włoska, zabrakło natomiast Niemców/ i w wystąpieniach swoich analizowali poszczególne aspekty dysydenctyzmu w ujęciu już to chronologicznym, już to fenomenologicznym, już to strukturalizującym, już to personalnym. Nie zabrakło tu głosów bardzo ciekawych. Zapamiętałem zwłaszcza wystąpienie Georgesa Nivata, który mówił o prowokacji artystycznej jako orężu sztuki dysydenctckiej; Geoffreya Hoskinga, ze znowstem podnoszącego wartości takich "oficjalnych" pisarzy jak Rasputin i Trifonow; Julii Kristevej, rozpatrującej literaturę dysydenctcką jako przejaw strukturalnego kryzysu iewlicowości; Martina Dewhirsta, który dał błyskotliwy popis semazjologii stosowanej, zastanawiając się czemu w oficjalnej ruszczyźnie słowo "istina" wypiera słowo "prawda", i o czym to podmiennie niezapętnionych synonimów świadczą. Zresztą ciekawego materiału było dużo; tyle, że nie zawsze - jak w cytowanych wyżej, wypadkach - najprymitywniej biorąc, nauka wiązała się z życiem. Niektóre wystąpienia, dogłębne nawet i dobrze osadzone w materiale, miały tak solidny akademicki szlif i sznyt, że nie rezonowały należycie; sala kwitowała je grzecznościowymi poklaskiwaniami. Znacznie żywiej przyjmowano wystąpienia z nurtu drugiego, który nazwę umownie intymistycznym: tu sami dysydenci występowali z refleksjami dotyczącymi sytuacji swoich i sobie podobnych, - a więc obiekty stawały się subiektami. Oklaskiwano z przekonaniem Iwana Svitaka, który pięknie przedstawił dysydenctów jako spadkobierców Don Kichota - i Jefima Etkinda podnoszącego wymowę tragiczności losów rosyjskich pisarzy, i objętności ich organizacji zawodowych. Wiktor Niekrasow rozbawił salę improwizowanymi cytacjami z aktualnego numeru "Prawdy" i ich swobodną egzegezą.

Ciekawie mówili Węgrzy, Tibor Meray i Gyorgy Konrad. W niektórych wystąpieniach Czechów przybyłych w bardzo silnym składzie /czuło się niechęć do rozstawania z reformistycznymi nadziejami; mogło to budzić sprzeciw, ale było wystuchane ze zrozumieniem. Bardzo dobrze wypadł głos Stanisława Barańca "Fasada i tytuł", przetłumaczony na włoski i odczytany, bo precyzyjna analiza połączyła się tu z bezpośredniością refleksji, a więc dwa nurty popłynęły razem.

W miarę jak spotkanie się przedłużało/łącznie trwało dni cztery, od 1 do 4 grudnia", zaczęły się w ogóle w jego duchowej substancji jakościowe zmiany. Mieszanie nurtów następowało coraz wyraźniej. Nauka i życie miały się coraz bardziej ku sobie. Przy czym - i tu nie mógłbym się zgodzić z ostrą reakcją Maksymowa - "Ichtiodrzy" okazali się potrzebni rybm; poza wszystkim wyznaczyli obszar swobodnego pływania, opukali dno, zbadali ową płynność, w której się poruszamy. Znowu: nie wszystko styszałem, bo najpilniejszy słuchacz nie wyszedł od pierwszego do ostatniego słowa, mając za oknem, bądź co bądź, Plac świętego Marka, a dokoła nowych i starych znajomych, z którymi trzeba pilnie pogadać na stronie o losach świata. Ale, za każdym razem, wracając na sałę, czułem, jak atmosfera, początkowo rozrzedzona, gęstnieje. Wytwarzała się stopniowo świadomość tego, co istotne. Starłem się o tym powiedzieć przed samymi zakończeniem obrad, czytelniczy "Zapisu" tekst tego, co powiedziałem, znajdując, więc nie miałoby sensu powtarzanie się. By więc sprawę najkrócej tylko streścić: dysydenizm /okropne słowo, ale przyjęło się, więc nie-ma rady/rozpoznał sam siebie, swoją rolę i swoje znaczenie. Ta rola i znaczenie dotarły też do obserwatorów zewnętrznych, zachodnich. Chyba nie bez znaczenia była antybiennale'owska kampania i nagonka, której świadomości mieli wszyscy, i która dopomagała w odzieraniu z resztek złudzeń, a więc bardzo się sprawie przysłużyła. Różni z nas różnie na tej sałi przedstawiali swoje credo i swoje nadzieje na przyszłość, ale wspólna była świadomość nieodwracalności wspólnie wytworzanego zespołu faktów - a także i tego, że nabiera on w naszych oczach rozmachu, rośnie, i przez to samo zaczyna po troszeczkę zmieniać świat.

To stawanie się psychicznej nowej jakości czuli wszyscy. Na samym początku, otwierając spotkanie, Alberto Moravia używał jeszcze sformułowań bardzo - w szerokim odczuciu za bardzo - wyważonych: że reguła dobra, tylko odstępstwa od niej zaważyły zię, że były pewne nieuchronności "błędów i wypaczeń", i że Zachód ma swoje problemy, a Wschód swoje, więc... Upraszczam ten tok, bo wybitny pisarz mówił ładniej i subtelniej, ale sedno, do niedawna będące przecie aż za dobrze znanym consensusem wielu intelektualistów Zachodu - wyglądało właśnie tak. Na Moravię patrzono z szacunkiem już dlatego, że mimo psychicznego terroru i straszaka znumifikowanej "lewicowości" właśnie on, Włoch, nie jak wielu innych, swoim autorytetem Biennale poparł - ale nie zestawiono go jednak w spokoju. Ostrze polemizował z nim m.in. nasz rodak, jeden z najlepszych dziś polskich piór i jedna z najcięższych głów, Gustaw Herling-Grudziński, będący w ogóle na Biennale spiritus movens. Potem podobnie wyważał jeszcze pro i contra Edward Goldstücker; zabrzmiąło tu już z całkiem anachronicznie. A później ten watek przepadł, przestał znaczyć. Zabierał głos wybitni niezależnie myślicy intelektualniści: Vercors, Stephen Spender, Claude Roy i inni - i wspólnie poczucie tego, że kryzys naszej bytowej ideologii jest strukturalny i nie podlegający zakwestionowaniu - ugruntowując się. Tak bardzo, że kiedy przy końcu amerykański uczonec Lee Baxandall żywo i z werwą opowiedział o tym, jak jego pokolenie "też" musiało walczyć w Stanach o prawdziwą demokrację i nawet ponosiło straty - to wszyscy oklaskiwali go, z przyjemnością, bo głos ten zabrzmiał niekwestionowaną uczciwością, a tamta, nasza, sprawa była już i tak definitywnie załatwiona.

Takie to były weneckie rozmowy tej zimy. W tym miejscu winienem otworzyć nawias dla spraw, których już bezpośrednio nie obserwowałem; będzie to nawias ze słów "zdaje mi się, że..." Otóż zdaje się, sądząc z odgłosów i relacji, że z tą wymową spotkania literackiego zgadzały się sensy wcześniejszych spotkań historyków: wspomnianego przedbiennale'owego, zorganizowanego przez "Il Manifesto", i właściwego, któremu, jak mi wiadomo, nadał ton Leszek Kołakowski. Również dyskusja poświęcona religii z udziałem m.in. bardzo aktywnego obecnie na Zachodzie, niedawno więźnia szpitali psychiatrycznych, Leonida Plusczana - doprowa-

rdziła do jasnych określeń i wniosków na temat pustki duchowej i głodu religii, jako wartości dla wielu nie znanej, ale instynktownie i żarliwie poszukiwanej. Te główne sensory powracały, wyczuwalnie uformowały szkielet Biennale i uczyniły go ważnym/ poza innymi, bardziej szczegółowymi, tej wartości przyczynami/. Resztę przyszłość pokaże; przyszłość dosyć dziś niejasna, i dająca sporo sygnałów dla przeczuć także pesymistycznej natury. "Jedno przecież zechcą czytelnicy wierzyć - a podkreślam to dlatego, że znana jest siła uporczywie powtarzanego kłamstwa, z którego, jak ze znawstwem twierdził jeden z kłamaczów największych, "zawsze coś zostanie" - że to Biennale, niepodobne do innych, stało się oczywistym sukcesem, i ci, co pisali inaczej, z premedytacją kłamali. Niech więc z tego co napisali zostanie możliwie najmniej.

IV.

Jeszcze moment osobisty. Było tak: jakiegoś popołudnia, w przerwie w ob-  
radach, znalazłem się na placu świętego Marka, wyglądającym dokładnie tak,  
jak to miejsce może wyglądać o zachodzie słońca. Wszyscy znamy chwile, kie-  
dy dopada nas - skurczem - poczucie mijanego czasu, więc nie odkryję nicze-  
go. Ale spod arkad wyszedł nagle na środek osiwiaty Wiktor Niekrasow, au-  
tor "Okopów Stalingradu" i laureat stałinowskiej nagrody, rarijony w Lubli-  
nie, znany każdemu czytającemu Polakowi/"Okopy" miały bodaj osiem na nas wy-  
dań/, a mój w dodatku przewodnik po buhakowskim Kijowie. Usciskaliśmy  
się, jak na Słowian przystało, a wtedy, bo wszyscy spacerowali obok, żeby  
łyknąć powietrza, zbliżył się, z innego czasowego wymiaru, Jiri Pelikan,  
kiedys, przed tymi samymi dwudziestoma laty, widziany w Pradze, jako prze-  
wodniczący Związku Studentów; autentycznie wtedy lubiany, bo nie bonza, do-  
bry do wypitki i do wybitki, dziś rzekłoby się "aparatchyk z ludzką twarzą".  
A jeszcze znalazł się obok Josif Brodski, z twarzą Judy Machabeusza i wyra-  
finowanego sceptyka jednocześnie, który piętnaście lat wcześniej, wypiasto-  
wywany przez Achmatową, recytował mi swego "Donne'a" w leningradzkim hote-  
lu, wkładając w to tyle samo natężonego i śpiewnego głosu, co w weneckim  
teatrze. Teatralność świętego Marka na-dała tej poplątanej geometrii  
przejsć i spotkań cechy jakiejś przewrotnej inscenizacji, której smak  
czuło się, jeszcze jej nie rozumiejąc. Był to smak cierpki i zagadkowy, i  
nikt z nas nie był pewnie wolny od - banalnej ostatecznie refleksji na tem-  
mat dziwności losu, który tak oto spotkał nas ze sobą tu i teraz. Nic nie  
wiem o myślach molch towarzyszy, bo słowa padały lekkie i, by tak rzec, ry-  
tualno-okolicznościowe, ale może i oni czuli się łamani kołem czasu. Dia-  
mnie zgęszczenie to, i właśnie tam, w Wenecji, dokonane znaczyło wiele, ale  
co mianowicie znaczyło, będą się chyba jeszcze dowiadywał w ciągu lat.  
Tymczasem wiedziałem, że lata upłynęły, i że między dwoma Biennale przeży-  
łem, wraz z wieloma ludźmi, cykl wzlotu i długiego, męczącego umierania  
złudzeń. Ten cykl był zamknięty. Żegnałem teraz siebie dawnego i jakiś zbio-  
rowy wymiar naszej świadomości, który bezpowrotnie przestał istnieć. Było  
to melancholijne, ale sprawiało ulgę. Ożywiane sentymenty śmiły lekko, ale  
trzeba było je stłumić, bo to, co się stało, było dobre i dobrze, że się  
stało.

Taki był ten ulotny spektakl, gdzie grało się, będąc granym, i który na  
moment skonkretyzował się - zaryzykuję to przypuszczenie: dla wielu z nas  
- jakąś ostrą duchową realnością, nim zaraz potem wróciliśmy do sali Museo  
Correr.

I dlatego - również dlatego - to skromn!utkie Biennale znaczyło o wiele  
więcej od swoich sutch, bogatych i powszechnie uznanych poprzedników. Ide-  
o zakład, że ci młodzi Włosi, między którymi przeciskałem się na salach wy-  
stawowych, będą je sobie kiedyś przypominali.

Andrzej Drąwicz

Andrzej Drawicz

Z NAMI JEST TEN, KTO....

/Przemówienie wygłoszone na sesji literackiej Biennale 77 w  
Wenecji/

Szanowni Państwo, w miarę jak spotkanie nasze zbliża się ku końcowi, i kontury spraw, o których mówimy, zaznaczają się coraz wyraźniej - doznajemy, jak myślę, wspólnego uczucia, że nasza wielogłosowa rozmowa jest sensowna. Więcej: jest ważna. Przyznam, że na początku miałem odczucie inne; zdawało mi się, że wielu z nas mówi jakby w różne strony, nie słuchając głosów innych. A jednak wszystkie te słowa - lub przynajmniej większość ich - które swoją mnogością wypełniły jakby całą przestrzeń tej sali - spotykają się w jakiejś nieeuklidesowej przestrzeni, nawiązując ze sobą kontakt. Ich wymawianie okaże się chyba nienadaremne; wspólnym wysiłkiem popchniemy, być może, powszechną świadomość o jakie pół kroku ku przodowi. Świadomość czego? Otóż tego, że nie sposób już wieść dłużej złudzeniom co do charakteru ideologii, która dla wielu z nas była kiedyś czymś ważnym, ba, niekiedy najważniejszym; która wypełniła nam znaczne części naszych biografii. Elementarna uczciwość wymaga dziś spojrzenia prawdzie w oczy, nawet jeśli jest to zabieg bolesny. Nikt już nie może udawać, że nie wie, nie słyszał, nie rozumiał. Wszystko jest jasne. I jestność ta przebija również w wystąpieniach przedstawicieli świata zachodniego, którzy współuczestniczą wraz z nami w tych obradach. Z pewnymi małymi wyjątkami, które, na szczęście, brzmiały dla większości audytorium jak jawne nieporozumienie. To, co mówiono bezskutecznie w latach trzydziestych, czterdziestych, pięćdziesiątych i co przepadało daremnie w obliczu objętości czy niedowierzania Zachodu - w latach siedemdziesiątych, dzięki wspólnemu wysiłkowi wielu ludzi i wymowie faktów nazbyt już oczywistych, na szczęście dla całej ludzkości trafia już do celu. To jest właśnie owo mozolne popychanie ku przodowi zbiorowej świadomości, która w tamtych dziesięcioleciach, okazując uległość wobec fałszu podminianych znaczeń i odwracanych pojęć - jakby zaprzeczała samej sobie, a więc przestawała być świadomością. Stawała się przygotowaniem aktu zbiorowego duchowego samobójstwa. Istnieje ciągle wiele niebezpieczeństw, ale to, najgroźniejsze, zostało już chyba odwrócone.

Jest więc bardzo sensowne to nasze skromne, nietypowe, dysydenckie Biennale. Notabene: przymiotnik ten nie wydaje mi się najszcześliwszy, bo zakłada - jeśli do słownych źródeł sięgnąć - odstępstwo, czy odchylenie od czegoś, a więc od domniemanej normy. Tymczasem, w moim przekonaniu, to my, - w szerokim pojęciu - jesteśmy normą, i działanie nasze zmierza do tego, by poczucie zachwianej normy powszechnie przywrócić; a więc to raczej "oni" - w szerokim pojęciu - są dysydentami. Skoro jednak określenie to stało się poręczne i weszło w użycie, to nie warto się o nie spierać. Chciałbym natomiast zwrócić się w tym miejscu ku organizatorom naszego spotkania - panu Carlo Ripa di Meana i jego współpracownikom. Musieli pokonać wiele trudności - zadziwiająco wiele, jak na tak demokratyczny kraj jak Włochy - by nasze spotkanie doszło do skutku; można nawet powiedzieć, że sami stali się jakby, na pewien czas, półdysydentami. Tym bardziej należy im się nasza wdzięczność i uznanie, i jestem pewny, że wyraziłoby ją za mną wszyscy Polacy, którzy zostali do Wenecji zaproszeni i nie mogli tu przyjechać. Tu odwołam się na moment do tradycji i religii, bez których, jak państwu wiadomo, Polacy najczęściej nie mogą się obejść. W osiemnastym wieku pijar, ksiądz Konarski, któremu mimo wielu przeciwności, udało się dokonać niezmiernie cennej reformy ówczesnego szkolnictwa, otrzymał od króla medal z napisem "Sapere auso"; temu, który odważył się być mądrym. Zmieniwszy liczbę pojedynczą na mnogą: "sapere ausis" - taki właśnie medal, my Polacy, przyznalibyśmy, gdyby to było możliwe, organizatorom obecnego Biennale.

W poprzednich wypowiedziach zainteresowała mnie szczególnie sprawa podległa na literatury krajowe i emigracyjne. Zastanawiano się, na ile ten



podział jest prawomocny, Co do nas, Polaków, to, jak sądzę, roztrzygnęliśmy tę kwestię dawno i jednoznacznie. Nie ma takiego podziału; mogą istnieć okazjonalne, spowodowane koniecznościami losu, przemieszczenia terytorialne pisarzy, ale nie ma to nic wspólnego z podziałem literatury. Ta - jeśli jest prawdziwa - jest dla nas tylko jedna. Prawdziwy pisarz jest zawsze w kraju, ponieważ ma ów kraj w sobie, jest częścią swojej ojczyzny. Swoją pobyt poza jej granicami może traktować jako wieloletnią misję specjalną; może być duchowym ministrem pełnomocnym swego kraju. Tak jest w naszym wypadku. Mamy plejadę bardzo wartościowych twórców - pisarzy i publicystów - przebywających poza Polską, którzy są nieoddzielną częścią składową naszej kultury. Mamy też bardzo zastrżone Instytucje wydawnicze. Ich działalność jest nam niezbędnie potrzebna; podobnie jak im potrzebne jest nasze działanie w kraju. Nie ma tu sielanki, często nie jesteśmy zgodni w szczegółach, ale godzimy się w sprawach zasadniczych. Jeżeli istnieją między nami podziały - poza, rzecz jasna, naturalną różnorodnością widzenia metod i perspektyw działania - to są to podziały możliwości i ról. Twórcy spoza kraju mają zupełną swobodę wypowiedzi, i mogą uzupełniać to, czego nie dopowie skrupowana zakazami cenzury literatura krajowa; ta z kolei ma bezpośrednią łączność z czytelnikiem, może do niego docierać na codzień, co jest możliwością bezcenną i czasami wartą tego, by zapłacić za nią pewnymi samoo graniczeniami. Są to sformułowania bardzo uproszczone; chodzi jednak o to, że jak polski - i nie tylko bodaj - przykład wskazuje, podwójna egzystencja wielu literatów, nie zaprzeczająca ich wewnętrznej jedności, jest faktem, który trzeba uznać za wszystkimi stąd wypływającymi konsekwencjami.

Mówiąc o konsekwencjach, mam na myśli sprawy zupełnie konkretne. Niepokojąca wydaje mi się nutka pewnego maksymalistycznego lekceważenia "kraju" przez "emigrację"; nutka, którą usłyszałem w wystąpieniach niektórych naszych rosyjskich przyjaźli. Głęboko cenię kunszt Aleksandra Galicza, ale kiedy w zakończeniu swej żarliwej wypowiedzi zawołał on, że pisarza obowiązuje tylko cała prawda, ponieważ każda półprawda jest zawsze nieprawdą, to odczułem w tym dość abstrakcyjną retorykę. W praktyce nie jest przecież tak, i każdy z nas o tym wie, a Aleksander Arkadiewicz mógłby z łatwością sobie zaprzeczyć, gdyby sięgnął do własnych doświadczeń. Powtórzę tu co jest truizmem, potwierdzanym ustawicznie; czasami warto z czegoś zrezygnować, aby dojść do czytelnika. Wszyscy to robiliśmy, albo robimy. Tylko każdy z osobna w każdym z osobna wypadku może we własnym sumieniu zdecydować - czy i na ile warto, i kiedy należy powiedzieć dosyć. Półprawda nie musi być nieprawdą; pisarza, który dokonuje autocenzury, trzeba oceniać w działaniu - czy zmierza od kłamstwa ku prawdzie, czy też odwrotnie. Każde z jego kolejnych poczynań musi być sądzone na tle poprzednich; wówczas wszystko staje się jasne. Abstrakcyjny maksymalizm nie pomoże w sprawli dliwych ocenach.

Pozwólcie mi, Polakowi, którego sprawy literatury rosyjskiej żywo obchodzą, bronić pisarzy w Rosji przed takim maksymalistycznym zacietrzewieniem. W bardzo wartościowej książce obecnego wśród nas Jurija Małcewa "Wolnaja russkaja literatura" znajdują jednak na str. 218 zdanie, stwierdzające, że w ostatnim okresie "literatura radziecka jest wyjątknie szarą masą oficjalnej i pozbawionej życia pisaniny". I nie jest to zdanie odosobnione, zarówno w samej książce, jak i w kontekście innych wypowiedzi, które rozciągają się ostatnio w rosyjskim środowisku emigracyjnym. Tymczasem zaś - jest bardzo niesprawiedliwe. Literatura rosyjska przeżywa w tej chwili okres bardzo trudny, zalewa ją fala rozzuchwalonej miernoty, półgrafomanstwa, zaasekurowanego polityczną prawomyślnością. Prawdziwym pisarzem jest ciężko, ale tym bardziej ich wysiłek musi być doceniony. Wychodzą przecież książki Jurija Trifonowa i Walentyna Rasputina, o których tak przekonująco mówił w czasie naszego spotkania Geoffrey Hosking; działają bardzo znacząca grupa pisarzy szeroko pojętego tematu wiejskiego, których utwory mówią bardzo wiele; piszą wybitni poeci. Trzeba też pamiętać, że wokół Republiki Rosyjskiej istnieją i inne, a literatury wielonarodowe przeżywają w ostatnim okresie duże przyspieszenie; mamy świetnych pisarzy estońskich, ukraińskich, gruzińskich, armeńskich, azerbejdżańskich, kazachskich, i innych, przy czym część z nich używa również języka rosyjskiego;

lub też tłumaczyć samych siebie na rosyjski, nie tracąc narodowej specyfiki - a zatem istnieją zjawiska przenikania i współistnienia języków, których również nie wypada nie dostrzegać gdy mowa o literaturze rosyjskiej lub właśnie radzieckiej. Doprawdy, mówienie o "szarej masie" jest krzywdzące i mija się z prawdą.

W Polsce staramy się unikać maksymalistycznego zadęcia, i być może właśnie to nasze doświadczenie może się okazać pożyteczne. Rzucamy hasło szerokiego współdziałania ludzi dobrej woli w prowadzonych obecnie przez opozycję demokratyczną długofalowych działaniach w dziedzinie kultury, oświaty, nauk społecznych, informacji. Nie jest to żadną tajemnicą, odwrotnie, działania te dokonują się obecnie u nas jawnie, i to na znaczną skalę, przy względnie - volens nolens - tolerancji władzy. Nie ukrywamy, że celem naszym jest stworzenie, w miarę możliwości, równoległego i niezależnego od oficjalnego, obiegu wartości kulturalnych i intelektualnych. Jest to zadanie palące, ponieważ im więcej czasu upływa, tym bardziej nieodwracalne zmiany zachodzą w tkance duchowej społeczeństwa; znikają punkty odniesienia, biologiczne procesy starzenia odbierają coraz więcej ludzi, których doświadczenie sięga poza rzeczywistość obecną. Podstawowe kryteria etyczne-moralne stają się względne, pojawia się podatność na manipulacyjne zabiegi kłamliwych propagandzistów. Toteż - stwierdzam tu z całą stanowczością, wiedząc, że nie mijam się z poglądami moich współtowarzyszy - w pracy tej potrzebujemy każdego, kto zechce się badać częstki siebie, badać w sposób niejawni i dorywczy. Naszym zadaniem nie jest formowanie sekciarskiego zakonu sprawiedliwych, lecz odwrotnie - danie możliwości działania każdemu. Przerzucamy i będziemy nadal przerzucać mosty, i ułatwiamy sytuację tym - a jest ich przecież większość - którzy nie chcą się z tych czy z innych względów ujawnić, pragną - czy muszą - prowadzić życie oficjalne i nieoficjalne jednocześnie. Nie jest to jakaś abstrakcyjna koncepcja, ale po prostu czysto pragmatyczne, wymóg samego życia. Inaczej niż współnymi siłami nie dźwigniemy spraw, które podjąć trzeba.

Jeszcze wyraźniejsze okaże się to zapewne kiedyś, kiedy - ufam w to mocno - rozpoczniemy w naszych krajach procesy detotalitaryzacji naszych społeczeństw. Będą to zbiorowe procesy reedukacji, samowychowania, i wówczas - zwracam się w tym miejscu do was, moi rosyjscy przyjaciele - będą wam, po godpodarsku, potrzebni, nawet niezbędni także i ci, których dzisiejsze postępowanie oceniacie ostro - może czasem zbyt ostro. Notabene: rzeczywistość dostarcza nam pod tym względem pokrzepiających przykładów. Okazuje się, że detotalitaryzacja postępuje szybciej, łatwiej i nie za cenę tak wielkich kosztów ubocznych, jak sobie to czasem wyobrażamy. Dowodzi to tylko raz jeszcze prawdy elementarnej: że człowiek jest stworzony do życia w wolności, że to jego żywioł, do którego po prostu, z całą naturalnością powraca. Szczególnie mocno chciałbym podkreślić wymowę jednego zbrzmiały przykładu: i to tym bardziej, że u jednego z moich przedmówców zabrzmiały pod adresem akurat tego kraju nutki krytyczne. Zapewne idealnych demokracji nie ma. Bodaj jednak mnie, Polakowi, mającemu za sobą normalne, wojenne dzieciństwo, któremu Niemcy za czasów Hitlera spalili dom i prześladowali jego bliskich, wypada powiedzieć z całym przekonaniem to, w czym się ugruntowałem po bardzo długiej, ostrożnej, a początkowo zgoła nieufnej obserwacji na miejscu - że uważam Niemiecką Republikę Federalną za jeden z najbardziej demokratycznych krajów Europy i gotów jestem bronić tego przeświadczenia na każdym forum dyskusyjnym. Rzeczywista i gruntowna reedukacja, która się w tym kraju dokonała, stanowi chyba jedno z najbardziej optymistycznych doświadczeń ludzkości, nekanej w naszym stuleciu tak wieloma klęskami i strapieniami. Powinniśmy chyba dostrzec i docenić nadzieję, jaka stąd wynika.

Prace nasze będą jednak z pewnością trudne, i powinniśmy myśleć o nich zczasu. Ivan Switak mówi tu plęknio o "donkichotyźnie" jako przyrodzonej sytuacji dysydenta. Chciałbym się jednak w tym miejscu upomnieć o uznanie i dla Sancho Pansy. Nie zapominajmy, że osadzeni na tronie dla głupiej uciechy i płaskiej rozrywki władców okazali się mądrym i sprawnym rządcą; jego pracami kierowała ludowa mądrość. Nie byłoby źle, gdyby za samotnymi rycerzami Smętnego Oblicza ruszyły w pole oddziały Sancho Pansów; zdrowy rozsądek, praktyczny koncept, trzymanie się ziemi - wszystko to jest dla

naszej sprawy w wielkiej cenie. Właśnie polskie doświadczenia tego uczą. Wspólnym wysiłkiem wielu ludzi, bez wielkich, spektakularnych gestów, na codzień, w całkowicie legalnych ramach prowadzimy dzisiaj walkę o świadomość naszego narodu. Odwojowaliśmy już spory przyczółek, który z każdym dniem umacnia się i poszerza, i z każdym dniem coraz trudniej go zlikwidować. Przyczółek ten ma coraz większą siłę atrakcyjną, przyciąga uwagę i staje się przedmiotem wewnętrznych rozterek bardzo wielu ludzi - jeśli nie zdecydowanie dobrej, to przynajmniej niezłej woli - którzy dawno już zrozumieli wszystko do końca, którzy podzielają nasze poglądy w sprawach zasadniczych, ale którzy wahają się jeszcze przed podjęciem decyzji współdziałania.

Są to wszystko nasi potencjalni sojusznicy. Przyjaciele - znamy dobrze różne warianty i odmiany formuły "kto nie za, ten przeciw", od ultradogmatycznego "kto nie z nami, ten przeciw nam", do liberalizującego "kto nie przeciw nam, ten z nami". Doświadczenie chwili obecnej - polskie doświadczenie, które być może przyda się jeszcze komuś poza nami - każe powiedzieć jeszcze inaczej: każdy, kto waha się i jest męczony przez niezgodność tego co myśli i tego co oficjalnie mówi; każdy, w kim nocą przewraca się utątek sumienia, wybijając go ze snu; każdy, kto nie zakłamał się do końca i nie sprzedał ani zobojętniał do reszty; słowem - każdy, kto nie jest całkiem z nimi - jest z nami.

Andrzej Drawicz

Dziesięć lat temu była Praska Wiosna. I nam również jej powiewy niosty nadzieję.

Także dziesięć lat temu, ale kilka miesięcy później, była sierpniowa Inwazja, gasienicami czołgów dławiąca nadzieję Czechów i Słowaków - i zarazem naszą.

Później, w trakcie upływających lat, niejednokrotnie świeciła nam wspólna nadzieja - i niejednokrotnie dławiono ją, choć niekoniecznie czołgami. Nie czas jeszcze na bilans, co po tych latach zostało; ale jedno zostało na pewno - braterstwo.

Rok temu - ogłoszono w Pradze Kartę 77. Ten prosty, ludzki manifest przypomniat światu, że pod powłoką cmentarnej praskiej "normalizacji" toczy się inne życie, wbrew wszystkiemu wolne, wołające wolności i odbudowujące wolność w każdym swoim drgnięciem, każdym odruchem, twórczym gestem, głosem prawdy, i głosem niezgody. My, w Polsce, znów poczuliśmy się solidarni z Czechami. Tym głębiej - gdy na sygnatariuszy Karty posypały się represje, a profesor Patočka przyprzącił swe miasto życiu.

Przedstawiony niżej wybór czeskich felietonów ze stycznia-marca ubiegłego roku niema być ilustracją wspomnianej akcji represyjno-dyfamacyjnej, chociaż mówi o niej i bez ostonek pokazuje odrażającą polityczną powściągliwość dzisiejszej Pragi. Ale w jeszcze większym stopniu mamy do czynienia ze świadectwem owego i n n e g o ż y c i a opozycyjnej inteligencji czeskiej: jej nieugięte się wobec przemocy, przywiązanie do podstawowych norm moralności i demokracji politycznej, odważnego manifestowania swego istnienia, a także jej pracowitości i zdumiewającej weny twórczej, filozoficznego stosunku do świata, humoru i dbałości o nie obniżanie lotu pod żadnym względem. Ta dokumentacja życia mimo wszystko - wydaje nam się ważniejsza od dokumentacji tego, co tłum i niszczy życie.

Wyboru felietonów - poza innymi waiorami, naszym zdaniem, świetnych formalnie - dokonał tłumacz, mając do dyspozycji liczne teksty, nieustannie krążące w Czechostowacji poza zasięgiem cenzury, m.in. powielane przez nieoficjalne wydawnictwo "Skobel" /po czesku "Petlice", co u nas tłumaczy się również jako "Kłódko"/. Od tłumacza otrzymaliśmy także tekst listu L. Vaculíka do prokuratora generalnego CSRS z dn. 26 stycznia 1977, którego fragment przytoczymy, ponieważ stanowi rodzaj komentarza do spraw poruszonych w pierwszym felietonie:

"W tygodniku "Ahoj" nr 5 ukazała się kłamliwa wiadomość, że sporządziłem i puściłem w obieg serial fotografii pornograficznych. W dzienniku "Litova demokracie" kłamstwo to dziś się powtarza.

Dowiedziałem się, że pewnego dnia między 17 a 19 b.m. kierownik działu fotograficznego Czechostowackiej Agencji Prasowej, Lomoz, przed końcem pracy zwolnił pracowników do domów /o godz. 14/, a do laboratorium przybyli inni ludzie, którzy do rana sporządzili tam 3500 fotografii o treści pornograficznej. Na protesty pracowników następnego dnia kierownik wyjaśnił, że to zadanie dostał od Szerciny, dyrektora Czechostowackiej Agencji Prasowej.

Mam powód, by przypuszczać, że jest to prowokacja przeciw mnie, porieżanie kampanią, jaka rozpoczęta się w "Ahoj".

Być może, pamięta Pan, Panie Prokuratorze Generalny, że w roku 1975 skarżyłem się Panu na to, że podczas rewizji domowej zostałem mi zabrane rzeczy, które z działalnością karalną, o jaką byłem podejrzewany, nie miały nic wspólnego, zwłaszcza fotografie o charakterze prywatnym i niezliczona ilość negatywów bez protokólnego stwierdzenia treści. Nie biorę na siebie odpowiedzialności za wszystko, co jeszcze może być następstwem owej rewizji domowej. Co się tyczy tej sprawy, składam skargę na majora Martinowskiego, który dopuścił się zarówno przekroczenia uprawnień, jak i szantażu. Do Pana jednak piszę po to, ażeby Pan przynajmniej teraz wystąpił przeciw sprawcom nowego przestępstwa."

Jeszcze jedno wyjaśnienie: doktor praw honoris causa, o którego chodzi w tymże pierwszym felietonie - to sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, który otrzymał tę godność na praskim Uniwersytecie Karola w 1975 r. W związku z czym Vaculík napisał wówczas do niego list otwarty/:



Proszę przekazać panu doktorowi praw h.c.

W nocy opowiedziałem jeszcze przez telefon jakiemuś korespondentowi w Wiedniu, że przesłuchania sygnatariuszy Karty 77 są prowadzone poprawnie, a rano zabrali mi telefon. Następnie odebrał mi prawo jazdy pod prawdziwym pretekstem, że jestem w nim bez zarostu, i nie pomogło powoływanie się na to, że od ubiegłorocznego lata leży u nich podanie o prawo jazdy z zarostem. Po ogłoszeniu Karty 77 telefonował ktoś do mnie, że mnie znajdzie i skończy na ulicy, lub że na skrzydle samolotu polecę zagranicę. Powiadomiłem Bezpieczeństwo Publiczne o przestępstwie szantażu i przygotowaniach do zabójstwa lub uprowadzenia zagranicę. Minęły dwa tygodnie i nawet mnie jeszcze nie wezwali, żeby spisać protokół. Przy tym śledztwo, jak sądziłem, nie byłoby beznadziejne; był to ktoś, kto ma samolot. Ale ja już od dawna wiem, że prawo działa tylko w jednym kierunku.

Będą już ze dwa lata, jak zjawiła się na mym progu grupa ludzi, pokazała nakaz rewizji i zabrała mi masę rzeczy, wśród nich również fotografie i niezliczone mnóstwo negatywów. Z największym nasileniem żęj woli poczynił sobie człowiek, którego znałem - mówię o tym niechętnie - z gmachu Bezpieczeństwa Państwowego. Mój protest od razu na miejscu, a następnie na piśmie, był daremny, mimo, że ludzie ci przekroczyli treść nakazu rewizji, stanowiącą wyraźnie, że mieli szukać tekstów antypaństwowych. A więc nadużyli swoich uprawnień /§ 158 kk/, dopuścili się presji /§ 237 kk/ i ograbili mnie /§ 254 kk/. Według rozumu i prawa byli to złodzieje ukrywający się za ustawami. Coś takiego znałem tylko z powieści z Dzikiego Zachodu, które lubiłem czytać jako chłopiec: banda rabusiów terroruzyje okolice, a ludzie są bezsilni, bo należy do niej zdradziecki szeryf.

We wrześniu ubiegłego roku, parę tygodni przed wyborami, dostałem wezwanie do urzędu Bezpieczeństwa Państwowego. Przyszędłem - i kogoż to poznałem wśród tych ludzi? Fałszywego szeryfa! Uprzejmiejczy z tych mężczyzn najpierw zaproponował mi, bym opuścił Wyoming - szybkiego konia mi dadzą. Gdy powiedziałem, że nie, zaczął się domagać, żebym przestał organizować "Skobel" i felietony. Zauważyłem, że w obydwu tych sprawach nie ma nic niezgodnego z prawem, że przeciwnie; powstały jako reakcja na niezgodne z prawem dławienie myśli i literatury. Wtedy wtrącił się do rozmowy fałszywy szeryf. Położył na stole papierową teckę i dumnie rzekł:

- Kosztowało mnie to prawie dwa lata pracy, panie Vaculik!

Po czym teckę przede mną otworzył. Myślę, że w owej chwili nie jeden na moim miejscu chętnie opuściłby Wyoming. Byłem tak przegnębiony, że życzyłem sobie natychmiastowej ciężkiej choroby, byle tylko uniknąć podejmowania decyzji. Ale stałem przed nimi, przeciw okropnej przemocy uzbrojony tylko w to zdrowie i w goły gniew. Sięgnąłem do zapasów na czarna godzinę, wyprostowałem się i powiedziałem odważnie ntażystom:

- Jeżeli ośmielicie się to zrobić, napiszę o tym i wobec świata świniami okażecie się wy, a wiecie, że to potrafię.

Ani w chwilę później, na świeżym powietrzu, ani w ciągu następnych tygodni nie wymyśliłem niczego lepszego. Jeżeli chcę utrzymać swą niepodzielność i nie dopuścić do wdarcia się rabusiów między nięjednakowe części mej istoty, muszę bronić się całą, taki jaki jestem, z zarostem i u góry i na dole. Mogłem już chyba zrobić tylko jeden drobnyg: opowiedzieć o tym w domu przyjaciołom. Co też zrobiłem - i wszyscy posmutnieliśmy.

Jeśli używam słowa "rabusie", to tylko z ostrożności. Nie chcę uprzedzać śledztwa w całej tej sprawie i twierdzić, że byli to pracownicy Bezpieczeństwa Państwowego. Nie sądzę, by mógł tak postępować jakiś funkcjonariusz państwowy. Dlatego po tej przygodzie postanowiłem poprosić o audiencję u federalnego ministra spraw wewnętrznych i powiedzieć mu, co się dzieje. Było to przed wyborami, a on kandydował w naszym okręgu. Jeśli przyjmie mnie jako mój deputowany, powiedziałem sobie, będę na niego głosować. Ale na mój list do dzień nie dostałem odpowiedzi. Myślę, że któryś z bandytów ją ukradł.

Dnia 6 stycznia ogłosiliśmy Kartę 77 i tegoż dnia wieczorem zjawili się rabusie. Fałszywy szeryf ex abrupto, bez papierów, oświadczył, że jestem

aresztowany, odebrał mi klucze od mieszkania, szperał mi po kieszeniach, a przy drzwiach postawił rewolwerowca z pasem od spluwy zapieczętym w poprzek swetra. Znow brałi wszystko, co chcieli: rękopisy, książeczki oszczędnościowe, a nawet Dziennik Ustaw z obwieszczeniem nr 120, zawiadamiającym, że w naszym państwie wszedł w życie Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych.

Nastąpił tydzień przesłuchań, podczas których zrodziła się we mnie nadzieja, że prawo obowiązuje: prawdziwy śledczy z Bezpieczeństwa Państwowego nie twierdził, że podpisując Kartę 77 popełniłem przestępstwo. Chciał tylko wiedzieć, kto zbierał podpisy itp. W południe zawsze dostawałem obiad a po nim kawę.

- Jest pan gościem naszego urzędu - mówił.

Dopiero gdy wracałem do domu, dowiadywałem się, co się dzieje na zewnątrz. Bandyci najwidoczniej wdarli się do telewizji i do wszystkich redakcji. Mówili i pisali o nas tylko oszczerczo, wypędzali nas z kraju, odmawiali nam przynależności do narodu i posiadania mózgu w czaszce, oskarżali nas o zdradę, wyśmiewali się że kiepsko piszemy, wiązali nas z nie cieszącymi się dobrą opinią ambasadorami Wielkiej Brytanii i - least but not last - oznajmili nam, że na przedmieściu Pragi, na Čakovicach, nie dostaniemy piwa. Od przyjaciół dowiadywałem się, że niektórzy sygnatariusze Karty 77 zostali wyrzuceni z pracy, czterej sygnatariusze, wśród nich i Václav Havel, znaleźli się w niewoli, a Pavla Kohouta jakiś szaleniec chciał zastrzelić na ulicy. Prawdę mówiąc, bezpiecznie czuli się tylko ci z nas, którzy siedzieli na przesłuchaniach na Ruzyni. Raz, gdy wypuszczali nas stamtąd w wieczorny mrok, siedemdziesięcioletni profesor Patocka westchnął: "I znowu do tej dżungli!"

Bodajże piątego dnia śledczy przyjął do wiadomości, że moje odpowiedzi na jego pytania nie będą inne niż dnia pierwszego: "Odmawiam odpowiedzi". I zaczął rozmawiać ze mną o gatunkach jabłek. Zwrócił mi także książeczki oszczędnościowe, większość rękopisów i obwieszczenie nr 120. Jakież było moje zdumienie, gdy następnego dnia w tygodniku "Ahoj" bandyci wydrukowali mą podobiznę na golasa! Naprawdę na golasa. Zdarzyło się to już komuś z was? Czy to jest gdzieś możliwe?

Zamierzam złożyć skargę na fałszywego szeryfa o szereg przestępstw. Następnie składam skargę na czasopismo "Ahoj". Nie wiem tylko, czy znajdę adwokata, gdyż w okolicy grasuje banda rabusiów maskujących się prawem. Jedyny, kto mógłby stanąć w mej obronie, to jakiś prawnik żyjący poza zasięgiem działania bandy. Przy czym życzę sobie, by był to doktor prawa czeskosłowackiego, to jest konieczne. Znam tylko jednego takiego. Żaden rabuś nie ośmielił się wystąpić przeciw niemu. On o mnie także wie, gdyż raz już do niego pisałem.

Proszę was, którzy jesteście ubrani, pójďte do niego i opowiedzcie mu wszystko. Ja jakoś nie mogę, w tej chwili.

Praga, 25 stycznia 1977 r.

**O donosicielstwie, szantażu oraz innych motywach  
----- nadchodzącej wiosny -----**

Każdy czytelnik powieści kryminalnych zna tę banalną sytuację: ktoś zapiąta się w towarzystwo gansterów, po czym przejrzał na oczy i zaczął nowe życie. Jeżeli siedzi cicho, gangsterom to nawet szczególnie nie przeszkadza. Ale biada mu, jeśli w jakiś sposób zagrozi ich interesom. Wtedy odwiedza go wystannik bandy i przystawia mu nóż do gardła. "Już zapomniałeś, jak za młodu stałeś na świecy podczas tego napadu na bank? No to ci przypomniemy. Dowiedz się twoja żona, dzieci, przyjaciele. Dowie się i policja. Więc jak? Będzieś jeszcze po stronie prawa i sprawiedliwości?"

Z gangsterami z powieści kryminalnych nie miałem nigdy nic wspólnego, więc żaden do mnie nie przyszedł. Natomiast Stanislav Oborský napisał o mnie we wtorek 1 marca 1977 r. wielki artykuł do "Rudego práva". Taki człowiek - i bojownik o ludzkie prawa, o demokrację polityczną? Spójrzcie, co pisał w liście do pewnej komisji partyjnej dwadzieścia sześć lat temu. O Marli Svermowej, o Františku Kriegiu, o Ottonie Šiingu i nawet o swoim niezłym już ojcu. Przecież to donosiciele!

Czytam raz, czytam drugi - i własnym oczom nie wierzę. W "Rudym pravie" - i takie rzeczy nazywane są po imieniu! Oto piszą, że to, czego okryte chwałą gottwaldowskie kierownictwo KPCz domagało się kiedyś od komunistów w imię "rewolucyjnej czujności", było donosicielstwem. Oto mówią, że to, co wówczas każdy komunista miał stosować jako "pryncypialną partyjną postawę" wobec siebie, swoich rodziców, dzieci i przyjaciół, było sprzeczne z normalną ludzką moralnością.

Niczego podobnego nie czytałem w prasie partyjnej KPCz przynajmniej od dziesięciu lat, i teraz jest to aktualne. Przecież już drugi miesiąc prowadziemy kampanię przeciwko jakimś "zdrajcom ludu i najmitom imperializmu", przeciwko bandzie "samozwańców" - zupełnie jak w roku 1950. Jak dobrze w takiej chwili przypomnieć wszystkim, którzy chcieliby może potępić i wyklinać innych, nawet nie wiedząc, za co, że jest to podłość, nikczemność donosicielstwo. Jak pożytecznie zwrócić im uwagę, że w ten sposób mogą

przysłużyć się również politycznym zbrodniarzom, jak się to już raz stało przed dwudziestu pięciu laty.

Tym więc po długiej przerwie "Rude Pravo" naprawdę sprawiło mi radość. Ale skłamałbym twierdząc, że było to jedyne uczucie. Bo dreszcz przeszedł mnie także. Na wspomnienie o sobie samym sprzed dwudziestu sześciu lat. Niczego nie zmienia tu fakt, że były nas tysiące, takich sfanatyzowanych statystów, opanowanych przez doświadczonych reżyserów scen zbiorowych. Również jako dwudziestoletni statysta byłem już - i jestem do dziś - osobiście odpowiedzialny za to, że na znak reżyserów w tłumie podobnych w wyznaczonej chwili albo hałasowałem, albo - przeciwnie - milczałem, oburzałem się, niewidziłem, demonstrowałem entuzjazm albo pisałem to, czym Oborský chce mnie dziś szantażować.

Tego szantażu się nie boję. Jest zbyt przejrzysty. Lecz tę odpowiedzialność czuję. Zrozumiałem ją już ładny czas temu. Miałem to szczęście, że już w rok po napisaniu zenującego listu sam stałem się obiektem donosu innych, tak samo czujnych towarzyszy i kolegów, jako "agent ośrodka antypartyjnego". Możliwe, że również któryś z tych listów, dla odmiany denuncjujący mnie, przeczytamy w "Rudym Pravie". Pisali je bowiem ludzie, którzy nie tylko nigdy później nie stali się donosicielami, ale mają dziś takie same poglądy polityczne jak ja. Od dawna nie mamy sobie tego wzajemnie za złe. Ponieważ w gruncie rzeczy tym donoszeniem okazaliśmy sobie pomoc. Nie doszliśmy drogą donosicielstwa do zbrodni politycznych i dlatego mogliśmy drogę tę porzucić, a za dymną zastaną stalinowskich komunistycznych frazesów dostrzec prawdziwe oblicze sprawy.

W ćwierćwieczu, jakie upłynęło od tamtych czasów, miałem niejednego kłopot. Przez to, że z owej drogi zszedłem, im bardziej kierowałem się własnym rozumem i własnym sumieniem, a nie wskazówkami reżysera, tym te kłopoty by-

ty większe. Osiągnęły szczyt po sierpniu 1968 r. i ciągną się do dziś. I widzę wokół siebie mnóstwo ludzi w identycznej sytuacji. Wcale tu nie ma znaczenia, kto i kogo oskarżał przed wielu laty. To samo przez się na nikogo z nas kłopotów nie ściąga. Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy z tym zrywamy; gdy już nie piszemy listów i donosów tam i wtedy, gdzie i kiedy spodziewają się po nas na gorze. Właśnie dlatego także wszystkie nazwiska, które pan Oborski z takim smakiem wymienia w "Rudym pravle", są dzisiaj zasze-regowane całkiem inaczej. Nazwisko Marii Svermowej, Františka Krieglá, nazwisko moje i nazwisko syna straconego Oty Slinga, Karla - znajdują się dziś na liście sygnatariuszy Karty 77.

Każdy wie, że ta lista nie jest listą uprzywilejowanych i nie otwiera drogi do zawrotnej kariery. A jak mogło mi się powodzić, gdybym naprawdę stał się donosicielem! Gdybym wytrwał w tym fachu, to ta "tatra 603", która z trzema panami stoi przed moim domem i towarzyszy mi na każdym kroku, mogłaby wozić mnie. To, co pan Oborski ujawnia jako brudną plamę na moim życiorysie, mogłoby pozostać w ukryciu i stanowić niemą ozdobę moich tajnych akt personalnych. Mogłbym mieć przyzwoite stanowisko, a nie zostać wy-lany w ciągu jednej godziny nawet z podrzędnej posadki w Muzeum Narodowym. Przecież choćby pan prokurator Eduard Svach, który Marię Svermową naprawdę postawił do więzienia, jest teraz sekretarzem dziekanatu Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Karola i oczywiście członkiem KPCz. A pan doktor praw Ur-válek, który postawił na szubienicę jedenastu niewinnych ludzi, jest zastu-żonym pracownikiem prokuratury na zastużonym i dobrze zabezpieczonym odpo-czynku. A co dopiero reżyserzy i pomocnicy reżyserów ówczesnych krwawych scen? Ci mają jeszcze po śmierci pomniki, a jeśli żyją - specjalne emerytury i wszystko, co się należy ludziom zastużonym.

Lecz o tym pan Oborski już w "Rudym Pravle" nie pisze. Widocznie nie życzą sobie tego reżyserzy, którzy dziś przydzielają chałtury swym wybrań-com. Dlaczego właśnie tak? Ci gangsterzy, o których była mowa na wstępie, także nie mówią: "A teraz ogłosimy całą prawdę o tym napadzie na bank". O to przecież nie chodzi. Ujawni się to tylko, co trzeba. Że ten, kto z nimi zerwał, kto im przeszkadza, kiedyś też brał w tym udział. Że "stał na świe-cy".

I to już w artykule pana Oborskiego znowu mi się podoba. Mianowicie, że kiedy on i jego reżyserzy chcieli naprawdę dotkliwie mnie znieważać, musieli uciec się do okrzyku: "Nie wiercie mu, on także miał coś wspólnego z nami!"

Cóż argument to rzeczywiście plugawy. Ale ja wierzę, że nasi ludzie od dawna już myślą samodzielnie, postępując się własnym rozumem, a nie wska-zówkami reżyserów. A więc sami w swych głowach rozważą to i osądzą.

Praga, 2. marca 1977 r.



Śmiertelna choroba

Pan profesor Patočka zmarł na śmiertelną chorobę. Nie mam na myśli grypy, która tej zimy szaleła w Pradze, a po której pan profesor wstał zapewne zbyt wcześnie. Nie była to również choroba jego serca, którą znał i umiał z nią postępować. Mogłby sobie odpocząć i być wśród nas. Ale nie umarł także na udar mózgu, który ostatecznie był przyczyną jego śmierci. Do niego bowiem również dojść nie musiało. Na co więc naprawdę zmarł profesor Jan Patočka?

Profesor Patočka był mężczyzną wysokim i silnie zbudowanym. Jego twarz miała rysy twardego, kościstego wleśniaka, lecz jego oczy były łagodne, a mowa w dążeniu do precyzji powolna i staranna. Swe zdania, poszukujące prawdy, częstokroć kończył pełną temperamentu kropką ostatecznej pewności. Życie upływało mu w gruncie rzeczy na uboczu, znany był jedynie swoim uczniom, przyjaciółom i wtajemniczonemu kręgowi fachowców od filozofii. O jego filozofii nikt nie potrafił powiedzieć, ponieważ jest to dla mnie za trudne. Wiem tylko, że wiązała się z jednej strony z Husserlem i fenomenologią, o której ciągle nie wiem, czym jest, a z drugiej - bardziej "oczywistej" - z Komenskim i Masarykiem. Ale pisywał także aktualne eseje i studia, w których mówił o praktyce naszego życia społecznego, poruszając szerokie kręgi czytelników nie zajmujących się filozofią. Niestety, nie mogliśmy czytywać ich często, ponieważ miał trudności z publikowaniem. Czasem pisywał tylko dla zagranicy albo anonimowo. W ciągu trzydziestu lat jego działalności pedagogicznej wolno mu było wykładać tylko około pięciu. Profesorem Uniwersytetu Karola został mianowany w dwadzieścia lat od chwili, gdy zgłoszono jego kandydaturę. W roku bieżącym w czerwcu skończyłby ślademżnię siankę.

Na początku bieżącego roku nazwisko profesora Jana Patočki obiegło kraj i świat: gdy został jednym z rzeczników Karty 77, i wszyscy zdumieliliśmy się, gdy przemówił: język, który przyniósł ze swego milczącego na tematy polityczne życia, był całkowicie inny niż ten, który słyszeliśmy z ust naszych co lepszych lub polepszonych działaczy: pełen oryginalnych argumentów, wprowadzonych zapomnianymi metodami z czystej logiki, zdrowego rozsądku, powszechnych doświadczeń i z dobrej woli wobec przeciwnika. Do władzy politycznej adresował te słowa ktoś, z kim ona dawno już zapomniała inteligentnie rozmawiać, gdy dopuściła do głosu dziennikarskich ciemniaków, kłamców i gwałcicieli.

Profesor Patočka ze swą ponadpaństwową filozofią nadał mógł skromnie istnieć i żyć. Nadał mógł działać w prywatnym kręgu swoich młodych uczniów i coraz liczniejszych czytelników. Mógł podpisywać tomy swoich ostatnich prac, których nie wolno było wydać po czesku. Filozof Patočka zaszczodził sobie ostatecznie tym, że dał się poznać jako obywatel, którego nikt nie dopuścił się dopuścić się do głosu, wobec czego wreszcie postanowił dopuścić się do głosu samemu. W ostatnich artykułach, pisanych w obronie Karty 77, twierdził nadzwyczaj grzecznie i tolerancyjnie, że wszyscy chcemy być równi wobec prawa, jak odnotowano w ustawach, ale i poza ustawami: równi w przyrodzonym prawie do zróżnicowanego rozwoju jednostki. Mamy nie tylko prawo do wolności, ale również trudny obowiązek wolności i dyscypliny. Starszemu pokoleniu język ten przypominał okres młodości, gdy myśl czeska zajmowała się samodzielnie tematem socjalizmu i gdy jeszcze nie zarządzano, że nie ma tu nic do gadania. Dla pokolenia młodszego taki język był czymś niesłychanym i radośnie wstrząsającym. Toteż ministrowie nie chcieli go słuchać - z wyjątkiem jednego, ale ten był holenderski.

Byłem przy tym, gdy pan profesor sztywniał się na spotkanie z panem van der Stoepem. Zdumiało mnie, jak szybko ze swojego zielonego szlafroka przebrał się w ciemny, niedzielny garnitur - biała koszula, krawat, a nad nim zarumieniona, energiczna, w ostatnich tygodniach wyraźnie odmłodziła twarz. Powiedziałem: "Ależ panie profesorze, jest pan jeszcze chory!" - Wtedy widziałem go po raz ostatni. Z następnych dni życia obrabowały go przestuchania. Podczas ostatniego z nich powiedział, że źle się czuje, i



prosił, by pozwolono mu udać się do domu. Śledczy sami byli zaniepokojeni jego stanem, ale tłumaczyli się przed nim, że nie mają uprawnień, by go wypuścić. Dopiero gdy zrobiło mu się jeszcze gorzej, uzyskali telefonicznie od jakiegoś przełożonego zgodę na zwolnienie. Następnego dnia profesor Paťočka musiał iść do szpitala. Tam po kilku dniach zmarł na udar mózgu, na śmiertelną chorobę swobód obywatelskich, prawa i mądrości politycznej w naszej kochanej socjalistycznej Czechosłowacji.

Zmarł jako Czech w Europia. Pewne jest, że gdyby nie chciał tego, czego chciał, nie musiałby umrzeć. Przecież my, pozostali, także możemy wybrać. Jeżeli ciągle będziemy chcieli tego, czego chcemy, też wszyscy możemy umrzeć. Ponieważ taka śmierć to jest definitywny N N, jeśli chcemy, żeby nam wreszcie uwierzono, że N N i. Jeśli będzie musiało dojść aż do tego, to - powiadam - nie będziemy w Europie ostatni, których to spotyka.

Praga, 16 marca 1977 r.

## Niemcy. Pogrzeb

Poświęcone tym, którym przemocą unieвозмо-  
wiono wzięcia w nim udziału

Będąc w Berlinie Wschodnim miałem możność przeczytać książkę wschodnio-niemieckiego pisarza Reinera Kunzega "Wspaniałe lata", która wyszła w ubiegłym roku w Fischer-Verlag w Frankfurt nad Menem, a w NRD kraży obecnie w maszynopisach. Jedna trzecia tej książki poświęcona jest Czechosłowacji, mianowicie temu nieszczęsnemu krajowi po sierpniu 1968 roku. Jeden z konkretnych tekstów, zatytułowany "Pogrzeb", opisuje pożegnanie z Josefem Smrkowskim: policja zablokowała ulicę prowadzącą do krematorium na Motoie i nawet samochody jadące w stronę Pilzna kierowała na długi objazd... Przemawiał X. Zezwolono mu mówić tylko pięć minut. Rzekł: "Dobra, starczy". Przed krematorium powiedzieli mu: "Tylko jedną minutę!" Rzekł: "Dobra, starczy". Potem nad trumną powiedział: "Josef Smrkowski zmarł. Proszę, by wszyscy powstali". A następnie: "Dziękuję wam". Równo jedna minuta... Opuszczając tłumnie krematorium ludzie nie widzieli drogi pod nogami. Tu i tam były jeden - dwa stopnie, ci z przodu zawsze informowali tych za sobą: "Stopień" - i nikt się nie przewrócił.

Mottem tekstu Kunzega jest zdanie zasłyszane przez niego od pewnego prazanina: "To jest czas naszych pogrzebów".

Gdy w niedzielę wróciłem do Pragi, dowiedziałem się, że zmarł profesor Patocka... Wcale nie pasowała mi ta wiadomość do spokojnego, niemal już wiosennego wieczora, ale to była prawda. Chociaż prasa czechosłowacka nie wspominała o tym ni słowem.

We wtorek po południu zadzwonił telefon: "Pogrzeb jest jutro o dziewiętej u Świętej Małgorzaty na Břevnovie".

Gdy w środę na krótko przed dziewiątą wsiadałem do sto trzydziestki czwórki, w mgnieniu oka wycułem, że nie jestem jedynym, który jedzie na pogrzeb. Było zupełnie inaczej niż jakiegokolwiek przeciętnego dnia w Pradze: w miarę jak autobus przejeżdżał przez miasto i wsiadali następni uczestnicy pogrzebu, z twarzy pasażerów jakby zniknęła powszednia obojętność. Nie wyglądali na szczęśliwych, ale, raptem nie było już widać tych zmęczonych, otępiiałych i strapiionych szarych twarzy codziennych, załatanych podróżnych. Jakby pojawił się ośrodek, jakiś punkt w czasie i przestrzeni, nadając kierunek myślom i gestom, i choć nikt nic nie mówił, w autobusie wytworzyła się atmosfera niewypowiedzianej solidarności.

Podjeżdżając pod Świętą Małgorzatę autobus minął policjantów zamykających główną ulicę. Było to absurdałne: sygnariuszom Karty odmówiono prawa jeżdżenia samochodami osobowymi, ulica była zamknięta, a mimo to im dalej, tym więcej policjantów ze służby ruchu, w niewinnych białych czapczkach... Autobus był do połowy wypełniony, pasażerowie zupełnie jednoznaczni: większość napewno jedzie na cmentarz. Ale żaden nie wiedział dokładnie, gdzie trzeba wysiąść. Kiedy autobus stanął na właściwym przystanku, wszyscy popatrzyli na siebie, pierwszy raz podczas całej jazdy, kiwnęli głowami - i wysiedli: "Tak, to musi być tutaj".

I było. Tłumy ciągnące ze wszystkich stron ku Świętej Małgorzacie mijają rozstawionych strategicznie policjantów w mundurach - i w cywilu.

Szliśmy pod górę wzdłuż cmentarnego muru. Dotęliśmy do nas coraz to nowi, idący w stronę cmentarza wprost przez pole i z boczne, przez ogród, wzdłuż stadionu motocyklowego "Czerwonej Gwiazdy" - Praga 6, Klub Sportowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych... Na błękitnym niebie gdzieś nad Motelem unosił się śmigłowiec.

Z góry musiał to być fascynujący widok. Drobnie, filigranowe figurki ludzi jak dośrodkowe promienie w przedmiejskim krajobrazie po zieleniejącej trawie, pod nagimi jeszcze drzewami, oświetlonymi słońcem, do jedynej otwartej bramy cmentarza. Gdyby tam w górze siedział ktoś inny, musiałoby to nasuwać mu na myśl wędrówki górskie.

Przed bramą cmentarza stały na statywach dwie kamery, szczytowe osiąga-

nięcia zachodniej techniki, i pracowały bez przerwy, wymierzone w dwa strumienie wolno kroczących ludzi. Obok nich stała grupa mężczyzn, którzy najwyraźniej mieli wojskowe stopnie, a w szarach, w swych mieszkaniach, paradne policyjne mundury. Niektórzy rajcowali i śmiali się. Przecież jest pięknie!

Żaden z przechodzących nie starał się zasłonić twarzy przed kamerami: nieomal tysiąc ludzi przeszło ukazując się im otwarcie i z godnością.

Wszystkich nas sfilimowano jeszcze raz, kamerą "Sony" w rękach dwóch cywilów między grobami. Skupiliśmy się wokół kaplicy. Było wpoł do dziesiątej i połowa cmentarza była już zaludniona przez żywych. Było cicho, spokojnie, ludzie nie rozmawiali, milczące postacie stały niemo w bezruchu, tylko to tu, to tam skinieniem głowy witając swych znajomych. Potem tłum cicho się rozstąpił, z szacunkiem i pietyzmem przepuszczając rzedzinę.

Za dziesięć dziesiątą zaryczały za cmentarnym murem silniki wyciągowych motocykli. Huk pracujących na wysokich obrotach motorów bez tłumików głośny był wszystkich i wszystko. Od Motożu nadleciał śmigłowiec i zaczął krążyć nad cmentarzem. Nikt nie poruszył się, nikt się nie odezwał, wszyscy wiedzieli; ludzie zacisnęli zęby i stali, nie dając się wyprowadzić z podnóstego nastroju.

Później nagle z głównej alejki zaczęto cofać się między groby, robiąc szerokie przejście dla dwóch starszawych księży, trumny, rodziny i przyjaciół, do których na krótkiej trasie od kaplicy do grobu dotęczyli też wszyscy inni.

Nad otwartą mogiłą ksiądz otwierał usta, ale głos jakby z nich nie wychodził; wszędzie jedynie ryk motorów, uzupełniany od góry warkotem helikoptera. Nie tylko nie można było zrozumieć, co ksiądz mówi, nawet domyslenie się było wykluczone. Potem ksiądz chyba śpiewał. Nie wiem napewno, siedzę tak po wyrazie jego oczu. Słyszałem tylko wszechobecny hałas oraz widziałem panią w czerni stojącą koło trumny; płakała rozpaczliwie i starała się nie zwracać uwagi na ten haniebny huk - na próżno. Widać było, że bliska jest załamania - lecz wytrwała. Ci, co stali przy trumnie, zaczęli się modlić. Widziałem, jak poruszają ustami, i myślę, że modlili się na głos. Nikt nie próbował przekrzyknąć huku. Niewątpliwie wierzyli, że Bóg słyszy ich również poprzez ryczące motocykle Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. /--/

Na murze cmentarnym stali następni trzej z policji politycznej z kamerą i uśmiechali się pogardliwie, kręcąc swój kryminalny film. Młodziutki tajniaczek usiłował zatrzymać i odprowadzić dwóch młodych ludzi z aparatem fotograficznym. Ludzie dokoła zabiokowali go własnymi ciałami i umożliwili tym dwóm zniknięcie w tłumie, chociaż każdy rozumiał, że tu nie ma ucieczki, że mogą na nich czekać przed cmentarną bramą albo gdziekolwiek...

Tłum zaczął przechodzić szeregami koło grobu, aby złożyć ostatni hołd profesorowi. Ktoś próbował przemówić nad grobem, wszyscy zbili się ciasno wokół niego, aby słyszeć chociażby strzępki słów, lecz mogli tylko patrzeć na poruszające się wargi, na otwierane usta, spoza których na próżno nie dobywał się dźwięk. Ale znów wszyscy wiedzieli, że jeżeli głosu nie słychać, bo jest zagłuszany, nie oznacza to jeszcze, że człowiek jest niemy. Chyba z tysiąc osób przeszło następnie koło grobu pod nadzorem policyjnych kamer i każdy rzucił na trumnę garstkę ziemi. Gdy przechodzili ostatni, trumna była już do połowy zasypana.

/--/ Ryk motorów powoli cichł. Nie był już widać potrzebny. Ostatnie dziesiątki ludzi przechodziły nad grobem, wdychając powietrze skażone spalinami.

Młodzińciewicz w czarnym swetrze i w dżinsach położył na kopczyku ziemi przy grobie profesora Patočki cierniową koronę.

Praga, 17 marca 1977 r.

Ludvik Vaculik

Pogrzeb rzecznika.

Zamierzałem iść na pogrzeb, ale na ten sam termin dostałem wezwanie do pewnego urzędu. Jak na złość, powiedziałem sobie. Wstałem do urzędu piśmennie usprawiedliwienie, że idę na pogrzeb, a poza tym byłem zdecydowany uciec się do podstępów. Pogrzeb miał być o dziesiątej, lecz ja postanowiłem wyjść z domu niewiarygodnie wcześniej: już o szóstej rano. Tylko że urząd mnie przechrzął: gdy tak niewiarygodnie wcześniej wyszedłem z domu, czekało na mnie auto: "tatra 603" znanego, odrażającego kształtu, we wstrętnym ciemnym kolorze.

W budynku zaprowadzono mnie do pokoju na parterze. Przywitali mnie dwaj panowie: jeden mniej więcej w moim wieku, nazwiska zapomniałem, drugi był bardzo młody i nazywał się Kučera - jego nazwisko figurowało na wezwaniu. Starszy mężczyzna powiedział:

- Zaprosiliśmy pana, ponieważ jest ten pogrzeb. Nie będziemy robić tu panu żadnych przykrości, nawet nie będziemy mówić o Karcie, w ogóle nie musimy rozmawiać, jeśli to panu bardziej odpowiada. Może pan sobie czytać, jeśli akurat ma pan co, albo coś panu pożyczymy. Może pan także spać. Po pogrzebie puścimy pana do domu. Proszę! - zrobił zapraszający ruch w stronę fotela pod oknem, sam usadowił się w drugim. Młodego zachęcił, żeby usiadł za biurkiem:

- Ty sobie możesz studiować - rzekł mu ojcowskim głosem i tonem.

Odwiesiłem mój czarny, pogrzebowy płaszcz, wyciągnąłem z kieszeni książkę, którą zamierzałem czytać w tramwaju, i usiadłem w fotelu. Jeszcze się zapatałem:

- A gdybym nie wyszedł z domu i nie poszedł ani do was, ani na pogrzeb?

- Myślelibyśmy, że pan po prostu odpoczywa, i już.

- Hm. Ale to przecież można było uzgodnić - powiedziałem.

- Ja też tak myślę - przytaknął ostrożnie. Uśmiechnął się i dodał: -

Na przyszły raz.

Był miły, zrównoważony człowiek, mniej więcej pięćdziesięcioletni, domyślałbym się w nim najpewniej ekonomisty lub technika. Nie maskował się możliwie najprzeciętniejszą odzieżą, przeciwnie, był ubrany z dużym poczuciem smaku. Mógł to być również krymolog, czyli prawdziwy detektyw, wyjątkowo użyty w tym pracowitym dniu. Chodziło przecież o pogrzeb pierwszej klasy. Urodził się na południu Czech. Jego ojciec był robotnikiem leśnym. Skromne, wyraźnie szczęśliwe dzieciństwo upłynęło mu na łonie natury, pośród drzew i zwierząt, na przygodach i zabawach z kolegami narodowości czeskiej i niemieckiej. Potem stało się coś i kolegów rozdzieliła ściana chłodu. Do lasów przybyli czechosłowaccy żołnierze i zajęli betonowe forty. Także ojciec został powołany do armii. I żołnierze, i ludność, pełni byli zapału, chcieli walczyć. Potem pewnego ranka pan nauczyciel wszedł do klasy, klasa wstała, nauczyciel przez chwilę milczał, nim powiedział: "No i nie mamy już republiki!" - i rozpakiał się. Zabór terenów nadgranicznych, przeprowadzkę w głąb kraju... i wszystko, co nastąpiło później, "ci znają już tylko z historii!" - machnął w stronę młodzieńca za potężnym biurkiem.

- Uczysz się? - przypomniał mu i rozpostarł w powietrzu "Rudé právo".

Otworzyłem moją książkę. Było wpoń do ósmej.

- Co też pięknego pan czyta? - spytał.

- "Jacy jesteśmy" Ferdinanda Peroutki - odpowiedziałem z zamiarem nie rozwijania tego tematu, lecz gdy młodzieniec z błyskiem zainteresowania unosił głowę z nad biurka, zmieniłem postanowienie: - To rozważania o charakterze narodu czeskiego, pisane w latach dwudziestych. Peroutka zastanawia się, czy odpowiada prawdziwie to, co przyjęto uważać za nasze cechy narodowe. Na przykład czy jesteśmy humanitarni, nastrojeni pokojowo czy wojowniczo, w jakim stopniu tkwi w naszym charakterze skłonność do demokracji, potrzeba wolności, umiejętność poddania się dyscyplinie, pracowitość, chęć kształcenia się i tak dalej.

- Hm - rzekł mężczyzna.

Młodziak znowu pochylił się nad książką.

Z ulicy za oknem było słychać rozmowę szoferów, siedzących w pogotowiu za kierownicami. "Jardy nie widziacie? Jakbyś go widział, no to mu powiedz..."

A ja akurat czytałem:

"Szukając w postępowaniu Czecha jego żywej wiary łatwo stwierdzić, że pierwszą naszą żywą wiarą jest przekonanie, iż człowiekowi powinno się dobrze powodzić. Jest to wiara, która stanowi siłę napędową nowoczesnych narodów i żadne cechy słowiańskie, o których się mówi, nas od niej nie odwidają. Także naszego najnowszego życia politycznego nie można zrozumieć bez znajomości tej żywej wiary".

Czytałem w skupieniu, aż dziw, to tu, to tam robiłem na marginesie znaczek. Zauważyłem, że chłonę tekst wyjątkowo szybko i płynniej niż zazwyczaj. Uprzejmy nadzór, spokój wynikający ze świadomości, że i tak nic innego zrobić nie można, i zapewniony czas na to, co robię - wszystko to budziło we mnie zapomniane poczucie zadowolenia z systematycznego studiowania. Dlaczego właściwie sam nie miałbym zorganizować sobie tak czasu każdego przedpołudnia? Ta książka w rękę, ci dwaj ludzie ze mną, ten gmach ze swoimi dźwiękami i wszystkim, co - można się domyślać - w nim się odbywa, głośny i krokami na chodniku za szybą okna, świadomość głównego wydarzenia dzisiejszego dnia, wyobrażanie sobie, jak ono przebiega, doświadczenia z ostatnich wlokących się powoli lat, przeżycia z ostatnich szybciej biegnących tygodni - czyż nie był to laboratoryjnie kompleksowy zestaw materiałów, pomocy naukowych i instrumentów do studiów na ten właśnie temat: "Jacy jesteśmy"?

Za oknem rozległo się nagle trzaskanie wielu ciężkich samochodowych drzwi, tłumione starty z dobrym przyspieszeniem - i znów cisza. Drgnąłem: żebym się koniecznie końców na ten pogrzeb nie spóźnił! Było wprost do dziesiątej. Także mój rówieśnik popatrzył na zegarek, chociaż mógł mnie zapytać. Złożył gazetę i wyciągnął z teczek jakieś czasopismo. Zaczął rozwiązywać krzyżówkę.

"Masarykowski Ideały czeskie są w większej lub mniejszej mierze ideałami ogólnoludzkimi. Jeśli Masaryk widzi typ czeski w odwadze myślenia, w konsekwencji życiowej, w humanitaryzmie oraz w energicznym zwalczaniu zła i przemocy - pisze Peroutka - to muszę powiedzieć, że nie ma narodu tak nędznego, by nie był zdolny uznawać tegoż ideału".

Przypomniałem sobie, że także Jaspers mówiąc o rzekomym niemieckim charakterze narodowym powiada, że jest to nie oparta na niczym abstrakcja, która przybiera wygląd zależny od tego, do czego ją się akurat odnosi. I że to, co częstokroć wysnuwa się z charakteru narodów, powinno by się z większym już sensem wiązać z ich położeniem geograficznym. Czyli Anglię przeniesieni do Niemiec postępowałiby jak Niemcy - mówi Jaspers, bądź też ja sam doszedłem już do tego pod jego wpływem. Prawda, że od tej pory trzymałem się już tego, stanowiło to dla mnie pewną pociechę. Od czasu do czasu pomagało mi także przeciwstawić się dziennikarzom zachodnimi: Ich lekceważącemu, obraźliwemu współczuciu dla nas lub taniej dumie z sytego bezpieczeństwa.

Natomiast Patočka - spojrział na zegarek i odłożyłem książkę na stół - wspomina gdzieś Herdera /tylko nie wiem już, czy się z nim zgadza, czy też ma jakieś zastrzeżenia/, uważającego, że państwa są wyrazem charakteru narodów.

Była za pięć dziesiąta, zdecydowałem się już poczekać, byłem na miejscu. Trumna płynęła z kapiłcy w kierunku grobu. W tej chwili za cmentarnym murem ryknęły silniki motocykli, nad drzewami pojawił się helikopter i z niewiarogodnie jawnym zamiśtem zaczął zapełniać cmentarz, trumnę, grób i dusze tysięcy ludzi komunistycznym warkotem... Na Boga, widzę, że zacząłem już mówić z nienawiścią, po raz pierwszy, wszyscy możecie to poświadczyć - wracam więc i usiłuję się poprawić: nadleciał helikopter sterowany przez wieloletnią, aby dać wyraz pogardzie pana dla żywych i umarłych.

Tkanina do wyszywania na pięć liter? - powiedział starszy mężczyzna, - Kanwa - odparł bystry młodzik.

"Jeśli Masaryk mówi: "Przemocą czy pokojowo? Pługiem czy mieczem? Pokojowo, pługiem i pracą - oto odpowiedź czeskiego geniusza i historii", to



ta formułka zdaje się wyrażać ducha naszego rozwoju od początku XIX wieku aż po dzień uzyskania niepodległości. Kiedy jeden z przywódców narodowych umierał z głodu w dublińskim więzieniu, tłumy Irlandczyków stały i klęczały przed bramą, śpiewając pieśni religijne."

Jakiś człowiek stanął nad grobem i zaczął mówić, lecz nikt nie słyszał ani słowa. Ktoś ze starszego pokolenia wpadł na pomysł, żeby zaśpiewać teraz hymn. Ale w huku sianików na ziemi i na niebie okazało się to niemożliwe.

"Dusza patetyczna nie znajdzie u nas tego, czego szuka. Przewrót 28 października /1918/ miał charakter niemal idylliczny. Gdyby przez cały ten dzień padał silny deszcz, rocznica przypadałaby zapewne dopiero na 29 października. Ruch komunistyczny, chociaż jest u nas większy, niż gdzie indziej, jest umiarkowany, jeśli chodzi o czyny, i zapewne dlatego właśnie jego zasięg nie zmniejsza się. Nasza burżuazja miałaby może ochotę na jakiś ruch faszystowski - pisze Peroutka - lecz absolutnie nie ma skłonności do tego życia na pół wojskowego."

- Koczownik na cztery.

- Awar.

"Kiedy Bakunin, zarośnięty i owiany prochem strzelniczym, przybył do Czech, wydał się Havličkowi wrogi i niezrozumiały."

Ludzie na drózkach pomiędzy krzyżami ustawiali się w rzędy, przechodzili nad grobem i rzucali na trumnę kwiaty oraz glinę. Urzędowi filmowcy i fotografowie wykonywali z tego dokumentację na dobre i na złe.

Za oknem dał się słyszeć wzmożony ruch: trzaskanie drzwiczek, kroki wielu ludzi. Była za kwadrans jedenasta. Ktoś zapukał do drzwi. Mój towarzysz wyszedł. Gdy wrócił, rzekł:

No to się to skończyło, może pan iść do domu.

Pobiegłem na aleję Narodową. Złapałem taksówkę. Pod kościołem Świętej Małgorzaty spotkałem ostatnich ludzi wracających z pogrzebu. W bramie cmentarza zostałem tylko wylegitymowany i sfotografowany, ale puszczono mnie dalej. Przez cichy i pusty gaj szedłem między krzyżami niemal w samą kąt.

A tam naprawdę była świeża mogiła. Z czego widać, że na pogrzeb nawet spóźnić się trudno. Spóźnić się można oo żywego człowieka.

Praga, 17 marca 1977 r.

Przełożył Paweł Heartman, 1978

Anka Kowańska

ROZMOWY  
Z  
BRACMI

Ojcostwo

Temu co przyszedł zgąbił plecy milczał  
nie trafił w papierosa płomykiem zapałki  
oczy schował w powiekach i powiedział  
wybacz

on ma  
powiedział i zakaszał  
synów  
i tak z motyką na tę wielką ciemność  
wybaczenie bracie

Temu powiedzieć że jesteśmy braćmi  
nie jedynie w Chrystusie  
ale właśnie w trwodze przed gęstnieniem ciemności

i że to dzieciom swoim  
krzywicznym  
i wnukom  
powtórzy kiedyś swoje późne wybacz  
wybaczenie  
ja to dla was ja o was

gdy one  
ślepa zrenicą wędrując po murach  
będą się miały szczęśliwie jak krety

A zresztą może jemu to powiedzieć  
to jak strzelić w tył głowy

świat mu się rozprysnął  
a gdy czaszkę zabił  
wyprze się braterstwo

listopad 1977

## Katharsis

W pewnym poemacie  
w środek salonu i dysput o sztuce  
upadła róża biała

i pochylono nad nią zachwycona czoła  
i uciszono głosy wstępując w tę chwilę  
jak w liryczne katharsis

Ale ci  
gdy dzisiaj  
w gorączce alkoholu i wolności słowa  
rozhułanej w salonie od ściany do ściany

ci nie czekają róży  
wystarczy drzwi zamknąć

Grzywy im jak lwom rosną  
pęta rwą się na nich  
jak na olbrzymie co ramieniem wzruszył  
i nawet najskromniejszy  
popatrz  
jak brzmi dumnie

Ci z nich  
którym w szufladach srebrnie śpią ordery

gardzą dziś orderami  
 jeden rzekł w olśnieniu  
 że pogardza sam sobą

Inni  
 żując na codzien zdźbto władzy  
 splunęli na dywan  
 wolni i zuchwali

A tak się rozumieją  
 jak w mitosnym tożu  
 ciało rozumie ciało:  
 całym ciałem

albo jak bracia sjamscy  
 stado sjamskich braci:  
 ta sama kraw i plazma  
 to samo ech ja bym

I niebo wreszcie to samo ned nimi  
 gdy się rozchodzą sptakani i czyści  
 gwiazdy ech bracie  
 i kac po katharsis  
 i dzień powszedni  
 i ruki pa szwam

listopad 1977

#### Weekend

Patrz  
 pustoszeje pustynia  
 samotnieją ostatni przechodnie

Uwolnieni od dyszla  
 od jarzma od stów i dni co na wiatr  
 uciekamy wpełzamy do jaskiń  
 do pleczar do jam do gniazd  
 bo nam z nieba zstępuje sobota  
 a jutro ogromna niedziela

Patrz  
 ona znów aksamitna  
 on znowu jak stal nierdzewna  
 jakby ich rydzień nie zorał  
 nie zużył nie start na proch

Będą się dziś miłowali  
 po obłęd po blask po łyż  
 po odpuszczenie grzechów  
 po zgon nienawiści

Tak jeszcze miłość  
 jak Mojżesz  
 umie z domu niewolli  
 wywleść lud swój na przetrzeń  
 pod gorejący krzak  
 do stóp kamiennych tablic  
 gdzie źródło bije ze skał  
 gdzie martwy powstaje z martwych  
 w ułwie niebieskiej manny

Tak jeszcze tylko braci urodzonych w czepku  
 miłość wspiera  
 i karmi i wraca im wzrok

Reszta unosi pod potą  
w chude zarosła miast  
inną przepustkę do raj  
ćwiartki akt strzelisty

Tylko sobota jest wieczna  
niedziela umiera młodo  
więc spieszmy się bracia zstępujemy  
do siebie w siebie i w głąb

gdzie wciąż bieleje w ciemnościach  
prawda jak naga kość  
co się najdłużej opiera  
żuchwom i szczękom robactwa

listopad 1977

### Pauza

Nie Tu nie ma wyboru. To jest planeta ludzi  
której nie wybierateś spomędzy galaktyk  
Tutaj w kawałek giiny tchnięto twego ducha  
tu się twój głos rozlega i tutaj ucichnie

Nas tutaj urodzili ci sami ojcowie  
ta sama uprzęż opłotta nam szyje  
i w tej samej dolinie pod północnym niebem  
danym nam bez wyboru jemy chleb i kamień

I nie wybierasz znaków które się zapisze  
na nietrwałym piaskowcu żeś był odtąd - dotąd  
ani tej chwili dreszczu z jakim się pojmuje  
jedną jedynność życia którego już nigdy ---  
i z jakim rozpoznajesz że w tej oto pauzie  
pomędzy odtąd. - dotąd masz się zawrzeć z wszystkim

W tej pauzie śpi niemowlę dziecko bada płomień  
człowiek gruntuje miłość nienawiść i trwogę  
opłakuje straconych uprawia niewierność  
kocha rodzi zabija odchodzi od zmysłów  
śni cudzożoły kłamie nie chce i pożąda  
woła milczy przebacza i już czeka grabarz

My wszyscy stąd: niewolność równość i braterstwo  
my wszyscy stąd: dyktator i kat i ofiara  
ten co bez sił w tramwaju i ten w mercedesie  
ten co został sprzedany i ten co go sprzedał  
ten co krwawi pod patką i ten co ma patkę  
my stąd kość z kości bracia Tu nie ma wyboru

A z za węgła wieczności patrzy na nas oko  
w które nawet nie wierząc wierzysz w przerażeniu  
i spływa kropla potu po paciorkach kregów  
a ty zastony szarpiesz i zasuwasz ściany  
a ty mówisz do kogoś do czegoś co milczy  
co milczeniem ponaglia domaga się żąda  
mówisz ja nie potrafię nie mogę odmawiam  
to niemożliwe krzyczysz ja nie mam wyboru

Tak my się niewolnicy boimy wolności  
- jednej jaką nam dano na niewolnej ziemi  
że przemoc wreszcie czcimy jak złotego cielca  
wzywając ją w pokłonach by nas wyzwoliła  
od zgrozy żeśmy przeciw jeden wybór mieli:

być nawozem pod prawdę czy pod bałwochwalstwo  
grudzień 1977

Anka Kowalska



## CZARNA I LUMINACJA

## /fragmenty powieści/

Zatem: siedziała w przedziale śpiąca, rozprażona, przytłamiona, czule rozradowana, ale przede wszystkim przerażona, podenerwowana, bo jak inaczey, skoro zupełnie znieznacka dla samej siebie, CO ZA WSTYD, została córką amerykańskiego szpiega.

Wprawdzie obywatelka Rosotowicz wyraziła się dosyć mgliście: - O Jezu, o Jezu - powiedziała chlpiąc - jeszcze z niego zrobią amerykańskiego najmitę! - ale ona już dobrze wiedziała, co to znaczy.

Najmitów były dwa rodzaje.

Jeden żył w dawnych ciężkich, sanacyjnych czasach, które opisywała nie szczędząc pióra poetka Maria Konopnicka: był chłopem/bez piędzi ziemi/, który z tobołkiem na plecach/albo bez tobołka/ szedł /wprost przed siebie/ i najmował się za kawałek czerstwego chleba do pracy /albo umierał/. Nad tym rodzajem najmitów trzeba było co najmniej pisać.

Ale ten drugi rodzaj żyje teraz, w tych samych czasach, co i ona, i jest niczym innym jak zazajonym w zaroślach Imperializmu sprzedawczykiem, który OJCZYZNĘ sprzedaje WROGOWI. Jednym słowem jest szpiegiem na usługach kapitalistycznych podżegaczy wojennych.

O tym, że szpieczy są, wiedziała doskonale: - Często chowa się w naszej świadomości fakt, że istnieje reakcyjny, defetystyczny szpieg w naszej rzeczywistości polskiej - powiedziała obywatelka profesorka Lepiszyska. I dodała: - Świetlana przyszłość świetlaną przyszłością. Jeszcze jeden nowy dom, jeszcze jednym nowym domem. Ale TY MŁODE POKOLENIE patrz pilnie i systematycznie w przyszłość i nie zezuj. Szukaj wroga! Odstawiaj jego sanacyjną przyłbicę. Wytrącaj z jego dłoni religiancką broń! Buduj przyszłość - to raz. Niech zawarczą motory stalowe - to dwa. Demaskuj wrogie ustrojowi socjalistycznemu elementy: szczury w ich ideologicznie wyleniałych futrach - to trzy. Niech wam się wznieśie ręka a Ojczyzna stanie się wzorem wzrostu sytuacji gospodarczej i społecznej w porównaniu ze stanem przedwojennym. Zapłoną bombki szczęścia w każdym robotniczo-chłopskim domu: oświetlą twarz Wielkiego Wodza Ludu Pracującego - SOSO, a wy w początku splenianego obowiązku z przedsmakiem się uśmiechniecie. Węszcie, czy ktoś nie wykrzywił twarzy w zatęchłym przedwojennym uśmiechu: Likwidujcie wrogi komunizmowi i człowiekowi pracującemu analfabetyzm! Wojna trwa! Jak nas powiadają poeci: nie tak daleko stąd, nie tak daleko płyną statki upłory! A w statkach jak w puszcze Pandory /pierwsza kobieta, którą wykuto/ albo kończenie Apolla/burżuazyjny, starożytny bóg wyroczni, zwany też Febem/ - zdradliwa treść: karabiny, bomby, granaty, miny i tanki i CO-CA-COLA! Są jeszcze trusty, filie karteli. Jeszcze są banki w Honolulu. Pałac i plażę, cztery garaże ma jeszcze Yanki w Honolulu! Jeszcze pączkują akcje, udziały i dywidendy w Honolulu! W zamglonych barach jazz i cygara i sherry brandy w Honolulu! Jeszcze policjant na każdym rogu strzeże bezprawia w Honolulu! Jeszcze się pluje gumą do żucia w twarze przechodniów w Honolulu! Honolulu - amerykańskie miasto na wyspie Oahu. Yanki - kapitalista. Jazz - pornograficzna dekadencja amerykańska parodia tańca. Coca-cola - narkotyki/. Przyszłości narodu polskiego - uwaga - uwaga: coca-cola, guma do żucia, stonka ziemniaczana, amerykański szpieg najmita - to twoi wrogowie, wrogowie twoich matek i ojców!

CZUJ - CZUJ. - CZUWAJ!

CZUWAJ! - zawyła wraz z całą klasą, głośno i pręźnie akcentując akcent na "aj".

I poszła do domu, żeby przygotować się do przemówienia-referatu, które to przemówienie-referat miała wygłosić na zebraniu szkolnego oddziału Młodych Harcerzy-Pionierów.

Nad stolicą stało słońce: czerwone, fioletove, obrzękłe jak twarz grochowskiego pijaka. Fioletowymi plamami naswietliło to na prawo most, to na lewo most, a w dole płynącą Wisłę. I plażę z szarawymi zakosami zleżącego śniegu.

Zleżały śnieg pod stopami, mroźne powietrze. Stolica dyszy mroźnie, ston-  
lica się buduje.

A ona idzie tak: niby to się ślizga, dlaczego by nie? Ma przecież dopie-  
ro czternaście lat, i to niedokończzone. I także niby to zwyczajnie idzie,  
i niby to zwyczajnie patrzy na twarze przechodniów, bo zezować to nie ona,  
to nie polska młodzież. Więc przygiada się nie zezem, ale jednak z ukosa,  
ukos to co innego niż zez, bo przecież może się zdarzyć, że właśnie tu, na  
tej ulicy, peryferyjnej; bo peryferyjnej, POJAWI się zmienacka SZPIEG!

Będzie miał wąsy i brodę/dla niepoznaki/ i mały aparat fotograficzny w  
ręce. Albo nie! Nie będzie miał wąsów i brody. Będzie miał tylko nieogolone,  
brzudowate, wyszarżate, zapadnięte policzki/dla niepoznaki/, jak por-  
ządny, pracowity robotnik wykwalifikowany. A aparat fotograficzny będzie  
miał umieszczony w jednym z guzików wyrudziatego, pocerowanego /dla niepoz-  
naki/ palta, takiego jakie nosi polski robotnik, porządny, pracowity, wyk-  
walifikowany albo niewykwalifikowany. Albo.

Niestety, na dzisiaj żadne "albo" się nie zdarzy, bo oto idzie już uli-  
cą Stalingradzką /dawną Malinową/. A na ulicy Stalingradzkiej stoi jej ka-  
mienica. To znaczy państwowa znacjonalizowana kamienica, a w tej państwo-  
wej, znacjonalizowanej kamienicy jest jej mieszkanie. To znaczy jej ojca.  
To znaczy kwaterekowe: pokój, kuchnię, niezyczna łazienka. Potknęta słu-  
no właśnie. Co jej się może zdarzyć na ulicy Stalingradzkiej innego? Gdzie  
tu jaki szpieg? Peño tylko tych cholernych wadotów.

Poczuła głód. I wstręt: na obiad będzie znowu kasza ze stoniną i szkian-  
ka herbaty z sacharyną, a sacharyną z tuż-powojennych zapasów Janeczki: też  
się miała z czym sprowadzić!  
Z sacharyną!

Zatrzasnęła drzwi wejściowe i pokuściła na czwarte piętro.

W przedpokoju jak zwykle śmierdziało pleśnią.

Ojca jak zwykle jeszcze nie było.

Janeczka szyła.

Pokój był zastany skrawkami materiałów, farfocłami nitek.

Zdjęła granatowy paltpcik, pociągnęła czerwonym nosem, położyła teczkę  
na parapecie okna w kuchni i usiadła przy stole przykrytym szarawą załuższ-  
czoną ceratą. Podkurczyła zziębnięte, przemoczone paice nóg.

Janeczka w szlafroku, z rozkręconymi, strąkawatymi włosami, w przydep-  
tanych pantoflach, zaczęła ogrzewać kaszę i jednocześnie modlić się: to  
mieszata kopyścią w garnku, to przesuwiała między brudnymi paicami różaniec.

No tak - no tak. Nie dość, że zimno, że twarz piecze mimo zimna jak ob-  
lana ukropem, nie dość, że ją coś boli, sama nie wie, co, ale coś, co spr-  
wia, że ani rusz nie może sobie wyobrazić przygotowań do wygłoszenia prze-  
mówienia-referatu, nie dość, że nie może sobie w tej chwili wyobrazić żad-  
nej bombki szczęścia, żadnego raj:u krynicznego, prężnego, jasnego i proste-  
go socjalistycznego, nie dość, że do kaszy nie ma dzisiaj stoniny, to je-  
szcze TA się modli!

A przecież już dawno-dawno temu obywatelka profesorka Lepiszyńska ska-  
sowała Boga i modliłty:

1/ Świat składa się z MATERI!. MATERI! i jeszcze raz MATERI!.

2/ I nie ma żadnej DYSKUSJI!

3/ Ani żadnego BOGA.

4/ Ani żadnej DUSZY.

5/ Bóstwa, Bóg, modliłty, zakiecia i dusze to tylko FAŁSZ i przeżytek  
wynikający z tego, że ludzkość MUSIAŁA przejść przez WIEKI ZACOFANIA,ciem-  
notę i ciemność. Przez wieki, w których tylko doktryna dynamicznego mater-  
jalizmu świeciła zrazu tylko nikłym ogarkiem, ale za to takim, który prze-  
mienił się w toku dziejów we wszechświetlającą żagiew, w krwawą dialekty-  
czną jasność Rewolucji - Parowozu Dziejów - Chwała Jej Maszynistom! Cóż, że  
wrogie wiatry powieją - Chwała płonącym iskrom!

Janeczka i ona. A pomiędzy nimi mętne fiołkowe-czerwone światło marca.  
i milczenie. Nie powiedziały sobie "dzień dobry", ani "jak się masz". Jane-  
czka patrzy przez okno, a ona siedzi i MUSI się przyglądać włosom na bro-  
dawce Janeczki. A brodawka na brodzie.

A włoś na brodawce taki: wstętny, obelżywy, jak ta, którą niedawno obserwowała, trawka. Drżąca z zimna i żałości łydyżka wychylająca się z topniejącego śniegu na niewielkim skwerku.

Twarz piecze. COŚ boli i ona MUSI wrzasnąć?

- Bo przecież BOGA nie ma!

Janeczka drgnęła i wytrzeszczyła oczy: - CO?

- Bo BOGA nie ma. ZOSTAĆ SKASOWANY!!! Do DIABŁA!!!

Jej głos dźgnął Janeczkę jak jakaś zbitkana, jeszcze wojenna kula, i Janeczka rozrzuciła ramiona, a potem zgięła się wprost, a potem padła na kolana: wążca się katedra; rażone piorunem drzewo; fortepian na bruk; ideał sięgający bruku. Padając przygryzła sobie język.

Poły szlafroka rozwiły się. Włosy opadły na twarz, a spomiędzy spopielających warg popłynęła ledwo dostrzegalna strużka krwi.

- Polsko Ludowa-mamo-mamusiu - co ja zrobiłam? - to pytanie przemknęło nie przez jej mózg, ale przez rdzewiejące, zaciskające się ze strachu żyły. Zbladła. Twarz wykrzywił grymas, a z ust pociekła strużka śliny. Zesztywniała.

I tak zastał je ojciec: jedna klęcząca - krew na brodzie. Druga siedząca - ślina, piana na ustach. Powietrze czarne od przypaiającej się kaszy: odstawił garnek, otworzył okno, załamał żyłaste dźwone. I wtedy obie ożyły.

- Antoni! Antoni! ona mi tu BOGA KASUJE! Ona mnie do grobu wpędza! - zapiszczała Janeczka cienko, jak przydeptana mysz.

A ona? Ona się zaczęła śmiać: - Orany. No nie. Nie mogę! Ona nie mogła przestać się śmiać, choć wcale się jej śmiać nie chciało. TO COŚ śmiało się za nią. - O rety. No nie. Nie mogę. - Złapała się za brzuch.

Ojciec podszedł do Janeczki. Podniósł ją. Powiedział do stojącej - WSTAŃ! - I to było nie do wiary, by stojący już człowiek mógł wstać, ale tak właśnie się stało. Janeczka stojąc, wstała: wyprostowała się. Wywyższyła.

A ona? Ona zamilkła i spojrzała ojcu w oczy. Mogła to zrobić, bo zdjęła okulary.

.....

Nie poszła na zebranie szkolnego oddziału Harcerzy-Pionierów. Nie wygłosiła przemówienia-referatu, który punkt po punkcie, szczegółowo, planowo, został omówiony z obywatelką profesorką Lepiszyńską. Wygłosić go miała z pamięci:

"Koledzy! Harcerze-Pionierzy! Tematem dzisiejszego spotkania, które powinno przbiec w bratniej, pionierskiej, sięgającej najlepszych tradycji i wzorów, atmosferze, jest temat, z którym już napewno spotkaliście się na swojej słusznej drodze życiowej! Bo taki temat musi się i należy spotkać. To nasze powołanie, byśmy ten temat spotkali, bowiem w pierwszym szeregu idziemy walczących ludowych mas, wznosząc do góry i czoło i pięść, my nowe życie tworzymy i nowy ład, a ponad nami jak sztandar płynie pieśń. Tematem tym jest NAJGŁĘBSZA TREŚĆ REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO.

Co jest najgłębszą treścią Realizmu Socjalistycznego? - pytam. I po wnikliwej analizie, a także z doświadczenia artystów naszej epoki, odpowiada: otóż najgłębsza treść Realizmu Socjalistycznego polega na tym, żeby MALOWAĆ robotnika i chłopca zdrowego, i silnego, jak stoi przy maszynie zdrowej i silnej, która nie jest mu obca, nie wyniszcza go i nie przeciwstawia jako narzędzie wyzysku człowieka przez człowieka i odwrotnie. Przy maszynie, która nie czyni go obcym w najgłębiej pojętym procesie produkcji

Najgłębszą treścią Realizmu Socjalistycznego - kontynuuję - jest, żeby zdrowego chłopca i zdrowego robotnika potoczonych słuszny i pozytywnym historycznie sojuszem robotniczo-chłopskim PRZEDSTAWIAĆ wśród rzeczy, które wytworzył, i żeby rzeczy te były przedstawione tak, by od razu było wiadac, że nie rządzą one wytwórcą jako tak zwany i szeroko znany w kapitalizmie FETYSZYM TOWAROWY.

Koledzy! Harcerze-Pionierzy! Oto wiemy już na czym polega najgłębsza treść Realizmu Socjalistycznego, który jest jedną z największych zdobyczy

krajów Obozu Socjalistycznego.

Wnieśliśmy zatem okrzyk - Niech żyje i rozkwita Realizm Socjalistyczny. Niech żyje! Niech żyje!

Precz z defetystycznym, dywersyjnym hasłem: sztuka dla sztuki!  
Precz! Czuj-czuj-czuwaj!"

- No, no, no - obywatelka profesorka Lepiszynska poklepała ją po plecach: no, no.

No; właściwie to nie umniejszając poklepywania po plecach, obywatelka profesorka Lepiszynska mogłaby dostrzec w niej coś więcej, niż zwykłą uczennicę, która sumiennie potrafi przygotować referat.

Bo przecież, dla niej samej przynajmniej, jasnym jest, że nie jest wcale taką sobie zwyczajną uczennicą, ale taką, o której będą się kiedyś-kiedyś dąs uczyły dzieci z podręczników. A w tych podręcznikach będzie im zadane "od-do". A wszystko to pomiędzy tym "od-do", będzie wyjącznie o niej - Wielkiej Córce Narodu Polskiego.

Kiedyś-kiedyś czternaście lat, takie jak ona teraz, dzieci, będą wpatrywały się z zachwytem w obłitą na papierze fotografię. Z takim samym zachwytem, z jakim ona teraz wpatruje się w, dajmy na to, fotografię Wielkiego Syna Narodu Polskiego - Konstantego Rokossowskiego, albo w fotografię Wielkiego Syna Narodu Polskiego - Feliksa Dzierżyńskiego - Budowniczego Nowego Świata, Świata robotników i chłopów. Czuj-czuj-czuwaj.

A przecież i oni chadzali sobie po planecie ziemi tacy mali-małyteńcy, czy to w deszcz, czy to w śnieg, czy to w słoneczną pogodę. I nie od razu byli wyłącznie bohaterami, choć już od wczesnej młodości głęboko odczuwali wszelką krzywdę społeczną i nędzę.

Także i ten Największy pośród Największych, którego portret wisi nad głową obywatelki profesorki Lepiszynskiej, którego oczy patrzą tak groźnie i jednocześnie tak łagodnie prosto na nią, chadzał sobie do szkoły, czy to w deszcz, czy to w słoneczną ujmującą pogodę i był taki skromny; miał czerwoną torbę na kajety i czerwony szalik; i żaden z jego nauczycieli nie podejrzewał, że TERAZ... ach! TERAZ!

Teraz nawet pieśń o NIM ośłaca JEGO IMIĘ. Imię jasne jak zew. Imię wielkie jak świat, nasza flaga zwycięstwa, nasz

STALIN! Stalin - naród to nasz, lud co w przyszłość się rwie nad skaliste iglice, korony, Stalin - orli to lot, Stalin - radość i śpiew, Stalin - woia i umysł narodów!

O nie! Nie, żeby porównywała. Gdzieżby śmiała. Porównanie byłoby zwyczajnym świętokradztwem!

O nie! Chodź tu tylko o tych, którzy siedzą sobie obok czternaścieletniego człowieka i NIE WIEDZĄ, że siedzą obok BOHATERA. Którym czasami chowa się w ich świadomości fakt, że bohaterów stwarzają okoliczności dziejowe. Przecież wystarczy żeby, co daj Boże, zaistniały okoliczności dziejowe, jakaś nowa wojna, daj Boże, czy co, by taka sobie zwyczajna uczennica przestała być zwyczajną uczennicą, patrz Zoja Kosmodemianskaja.

O! Profesorko Lepiszynska - czekam na okoliczności, które mnie stworzą, zbudują i będę bohaterem. NA OKOLICZNOŚCI!

Wszak nawet żaba bez okoliczności nie ma tkanek międzykomórkowych. Wszak przecież dobrze zapamiętała wykład tejże samej obywatelki, która teraz zapomina i poklepuje po plecach, wykład wygłoszony na godzinie wychowawczej, którą przysięgnął Achu nazywał godziną policyjną; niech sobie nazywa, raz - że policji w Polsce nie ma, tylko milicja, więc co to za obrazek, a dwa - to był grupny wariat od czasu, kiedy wymieniono stare pieniądze na nowe: bardziej odpowiadające żywotnym interesom narodu polskiego.

Cicho szał, czy szut, szut - ale to był dziw nad dziwy - odpowiednio władze WYPUŚCIŁY Achę po roku i Achy przyszedł z powrotem do szkoły, bo gdzie? I znowu został woznym z odpowiednią adnotacją - nieszkodliwy przysięgnął, zagwarantował mu pracę.

Obywatelka profesorka Lepiszynska nie powiedziała nie, a grono nauczycielskie po kątach mówiło - jednak ten reżim nie jest TAKI ŻŁY, ciijil

A dzieci za Achem wołały: Achu sra ze strachu na milicyjnym odwadnuciu i tak dalej, i jeszcze dalej, co przysięgawka to rytmiczniejsza. W za-



mian mógł sobie Achu nazywać godzinę wychowawczą godziną policyjną - durny, naiwny i bez jednej ręki, skąd miał wiedzieć, że na takiej właśnie godzinie wychowawczej wiano w serce dziewczyny, czternastoletniej dziewczyny, na-dzieję, pewność, że zostanie Bohaterką? I że to właśnie obywatelka profesorka ją wiała? I że za to godzinę ową i samą obywatelkę profesorkę należy szanować? Czcić? Cóż on zresztą mógł wiedzieć o obywatelach profesorach, na pewno nie spotkał ani jednego takiego jak Towarzyska Lepieszyska w mrocznych przedwojennych czasach, kiedy nauczyciele służyli interesom klasy posiadającej? Zresztą nie chodził przecież wcale do szkoły, biedny, czy ktośkolwiek mówił kiedykolwiek do niego tak jak mówiła do nich profesor Lepieszyska?

- Pamiętajcie młodociu koleczy, towarzysze in spe /w nadziei/, że jednym z waszych naczejnych obowiązków, jako przyszłych obywateli z dowodami osobistymi uprawniającymi do głosowania na wybranych uprzednio synów narodu polskiego, jest wzmocniona czujność: szpieczy, dywersanci i sabotażyści starają się jak mogą, by przeszkodzić w budowie socjalizmu, chociaż wszelkie historyczno-społeczne przesłanki prowadzą prosto i nieodwołalnie ku jego budowie. Socjalizm to statek, który woiwo, równomiernie, choć jednocześnie rewolucyjnymi skokami płynie ku brzegom komunizmu, ale szpieczy, dywersanci i sabotażyści w swej śmiesznej i zbrodniczej nadziei działają szastając na prawo i lewo dołarami wetkniętymi i im w zbrodniczą pięść przez światowy imperializm, który nie wyrzekł się apetytu, lub przez Wojnę Europę - sprzedają stłuskę dogorywających ustrojów; i choć nikt nie słucha u nas tej szcękaczki, to jednak ona szczeła starając się ostatecznie Duchą Narodowe-go w pełni wyzwolonego z pęt klasowego myślenia i sprzecznych klasowych interesów. ALE.

Ale jest jedno ALE. Czy u wszystkich ludzi zamieszkujących nasz kraj jest ów Duch Narodowy czysty i bez skazy? - pytam i odpowiadam - NIE!

Nie wszyscy potrafili się zdecydowanie przeciwstawić demonicznemu, usypiającemu wpływowi dolara i wizji sytości i natychmiastowego zaspokojenia wszystkich swoich fizjologicznych zachcianek.

To z tych właśnie ludzi, powinien powiedzieć, zwierząt, rekrutują się pomaglerzy kontrrewolucji, kontrsocjalizmu, kontrkomunizmu. To w nich właśnie rozpleniają się ogniska choroby. To w nich tłuścieje wirus. To oni stwarzają okoliczności, które są wrogiem naszemu ustrojowi; okoliczności, które mogą sprawić, że za nimi pójdą inni, przechodząc na lep wrogiej propagandy.

#### OKOLICZNOŚCI!

Wiadomo, że bez nich nawet żaba nie ma błon komórkowych! W swojej znakomitej pracy zatytułowanej "Twórcze znaczenie prac Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina dla rozwoju nauk przyrodniczych" znakomita radziecka uczona Olga Lepieszyska pisze: "przytoczę przykład ze swoich doświadczeń nad stwierdzeniem istnienia błon komórkowych. Większość uczonych negowała istnienie błon komórkowych w komórce zwierzęcej i dlatego nie badano ich zupełnie. Uczeni ci uznali, że błonę komórkową mają tylko komórki roślinne. Mnle udało się znaleźć mechaniczne i chemiczne sposoby rozrywania tych błon; za pośrednictwem tych metod można wykazać obecność błon w komórkach zwierzęcych oraz badać ich rozwój i zmienność. Odkrycie to narobiło wiele szumu i stało się przyczyną wielkiej dyskusji. W latach dwudziestych zostałam wydelegowana za granicę do Berlina. Tam, w laboratorium Biumantheta zaproponowałam mi powtórzenie wszystkich moich doświadczeń nad wykryciem i udowodnienie błon komórkowych w komórkach zwierzęcych. Począłam stosować swoją metodkę, i - co za pech! - nic nie wychodzi, błony komórkowe nie ukazują się... Po wszechstronnej analizie i nieprzespanych nocach ustaliłam, co następuje - w Moskwie prowadziłam prace z krwią GŁODNYCH żab z zimowego miotu, a tutaj przyszło mi pracować na SYTYCH żabach z miotu jesiennego, które nakarmiono muchami...!"

#### ZATEM!

Zatem młodzi towarzysze in spe, coś z przytoczonych fragmentów cytatów wynika?

Zatem wynika z nich to, że bez odpowiednich okoliczności nawet żaby nie mają błon komórkowych. Syte, objedzone niemieckimi muchami - nie mają. Głor

dne, radzieckie. - mają! Nazarte niemieckie żaby przestały być podporą dla znakomitej uczonej; zaczęły się jej opierać!

Młodzi towarzysze! SYTY, najedzony imperialistyczną dolarową papką człowiek przestaje być podporą naszej władzy ludowej! Zaczyna się jej opierać! Zatraca kościół moralny! BACZCIE WOKÓŁ czujnie! Ogniska podejrzanego sytości mogą być ogniskami antyludowej, antysocjalistycznej zarazy! Ośrodkiem rozmiękczenia; Źródłem zakażenia burżuazyjnego sposobu myślenia, nihilizmem i ideaми sprzecznymi z ideaми postępowej polskiej klasy robotniczej. Czuj-czuj-czuwaj!

Ot i co. A to ci chytra, podła żaba. Zje - nie ma błon. Nie zje - ma. Już ona tam wykupuje te syte, te rozmięczone, te bez kregostupa żaby, te indywidua z kieszeniami napchanymi dolarami, dolarową papką zgnitozieloną. Już jej tam nikt na taką sytość nie nabierze, nie namówi, już ona tam zostanie największą, najzwinniejszą łapaczką żab, bohaterką, wielką córką narodu polskiego.

A swoją drogą, to ciekawe, jak takie indywiduum bez kregostupa musi wyglądać: chyba ma na sobie drogie amerykańskie, z pacaek, ciuchy, może bikiniarskie spodnie i buty na potrójnej przyszwile, skarpetki w paski, czub na głowie, a na ustach zwierzęcy uśmiech? E, chyba nie. Takie głupie to indywiduum chyba nie jest - tak chodzą ubrani jedynie ci, którzy mogą pójść dopiero za indywiduum przechodząc na lep wrogiej propagandy. Samo indywiduum raczej, dla niepoznaki, chodzą ubrane w wytarte, wyszarżane ubranie, jak porządny, pracowity robotnik, i jak on ma włosy szczesane do tyłu, a wychudłymi dla niepoznaki wargami pali sporty dla niepoznaki. Za to w domu może mieć ukryte guziczki. Naciśnie taki guziczek, a tu z ukrycia wyłania się SZYNKA, KABANOSY, TORTY i NARKOTYCZNA COCA-COLA, i AMERYKAŃSKIE PAPIEROSY i PRAWDZIWA KAWA, i W OGÓLE. i SHERRY BRANDY i JAZZ, zupełnie nie jak w zamglonych barach. Także na deser GUMA DO ŻUCIA! A potem pstryk i wszystko się chowa dla niepoznaki. U Olka Kani jest właśnie taki dom, gdzie wszystko się chowa, na przykład łapcza podnosi się do góry, żeby było więcej miejsca. A ze stołki, na którym się je, robi się półkę na książki, żeby było więcej miejsca. A jak się do niego przychodzi, to się dostaje nawet kawę zbożową i chleb z ieberką na stoliku, który był półką na książki, ale książki się zdejmują i wynosi do kuchni, a z półki robi się stolik. No, no. Ciekawe, trzeba się czujnie przyrzec temu Olkowi Kani, może ta cała ieberka to jest właśnie taka rozmiękczająca sytość?

A swoją drogą to ciekawe jak wygląda taka PRAWDZIWA żaba, żywa najprawdziwsza obiektywnie istniejąca żaba? Jeszcze nie widział. Wprawdzie raz była nad Wisłą i bała się, że ją obskoczą kołem, ale nie obskoczyły. Ani jedna. Wszystko inne, owszem było, i fala skottuniona i mętna, i zakaz, pod odpowiedzialnością karną, kąpiel. i szary piasek cuchnący szlamem. i krzaki cuchnące kałem. i niebo mętne i cuchnące burzą. i ciała ludzkie. Obrzydliwe. I ani jednej żaby. I dobrze.

#### OKOLICZNOŚCI!

One tam-gdzieś są: i głupio wam będzie, którzy teraz poklepujecie po plecach i mówicie - no, no. Głupio będzie kiedyś - kiedyś obywatelce profesorce, która choć tyle wie i taka cała jest przekonana, to jednak nie widzi, że nie siedzą tutaj we dwie, w tym Nauczycielskim pokoju pod mądrym i spokojnym okiem Wodza, ale we trójkę: czternastoletnia dziewczyna, o której kiedyś będzie w czytankach "od-do", obywatelka profesorka, która teraz mówi "no-no" i BIOGRAF czternastoletniej dziewczyny. To on już teraz, trzymając rękę na pulsie wydarzeń zapisuje i komentuje to, co będzie kiedyś-kiedyś w "od-do".

Ciekaw! Och, jakie ciekawe, co teraz pisze o niej jej Biograf? Jak mu zajrzeć przez ramię?

Nie. To przecież niemożliwe, takie zaglądnienie, i nielojalnie. Lepiej wrócić do referatu. Więc: a może by tak dodać na jego koniec jeszcze taki akapit? Realizm Socjalistyczny to radosna kłębina, radosny młot, radosny ktoś, radosny pot? Radosny robotnik, radosny chłop, równaj krok?

Ojciec przeczytał: bolesna wieść spo-wiła kirem żałoby flagi na warszawskich domach mieszkających i urzędach. Ranek wstał zasnuty mgłą, za-

54  
prakany deszczem. Ludzie snuli się po ulicach smutni, przygnębieni. Kto nie słuchał komunikatu radiowego, nie potrzebował zadawać pytań. Żałosna prawda przebijająca z wszystkich twarzy.

- No nie - powiedział - "żałosna prawda", ktoś za to poleci karmić szczury na Rakowieckiej.

Co to była za owa "żałosna prawda" dowiedziała się dopiero po pogrzebie Ojca Postępowej Ludzkości, Wodza Ludu Pracującego Całego Świata, Woli i Serca Milionów, Największego z Największych, Sekretarza Komitetu Centralnego KPZR - Józefa STALINA.

To jego śmierć była ową "żałosną prawdą".

- To fascynujące - powiedział ojciec - że trzech największych ludojadów wszechczasów pochodziło z lumpenmieszczańskiej warstwy - Hitler, Mussolini, Stalin.

STALIN. LUDOJAD! I ziemia się nie zapada. I nie czernieją trawy, i nie zanika słońce i nadal świecą gwiazdy. I kotkiem ojcu język nie stanął w gardle. I ona nie umiera w boleściach. Odwrotnie - jest pełna życia, choć smutnego, choć ciężkiego.

- Maniu-Maniusiu cud - załkała w pokoju Marii Mazurkiewicz, serdecznej koleżanki - co ja mam robić?

Mania-Manusia cud, serdeczna koleżanka, powiodła czarnym okiem po pokoju, czystym, jasnym i prostym pokoju człowieka pracy: na białej ścianie udrapowana czerwona flaga. Po obu jej stronach portrety. Z jednej strony towarzysza Bierut. Po drugiej towarzysz Stalin. Pod flagą i portretami stolik, a na nim sierp i młotek. I jeszcze Krótka Kurs Historii WKP/b. Wstała, podeszła do okna i zastukała palcem w szybę. Na portrecie Stalina czarna opaska. Czarna szrama, a jeszcze tak niedawno żył i tak cudownie było razem z Maniusią, Maszeńką-cud pisać wypracowanie szkolne o nim. Temat: Napisz dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczyste rocznice urodzin J. Stalina.

Wypracowanie domowe pod tytułem: dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczyste rocznice urodzin J. Stalina. Odpowiedź: Ponieważ posiada on pozytywne cechy osobiste, jak: mądry, wytrwały, ogólnie wielki człowiek, ideowy, warto go naśladować, wzorować się na Nim. Ponieważ położył wielkie zasługi w walce o komunizm, w walce z wrogiem świata imperiałizmem światowym. Ponieważ nadał kierunek rozwojowi dziejów historycznych, ponieważ jest wielkim i niezaprzecalnym jedynym przywódcą klasy robotniczej, ponieważ dba o ludzi pracy jak najlepszy Ojciec i jeszcze lepiej, ponieważ jest filozofem i filologiem i naukowcem-geniuszem, ponieważ stworzył naukowy system naukowy, czyli pogląd na świat, ponieważ istnieje zagwarantowana przez Niego niepodległość Polski Ludowej, a nie musiata istnieć.

- Ty się od niego natychmiast odetni! - odezwała się wreszcie Maśza-cud.

.....  
Gdzie są te gigantyczne nożyce?

Następnego dnia chodziła ukradkiem z obywatelką profesorką Lepiszynską. Jak jej to wszystko powiedzieć? Od czego zacząć to odcinanie, czy powie-trze będzie pełne krwi, kap-kap? Mamo-mamusi-Polsko Ludowa, przeżyły to wszystko na jutro, spakuje rzeczy i do internatu. Zaraz-zaraz, jakie rzeczy? Dlaczego ona nie ma RZECZY? Tylko jedno maćki barchanowe i jedno pocerowane cięsnie na lato, i jedną koszulę, która jej zastępuje piżamę i szlafrok, i jeden sweterek spłowiaty-granatowy, i jedną spódniczkę przenicowaną ze spodni ojca i bluzkę białą i taftową sukienkę od parady, trzewiki i wiśniowe półbuty i jeszcze fartuch z podszewki i wspaniałą chustę pionierską i to wszystko, kur de balans. Acha, i pasek do pończoch i pończochy, oczywiście, i dwie chusteczki do nosa. I czerwoną kokardkę - nawet dwie czerwone kokardy. No i pióro, ołówek i te tam szkolne, potrzebne, owszem, rzeczy, książki, zeszyty, dziennik ucznia: nazwisko, imię, rok urodzenia, pochodzenie społeczne, imię ojca, nazwisko panięskie matki, miejsce urodzenia, data urodzenia. Dobrze i to, takie ma rzeczy i takie zabierze do Internatu.

W te pędy do domu, do mieszkania, które już nie było domem.

W mieszkaniu, które kiedyś, jeszcze wczoraj, było nie było, było domem, płac i zgrzytanie zębów - tak jakoś to zobaczyła. Tak jak gdyby było to

wypisane na ścianie: PŁACZ I ZGRZYTANIE ZĘBCW.

- - No - pomyślała - ta Janeczka, jak już coś wymyśli: albo płacze, albo szyje, albo modli się, co za element!

Ale co tu robi obywatelka Rosołowicz? Dlaczego obywatelka z Janeczką obtańpują się? i całują. I płaczą i całują się, tfu.

CO? JAK TO ARESZTOWANY? KTO? Niemożliwe! Przecież jeszcze nikomu nic nie powiedziała, jeszcze się na dobre nie odcięła, ciach-ciach! Więc jak to możliwe, by ojca aresztowano, dlaczego?

Obywatelka Rosołowicz powiedziała dlaczego: NAJMITA. SZPIEG!

JEZUS MARIA!

Najmita-szpieg, a ona nie miała oczu, gdzie ona miała oczy, mamó-mamó-siu-Polsko Ludowa, Matko Boska Częstochowska. Czego szukała za każdym węgiem kamienicy? Kogo chciała wypatrzeć z ukosa, czuj-czuj-czuwaj? A tu szpieg pod samym nosem. I jaki sprytny: gdzie te lalki z wmontowanymi bombami zegarowymi? Nigdy nie miała żadnej lalki. Gdzie te DOLARY? Ciągłe kassa, skwar! i sery, i marmolady buraczane. Gdzie ta sytość, która rozmiękcza kręgosłup moralny? Każdy by zgłupiał, gdyby popatrzył na tego zmęczonego człowieka z rękami uwalanymi fabrycznymi smarami, a co dopiero ona. Ona, która nie przygiadała się swojemu ojcu dłużej niż tego wymagał: patrz na mnie kiedy do ciebie mówię!

A to z niej bohaterka! Biografowi chyba się kiszki przewróciły na nice. Że też tylko raz się zdradził - łudojad - powiedział, i jeszcze coś o tej "żłotosnej prawdzie". Zareagowała prawidłowo. Wzniósła do góry pięść-uzbrojoną w nożyce, ale za późno, za późno, za późno, życie skończone, tak pięknie zaczęte, takie życie, z takim prawidłowym pochodzeniem społecznym, choć sekunda-chwilieczka, jak to jest właściwie z tym jej pochodzeniem społecznym?

.....

-- - Co za historia, co za historia - biadała obywatelka Rosołowicz.

- A historia, historia; Historia pisana babskimi serdecznymi łzami - Janeczka krztusiła się i szlochała. A kiedy przestała szlochać zarządziła: mała wyjedzie do dziadków, do Leśnego Brzegu, zaraz-natychmiast, Jezus, Jezus.

Proszę bardzo, niech będzie, i tak życie skończone, tak pięknie zaczęte młode życie, niech się dzieje co chce, niech ją wywożą do jakichś mitycznych dziadków, do jakiegoś Leśnego Brzegu, gdzieś na peryferie historii, w geograficzny zautek, hyle prędzej, była dalej od Mani, Maszeńki-cud, od obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, nie zastąpiła, by nadal patrzeć w ich oczy.

Zyta Gryszyn



## DWA ROZDZIAŁY Z POWIĘSI "CYRK"

## XX. Listy do Ropuchy

Wiśniewski, członek Komitetu Powiatowej w Tereniewie, czterdziestolatek o z lekką ponurą fizjonomii, w granatowym garniturze, i Mika, instruktor z Wydziału idioidalnego tej komitetu, młodszy o jakieś dziesięć lat ryży grubas w sweterku koloru żółtek, usiedli na sali konferencyjnej i zaczynają uzgadniać szczegóły seminarium filozoficznego dla aktywu powiatu. Mika, który bezpośrednio odpowiada za seminarium, już wczoraj przystąpił do propozycji, ale wczoraj Wiśniewski był na odprawie w Komitetu Wojewódzkiej i nie miał czasu na rozmowę. Dziś zaś z samego rana Wiśniewski zajął do instruktora i powiedział "no, to chodź, usiądźmy", a że odstąpił swój pokój na pewną trudną rozmowę z ludźmi z zakładu, więc usiedli właśnie tu, w nie zajętej chwilowo sali konferencyjnej, na rogu stołu prezydalnego. Mika odsunął paprotkę, przysunął popielniczkę, wyjął z kieszeni kartkę maszynopisu i położył przed Wiśniewskim. Na kartce podane zostały tematy prelekcji i proponowane nazwiska prelegentów.

- "Penetracja": Klimek - czyta Wiśniewski - dobra, "Rewizjonizm": Tomala, kurwa - odwraca się w stronę okna - co tu tak wieje?

Mika wstaje, przechodzi obok palmy stojącej w wiekiej donicy i przysmyka okno.

- Wieje, kurwa - potwierdza.

- Ten Tomala to znakomity facet - zauważa Wiśniewski.

Mika, który wrócił do stołu, podchwytuje:

- Przyjebał.

- Przyjebał - powtarza Wiśniewski i kontynuuje czytanie: "Dywersja":

Klimczak, poczekał, stary, dywersja już była.

- Była penetracja.

- A to nie to samo?

- Nie, stary, penetracja to od "penetrować", a dywersja, to, wiesz, dywersant, dywersyjny...

- Dobra, "Demokracja idioidalna": Skrzypczak, skąd on jest?

- Z uniwersytetu, występował w telewizji, równy gość.

Przy temacie "Humanizm" na kartce przygotowanej przez Mikę figuruje zamiast nazwiska znak zapytania.

- Może - Mika referuje swoje wątpliwości - by dać tego Robocińskiego?

- Dawaj Robocińskiego - cieszy się Wiśniewski.

- Też - tłumaczy Mika - zalecają wciąganie wybitnych specjalistów.

- Dawaj Robocińskiego, potwierdza Wiśniewski - on zresztą tam, w środowisku, nie ma wcale takiej dobrej opinii...

- Skleroza.

- Boję się trochę, że będzie mówił nie na temat, tym bardziej, że, stary, on przecież nie jest od humanizmu, tylko od dobrej roboty.

- To co, dajmy spokój temu Robocińskiemu.

- Wiesz bracie, dajmy spokój temu Robocińskiemu.

- No to kogo do humanizmu?

- Klimczuka?

- Klimczuk ma Dialektykę/Klimczuk, jako autor świeżo wydanej książki "Dialektyka" - jak żywy! jest niewątpliwym specjalistą od Dialektyki/.

- Szkoda - martwi się Wiśniewski - że ten Tomala ma rewizjonizm, on by, bracie, zap... humanizm.

- Możemy zmienić...

- Wiesz, stary, zmienimy, dajmy Tomali humanizm, wiesz, Tomala ma ten nerw. Skreślam i piszę. Tylko, kurwa, żeby znów nie przyszedł schlany. A ty wiesz, jaki Tomala miał numer: trzyma raz mowę do studentów, widać, że wstawiony, i tam mu próbują podskakiwać, wiara się wkurwiła, a on "dzieci, chodźmy na piwko". i dostał okiaski.

Mika wybucha głośnym śmiechem, odchylił się do tyłu, odsuwa się z krzes-

stem od stołu, rozsłupa kolana, kładzie rękę na narządach płciowych i od-  
wzajemnia się własną dygresją:

- Nie widziałeś wczoraj Zenka...

- U Mariana?

- Tak, nie widziałeś Zenka, piliśmy, potem przyszedł Adamczyk, a tą  
wiesz...

- Kawał dupy.

- Kawał dupy, przynieśli pół litra, wypiliśmy, o pierwszej w nocy Zenek  
poszedł do siebie, przyniósł pół litra, Adamczyk poszł o drugiej, zaraz  
była trzecia, Zenek poszedł do łazienki, narzygał, usiadł i zasnął.

Na salę wchodzi goniec, zbliża się do ustawionego pod oknem stołu paczek  
z broszurami i bierze dwie paczki.

- Co bierzesz, "Prawdziwe oblicze Ameryki" czy "Rewolucję naukowo-tech-  
niczną"? - zaniepokoił się Mika, któremu podlega kolportaż literatury.

- Amerykę.

- Dobra, idź.

- O której wyszedłeś? - pyta Wiśniewski.

- Zaraz po trzeciej, a on tam jeszcze spał.

- Dobra - Wiśniewski pochylił się znowu nad kartką - komu w takim razie  
damy rewizjonizm, może Klimczukowi?

- Nie: Klimczuk - Dialektyka.

- A prawda.

- Jedź dalej, może coś się wymyśli.

- "Materializm a idealizm": Grochala, w porządku, "Patriotyzm a interna-  
cjonalizm": Skrzypek...

- Poczekaj - przerywa Mika - a może by dać Grochali rewizjonizm?

- Tak, piszę, a Klimkowi materializm a idealizm...

- Klimek jest od penetracji.

- Tylko od penetracji?

- Tak, Klimek jest najlepszy w penetracji.

- Materializm a idealizm - penetracja - przymierza Wiśniewski - niby  
sprawy pokrewne.

- Materializm a idealizm - dywersja: sprawy pokrewne, ale penetracja to,  
stary...

- Rozumiem, rozumiem, a dywersję dałeś...

- Klimczukowi.

- No to dawajmy Klimczoka do materializmu a idealizmu.

- Pisz. Tylko teraz komu dywersję?

- Jedziemy dalej, może się wyklaruje, "Dialektyka - jak żywy": Klimczuk

... A choćby Klimczukowi.

Mika się zdenerwował:

- Klimczuk spec od Dialektyki.

- A prawda, "Fideizm": Klimczak, zgadzam się, dajmy dywersję Klimczakowi

- Stary, nie wygłupiaj się, gdzie fideizm a gdzie dywersja?

- A fideizm to niby nie dywersja?

- No jak tak podejść...

- A jakbyś chciał podchodzić. Już piszemy: "Dywersja" - Klimczak. Acha,  
i to koniec.

Wiśniewski wyprostowuje się na krześle i żartobliwie podsumowuje:

- No to, Mika do roboty.

- Chwileczkę - dziwi się Mika - a fideizm?

- Acha, fideizm, kurwa, poczekaj.

Wiśniewski nie może się zorientować w pokreślonej kartce. Mika przysuwa  
kartkę ku sobie i patrzy, kto pozostał wolny.

- Jest: Klimczok miał dywersję, to wypadaloby, że Klimczok dostanie fi-  
deizm, ale tu jest też nie obsadzony rewizjonizm.

- Rewizjonizm?

- Zabrałeś rewizjonizm Tomali i teraz, kurwa...

- Możemy zostawić Tomali rewizjonizm. Pisz.

- Pięknie, tylko kto zrobi humanizm?

- A choćby Klimczok?

- U mnie Klimczok miał dywersję.

- Klimczok - sentencjonuje Wiśniewski - spec od dywersji, przywrócić.

- Czekaj, czekaj, rewizjonizm właśnie że jest obsadzony!

Wiśniewski, który już zupełnie przestał panować nad sytuacją, udaje zainteresowanie i patrzy pytająco.

- Grochała! Grochałaż.. - Mika natęży się - tylko, że u mnie było Grochała: "Materializm a idealizm".

- i dobrze było - mówi Wiśniewski - przywracaj.

Mika przywraca, Wiśniewski bierze do ręki kartkę, przebiega wzrokiem po bazgrane tematy oraz nazwiska i podnosi się. A na kartce, którą Mika chowa do kieszeni, podane jest, prawie tak, jak było na początku, w jego projekcie, tylko bez "Humanizmu"/wypadł w zamieszaniu, ale nic się nie stało, bo Tezy zalecają elastyczność w doborze tematyki/, że Skrzypeczak będzie mówił o demokracji idioidealnej, Skrzypek o patriotyzmie a internacjonalizmie, Tomala o rewizjonizmie, Grochała o materializmie a idealizmie, Klimczak o fideлизmie, Klimczuk o Dialektyce jak żywa, Klimczok o dywersji i Klimek o penetracji.

Ale nie jest widocznie dane Wiśniewskiemu i Mice realizować tak gruntownie opracowany program seminarium filozoficznego. Na stole przydzielonym rozlega się telefon. Wiśniewski podnosi słuchawkę i Mika już po pierwszych słowach Wiśniewskiego "tak jest", "tak jest", "tak jest, towarzyszkę" domyśla się, że telefon jest z samej Komitetu Główniej. "Oczywiście!", "ma się rozumieć, towarzyszkę", "tak, natychmiast", "jeszcze dziś", "robi się, towarzyszkę". Wiśniewski notuje coś pod dyktando, jeszcze raz powtarza "tak jest" i odkłada słuchawkę.

- Wszystko do dupy.

- Co? - dziwi się Mika.

- Wszystko. Trzeba przemodelować. Wszystko pod kątem ostatnich wydarzeń w Stolicy. Ale na to będzie jeszcze czas. Teraz, Mika, będą potrzebni ludzie pozytywni. Przedzwonisz na zakłady i niech będą tutaj zaraz.

- Akcja? - próbował się domyślić Mika.

- Nie, podpisy - odpowiedział Wiśniewski.

Mika wrócił do swojego pokoju i zaczął po kolei wydzwaniać do najbardziej pozytywnych towarzyszek z przedsiębiorstw, zakładów i biur na terenie powiatu. Wykonał swoje zadanie sprawnie i już po godzinie w gabinecie Wiśniewskiego siedziała przodująca nauczycielka miejscowego liceum, magister Jadwiga Sępułik. Wiśniewski podał jej rękę, posadził na krześle naprzeciwko swego biurka i twarz jego przybrała ów wyraz troski tak dobrze znany aktywowi powiatu a zapowiadający z reguły, że za chwilę zakomunikuje on coś niezbyt przyjemnego i sprawiającego kłopot: a to zaostrenie się walki idioidealnej, a to dalsze ściśnięcie mieszkań, a to konieczność odbycia jakichś prac społecznych w miejskiej ubikacji publicznej lub gnojowni spółdzielni produkcyjnej. Sępułik zaś, która bardzo dobrze rozumiała ogrom trudności, z jakimi musi się borykać Wiśniewski, i zawsze pragnęła użyć mu w miarę swych skromnych możliwości, zrobiła ował minę pełnego zrozumienia, połączoną z potakującym kiwaniem głowy, jeszcze zanim rozmówca otworzył usta, minę, która wywoływała nieodparte wrażenie, że ona z góry wie, co jej się ma dopiero zakomunikować. Więc gdy Wiśniewski zaczął od swego zwykłego w takich wypadkach "Towarzyszeczko, musicie nam pomóc", Sępułik już kiwała głową bardzo intensywnie.

- Rozumiem, Towarzyszku, ja już od rana wiedziałam, że...

Wiśniewski przewał jej.

- Napiszecie list w sprawie - tu Wiśniewski zajrzał do kartki i odczytał

- Najmniejszego z Catego Światu. List do prasy centralnej.

- W sprawie Najmniejszego z Catego Światu? - upewniła się Sępułik.

- W sprawie Najmniejszego z Catego Światu - Wiśniewski jeszcze raz zajrzał do kartki i potwierdził - dobrze mówicie.

- Pochwalić? Napiętnować? - zapytała Sępułik dostownie wisząc na ustach Wiśniewskiego swym spojrzeniem.

- Napiętnować, oczywiście napiętnować. Bezilitośnie, zgodnie z wolą mas nauczycielskich, a szczególnie kobiet - Wiśniewski zastanawiał się przez chwilę - kobiet pracujących, matek i dzieci, matek, znaczy się, z dzieckiem na ręku. Uderzyć.

- Tu, zaraz, na miejscu? - Sępułik rzuciła się otwierać torebkę, w której miała zeszyt i długopis.

- Pójdźcie do pokoju towarzysza Miki, drugie drzwi na prawo. W razie wątpliwości - pomoże, ukierunkuje. Dziękuję wam, Sępułik. Bardzo pomogliście mi.

Sępułik pożegnała się z Wiśniewskim i weszła do pokoju Miki, który polecił jej usiąść przy niskim stoliku w rogu i napisać projekt iustu. Była dobrą polonistką, chwaloną przez panią dyrektor i wizytator, toteż zadanie, które otrzymała, wydało jej się stosunkowo łatwe i już po kwadransie podniosła się z fotela i położyła Mice na biurku kartkę zapętnioną czystym wyraźnym piśmem:

W imieniu mas nauczycielskich, ze szczególnym uwzględnieniem kobiet pracujących w tym zawodzie, matek oraz dzieci a także matek z dziećmi na ręku. z wielkim oburzeniem potępiam wrogą i wysoce szkodliwą wobec Ojczyzny Marzeń i Snów działalność Najmniejszego z Catego Świata.

Sępułik Jadwiga

Mika przeczytał, zasępił się i zwrócił kartkę nauczycielce ze słowami:

- Słusznie, Sępułik, prawidłowo, ale po was jako po wybitnej polonistce spodziewałibyśmy się czegoś więcej. Nie mogliście to trochę rozbudować?

- Jasne, towarzyszku, już się robi. Rozbudować, mówicie, towarzyszku, więcej znaczy...?

- No rozbudować, to nie może być takie suche. Jak wam mówił Wiśniewski?

Sępułik, która czytała w gazecie komunikat o zajęciach chuiłgańskich w Stolicy, widziała w telewizji poświęconą tej sprawie migawkę filmową/grupa rozwyrzonych wyrostków katujących staruszkę/ i teraz domyśliła się oczywiście natychmiast, że osoba Najmniejszego z Catego Świata ma związek z tymi zajęciami, poczuła, że robi jej się gorąco.

- Ależ towarzyszku...

- Nie mówi?

- Nie mówi. Ale może w takim razie towarzyszek - Sępułik spojrzała Mice w oczy bardzo przymilnie: - może towarzyszek słówko...

Mika, który wiedział w tej kwestii tylko jedno, to mianowicie, że o treść telefonu z Centrali nie należy wypytywać bez potrzeby, i sam raczej liczył na to, że się czegoś bliższego dowle od Sępułik, zrozumiał, że musi się bronić, i naskoczył na kobietę:

- Jako, Sępułik, to wy, nauczycielka, matka, matka z dzieckiem na ręku, w imieniu całego grona nauczycielskiego i nauczycielskich mas członkowskich, nie wiecie, co macie napisać w kraju, który tyle ucierpiał w czasie ostatniej wojny, takie ofiary poniósł przy boku Armii Kraju Miłującego Pokój, spalone wsie, zburzone miasta, wróg strzelający zza węgła jak do kaczki, pierwsze lata odbudowy, nigdy więcej wojny, Sępułik, nigdy więcej wojny, równym krokiem, każdy kto pragnie, aby dzieci mogły spokojnie zdobywać wiedzę w szkołach, młodzież cieszyć się życiem, prządkii prząść, suwnicowi suwać, traktorzyści traktorzyć, murarze murować, pracownicy bezpieczeństwa żyć bezpiecznie, Sępułik, w braterskiej, niewzruszonej, wiecznej, na dobre i na złe miłości z kra, kra, kra..., no, Sępułik...

- Krajem Miłującym Pokój! - odgadyła Sępułik.

- Widzicie, wiecie, a udajecie, że macie braki, zaniedbania. Piszcie to wszystko teraz, Sępułik.

Sępułik znów usiadła przy małym stoliku i po dwudziestu minutach opracowała następującą drugą wersję listu:

Ja, przodująca nauczycielka w imieniu nauczycielskich mas członkowskich, matek, dzieci i matek z dziećmi na ręku, zdecydowanie odrzucam błędną postawę reprezentowaną przez Najmniejszego z Catego Świata. Wszyscy pamiętamy ogrom zniszczeń, jakich dokonał na naszej ziemi w czasie minionej wojny nasz odwieczny wróg. Wyzwoleni przez Niezwyciężoną Armię Kraju Miłującego Pokój nigdy nie pozwolimy, aby ktoś podniósł rękę na nasze największe zdobycze. Ja, jako nauczycielka, matka i matka z dzieckiem na ręku wiem najlepiej, ile trudu kosztuje naszą władzę Marzeń i Snów zapewnić narodowi lata pokojowej, twórczej pracy. Nie pozwolimy, by ktoś odebrał nam nasze zdobycze. Nasze dzieci muszą nadal zdobywać światło wiedzy, uczeni badań otaczający świat, artyści opisywać naszą wspólną drogę, prządkii prząść, górnicy górnaczyć, policjanci policzyć. Ręce precz od matki z dzieckiem na ręku.

Sępułik Jadwiga



Mika tym razem nie miał uwag, polecił Sępułik przepisać list na czysto, podziękować jej w imieniu Partii, a potem przez kilka godzin konsultował następnych towarzyszków z aktywu przybyłych na wezwanie i parę minut przed czwartą zanosił Wiśniewskiemu tekturową teczkę, w której było kilkanaście indywidualnych listów protestacyjnych. Wiśniewski sięgnął po teczkę, rzucił okiem na listy, pokiwał aprobująco głową i spojrzął na zegarek. Mika nie wychodził, wiercił się na krześle, wreszcie odezwał się głosem takim, jakby wtrącał uwagę nie na temat:

- A ten Najmniejszy z Całego Świata, to dopiero, kurwa.

i patrzył uważnie na Wiśniewskiego. A Wiśniewski, który radby się o Najmniejszym z Całego Świata dowiedzieć czegoś od Miki, też zrobił zainteresowaną minę.

- Kurwa, mówisz?

Zapadło milczenie.

- No to piszemy - odezwał się pierwszy Wiśniewski.

Przeliczyli listy, posegregowali na grupy, według rubryk - mężczyźni, kobiety, młodzież, renciści, inwalidzi - zaczęli redagować zwykłe sprawozdanie z dnia pracy przeznaczone dla Komitetu Wojewódzkiej, potem zaś jego wy ciąg bezpośrednio dla Centrali. Gdy wychodzili z gmachu, zaczynało się się robić szaro. W samochodzie w drodze do Złotziejówki Wiśniewski myślał sobie tak: "Świat się zmienia, coraz więcej niezrozumiałych zjawisk i słów, nawet wrogowie noszą jakieś dziwaczne nazwy. Najmniejszy z Całego Świata... Kto też to taki może być, ilościowo to on może i Najmniejszy, ale jakościowo chyba wielki, potężny i niebezpieczny. Nie?"

Listy w sprawie Najmniejszego z Całego Świata zaczęły się ukazywać w gazetach, w programach radiowych i telewizyjnych. Przewodząca nauczycielka Sępułik znalazła swój wraz ze zdjęciem już nazajutrz w dzienniku "Prawda Najprawdziwsza". Wydrukowany był na pierwszej stronie, obok licznych innych listów, pod wspólnym ogromnym tytułem "Cały naród potępia chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata - listy do towarzyszka Ropuchy." Nauczycielka Sępułik kupiła gazetę w drodze do szkoły, przed pierwszą lekcją zdołała tylko rzucić okiem na treść pozostałych listów, ale po przerwie, w czasie której odebrała gratulacje od pani dyrektorki, jej zastępczyni oraz przedstawicielki młodzieżowego aktywu szkolnej komórki organizacji kobiecej, miała okienko i całą gazetę mogła przejrzeć dokładnie. Listy zajmowały trzy pierwsze strony i było ich bardzo dużo. Któż nie poparł towarzyszka Ropuchę w tym spontanicznym odruchu. Pisał rektor Nestoruk i profesor Senioruk, pisali pracownicy Ministerstwa Niwelacji i Ministerstwa Reedukacji, szwaczkę z Elany i prządkł z Elkany, robotnicy z Siarkosikolu i chłopci z Psiej Wólki, uczniowie z wzorcowej szkoły wzornictwa filmowego i studenci wydziału filozoficznego Akademii Opiekuństwa Serdecznego, murarze ze Stołicy i metalowcy z Chłodnicy, pisał zastępowy mistrz sportu Defekcik i sprinterka Pic, pisały przedszkolaki z przedszkola wiodącego przy hucie Rdza i pensjonariusze oddziału reanimacji domu starców w Sierocinie, zastępny artysta Brze kułek i pisarz Chałturczyk, pisali aktywiści Towarzystwa Krzewienia Inwalidztwa powiatu Garbuły i więźniowie z Centralnego więzienia imienia Dzierży mowskiego, zatrzymani w izbie wytrzeźwień w Chłojkach i krowy z państwowego gospodarstwa rolnego w Deficytownie. Nigdy dotąd nauczycielka Sępułik nie miała tak pełnego poczucia więzi z całym społeczeństwem. I już w czasie tego okienka wpadła na pomysł, żeby te wartości tkwiące we wspólnym solidarnym działaniu dla dobra społeczeństwa wykorzystać dla celów wychowawczych. Pani dyrektorka, którą Sępułik zagadnęła w tej sprawie na przerwie, bardzo pochwaliła pomysł i na następną lekcję Sępułik weszła do klasy z miną odświętną i skupioną. "Coś będzie" - pomyśleli zaraz uczniowie i rzeczywiście, nie pomylili się. Sępułik, gdy tylko zdyscyplinowała klasę i odebrała od gospodarza pisemne doniesienie na temat sprawowania się poszczególnych uczniów w czasie dwóch pierwszych lekcji i przerw, rozpostarła numer "Prawy Najprawdziwszej", uniosła gazetę do góry, tak aby wszyscy mogli ją zobaczyć, i powiedziała:

- Popatrzcie.

Sępułik była nauczycielką wzorową. Stosowała ona w nauczaniu zalecane przez władze zwierzchnie środki audiowizualne, nigdy nie formułowała uoświ nienia, zanim nie pokazała faktu, z którego ono - zgodnie z teorią Dialek-

tyki - wynika, i dlatego nie do pomyślenia byłoby dla niej nie odczekać teraz, aż uczniowie; nawet z najdalszych ławek, zobaczą na własne oczy przynajmniej wydrukowany ogromną czcionką tytuł. A gdy wszyscy zobaczyli już nie tylko tytuł, ale wśród fotografii u dołu strony, również jej zdjęcie i rozległ się ów tak dobrze jej znany chóralny okrzyk podziwu, jakiego niezmiernie wydłużone "Aaaaaaa", wówczas zadała pierwsze pytanie kontrolne:

- Do kogo adresowane listy zawiera dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza"? Powie Pikulska.

- Do towarzysza Ropuchy.

- To samo pełnym zdaniem.

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy.

- Dobrze, śladaj. A teraz w jakiej sprawie listy do towarzysza Ropuchy zawiera dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza"? Golas.

- W sprawie potępienia narodu.

- Pełnym zdaniem

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia narodu.

- Jak, jak powiedziałeś, w jakiej sprawie?

- W sprawie potępienia narodu.

- Śladaj, Kto wie, w jakiej sprawie dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy?

Nikt nie wie, więc nauczycielka Sępułik jeszcze raz rozpostarła gazetę ku klasie.

- Pikulska? Proszę.

- W sprawie chuligańskich wybryków.

- Dobrze, tylko pełnym zdaniem

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia chuligańskich wybryków narodu.

- Śladaj Pikulska. - Czy w tej klasie - Sępułik nadała swemu głosowi od cień gorczy - nie ma naprawdę jednego myślącego ucznia? Uwaga: pokazuję jeszcze raz.

Sępułik pokazała jeszcze raz gazetę, uczniowie wytrzeszczyli oczy na skomplikowany tytuł i Pikulska znowu podniosła rękę.

- Proszę.

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia przez cały naród chuligańskich wybryków tego no..., zaraz, zaraz....

Sępułik zerknęła na tytuł i odpowiedziała:

- ... Najmniejszego z Całego Świata. No, nareszcie.

A teraz cała klasa powtarza, trzy, cztery:

Dzi-siej-szy-nu-mę-r- ga-ze-ty-Praw-da-Naj-praw-dziw-sza-za-wie-ra-ti-s-ty-adre-so-wa-ne-do-to-wa-rzysz-ka-Ro-pu-chy-w-spra-wie-po-tę-pie-nia-przez-ca-ty-na-ród-chu-li-gań-skich-wy-bry-ków-Naj-mniej-sze-go-z-Ca-łe-go-Świa-tu.

- Dobrze, zakłaskała w ręce z radości Sępułik. - A teraz klasa uważa. Wszyscy zakładamy tęczki, w których gromadzić będziemy wycięte z gazety listy do towarzysza Ropuchy potępiające chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata. A potem, na podstawie w ten sposób zgromadzonych materiałów źródłowych napiszemy wypracowanie. Uwaga, dyktuję temat pracy domowej.

Uczniowie otworzyli zeszyty, wpisać numer lekcji, datę i zaczęli notować temat pracy domowej.

W oparciu o wycięte z gazety listy do towarzysza Ropuchy potępiające chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata napiszę, jak cały naród popiera towarzysza Ropuchę i potępia chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata.

Pikulska podniosła rękę do góry.

- Słucham, Pikulska.

- Proszę Pani, to na jutro?

Sępułik była nauczycielką przodującą i nowoczesną. Nie zadawała ona wypracowania z dnia na dzień. Pragnęła, aby tekst wypracowania oparty był na

solidnej podstawie materiałowej. Była również przeciwniczką sztampowości, Werbalizmu. Cała jej działalność dydaktyczna i wychowawcza polegała na zmuszaniu uczniów do samodzielności myślenia i na wykształcaniu w nich twórczej postawy wobec otaczającej rzeczywistości. Poza tym Sępułik była siłą wytrawną i na podstawie licznych doświadczeń z przeszłości wiedziała, że listy do towarzysza Ropuchy będą się ukazywać w gazetach również przez następnych kilka, a może nawet kilkanaście dni. Nie groziło więc klasie bynajmniej, że to będzie wypracowanie na jutro. Sępułik dała bardzo odległy, a w pewnym sensie nawet elastyczny termin, przypomniała klasie, że oczekuje przede wszystkim samodzielných refleksji, spostrzeżeń, odczuć, a także nieszablonowego, emocjonalnego podejścia do referowanego tematu, i w tym momencie z ostatniej ławki podniósł się Wymótek, uczeń sprawiający nie od dziś poważne trudności wychowawcze.

- Proszę pani - zapytał Wymótek - a kto to jest Najmniejszy z Całego Świata? Jak ja mam pisać, jak pani nic...

Nauczycielka Sępułik, jako siła kwalifikowana, dobrze przygotowana do pełnionych obowiązków, unosiła się w klasie rzadko, jedynie w związku z najbardziej karygodnymi uczniwskimi wykroczeniami przeciw regulaminowi szkolnemu. Dyscyplina, którą utrzymywała w klasie, była to dyscyplina świadoma, a autorytet, jakim się cieszyła wśród młodzieży, opierał się nie na stosowaniu kar, lecz na rzetelnej wiedzy, jaką posiadała, i na umiejętności współżycia z młodzieżą, wyrażającej się zrozumieniem dla jej problemów. Jednego, czego nie tolerowała Sępułik na swoich katedrach, to podejrzane uśmieški i prowokacyjne szept. Nauczyciel początkujący, lekceważący swe obowiązki lub wręcz słaby nie dostrzega zwykle tych subtelnych fluidów złej woli, złośliwości, wrogości, które potrafią emanować z prowadzonej chyłkiem w ostatniej ławce rozmowy lub ze śmiechu jawnego, pozornie uzasadnionego sytuacją lekcyjną. Taki nauczyciel patrzy na te praktyki przez palce, skoncentrowany li tylko na realizacji programu i na merytorycznej stronie lekcji. Ale Sępułik nie daro uchodził w powiecie za pedagoga, który przekazując wiedzę przewidzianą programem nie zapomina również o drugiej, być może ważniejszej stronie medalu: o obowiązku wychowywania, wychowywania dla przyszłości, dla nauczania ustawicznego, kształcenia permanentnego, dla pracy, dla kultury, dla Partii. I dlatego Sępułik była na uśmieški i prowokacyjne szeptu uczulona szczególnie. Jej krzyk po przytłapaniu ucznia na gorącym uczynku szemrania znany był nie tylko klasie, ale i liczny osobom postronnym, którym zdarzało się akurat przechodzić korytarzem obok drzwi.

Jednak pytanie, które zadał Wymótek, było to w oczywisty sposób coś więcej niż wrogi szept i prowokacyjne szemranie. Sępułik tak jak stała za swoim stołkiem, tak znieruchomiła, zaniemówiła i na jej rumianej twarzy zaczęła się formować ten sam wyraz grozy, jakim kiedyś, przed laty zareagowała na obszernie przez psa woźnej Miśsiłowej stojącego na środku boiska posągu Ropuchy.

- Coś ty powiedziała? - wydarła z siebie wreszcie słowa, w których ton grozy mieszała się z tonem wstrętu - coś ty powiedziała? To Partia, ojczyste Marzeń i Snów, Towarzyszek Ropucha osobiście zapewniła ci szczęśliwe dzieciństwo, żłobek, przedszkole, łóżko szpitalne, dom czasowy, dom starców, stołówkę, stadion, domy towarowe Centrum, teatry, kina, książki, zeszyty, gumki, ołówki, długopisy, tobie i twoim rodzicom, wszystko co masz, zawdzięczasz codziennemu niestrudzonemu znojowi tysięcy najlepszych towarzyszków, robotników, chłopów i inteligentów, to władza Marzeń i Snów pozwala ci korzystać ze skarbnicy wiedzy całej ludzkości, uczy cię, wychowuje, dba o twój pion, oblicze moralne i wygląd zewnętrzny, a ty nie tylko nie masz do swojej Partii, do swojej władzy zaufania, ale wręcz sugerujesz, insynuujesz, robisz krecią robotę, wystugujesz się naszym przeciwnikom, podnosisz rękę przeciw swemu narodowi. Wiśta - ryknęła jeszcze głośniejszym głosem - Wiśta płynię przez pola, lasy, i łąki, dziecię dzięki pokojowej polityce naszego kraju z Krajem Miłującym Pokój na czele, beztrudno bawią się w piaskownicy, wótkniarka przedzie swe włókno na cześć setnej rocznicy urodzin Dialektyki, a ty, przebrzydły chłopcze, na to wszystko plujesz, bezceńszisz to swoim cynizmem, kosmopolityzmem, i subiektywizmem, po to, żeby zbrukać to, co dla nas wszystkich jest najdroższe. Wiśta - chrypiła już wprost Sępułik - a

on, a ten... - tu podbiegła do Wyszółka i zamachnęła się - ja nie pozwolę, żeby na mojej lekcji, wróg, wróg, wróg ludu! i z płaczem wybiegła do pani dyrektor.

Uczeń Wyszółek został wyrzucony ze szkoły, natomiast pozostali uczniowie, zgodnie z przewidywaniem nauczycielki Sępolik, mieli ze zbieraniem wy-cinków robotę na co najmniej dziesięć dni.

### XXII. Pisarz Ileo przemawia na sympozjum "Artyzm-Humanizm-Pokój"

Pisarz Ileo wszedł na mównicę i na sali zapadło owo pełne skupienia i zycziwego zainteresowania milczenie, jakim uczestnicy międzynarodowych sympozjów "Artyzm-Humanizm-Pokój" witali zawsze wystąpienia tego sądziwego twórcy z dalekiego kraju. Pisarz Ileo, operujący nienaganną francuszczyzną, erudyta, poruszający się swobodnie po szerokich obszarach sztuki europejskiej, świetny mówca łączący patos i liryzm humanistycznej refleksji z najlepszej próby humorem, okrąszający meritum poruszanej problematyki attycką szczyptą anegdoty, był bowiem dla większości uczestników sympozjum: również i nade wszystko, ambasadorem tamtego świata; nieznanego im, lecz fascynującego egzotyką, żywotnością, potęgą, postępowaniem realizowanym szorstkimi rękami ludzi psychicznie zdrowych i zdrowym entuzjazmem ogarniętych, ambasadorem przy tym pozbawionym śmiesznych przywar Sujkowa, intelektualisty z Kraju Mitującego Pokój, który czytał z kartki w swym narodowym języku i na wszystkie pytania odpowiadał nieodmiennie "nie!zia", "nie nada". Siwa głowa pisarza Ileo zneruchomiła, twarz jego, jeszcze przed chwilą ściana grymasem napięcia, przwbrała wyraz smutnej mądry i pisarz Ileo przemówił:

- Pod błękitem, który królowała dzieciom Petrarce, Bantege i Michała Anioła, pod słońcem, które humanistyczną, ludzką treścią napełniało płótna Rafała i Leonarda, w kraju, w którym biedak bosy prowadzi wciąż do wodopójni swego osiołka, a ruiny starożytnych budowli kryją płataninę ludzkich dramatów, w kraju, gdzie cyprus smukły strzela ku niebu, jakby nie chciał oglądać padołu trosk człowieczych, staje otzła, artysta z krajiny dalekiej i pięknej pięknością zmartwychwstała z ruin wprawdzie, ale jakże jeszcze świeżych i krwią żyjącego pokolenia przesyconych, spod nieba, na którym miast błękitu obłok gości życiodajny, by zrosić ziemię zbraną przez tyralierę machin i wydać poezję, przesiąkniętą trudem radosnym, bo wspólnym. Nad bosym właścicielem osiołka i nad huraganem zmian, który ogarnął półowę świata, zadumany szukam wśród wartości, które znam i pojmuję najlepiej, wartości najwyższej i znajduję ją nie tam, gdzie w jałowych dysputach ścierają się pedanci, nie tam, gdzie zaślepienie tłumy pchają się do błyskotek wystawionych na targowisku, nie tam również, gdzie jednodniowi prorocy swój krzyk wznoszą pod niebiosa, lecz tam, skąd bije źródło naszego wspólnego owołania: w człowieku.

Tak rozpoczął swe wystąpienie pisarz Ileo i jego wzrok, jeszcze przez chwilę dumnie a serdecznie pochylony nad znakomitym audytorium jako całością, ukojony widokiem postępowych intelektualistów i artystów przybyłych tu z całej Europy, żeby przyłączyć swój głos do głosu narodów, chłonący jakże dobrze znaną artystyczną atmosferę cieżką bijącą z amfiteatralnie ustawionych rzędów szczerline wypełnionej sali, zaczął raptem jakby czegoś lub raczej kogoś na tej sali szukać, kogoś pojedynczego, indywidualnego, intelektualisty lub artysty. Z daleka jego szczipną posągowa sylwetka z siwą czupryną zdobiącą kształtną głowę rasowego rzymianina wyrażała nadal olimpijski spokój artysty, który troskając się o wartości ludzkie wznosi się zarazem wysoko ponad gwar i rejwach świata. Z pierwszych jednak rzędów można już było w jego wzroku dostrzec ową nerwowość mówcy łowiącego twarz słuchacza indywidualnego, twarz, która stałaby się sprawdzianem oddźwięku, egzaminatorem surowym i natchnieniem zarazem. "Artysta - napisze potem sprawozdawca wielkiego dziennika - zwykł jest, jak się zwierzy, wybierać sobie wśród słuchaczy jednego, aby się do niego zwracać bezpośrednio, patrząc mu w oczy, co nadaje jego wystąpieniom ów niepowtarzalny klimat kameralności, intymności niemal tak rzadkiej w świecie zdehumanizowanej kultury masowej".

Sprawozdawca wielkiego dziennika użył wszakże jednego wyrazu nieprecyzyjnie. Czas mijał, wzrok artysty błękał się po twarzach intelektualistów i



artyistów, błąkał, błąkał i przystani znaleźć jak nie mógł, tak nie mógł. Obojętnie ześlizgnąwszy się po kudyłatej brodzie poety Carnero, specjalisty od miłości cielesnej oraz martyrologii dzieci i starców w księstwie Lichtenstein, musnąwszy zaledwie dostojne oblicze profesora Struzo, który życie poświęcił cierpieniom więźniów politycznych w Szwecji, nie zatrzymawszy się nawet na moment na szarym ubraniu pastora Foka zżeranego przez problem nietolerancji religijnej we Włoszech, zlekceważwszy mądre czoło doktora Turkey'a, zadumanego nad filozofią egzystencjalną i Iosem żebraków w słumsach szwajcarskich, nie wzięwszy w ogóle pod uwagę prozaika Leprotino, od antypowieści i walki z militaryzmem w mieście Wenecja, eseistki Anny Marli Geier od literatury antywojennej i pokojowej pracy matek, profesora Froscha od Kanta i niewolnictwa w Norwegii, zaledwie kilka sekund życzyliwej serdeczności poświęciwszy zasiadającemu w przydyłmu intelektualistcie z Kraju Miłującego Pokój Sulkowowi /który jednak gestu nie zauważył, bo wyplągał właśnie pierścionek/, myskował po sali z taką determinacją, iż sprawozdawca wielkiej gazety zamlaś napisać, że pisarz ileo kogós w y b i e r a „powinien użyć raczej słowa s z u k a. A pisarz ileo mówił dalej tak:

- Człowiek jednak, żeby kułtywować należycie swój humanizm i zanurzać się w nim bez przeszkody, musi żyć pod niebem, którego nie przekreśla złowróżby zygzak bombowca ani śmiercionośne cygaro rakiety. Ja, pielgrzym z kraju, który uderpiał w czasie ostatniej wojny więcej niż jakikolwiek inny naród, może lepiej od nlejednego z was znam bezmiar okrucieństw i cierpień, jakie niesie za sobą dziejowy kataklizm. Cicha polna grusza, o której tak pięknie pisze nasz poeta, drzewo naszego dzieciństwa, dziś mądrą ręką robotnika i chłopa wytrzebiona, bo znikła miedza, o którą tyle było w przeszłości między właścicielami swarów, ta, co pamięta smak potu przeszłych pokoleń, cicha grusza, mówię, dziś już, a niech jej tam, niepotrzebna, więcj opowie o tragizmie czasów wojny niż księga najędrsza. I dziś w tę gruszę zapatrzony pod błękitem nieba obcego, wśród smukłych cyprysów; powtarzam słowa, bez których na nic się nie zdadzą strofy Petrarcki i płótka Rafaela: pokój, pokój, pokój.

W tym momencie pisarz ileo powinien odchylił swoją kształtną głowę do tyłu i zrobić pauzę, aby dać możność rozwinięcia się oklaskom, a być może nawet owacji bardziej burzliwej, nie zrobił jednak tego, tylko, wprost przeciwnie, wychylił się do przodu i głosem, w którym wytrawne ucho mogło wychwycić jakąś nową zupełnie nutę ni to tremy, ni wzruszenia, ruszył jak z kopyta dalej, bo dostrzegł wreszcie Baćmagę. Baćmaga, oficjalnie pracownik konsulatu Kraju Marzeń i Snów w Włecznym Mieście, a nieoficjalnie specpracownik Ministerstwa Opikuństwa Serdecznego, czuwający nad spokojem, zdrowiem i życiem przebywających tu stale oraz czasowo rodaków, niepozorny mężczyzna w średnim wieku, mimo upału w marynarce, siedział w ostatnim rzędzie blisko wyjścia i może dlatego pisarz ileo tak długo nie mógł go dostrzec. W klapie marynarki miał przypiętą plakietkę Sympozjum, którą otrzymał od organizatorów jako stały już i znany bywałec intelektualnych oraz artystycznych zgromadzeń międzynarodowych, a także członek honorowy Akademii, szczerzeżnie zastępujący w dziele zacześniania Włędów intelektualnych i artystycznych między narodami. Baćmaga siedział z miną skupioną, wpatrując się w pisarza ileo i notując od czasu do czasu. I gdy przy słowach "pokój, pokój, pokój" pisarz ileo dostrzegł go wreszcie, poznał, a może jedynie swym nieomylnym Instyntykem r o z p o z n a ł, by zawisnąć wzrokiem na jego niewyraźnym obliczu, nie spuścić go z oczu do końca wystąpienia i jemu, właśnie jemu, dedykować odtąd każde swe następne zlečka nabrzmiałe tremą czy wzruszeniem słowo, ten, w nienadmiernie entuzjastycznym rewanżu, jakby chciał powiedzieć "no, lepiej późno niż wcale", odchylił się nieco do tyłu, wyjął wargi i przestał pisarzowi ileo spojrzenie wyrażające powściągliwą aprobację. Ileo zaś, mistrz słowa mówionego, nawet jakby się przez moment zaplątał nieco, tak się tym Baćmągą wewnętrznie zachłystnął i tak się swoją z nim kornunją Intymną wzruszył i tak, czy aby w jego oczach dobrze wypada, zdenerwował. Mówił bowiem dalej w te słowa:

Pokój to grusza. Grusza to pokój. Zadzłwiony mądrością szwaczki, która swym prądem grusze u korzeni podcięta, i wzruszony mądrością drzewa, o którym nasz poeta, mówię, wzruszony, choć jej ułomności świadomy, a niech

tam szwaczka drzewo, podetnie i zetnie, przyszłym pokoleniom iżej będzie. Pielgrzym sędziwy, nad gałęzią ściętą pochylony, nad którą niebo, dziś czyste a jeszcze wczoraj...

Tu przerwał pisarz Ileo, bowiem, w fizys Baćmągi wpatrzony, wypatrzył, że ten mu jakieś znaki daje i słowo jakieś podpowiada, ustami kształt liter rysując. Tak więc cały zamieniony w słuch wychylił się do przodu niby cygare rakiety, wpatrzył się w usta Baćmągi z intensywnością gotową spowodować pęknięcie naczyńka krwionośnego w mózgu i w błysku natchnienia mogącego przyprowadzić o zawał serca wchłonął w siebie słowo Baćmągi: "pod".

- Pod - powtórzył jak echo pisarz Ileo - po czym wyjął chusteczkę, otarł krople potu z wysokiego czoła, ujrzał jak Baćmąga wsadza sobie do ust palec, żeby stamtąd coś wydłubać i w jeszcze jednym tego dnia natchnieniu odgadnął ciąg dalszy:

- Pod gruszą. Nad gruszą, powiadam, i pod: tam niebo ojczyste krzyżem bombowca przekreślone, tu oni, dzielni chłopcy obozowisko rozbili, by wroga przepędzić hen i by ojczyznę zbudować nie byle jaką, nie taką, jaką była, pańską, lecz przez sunnicowych rządzoną i w Wielkim Śąsiedzie zakochaną. I, wierzcie mi, ci chłopcy, do których potem zły człowiek strzelał zza węgła, dziś czule nad każdym z nas pochyleni, przyjaciele sztuk i nauk, ci rośli młodzieńcy, którzy budzili kiedyś mój strach, gdy po raz pierwszy nocą zapukali do mego okna, a dziś są moimi przyjaciółmi i jeśli się z nimi posprzeczam, to o Szopena i Bacha, więc ci chłopcy, skromni mimo ogromu odpowiedzialności, która na nich ciąży, wyrozumiali, mimo tytu przejawów niewdzięczności ze strony ludzi małego ducha, czyż nie oni powinni stanowić dziś temat sonetu, obrazu, kantaty? Czyż uniesienie religijne dla twórcy gotyckiej katedry, czyż symfonia barw dla impersjonisty, tym chłopak spod gruszy dla artysty dwudziestego wieku. W naszym pięknym kraju, jak sam, drodzy koledzy, wiadomo, przejęliśmy się tą prawdą niezmiernie i już sam nie mogę sobie wyobrazić, jak y miało być inaczej, skoro prządka i dojarka żąda od nas takiego właśnie bohatera. Wy, twórcy z tej połowy świata, która jeszcze nie wydzwignęła się z przeszłości, rozumieć to doskonale, macie swoje przykre obowiązki wynikające z okropności nędzy, siamsów, bezrobocia, tortur, więzień i podstuchów. Ale proszę was, w rozgardiaszu waszego smutnego, naznaczonego troską codziennego życia niech się znajdzie miejsce na myśl przynajmniej o chłopaku, skromnym chłopaku spod gruszy z dalekiego kraju, w którym obłok życiodajny sprzyja ziemi rodzącej wspólny, mądrze dziejony chleb.

Ileo skończył. Zszedł z mównicy, by zająć swe miejsce w prezydium, podczas gdy sala rozbrzmiewała hucznyimi oklaskami, kiedy zaś owacja się skończyła, przewodziłaczą obradom tysy dramaturg Putois, nieprzejednany przeciwnik konsumpcyjnego stylu życia, zaproponował rozpoczęcie dyskusji.

Pisarz Ileo, ostatni mówca tego przedpołudnia, miał przed sobą kilka znakomitych wystąpień, wśród których przemówienie pastora Foka, będące jednym potężnym oskarżeniem systemu zmonopolizowanej państwowej religii katolickiej, gnębiącej, uciskającej i dyskryminującej w Kraju Włecznego Miasta buddyzm i mahometanizm/czy ktoś - grzmiał Fox - zdobył się na odwagę porównania, ile jest w Wiecznym Mieście kościołów, a ile pagód i meczetów?/, zrobiło na zebranych wstrząsające wrażenie. Ale należało już do tradycji sympozjów "Artysta-Humanizm-Pokój", że w dniu, w którym przemawiał pisarz Ileo inne, nawet najbardziej emocjonujące wystąpienia schodziły na dalszy plan i dyskusja koncentrowała się na tym co, powiedział on. Tak było i dzisiaj. Sędziwy profesor Struzzo o głos poprosił pierwszy:

- W swoim pięknym przemówieniu nasz drogi Leonard mówił bardzo interesująco o Petrarce i Rafaelu. Ja chciałbym się jednak upomnieć o Scfokiesę. Zapatrzeni w zdobycze awangardy zapominając zdajemy się o tym wielkim rozdziale kultury ludzkiej, który rozpoczął się tak niedaleko stąd, pod niebem niemal tym samym, Grecja... Dziś w kajdanach, okowach nędzy niemal jak Szwecja, niegdyś wolna, świątlu nadająca kierunek. Czyż chłopiec, o którym mówiłeś, Leonardzie, nie jest to ten sam, którego białe kształtne ciało uwłecznione zostało przez dłuto mistrza, by w proporcjach ludzkich i tak włecznych zarazem utrwalić to, co w naszym rodzie człowieczyim niezniszczalne? Pytam ja jednak ciebie również: Diaczego w mundurze? Widziałem w gazecie fotografię tego chłopca, o którym zdaje się mówić chciałeś, przyoble-

czonego w uniform wojskowy albo policyjny zgoda, jak ślecze i tłucze tłum niesforny jakiś w mieście, które jest stolicą twego kraju. Wróćmy do tradycji antycznej: na golasa, Leonardzie, na golasa!

Perlisty śmiech pisarza ileo złał się z krótką owacją audytorium, po czym na mównicę wszedł kudłaty poeta Carnero i jego ponura, kontrastująca z niemal powszechnym rozbawieniem fizjonomia, w połączeniu z pałcem, którym wymachiwał w powietrzu, spowodowała, że uśmiech zniknął w twarzy pisarza ileo.

- Ja - rozpoczął Carnero - który, jak wam wiadomo, poświęciłem życie martyrologii dzieci i starców w Księstwie Lichtenstein i wielokrotnie dawałem wyraz swojej sympatii dla Kraju Miłujących Pokój i dla samego Kraju Miłującego Pokój oczywiście, nie byłbym sobą, gdybym na dzisiejszym spotkaniu nie przypomniał, że na zdjęciach, które wydrukowała nasza prasa, widziałem w tłumie dyscyplinowanym przez policję starców i dzieci.

Poeta Carnero rozejrzał się groźnymi wzrokiem po sali, powiedział "skończyłem" i energicznym krokiem powrócił na swe miejsce.

Kilka niepewnych oklasków poderwało się z dalszych rzędów, po czym wszyscy zwrócili zwrok ku posągowej sylwetce pisarza ileo i zamilkli w oczekiwaniu. Ten zaś przybrał swą twarz w jeden z najpiękniejszych uśmiechów i łagodnym głosem człowieka, który wiele wybaczyć potrafi, powiedział:

- Ach, ci dziennikarze....

Po czym natychmiast spojrzął na Baćmagę. Baćmaga jednak patrzył ostentacyjnie w bok, jakby chciał powiedzieć: "radź sobie, ileo, jak potrafisz, ja słucham".

Tymczasem z mównicy rozlegał się już dźwięczny głos Anny Maril Geier:

- Gardzę prasą, które dyskryminuje kobietę, pannę, młodkę, starą i matronę. Jakim przewem pan Carnero występuje wobec naszego drogiego Leonarda ileo z niesmaczną aluzją, skoro my już wiemy, kto stoi za kampanią oszczerstw, którą rozpętały tutejsze gazety przeciw jego krajowi zajętemu twórczą, pokojową pracą. Jak pan Carnero zapomniał, to mu przypomnę: monopole. Tak, stoją i płacą. Wstyd, że takie rzeczy trzeba na tej sali przypominać.

Anna Maria Geier schodziła z mównicy przy akompaniamentie takiego zgietku, że aż tysy przewodniczący Putois musiał wstać i ucałować zebranych. Nie na długo wszakże. Młody politolog Alouette, który niemal biegł do mównicy z ostatnich rzędów, zelektryzował audytorium na powrót:

- Niech mi pan powie - zwrócił się do pisarza ileo jednym tylko zdaniem - czy to prawda, że w pańskim kraju jest cenzura?

Intelektualista Sujkow pochylił się ku przewodniczącemu Putois i zaczął mu coś szeptać do ucha, po czym ten walcąc pięścią w stół zagrzmiął ponownie:

- Przypominam, że spotkaliśmy się tu po to, żeby dyskutować nie o cenzurze, tylko o artyzmie, humanizmie i pokoju. Pokój, pokój. Pisarz ileo nie będzie odpowiadał na prowokacyjne pytania.

- Ależ dlaczego - podniosły się głosy z sali - my chcemy wiedzieć, nie wierzymy naszym gazetom, a tu mamy świadka historii, Leonardzie, mów nam prawdę o swym kraju, mów.

Pisarz ileo wpił się wzrokiem w nieprzeniknioną w dalszym ciągu twarz Baćmagi, przysunął sobie mikrofon, odczekał aż zrobiło się zupełnie cicho, i powiedział:

- Ależ z największą chęcią, kochani. Otóż, może was to zdziwi, a może zmartwi, cenzura u nas jest.

W tym momencie pisarz ileo zamlerzał, dla dodania mocy słowom, które miały nastąpić potem, zrobić dłuższą pauzę, ale wydawało mu się, że prawa ręka Baćmagi wciąż patrzącego gdzieś w bok zaczyna niezacznie przesuwac się ku wewnętrznej kieszeni marynarki, więc pospieszył z dalszym ciągiem natychmiast:

- ... bo tak, jak pięknie pisał nasz poeta "Dzieci, oczyśćcie dom ze śmieci", tak należy to do naszych narodowych tradycji, że ludzie u nas zła literaturę odrzucają, nie chcą jej czytać ani nawet widzieć na oczy; że cenzor, zanim zakaże, przeczyta, no, niech tam, ha, ha, ha, ha, ha.

Wielogłosowy śmiech zawtórował pisarzowi ileo, że zaś Baćmaga cofnął z

wolną rękę, którą gdzieś sięgał, tymczasem jednak politolog Alouette dart się ze swego miejsca w końcu sali:

- A pałka, co robi pałka w ręku tego chłopca spod gruszy, skoro, jak pan mówi, cały naród kocha cenzurę?

Intelektualista Sujkow zerwał się ze swego miejsca w prezydium i wielkim głosem zaczął krzyczeć:

- Pokój, humanizm, artyzm, woźność, braterstwo, solidarność, zrozumienie między narodami, pokój, pokój, pokój!

Artyści i intelektualiści zerwali się z miejsc. każdy coś krzyczał, gestykulował, przewodniczący Putois nadaremno wzywał do spokoju, aż wreszcie fala opadła i wszystkie spojrzenia skierowały się na powrót ku pisarzowi Ileo który dawał ręką znak, że chce odpowiedzieć. Był pogodny, rozluźniony i ci wśród zebranych, którzy go znali lepiej, już wiedzieli, że za chwilę pisarz Ileo zabłyśnie swym wybornym poczuciem humoru, które już tyle razy ratowało go z opresji:

- A jakiż, młody człowieku, byłby to chłopak bez pałki, gdybyś był dzieczyną, nie zadawałbyś mi takich pytań.

Na sali zapanowała cisza. Wszyscy zneruchomili w swych fotelach. Zneruchomiali również na swym fotelu Baćmaga. Podczas gdy jednak zneruchomienie pozostałych jakby ugruntowało się, potężniało, przybierało postać konfuzji, zdumienia, zneruchomienie Baćmagi zdawało się jakby tajać, rozluźniać swe rozwiązanie, pracownik pochylił się do przodu, kiwnął raz i drugi, na jego surowe oblicze wypłynął uśmiech zrozumienia i nagle jak nie ryknął na całą salę skowytom radości nieposkromionej:

- !!!!!!!!!!!!!

I aż zatupał nogami. Zwróciło się ku niemu kilka smutnych twarzy. Przewodniczący Putois podniósł się, rozłożył ręce w geście rezygnacji i zaczął wygłaszać formułę podziękowania:

- No to, skoro nie ma więcej chętnych, chciałbym podziękować wszystkim, w szczególności zaś naszemu drogiemu Leonardowi za jego piękne...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bowiem na sali szum podniósł się znowu i politolog Alouette zagrzmiął tym razem z mównicy:

- Nie wyjdę stąd, zanim się nie dowiem o niedawnej masakrze w stoicy kraju Marzeń i Snów.

Podawali się przewodniczący Putois, intelektualista Sujkow, pisarka Anna Maria Geier ze swoim monotonnym "humanizm, humanizm, humanizm, artyzm, artyzm, pokój, pokój, pokój!", ale teraz już nikt ich nie słuchał i dyskusja, przemieniona raptem w wiec, zaczęła toczyć się w tempie nieposkromionym:

- Co się działo w cyrku?

- Czy to prawda, że w fotelach był prąd?

- Protestuję przeciw masakrze starców i dzieci w Księstwie Lichtenstein i w Kraju Marzeń i Snów.

- Dlaczego nasze gazety nie mówią całej prawdy?

- Podobno tam pod sklepami są kolejki?

- Precz z pożeraczami powietrza, powietrza dla robotników i chłopów!

- Kto zamknął dopływ powietrza?

Po czym na mównicę wskoczył politolog Alouette.

- Zgłaszam rezolucję:

"Potępiamy bestialską masakrę dokonaną na ludźle drogiej naszym sercom stolicy kraju Marzeń i Snów przez funkcjonariuszy Opiekunstwa Serdecznego!"

Burza oklasków zerwała się tak potężna, że intelektualista Sujkow, osowiały, oklapnięty, postarzały o dziesięć lat, wyjął z marynarki pierścionkę i wychylił zawartość do dna, i wtedy audytorium zobaczyło na mównicy pisarza Ileo. Stał, skromnie schyliwszy głowę, z wyrazem dobrotliwego smutku na swym pięknym obliczu i cierpliwie czekał. Tumult na jego widok podniósł się okropny, kilka osób krzyczało, żeby zszedł z mównicy, sekundy mijały, a hałas nie ustępował, Ileo jednak stał na mównicy cierpliwie i w tym jego odważnym stanie na przekór całej sali, w tym jego czekaniu z miną cierpliwą aż do niemożliwości była i determinacja tak potężna, że każdy wiedział, iż Ileo czekać nie przestanie, i pokora jakaś ujmująca, tak jakby mówił "wiem, zasłużyłem sobie na to, rozumiem was, ale, popatrzcie, oto proszę was, dajcie mi jeszcze jedną szansę". i tak stał Ileo, i tak czekał,



i tak prosił, aż ustał hałas na sali i wszyscy zamilkli na moment w milczeniu uprzejmym choć niecierpliwym "no, mów, tylko się streszczaj, słuchamy".

Ileó zaczął mówić. Już jednak po jego pierwszych słowach ten i ów jeszcze przed sekundą napięty w oczekiwaniu, kiedy Ileó wreszcie mówić przestanie, i znieruchomiły w pozie niewygodnej, przypadkowej, tymczasowości i krótkości słuchania podkreślającej, zaczął swe ciało w fotelu rozmieszczać wygodniej, rozpięrać się i rozwalać, i na dłuższe słuchanie się szykować, a wkrótce cała sala słuchała słów sędziwego twórcy z ciekawością coraz większą. Odezwwał się bowiem pisarz Ileó głosem tak specyjalnym, tak innym niż wszystkie, które dotychczas z siebie na tej sali wydobył, tak intymnym jakoś, tak osobliwym, tak konfidencjonalnym, jakby już nie Baćmagą pojedynczego, lecz właśnie wszystkich pozostałych, całe audytorium i każdego z osobna brata oto pod rękę i przechadzając się wyjawiał sekret, jeszcze przed chwilą dla wspólnego dobra skrywany, a teraz ujawniony w trybie nadzwyczajnym, w przyptywie zaufania bezgranicznego, boć mówi przecież do wybranych, którym, a niech tam, można przecież powiedzieć więcej niż skłonni byłiby pojąć ma-  
luczy:

- Chcę wam powiedzieć - może nie powinienem tego mówić, ale przyparliście mnie do muru, więc wam to, jeśli drodzy koledzy pozwolicie, powiem - jestem teraz z wami całym sercem jako artysta i jako obywatel i podziwiam wasz gniew wobec przemocy, gdziekolwiek ona by nie nastąpiła. Pierwszy też swój podpis złożę pod rezolucją, której tak piękne słowa zaproponował przed chwilą pan Alouette, jeśli tylko uznacie, że te rezolucje powinniśmy dzisiaj zaakceptować. Chciałbym wam jednak powiedzieć coś, czego być może nie powinienem ujawniać, a czego zapewne nie wiecie, bo nie podały tego dotychczas ani nasze, ani zdaje się wasze gazety. Otóż nie wiem, czy w dostatecznym stopniu zdajecie sobie sprawę, koledzy, jacy ludzie stoją obecnie u steru w naszym kraju. Powiem wam, pod warunkiem, że zachowacie to dla siebie i nie wydadcie mnie, bo chyba rozumiecie, jakie z tego powodu mógłbym mieć przykrości. To są - Ileó zniżył głos - moi drodzy, ludzie bardzo prości, powiedzmy to sobie szczerze: prostacy.

Po tych słowach Baćmaga, który od kilkunastu sekund wlepiął w pisarza wzrok pełen zdumienia, zaczął się unosić nieznacznie ze swego fotela, Ileó jednak tego gestu nie zauważył i kontynuował swoją wypowiedź tak:

- Urodzeni w wyrafinowanej kulturze śródziemnomorskiej, która, jak wam, drodzy koledzy, zapewne wiadomo, wyznaczyła kierunek również mojej edukacji od najwcześniejszego dzieciństwa, gdy pod czułym okiem gubernierów zdobywałem podstawy wszelkich nauk w dworku moich rodziców, nie mieliście być może okazji zetknięcia się z tą formacją ludzką i poznania tej mentalności, którą ja w swoim późniejszym pielgrzymowaniu przez życie miałem okazję, niestety, poznać tak dobrze. Dlatego zawiercie temu, co teraz powiem, w interesie mego bohaterskiego, tak umęczonego przez historię narodu. Ci ludzie na atak sformułowany wprost reagują, niestety, w sposób czasem nieprawdopodobnie impulsywny i irracjonalny, wybaczcie mi te słowa zbyt brutalne, ale i mnie trudno w tej chwili opanować wzburzenie: otóż oni, jak im powiedzieć, co się o nich myśli, będą się na mym narodzie po prostu mścić.

Baćmaga, z twarzą wykrzywioną grymasem determinacji, już niemal wstał ze swego fotela i teraz z wolna wkładał ręce do kieszeni spodni, Ileó jednak brnął bez opamiętania dalej:

- Nie chcę wprost myśleć o tym, co by się mogło stać w moim kraju, gdyby jego przywódców spotkało teraz jakieś zdenerwowanie, gdyby się rozżalili lub choćby nawet rozdrażnili.

- Czy - zawołała ze swego miejsca Anna Maria Geier - zagrożona by została sfera wartości najbardziej humanistycznych, najbardziej ludzkich?

- Obawiam się - odpowiedział Ileó - że tak, i że, powiem więcej, mogłaby ucierpieć przy okazji muzyka i poezja.

- Nie wolno do tego dopuścić! - ryknął ze swego miejsca prozaik Leprot-  
tino.

- I ja też tak sędzę - westchnął raczej niż powiedział Ileó - i dlatego zabrałem powtórnie głos, aby was, koledzy, do czegoś namówić. Czy nie udarłoby się mianowicie sformułować pięknej rezolucji pana Alouette tak, żeby jej siłę i potęgę jeszcze zwiększyć, wzmocnić, uchytżyć i żeby oni nie mogli potem w żaden sposób na moim narodzie się mścić zagrożając wartościom humanistycznym, a przy okazji muzyce i poezji? Na przykład tak:

Ręce Baćmągi stojącego w rozkroku przed swym fotelem wysywały się teraz nieznaczenie z kieszeni spodni, ileo jednak ciągnął niewzruszenie: "Peñni podziwu dla narodów kroczących ku jasnej przyszłości piętnujemy rządy wyzysku i ucisku".

- Brawo ileo! - krzyknął pastor Fox.

- Znakomicie, wspaniale, jeszcze mocniej niż była przedtem! - rozległy się okrzyki ze wszystkich rejonów sali.

- I przede wszystkim szerzej.

- Prawda - ucieszył się jak dziecko pisarz ileo - to jaśt przecież o nich, ale oni o tym nie będą wiedzieli i nie będą mogli się rozżłościć.

I spojrział triumfującym wzrokiem na Baćmagę. A Baćmaga stał w rozkroku z rozdziałoną gębą i ani drgnął, tylko patrzył na pisarza ileo i parzył.

No to - podniósł się ze swego miejsca przewodniczący Putois - kto z kolegów jest za rezolucją kolegi Alouette w brzmieniu zaproponowanym przez naszego drogiego Leonarda ileo?

Las rąk trzeił w górę, Pisarz ileo skromnie schylił głowę. I wtady z jednego z ostatnich rzędów podniósł się ze swego miejsca młody politolog Alouette i zaczął się przeciskać ku wyjściu. A przeciskać się zaczął w taki sposób, że mimo iż ani rumoru nie czynił nadmiernego, ani miny nie zrobił wyjściowej ostentacyjnie, to wszyscy, którzy jego wychodzenie obserwowali, odebrali je jako przeciw humanizmowi, artystom i pokojowi wymierzone w sposób złośliwy i najpierw kilkadziesiąt, a po chwili kilkaset twarzy wyrażających niesmak największy i zwróconych w jego kierunku odprowadzało go, zdążającego śpiesznie ku drzwom. W tym zaś momencie, gdy już prawie zniknął im z oczu, Baćmaga, który stał wyjścia najbliższej, raptem nogę błyskawicznym ruchem w bok wysunął. Politolog zarył nosem w podłogę. Ktoś nerwowo zachichotał. Młody człowiek podniósł się, otrząpął i zniknął w drzwiach.

A pisarz ileo, na którego twarzy od kilku już sekund igrał uśmiezek zapowiadający rodzenie się wyborczego dowcipu, odczekał jeszcze chwilę, zwinął usta w ciup i konfidencjonalnie, jakby sekret najważniejszy ujawniał, wyszeptał całej sali na ucho:

- No, nie daliśmy Żabojadowi zjeść naszej ropuchy.

Po czym rozległy się oklaski, niezbyt liczne, jako że nie wszyscy wiedzieli, że to Alouette nazwano Żabojadem, a jeszcze mniej pamiętało, iż pierwszą członek nazywa się Ropucha, zaś po dłuższej chwili Baćmaga, który z wolna podnosił ręce do twarzy, zwinął się reptem aż do podłogi i pod kopułę sali wzbilo się jego spontaniczne, nieposkromione, radosne:

- Eeeeeeeeeuuuuuu!

Przewodniczący Putois ogłosił zakończenie obrad, uczestnicy grupkami skierowali się ku wyjściu, a gdy, znalazłszy się już na dworze, u szczytu marmurowych schodów prowadzących w zgietk ulicy, podeszli pod grad kamieni, zgnitych jaj i ludzkich odchodów, i rozjuszona wataha młodych z portretami małego, tysego człowieczka ze spiczastą bródką na czerwonych porporczykach runęła ku nim z wrzaskiem rewolucyjnym, by zębami, paznokciami, a także żyłkami i nawet pincetkami reedukować jajogłowych agentów czarnej reakcji, gdy na dostojnym korpucie profesora Struzowa usiadła okramiem nastolatka jedną ręką wcieraając śmierdzące jajko w przeredzoną czuprynę, w drugiej trzymając księżeczkę, z której wyczytywała w kółko słowa "uczyc się, uczyć i jeszcze raz uczyć, tylko idiota nie ma wątpliwości", gdy broda poety Carnero odcięta od artysty rozsypana się po schodach, przerażliwy krzyk Anny Marii Geier, z drzewem proporczyka wetkniętym między uda, mieszał się ze stękami doktora Turkey'a, któremu gimnazjalista z tornistrem na plecach wyrwał obciążkami złoty ząb, a pisarz ileo, który wraz z przewodniczącym Putois oraz intelektualistą Sujkowem opuszczał salę na samym końcu, zrobił krok do tyłu, by skryć się za potężnymi barami Sujkova/co na niewiele się zdało, bo jednocześnie Sujkow zrobił krok do tyłu, żeby się schować za ileo/ i gdy już znikła przed nimi tysa głowa przewodniczącego Putois, a ku ich uszom, nosom, włosom, oczom, językom, i genitaliom wyciągnęły się oprzyrządowane dłońmi młodych, rozległ się raptem zbiorowy

skowył bólu, ręce przetrącone ciosem piorunującym opadły upuszczając narzędzia perswazji. Baćmaga, wyrósłszy między Ileo a Sujkowem jak spod ziemi, chwycił ich w garść lewą i to potężnymi kopniakami roztrącając kudłatą hołotę, to używając trzymanej w prawej ręce pałki, to przyklękając na chwilę, by zastosować ukrytą w rękawie kieszonkową armatkę wodną, to nawet z automatu w nogawce spodni zainstalowanego serię puszczał na postach, runął jak burza do przodu. Odskoczyli na bok lewacy, szpaler się utworzył z młodzieży robotą, jakiej jeszcze nie widzieli, zafascynowanej, ci zaś zeszli ze schodów, by za chwilę zniknąć w tłumie ulicy zalanej przedwieczornym słońcem pogodnej późnej wiosny.

Piotr Wierzbicki

## ASSYRYJSKI EKSPERYMENT

Oczywiście przesadzają z tą wiertarką. Mam na myśli starą wiertarkę dentystyczną w ambulatorium tutejszych literatów i ich narzekania oraz strach przed przestarzałym podobno narzędziem. Sama dentystka natomiast jest bez wątpienia osobą ambitną, dobrze się wywiązuje ze swoich zadań i nie pragnie nikomu przysparzać cierpień. Za duże jest tu zresztą słowo "cierpienie", ci ludzie przesadzają bez wątpienia.

Sieć o wysokim sklepieniu podzielono przepierzeniem i tak siedzę od strony okna ja i prowadzę ich księgowość, a z drugiej strony pod żarówką oni w oczekiwaniu na swoją kolej do dentystki. Dwie do trzech osób, nie więcej, lecz dostatecznie dokuczliwych. Przepierzenie jest niewysokie, głośny płyną, trudno się skupić nad rachunkami. Odliczam zatem na straty te dwie godziny trzy razy w tygodniu, kiedy tu siedzą.

Czy to są ludzie, którzy przejdą do historii literatury, trudno przewidzieć. Zerkam czasem przez szparę w przepierzeniu, robię stenogram ich wypowiedzi dla rozrywki i własnego rozeznania, czy tylko dla zabicia czasu. Może udostępnić to badaczom, ale dopiero po mojej śmierci. Może też pójdzie na śmietnik. Nie wiem. Co dziś w ogóle można wiedzieć.

Znajomi porównują mnie z panem Rzeckim z "Lalki" Prusa, a to dlatego, że sądzą jakoby pracował dla kogoś przerstającego moją miarę. Moi znajomi są w błędzie. Nie widzę tu Wokulskich. Natomiast oni sami cenią się wyżej.

Są podnieceni, za dużo myślą o wiertarce.

- Łubi to pani?

Poznaję je po głosach, to częste tutaj bywalczynię. Wiek robi swoje, zęby się psują. Ta, do której skierowano zapytanie, milczy. Lecz pierwsza nie daje za wygraną, notuje zatem.

- Za granicą są już wiertarki bezbolesne.

- Może są. W Paryżach.

- A nie, są już w powszechnym użyciu albo prawie powszechnym.

- O właśnie. Prawie. Nie dla każdego oczywiście. U nas też są.

- Dla wybranych.

- Tam dla bogatych, a u nas jednak dla w y b r a n y c h. To chyba lepiej.

Tym razem milknie pierwsza. Tak to się zwykle kończy, niedomówieniem. Nie stawiają kropkę nad i. Może i słusznie.

Po chwili jednak:

- Tak, ale czy w walce o byt zwyciężają najwartościowisi?

- No, a kto?

- Powiedźmy hitlerowcy.

- Ci przegrali.

- I dziś mają wiertarki bezbolesne.

- Jesteśmy społeczeństwem na dorobku. Poza tym nie dałabym pani wiertarki najlepszej nawet, gdyby to można zmieścić w preliminarzach budżetowych.

- Żeby dokuczyć?

- Żeby nauczyć dyscypliny.

- Energią straconą na niepotrzebny ból jest marnotrawstwem.

- Jakoś wykonujemy plany. Znajduje się energia.

- Ale czy cała?

- Wystarczy. Osiągnięcia są widoczne gołym okiem.

Milczą obie. A potem deus ex machina: pacjent, który właśnie wyskoczył z gabinetu dentystki. To jeden z tych najmłodszych i obiecujących poetów, choć nie wiem co obiecują i komu. Wiertarka i jego wprawia w pasję. Słyszę:

- To skandal z tym assyryjskim eksperymentem w wieku techniki i

- Co ty masz na myśli, Stawuś, uspokój się.

Stawuś nazywa poetę pacjentką zadowolona z rzeczywistości, zaś mało-kontentka znajduje się teraz w gabinecie. Notuję dalej jak leci, cła-



kawe czy coś z tego wyniknę.

- Nie podoba ci się wiertarka, chłopcze? A mnie się już zaczynały podobać twoja wiersze...

- Recenzuje Je pani...

- Może i tak.

- Podobają się pani?...

- Nie o to chodzi. O tym się dowiesz w swoim czasie. Chodzi o to, że brak ci krzepy, chłopczyho.

- Może; Nie zależy mi na tym. Podobają się pani?...

- Już ci mówiłam. Pieszczoszek, chciałby jeszcze wiertarek bezbolesnych.

- W świecie rozwoju technicznego, chyba... no, nie znam się na tym zresztą.

- A widziałś. Nie znasz się jeszcze na wielu sprawach. Wiertarki, jakie są, ale są. Dla każdego. Dawniej nie było.

- Ciekawy punkt widzenia. Muszę zbadać, jak też w Assyrii leczono eęby.

- Nie leczono, kochany, nie leczono...

- Wrywano. Ale jak? interesuje mnie Assyria, co pani pewnie dostrzegła w moich wierszach.

- A, dostrzegłam.

- Assur, bóg ludów koczowniczych, bóg wojny, mówi przez Assurbanipala, władcę świata. Mówi do Mat'ilu, króla Arpadu, do królika niewielkiego Arpadu tak mówi: Jeżeli Mat'ilu wykroczy przeciwko mnie, Assurbanipalowi...

- Co to ma do rzeczy, drogi?

- Jeżeli Mat'ilu wykroczy przeciwko mnie, Assurbanipalowi, będzie uprowadzony z synami i córkami, oraz z całym swym ludem.

- Nie histeryzuj.

- I jako głowę tego barana obecnie się odcina, tak i głowę Mat'iliu się odetnie.

- No, widzisz. Władcy twardo rozmawiali przed wiekami. Z siłą i mądre.

- Co to jest mądrość, wie pani?

- Co? Mądra siła. I ukorzenie się przed siłą. Niczego przewidziewszego nie wymyśliłś.

- Pani przecież mogłaby korzystać z wiertarek udoskonalonych technicznie... są chyba takie dla niektórych...

- No, przecież widzisz, że nie korzystam.

- Ma pani udział w mądrości siły w inny sposób. Zastanawiam się w jaki.

- Nie dzieł włosa na czworo, chłopcze. Sprawy są proste i naturalne.

Mam udział.

- Ma pani. Jakiś fajny i chyba bardzo podniecający. Nie wiem, chociaż wyczuwam, jaki.

- A ty się boisz.

- To boli i diabli wiedzą po co.

- Boli? Dlaczego nie miało by boleć.

- Właśnie. Dlaczego.

- Z pacjentami trzeba brutalnie. Często grymaszą.

- Podobno, hej. Ale czy to są grymasy, nie wiem.

- Czas, żebyś wiedział.

- I dopiero wtedy pisać wiersze. Pragnę cię i pożądam, mądra siło, nagnij mnie, ulecz.

- To już coś.

- Podobają się pani moje wiersze?...

- Te przyszłe, tak.

- A ja sam?

- Tak jak wierszyki, ten przyszły.

Teraz urywa się dialog i następuje zmiana pacjentek. Ukontentowana do gabinetu, w poczekalni jest poeta z malkontentką. Notuję dalej.

- No, jak tam, zaliczył pan? Mam na myśli pana tomik.

- Chyba nie.

- Mierzą jej... Wcale nieźle. O ile wiem, przednie szyjki. Dziś wiertarka jest bardziej znarowiona niż zwykle.

Jednak nie słychać krzyku. Potem poeta:

- Ona to lubi. Bolesność ją wprawia w trans.

Po chwili:

- Ścierwo.

Szepnął "ścierwo" czy nie? I ja się przestyszałem chyba. Wyszli już. Każde oddzielnie. Przechodzą pod moim oknem.

Przez chwilę jeszcze trwałem w bezruchu, zdawało mi się, że dochodzi do mnie szum wiertarki. W końcu machnąłem ręką. Co mnie obchodzi wiertarka? Od dawna noszę protezy i nam spokój.

Wanda Chylińska

## DLACZEGO NAPISAŁEM "W POLSCE"

To smętna historia.

Utwór, który ukazał się w piątym "Zapisie" i stał się tym samym moim ogólnościowym debiutem, był napisany dużo wcześniej, bo w pierwszej połowie 76 r., i nosił tytuł "W Gdańsku". Mieszkałem wtedy na strychu w Sopocie za 800 zł. miesięcznie, miałem 27 lat i jako artysta zarabiałem na życie targając meble w firmie przewozowej mojego obrótniejszego koleśka. Któregoś wieczoru uchlałem się z jednym poetą i jednym pisarzem i pokłóciłem się z nimi o wartość jednej takiej dennej mikropowieści, o zagubieniu metafizyczno-erotycznym autorki/Wyd.Lit., tyt. wypadł/. Od kieliszka do kieliszka i założyłem się, że w ciągu miesiąca napiszę mikropowieść-arcydzieło. Kiedy po dwóch dniach wytrzeźwiałem /kac mnie długo męczy/, z mety zabrałem się do. Temat leżał pod. Moje JA w metafizycznym dygocie, w kulturze same sprzeczności, w kraju syf, w Gdańsku wojna grudniowa. Pracowałem w atrakcyjnej literacko firmie przeprowadzkowej, w dodatku firma ta była perfidnie kapitalistyczna, a ja żyłem przecież w socjalistycznym, by tak rzec kraju. Jako artysta i jako robotnik byłem klasą gnębioną, czułem to. Co prawda nie miałem świadomości klasowej, ale miałem szczątkowe poczucie solidarności z człowiekiem w ogóle - i to jest jedyna poważna świadomość klasowa, uważam. Dopatrzywszy się zatem takiej sprzeczności jak wyzysk człowieka w państwie, hm, socjalistycznym, miałem już niezłą literacką śrubę. Proza wylawała mi się oczami, ustami, uszami i nosem, ledwo nadążałem pisać. Po dwóch miesiącach skończyłem. Ten pisarz był stary i głupi, w dodatku od dwudziestu lat w ZLP, więc nic z niej nie wykapaował. A ten poeta miał wielodniówkę, potem dostał skierowanie na kursy odwykowe, potem... i tak jakoś wyszło, że nie przeczytał. Ale miałem takiego koleśka krytyka, który nie tylko że nie pił, ale jeszcze w dodatku do ZLP nie należał. Przechytał, przeczytał i mówi... mówi... Rombai O Jezu, myślałem, że chce mnie zabić - ale to taki specjalny superlatyw, wyjaśnił. No jak superlatyw, jak bomba, to trzeba wydrukować, co nie? I zaczęliśmy się starać.

I było tak:

On zna Strykowskiego w "Twórczości", mówi. No wiec bach, tam, do niego. On długo się nie odzywał, ale kolega go parę razy za, więc ten w końcu od. Z krótkiej prozy jego listu trudno było wysnuć, czy brakuje mi po prostu literackiej klepki, czy też klepki są w porządku, tylko muszę jeszcze pobeđnarzyć, czy też w końcu po co pcham się do "Twórczości" z wywrotową prozą. W każdym razie maszynopis osędano. Strykowski się wybronił, ja znowu poszedłem na deski. Uderzyliśmy wtedy do GTGP.

GTGP czyli Gdańskie Towarzystwo Grafomanów i Pleczeniarzy stłoczone w tym czasie mocno wokół etatów projektowanego kwartałnika "Punkt", o tak, Gdańskie Towarzystwo zajęto się moją sprawą. Świetnie, świetnie, bardzo dobrze, młody prozaik. Wybrzeża, popieram, jak najhardziej - a nie ma pan czegoś innego? Mówię, że mam, owszem, ale jeszcze gorsze polityczne świństwa /kłamstwo, zajmowałem się jeszcze wtedy naprawdę sztuką a nie polityką/. Mało co im te etaty z rąk nie wypadały, jak to ustyszeli. Nie, nie, co pan, tu nie chodzi o politykę, wcale, my tak tylko, artystycznie proza wydaje się nie tego, nawet fragmentu. A poza tym opłaca się czasem nie mówić wszystkiego, po co zaraz, i tak błędna ta nasza kultura. robimy co możemy. Niech pan coś innego. Tu coś jakby artystycznie niewygrane.

Artystycznie niewygrane... No szlag by to trafił i choiera wzięła, nie wierzyłem, ale wlecie, człowiek panta rei - i zacząłem wpaść w swój ostatni utwór literacki. I już, już miałem rzucić literaturę, założyć swoją firmę przeprowadzkową, jak każdy normalny młody człowiek zając się oportunistem - kiedy nagle przychodził wiadomość z Warszawy. Jakis obywatel niepowołany, zbliżony do kręgów miesięcznika "Nowy wyraz", tak mi pisał. Proza znakomita, groteskowe przedstawienie Rewolucji doskonałe, trochę przefinków za mało, ale w ogóle najlepsza jaką w ciągu ostatnich mniej więcej

dwoch lat... Tak mi pisał, mniej więcej. No to już - piszę do niego. To "już" trwało dwa miesiące, potem list przychodził: a nie można by tak parę rzeczy odpuścić? Tapownictwo w sferach urzędowych - odpuścić; imię Isiek bo antysemityzm - odpuścić; słowo Rewolucja bo za często podejrzenie i ten kontekst - zaciemnić. No i te przecinki. Byłem wtedy daleko, kawcem w domu czasowym /dzieci mówią panie kakaowiec/, tamto było trupem - odpuścić. Tapownictwo wykreśliłem. Z lcka zrobiłem imka bo jak mi Bóg świadkiem żadnych semitów nie jestem wrogiem - ale jestem nieprzejednanym wrogiem antytypołów /i antysemitów też/. Słowo Rewolucja zaciemniłem na Przewrotnica. A przecinków nastawiałem ile wlezie. - Po miesiącu dostaje telegram: termer się wystraszył stop nic z tego stop przepraszam stop.

Stop.

Widzieliście kiedyś krajową figę? Ja ją od czterech lat oglądam, od-  
 kąd poszedłem z pierwszej książki do Wydawnictwa. Duża jest, duża, jak Pałac  
 Kultury wysoka, szeroka jak ruskie tory, a od krwi naszej czerwona jak plu-  
 skiw. Jest niewzruszona jak instykt życia zwierzęcy i wyprąha z artyzmu  
 jak odzworowanie społeczeństwa w nawiedzonym mózgu pozytywisty. Co robić?

Co robić.

Dusiłem się. Moim szczęściem i nieszczęściem - po prostu wyznacznikiem  
 mojej tożsamości - to było że, cierpiąc na manię Ducha, poszedłem po raz  
 pierwszy do wydawnictwa wtedy dopiero, kiedy zebrałem cały tom moich opo-  
 wiadzań. Kiedy miałem całe 25 lat. Chciałem - całość. Chciałem - "zadziwić".  
 Chciałem po prostu być JA. Szedłem z jedną książką, potem z drugą, nie roz-  
 przaszałem się. Ktoś coś za mnie wysyłał, nie umiałem poprowadzić tego inte-  
 resu. Zatem odmowy, które mnie spotykały - skoro nie było publikacji tzw.  
 drobnych - odcinały całkowicie kontakt z życiem literackim. Doszło do tego,  
 że mając 28 lat, zajmując się literaturą poważniej od lat dokładnie sied-  
 miu, a od pięciu tylko literatura, publikacji nie miałem żadnej. Była to  
 sytuacja z jednej strony korzystna - z drugiej tragiczna. Korzystna dlatego,  
 że mogłem w szybszym tempie przewartościowywać to co napisałem, gdyż  
 napisane nie uzyskiwało siły literackiego bytu, swoim poza mną istnieniem  
 nie petryfikowało mnie - duża wolność. Z drugiej strony było to jednak tra-  
 giczne. Bowiem to wolność anarchiczna. A cenzura stała się moją obsesją.  
 Domyślałem się, że nie tylko o cenzurę chodzi, wszak parę z moich utworów  
 mogłoby przejść - lecz chodzi również o ogólną organizację życia tutaj, w  
 tym życia kulturalnego, o to, że nikomu nie optaca się ryzykować nie tyl-  
 ko z cenzurą, ale i w ogóle ryzykować np. stronę artystyczną. Ale wtedy  
 dla mojej świadomości twórczej była to sprawa drugoplanowa, sprawa która  
 stać się może - kiedyś - tematem twórczpcsi. Mnie zaś chodziło o dziś. O  
 mekę samego aktu tworzenia. Nie mając wtyczek, nie publikując, nie żyjąc  
 w literackim stadzie - nie wiedziałem co można, ile można. Będąc niepod-  
 łączny byłem wolny - ale i zdeorientowany. Pisać musiałem, siły artysty-  
 czne są jak siły fizyczne, nie zużyte odkładają się w chorobę. Pisząc  
 częściej myślałem o cenzurze. Pisarz w naszym kraju - dopóki nie zadrze -  
 cenzurę ma we krwi. Kiedy zadrze - w oczach. Im bardziej o niej myślałem,  
 tym bardziej cenzura rozrastała się, do wymiarów w końcu monstrualnych.  
 Doszło do tego, że siadając do pisania widziałem cenzurę, tylko cenzurę i  
 każde słowo które pisałem stawiałem w jej blasku. Nie mogłem pisać swobod-  
 nie, straciłem cały polot. Proza moja stała się szara, poważna, społeczni-  
 kowska i symbolizująca. Proza moja straciła wdzięk. Cenzura stała się moim  
 głównym wrogiem, moim głównym oporem, a ja jako artysta stałem się w końcu  
 funkcją cenzury. Przestałem być artystą. W końcu przestałem pisać. Wtedy  
 zaczęła zalewać mnie własna niewydalana treść.

Dusiłem się.

W tej sytuacji wyjechałem na wieś. Na wsi, w sercu puszczy zgorze-  
 leckiej, jak głośna paździerz typu witalny, wetknięta w trawnik przed ni-  
 jainią piwa, postanowiłem co następuje. Postanowiłem, że w kraju w którym  
 człowiekowi przewidziane nie wolno nic, w którym dzień w dzień, od rana z  
 jedynką do wieczora z dziennikiem morduje się ducha i geometryzuje czło-  
 wieka, można tylko uprawiać samodoskonalenie. Najpierw się wysamodoskonalę  
 myślałem - a potem się zobaczy. Akcje tę przeprowadziłem gruntownie i na  
 wielu frontach. I tak - rzuciłem palenie. Jadłem tylko raz dziennie. I to  
 tylko białko roślinne. Jak coś mi się we mnie nie spodobało, kazałem sobie  
 dobrać, potem dwie godzinę. I nie pić wody. Wyciąłem kij, kupiłem tenisówki



i chodziłem na laśne spacery - 10, 15 kilometrów dziennie. Kochałem przyrodę. Sadziłem ziemniaki, cebule, fasolę i bób. Siałem pietruszkę i koper. Hodowałem drób. Jedną kwokę posadziłem na jajach. Wyprowadziła - po trzech tygodniach - siedemnaście kurcząt. W międzyczasie Indyżka podesłał Indyk z sąsiedztwa / a ona mu usiadła, tak się mówi / - po czterech tygodniach wyprowadziła mi niezły młot ośmioindykowy. Ja zaś, z czułością patrząc na płodność natury, ze wszystkich sił starałem się nie myśleć o kobietach / to za to o nich sniłem - żadne wyjście nie zajmowało się kobietami/. Sielan-ka trwała już kilka miesięcy i byłem pełnym niezwyklej estetyki mistycznej szkieletem, kłedy którejs nocy klapło moje serce. Wtedy mnie jeden felczer w towarzystwie zgrabnych pielęgniarek zajądając smakowicie kromkę z masłem, szynką i rzodkiewką, raz i na zawsze uświadomił. Ja zaś kątem mózgu przypomniałem jeszcze, że Budda też swego czasu nabrał się na eremityzm i też mało co nie wykitował. Uspokoiłem się. Zjadłem duży kurczak z różną i postanowiłem znów pisać.

Ale - pisać. Trzeba wiedzieć najpierw co jest grane. W tym celu, twar- do, po męsku, najedzony, odważny, od panienek już mi serce nie łopotąło, wystosowałem pismo do Putramenta / to taki literat/. Tytuł postawiłem taki: "Do Jerzego Putramenta - Interpełacja artystyczna". A zaczętao się mnie więcej tak:

"Szanowny Panie. Jest Pan pisarzem polskim. Jednym z przywódców Związku Literatów. Redaktorem pisma literackiego. Członkiem Komitetu Centralnego. Posłem na Sejm. - Zatem człowiekiem odpowiedzialnym i realnie odpowiedzialnym za całokształt życia literackiego w moim kraju..."

Dalej następowały głębokie uzasadnienia, racjonalne interpretacje i argumenty z samych trzewi zdrowego społecznego rozsądku. Dalej pytania. Siędem bitych stron A4. Do tego podłączyłem manuskrypt mikropowieści "W Gdańsku".

Odpowiedzi nie było.

Nie było, nie było, a ja czułem wręcz organicznie jak mi rozwiązują się ręce. Czułem, że ręce moje rozrastają się jak dwa wielkie dęby, jak dwa wielkie grzmyty, jak dwa jerychońskie nadmoskiewskie pioruny - wziętam te ręce i tymi rękami przewertowałem Marksa, Engelsa, Lenina. Kochani, pudol! Te niepolotne muty o misjonarskich Intencjach nabrały nas i nabrały się same. Nabrały się na sacrum Społeczeństwa, Historii, Produkcji... To i przedtem co prawda wiedziałem, ale tylko na czuja - teraz już wiedziałem cerebrałnie. Teraz już nie pisałbym do Putramenta. Ani do Cartera. Ani do Kurta Waldheima. Wiedziałem do kogo mam pisać. Do jasnej cholery!

Tak jest, brata mnie jasna cholera i ciężki szlag mnie raz za razem trafiał. Szukałem odgromnika. Szukałem naczynia, w które mógłbym z tego wszystkiego się wy. W które mógłbym na to wszystko na. W które mógłbym na to wszystko się od, wy i ze.

Było pod ręką. "W Gdańsku". Wziętam ten tekst, wyrzuciłem metafizykę, filozofię i estetykę, wywaliłem eselistykę i kontestujący bełkot, gdzie trzeba postawiłem przecinki, więc tak wyczyściłem tę konstrukcję, ten garn- nek i - zwiolitowałem do tej skorupy całe to moje zaślepiające mnie odium, całą tę kataraktę, to wszystko co miałem do tego poronionego pomysłu ustrojowego, do grupkowato "przodującej" partii, do tego zbydlatego ponie- woli społeczeństwa, do tego żałosnego "państwa" i do tego tam... tego tam... tego tam państwa ościennego. Napisałem utwór na temat, na swoje wew- nętrzne zamówienie, na swój wewnętrzny ratunkowy nus. Ograniczyłem, upo- rządkowałem, choć moim żywiołem jest logiczny luz a nie spójność a la Jasio Kałaputkin, zwięziłem pasmo, wypuentowałem, wystrzyłem - i tym ostrzem przebiłem się na świat duchów wolnych. Poczutem się jakbym wyszedł z taj- na pod przyszc....

Nie jestem z tego utworu artystycznie zadowolony - proszę mi wierzyć, nie jest to poza - to nie jest moje prawdziwe JA. Wiele zostało za burtą. Ale tak widać musiało być. Nie można pchać się na estradę Ducha w kajda- nach.

Dlatego napisałem "W Polsce".

Historia, którą opowiedziałem nie jest tylko moją historią. Jest to historia, wydaje mi się, tego co przydarzyło się ostatnio w ogóle polskiej

literaturze. O sobie zaś opowiadałem dlatego, że się na sobie najlepiej jeszcze znam. Ta Introwersja wynika nie tylko z mojego charakteru, nie tylko stąd, że sztuka jest pracą głównie w laboratorium własnego JA - ale stąd również, że w kraju, w którym twórców odizolowano od siebie, pozbawiając ich swobody w wymianie doświadczeń, likwidując tym samym potęgę dyskursywnego, wspólnego stwarzania ducha, w którym kultura wznosi się na garbach, na międzianych czołach, na zasznurowanych ustach i na jurgielnikach, w którym rzeczywiście myślący ludzie skazani są na bytowanie monadalne - w takim kraju własne JA stało się jedynym terenem suwerennych eksploracji twórczych, artystyczną i intelektualną oazą, naszą smutną samotną manufakturą.

A teraz wiedzieć musicie państwo, że od dwóch lat wszystko się w naszym kraju pokiełbało. Gęgacze stali się rewolucjonistami, dotychczasowi rewolucjoniści /typ Machejek/ ni stąd ni zowąd stali się gęgaczami, przy czym gęgac zaczęli na gęgaczy, którzy przecież już nie są gęgaczami tylko rewolucjonistami /typ Kuroń/, w ogóle jaja - jeden tylko Gierek i Wyszynski pozostali na swoich miejscach, a nawet przysunęli z lekka fotel. W tej sytuacji mówić zaczęto o "literaturze niezależnej". Hasło to najściślej wiąże się z inicjatywą grupy osób, pisarzy, poetów, ktytyków, działaczy - wydających od początku 77 r. periodyk "Zapis". Do tej pory ukazało się pięć grubych numerów. Jakże są oddźwięki? Ano właśnie. Gnom wlemy co myśli. Pręgnący polscy /typ Wielopolski/ gęgają, że to politycy wydają Zapis i że żadna tam literatura. A w ogóle Zapis to żydzi, zbrocenicy i ludzie skompromitowani. /Wielopoliczycy nigdy nie będą skompromitowani, bo wtedy trzeboby 82% Polski skompromitować/. Z kolei gęgacze, perają, rewolucjoniści - mówią: coś piękniejsza cała polska literatura cudownie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej /naszej! / zmartwychpowstała! No i są jeszcze różne takie przybłedy, które mają swoje zdanie....

Na niedawnym spotkaniu z redaktorami Zapisu, wobec zapełnionego do ostatniej klepki w podłodze Salonu Tadzia Walendowskiego pojawił się obrazoburca. Może być, że nastąpił przez ubęgję, do siania dezintegracji niepozostawnej w młodych szeregach. Wyraził się on m.in. iż Zapis to wcale nie taki znów nobel i owszem, on docenia, szanuje ale duży krzyk, hałas, wielka Niezależność - a dla niego Zapis to "Twórczości" i "Włazi" stoi. Na sali powiata. Tadzio Walendowski, człowiek bywały, żonaży, dwoje dzieci, zaraz kazał wleźć do Salonu, zrobić przerwę, nawet na papierosy wyjął zezwolenie - cóż, kiedy ziarno zapadło. Zapadło, a musiało być płodne, skoro jego owocem są i te między innymi uwagi.

Ja też uważam, że Zapis to wcale nie takie wielkie hało, wielka amerykańka i w ogóle duch w stanie artystycznego rezonansu. Ale prócz tego uważam, to mam jeszcze interpretację. Mówię w porządku, Zapis, literatura niezależna, zielone światło, jest jaka jest, ma swój charakter i swój kierunek artykulacji - i pytam: a czego wy jeszcze chcecie? "Prawdziwej" sztuki? "Czystej" literatury? Pełni? Metafizyki? To wy myślicie, że dobra literatura z sezonowych protestów pisarzy się urodzi? Z życia towarzyskiego opozycji? Z waszego gęgania wielopolczyków? Ledwie rozkuto literaturze kajdany - a wy już każecie jej tańczyć? To nie do Zapisu mieście pretensje nie do ludzi którzy ją robią, ale raczej przeniesiecie pretensje na tych, którzy po tamtej stronie skroblią, milczą, a nawet przyjmują biaszki na tasiemkach/ a choćby ostatnio Parnicki/ - chociaż człowiek o zdrowych zmysłach i elementarnej uczciwości nie może dziś nie wiedzieć.

Przed kilku dniami zmarł Zbigniew Żatwski, pisarz dworski. Nie wiem jaki on miał horror inteligencji, ale gdyby słyszał jakimi komentarzami przyjęto dokoła jego śmierć, po prostu jego życie - spędziłby je chyba inaczej, naprawdę chyba inaczej....

Przed blisko miesiącem zmarł Stanisław Dygat. Ten nie miał wrogów. Żatowski go ludzie i żegnali, był ich. Wiem, że w ostatnich tygodniach przed śmiercią rozmawiał z ludźmi z tej strony. Wiem, że nie odmówił pomocy finansowej, kiedy się do niego zwrócono w tej sprawie. Chciał chyba więcej. Pisać. Dołączyć. Dać jeszcze jeden odważnik na naszą szalę, swoje nazwisko, życie. Nie zdążył. Mówiono "szkoda", miał szansę na dobrą puentę! Ktoś powiedział "gdyby wiedział, że tak niedługo, na pewno by się nie zastanawiał". Umarł. I tak pozostał miłym Stasiem-literatem. To tylko.

Wy, którzy żyjecie, piszecie dla dworu, czy dla siebie chytkiem wymijając wilcze ścieżki, czy dla "ludzi" jak wam się wydaje, którzy przyjmujecie biaszki, milczkiem odprawiacie publiczne nabożeństwa a w braku siły, w braku odwagi, w braku artystycznej tężyzny gęgacie na to nowe, które w naszej literaturze się rodzi - pomyślcie o ludzjach, którzy was w dniu śmierci po całej Polsce jednym zdaniem oceniają...

Dobrze, że się na Zapis, na tę literaturę gęga; ja też pogęguję. Ale przestańmy, do diabła, czekać na Orfeusza! Nasróżmy tępetynę i zrozummy, że tam, gdzie trzydzieści lat odchodziło permanentne gnojenie samej Istoty ducha, zaległości nie odrobi pięć numerów Zapisu, jeden "Pulsu" i kilka perłodyków. Polska literatura ścierpiał! Dajcie jej czas - i warunki! - aby się rozprostowała. Aby zaczęła pisać/ a kiedy zacznie, zrobi to napewno siędem razy lepiej niż ta, która nauczyła się ukrywać swoją chroniczną w "Twórczości"/. To do was, literaccy gęgacze.

A teraz do nas, do tych z tej strony. Nasza literatura zbyt mocno czuje się literaturą ofiary. Zbyt mocno stoi przed jej oczami kat. Paradoksalne, literatura "niezależna" okazuje się w swojej istocie zależna - ona wciąż jeszcze jest zdominowana swoją niezależnością, niezależnością od. A nie ma być literaturą niezależną, tylko po prostu literaturą. Krótko mówiąc: jest wolność słowa; nie ma wolności ducha. Literatura ta nie syci ducha. Ja wiem, że ona z ran ducha wtaśnię się wyllizuje. Masuje krwawo pęta. Ale niepotrzebnie przy okazji jątrzy. Jeden z moich znajomków wielopolczyków tak się o niej wyraził. Kochany, to nie jest literatura. To samoluteński organ seksualny, w tym nie ma ciała. No i prawda. Postuję się tu przykładem negatywnym...

Konwicki. "Kompleks polski" - trzeci numer Zapisu. Ta literatura wyróżnia się, ma swoją tożsamość. Można się czeplać, bez wątplenia - ale jest przynajmniej czego. Nie jest to książka stwórcza, gdyż duch który ją wyprodukował stwórczy nie jest - ale ma niezaprzeczoną walor poznawczy. Ma swoją autonomię i nie jest już tylko funkcją antytotałitarnego odium/czego np. skrajnym przykładem są od jakiegoś czasu wiersze i eseistyka Stanisława Barańczaka/. Dlaczego Konwicki. Dlatego, że fundamenty pod te książkowe budowle on przez lata. Temat, który opowiedział, obwachiwał i macał, hipnotyzując czujnych woityżerów, od kilkunastu przynajmniej lat. Wystarczy się sięgnąć do jego poprzednich powieści. Konwicki nie był w tej sytuacji co nasza nowa literatura, nie musiał stwarzać języka. Wystarczyło tylko odpowiedzieć to, co w poprzednich książkach systematycznie niedopowiadał, odkładał. Wylało się przy tym trochę żółci i trochę brudów sumienia / z brudami znowu Konwickiemu nie wyszło - ale może następnym razem?... / - ot, i wszystko. Ale Konwicki; a przecież w Zapisie i Inni fachowcy pisali. Otóż Konwicki ma to do siebie, że odkąd skończył z socjalistyczną administraturą zajmuje się naogół i głównie w literaturze sobą. A własne JA artysty jest u nas naprawdę najbardziej niezawodną literacko formą /mówiłem o tym wyżej/. Zaś Inni - Inni zajmowali się literaturą. i dlatego zostali w dotkach. - Czytam te recenzje z "Kompleksu polskiego". Dymarski, Barańczak, Szaruga... Panowie, stawcie te nawyki haglograficzne po tamtej stronie! Przestańcie trzymać się za ręce i odepchnijcie się trochę od siebie. Majsi! - niejsi! będziecie, kiedy staniecie oddzielnie - to przecież literatura...

Jaka jest przyszłość literatury "niezależnej"? Ogromna - o ile stanie się literaturą. A jakie są na to nadzieje? Pomijając okoliczności największe nadzieje są w ludzjach, którzy tu dopiero, na tym placu, wobec tego punktu odniesienia rodzili będą siebie i swój artystyczny język. Język który byłby nie rozkuwaniem kajdanów, wyewaniem żółci, robeniem żośiłowych min, udrękami zjeżdżonych przez Historię i ich niewczesną eksploatacją ale taki, który będzie językiem stwarzającego się autentycznie i od zera ducha.

Może to utopla... Bowiem życie w Polsce leje się i tak pomimo, ciężkim, obojętnym nadwiślańskim korytem i nie przedko ta autorewolucja nastąpi. Zaś literatura "niezależna" aby była żywa, aby nie stała się takim sobie oodródkiem, kulturowanym - mimo wszystko! - w kręgu osób wtajemniczonych, w czasie wolnym i w miarę możliwości, w odcięciu od głównego nurtu społecznego życia, aby stała się w pełnym tego słowa znaczeniu literaturą - musi

sobie zapewnić równowagę duchową. Z tym wiąże się i stabilizacja wydawnicza, i stabilizacja finansowa, i - bagataia! - modus vivendi z Gnomem. A w tej sprawie ostatniej skazani jesteśmy, panowie pisarze, na dzieje, znowu na układy. I zdaje się, że znowu, jak to w naszych dziejach, skończy się wszystko na jednostkach. Więc prosta rada, kto ma rozbuchane w środku palenisko, komu furczy żyta, kogo świerzbi mózg - niech nie namyśla się, niech się nie ogląda, niech szybko wskakuje do tej z nieba lux-torpedy jaka jest literatura niezależna, niech nabiera gazu, póki jej nie wykołaja. Reszta niech ogryza kości. Wiedzieć jednak wprzód trzeba; że aby udać się w tę podróż, być wolnym artystą, w tym kraju i dzisiaj - trzeba mieć końskie zdrowie.

Ja np. rzuciłem palenie.

P.S. Znowu palę, cholera.

Korzeniowski



## POLSKA ZNIJACZONA ALBO LODOWIEC Z GÓWNA

W latach 1945-55, a zwłaszcza między 1949-53 inżynieria dusz ludzkich opierała się na zaangażowaniu ideowym. Model manipulowania niesfornymi Polakami wymagał oprócz sprawdzonych środków represji policyjnej zewnętrznej, także i policjanta uwewnętrznionego w postaci proponowanego nowego wzorca wartości kulturowych. Taki nowy wzorec kultury samopilnującej się zaprezentował słynny szczeciński zjazd literatów w 1949. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że ów wzorec kultury socrealistycznej w zamysle jego wynalazców nie był wzorem rozdwójonym na teorię i na praktykę, przeciwnie - wymagał heroicznej konsekwencji, co umysły proste a nlechetne przeformułowały na znane określenie postawy bolszewickiej /"zaszkodził choć nie ma w tym interesu"/. Pawła Korczagin znajdował wielu naśladowców denuncjujących zatusia lub mamusię na zebraniach zetempowskich. Tak hartowała się stal. Inni żyli przytłoczeni tym stalowym pancierzem. W każdym razie wypracowano system wartości, dla którego nie tylko warto było zabijać wrogów, ale, tak przynajmniej sądzili niektórzy, samemu ginąć z czerwoną legitymacją przyciśniętą do serca.

Potem nastąpił okres rozprzężenia i chaosu, kiedy wszystkie te z trudem wypracowane wartości zostały utopione w błocie, czyli Październik 1956. Po wielu latach wysiłku stanęliśmy jednak znowu na nowych pozycjach. Zobaczymy więc, na czym stoimy.

Gdy rozgromiono Nową Falę, a jej najwybitniejsi przedstawiciele Barańczak, Krynicki i Zagajewski zostali praktycznie pozbawieni możliwości wyprawiania się w druk, okazało się, że polityka kulturalna wytworzyła tymczasem zupełnie nowy, ale dość koherentny model manipulowania odbiorcą. Na czym polega ów model?

Oto traktuje kulturę jako przedmiot spożycia, coś co jest konsumowane i wydane, co wypełnia puste wnętrza ludzkie jako sił generis neutralna pasta spożywcza zatykająca przewód pokarmowy, ale nie przetwarzana na energię życiową, a więc uneruchamiająca organizm. Twórczość staje się teraz produkcją materiałów zastępczych, imitacji, atrap do złudzenia naśladujących oryginalne produkty. Jej celem jest zamulenie tej przestrzeni, w której mógłby się rozwinąć żywy dialog twórca - odbiorca, dialog między tym co wszczyną proces twórczy i tym co ów proces współtworząc podejmuje. Wypełniając ów obszar potencjalnego dialogu niby-twórczość paraliżuje i autora i odbiorcę. Jej celem lub /jeśli rezygnujemy z doszukiwania się diabelskiego spisku w mechanizmach historii/ rezultatem jest zniżanie uczestników kultury. Kultura zaś miast być dróżkami poruszającymi ludzką zbiorowością i inspirującymi do różnego typu działań, zmienia się w gumę do żucia podawaną zgłodniałym: Oto więc mamy zalew płytko rozrywkowych, trzeciorzędnych filmów /zwłaszcza komedii/ z życia zachodniej middle class, oto sprowadzamy seriale łagodnie gangsterskie, nieszkodliwie historyczne, niewinnie roznegliżowane. Oto tłumaczymy częściami swobodne, umiarkowane libertyńskie pamiętniki francuskich dworzan i dwórek, układamy antologię wierszy o muzyce, wierszy o matce, wierszy o pszczołce, wierszy, których nie chce nam się czytać, piszemy powieści, w których o nic nie chodzi, sztuki bez konfliktów, książki na przemiat.

Lub też kwitną szczególnego typu peryferie. Niektórzy poeci upodobili sobie sielanki przyrodnicze, opiewają uroki bieszczadzkiej jesieni, powieściopisarze szukają swoich bajecznych korzeni, wlejskiego rodowodu zakopanego pod jabłonią, udają się w fantastyczną podróż zaprogramowaną przez orbitowską sciencję fiction. Jedni czynią tak dla uniku, inni z tchórzostwa - tworzą bibeloty, ozdobniki do tego, co jest i pozostaje niezmienione, aby nie mówić o rzeczach, które widać w oczy, o tym co boli trzydzieści milionów Polaków. Sądzę, że peryferie powinny istnieć, ale wtedy gdy istnieje centrum. Jeśli zaś literatura pozbawiona zostaje centrum, udawania, że można przevegetować na peryferiach jest oszustwem wobec siebie, czytelników i potomności. Powtarzam, bez centrum zmienia się funkcja peryferii, stają

się one dopełnieniem /błegun publiczny i prywatny/, ale obszarem obłudnej minoderii.

Nie dajmy się także z drugiej strony zwieść nawoływaniom o ideowość / i zaangażowanie / w literaturze i sztuce. Te hasła częściej wypowiedziane niż słuchane i częściej wypisywane niż odczytywane wcale nie mają być przedmiotem jak się to mówi "wdrążania". Są za to sui generis lipserskie sygnałizującym trwałości systemu, jego niezmienności. Oto nasza doktryna trwa i jest wieczna, powiadają, oto nie zmieniliśmy ani litery w spuściźnie otrzymanej od mitycznych, brodatych klasyków, oto przechowujemy jak najwierniej ducha Ojców Kościoła. Ta trwałość i niezmiennność wręcz mityczną zapewnia szczególniego rodzaju poczucie bezpieczeństwa wszystkim korzystającym z dobrodziejstw statu quo, a pod adresem wykorzystywanych manifestuje groźną, niezłomną wieczność potężnego bastionu, który jest jako opoka. To, że owe deklaracje nie są wprowadzane w życie, wynika nie tylko ze słabości dyspozytora kultury, z wygaśnięcia jego sił witalnych i spadku agresywności, ale z pewnej chytryści, o której zaraz powiem. Idzie bowiem o to, że ideowe zaangażowanie w kulturze, to znaczy gotowość poświęcić dla wartości innych niż doraźne praktyczne, w gruncie rzeczy prowadzi do rewnej autonomii działania. Jednostka opętana wiarą w wartości niesprowadzalne do układowi personalnych i doraźnych korzyści może okazać się wierna ideom a nie osobom. Nie w pełni daje się więc manipulować. Nuż bowiem wpadnie w różne odchylenia i herezje, mogą jej też przychodzić do głowy interpretacje doktryny niezgodne z interesami określonego układu sił. Sterowanie ludźmi za pomocą doktryny okazało się niezbyt pewne, mniej pewne niż to, do czego prowadzi spersonalizowana więź międzyludzka, gdy poprostu w stuży X-owi nie pytając o racje i motywacje filozoficzne, stojąc na gruncie doraźnej praktyki. Można to zresztą różnie nazywać. W wersji cynicznej będzie to służba dla własnej korzyści, w wersji wysublimowanej "robianie co się da" w "warunkach jakie są". Myślę zresztą, że zastąpienie manipulacji doktrynalnej pewniejszą manipulacją na zasadzie więzi personalnej /lub grupowej/ wynika ze zmiany perspektywy czasowej. Pierwsza manipulacja zakłada "długie trwanie", "historię" etc., druga myśli wyłącznie o doraźnym skutku na najbliższe dwa tygodnie, perspektywa historyczna jest tutaj zaciętna do wąsko pojętej biografii grupy rządzącej - après nous le déluge!

Ale na czym jeszcze polega chytryść, o której wspominałem wyżej? Otóż oprócz możliwości herezji i oszczędzeń, zaangażowanie doktrynalne nawet obłudne prowadzi także do swobodnego wzbogacenia osobowości /różnorakie napięcia wewnętrzne typu cornelliowskiego/ u zarażonych doktryną, u przeciwników zaś budzi ostry sprzeciw, mobilizuje ich maikontenctwo, słowem polaryzuje postawy, budzi ruch "ideowo-moralny", dynamizuje zbiorowość miast łagodnie i niepostrzeżenie usypiać i ubezwłasnowolniać. Do tego celu zaś najskuteczniej prowadzi zniżczanie ludzkich osobowości, odebranie im poza-doraźnej /poza-praktycznej/ perspektywy działania. Istotnym więc hasłem nowej polityki kulturalnej jest nie prowokować niczego. Istotnym więc hasłem nowo- sprzeciwów, ani zbit gorącej miłości, i miłosne zapęty bowiem okazane zmurszałej nazbyt damie mogą okazać się niebezpieczne. Życie przedtuży jej tylko zrównoważenie i spokój. Wiec też i rozogniony Władysław Machejek może liczyć co najwyżej na uśmiech współprzyzwolenia.

Albowiem skoro rozładujemy wszystkie napięcia, skoro upiemy wszelkie inicjatywy, skomoromimyśmy wszelkie prorywy zmlerzające do przekształcenia siebie, zbiorowości, świata i jego ustanowionego nieporządku, porywy żywione duchem niezgody na to co jest i w nas i wokół nas, wtedy osiągnąmy pełnię władzy nad ludzkim zbiorowiskiem zmienionym w zbiorowisko bez wrażeńia ładujących na półmisku. Człowiek zniżczony najłatwiej poddaje się manipulacji.

Otóż zazwyczaj kultura służyła walce ze zniżczaniem człowieka, a w każdym razie była terenem walki sił prowadzących do jego ubezwłasnowolnienia i sił pragnących jego wolności, przy czym walka ta nie zawsze przebiegała między przejawami kultury, najczęściej toczyła się wewnątrz nich, wewnątrz dzieła sztuki jako jego wewnętrzne napięcie, wysiłek przekroczenia własnych ograniczeń, własnej ciasnoty. Tak sztuka była szkołą niezgody na miłość swoją i cudzą. Otóż dzisiaj na naszych oczach dokonuje się skanda-

liczne oszustwo. Jako kulturę bowiem /literaturę, sztukę etc./ prezentuje się to, co jest jej przeciwieństwem, ale przeciwieństwem bezpłodnym, nie prowokującym reakcji. Oto szynka z plastiku, chleb z gumy. Literatura-nie-literatura, sztuka-nieszuka, pisarze-niepisarze. Związek literatów, który zajmuje się przydziałem samochodów, wczasów, wydaje zaświadczenia, lecz żyje... O bezżębna literaturo!

Tak wpytujemy w rozlewiska kiczu. Ale nie jest to kicz barwny, nieraz fascynujący swoją plebejskością jarmarczną, fantazją niekontrolowaną dobrym smakiem literatury wysokiej. Taki kicz stanowi nieraz junackie przeciwieństwo oficjalnej sztuki, partnera, którego sprośności rzucające za płuca pobudzają krew w jej żyłach. Kicz, który zamula nasze mózgi, odznacza się akademicką poprawnością, szczył się kulturalnym poziomem. Jego trucizna kryje się w jego neutralnej mdości, w jego niezdolności do wywołania jakichkolwiek napleć.

Ale przecież pisarze podejmują współczesne tematy, dyskutują w swoich książkach o zaangażowaniu, niekonformizmie, dramatach zawodowych i osobistych. Oto Tadeusz Hołuj z szaleńczą odwagą atakuje problem rewolucyjności młodzieńczej przeciwstawionej dojrzałemu zrównoważonemu starszemu pokoleniu. Boheter jednej z jego powiastek usiłuje porwać samolot, by nieść pomoc walczącemu Wietnamowi. Jego naiwny żar rewolucyjny spotyka się z ciepłą wyrozumiałością starszych. Jakże to prawdziwe i trafnie dobrane. Rzeczywiście dla naszych dwudziestolatków jedynym doświadczeniem budzącym młodzieńczy bunt przeciw złu i niesprawiedliwości były w latach 68-70 bombardowania Wietnamu północnego przez amerykańskich imperialistów. Żyjemy bowiem w kraju, który rozwiązał wszelkie zasadnicze sprzeczności i bytuje oto błogo w beczkaszowej sielance męczonej z rzadka przez grupki izolowanych wicherzycieli. Musimy więc importować zło aż z Chile czy z Wietnamu.

Tak zostaje ukradziony młodzieńczy niekonformizm, oswojony, wpuszczony w kanał... Cóż za mistrzostwo zresztą w zamianiu rzeczywistych dramatów, w rozbrajaniu i chytrym pod pozorami kultu - kompromitowaniu rzekomo wyznawanych wartości. Tak "partyzancka" frazeologia patriotyczna doprowadziła do osłabienia tradycji walki niepodległościowej z okupantem. Oto całe obszary zdeptane i strątowane przez cwanych pisarzyków chętnych i żwawych w przechwytywaniu stypendiów na powieść, film czy serial głoszący patriotyczne braterstwo broni. Próbie kradzieży tego, co stanowi żywą wartość, towarzyszy zabieg - zgodny ze schizofrenicznym modelem naszej rzeczywistości - separacji. Oto strajki robotnicze w dwudziestowieciu są przejawem walki proletariatu o swoje prawa, niekonformizm walczących zostaje jednak starannie odizolowany od tego, co obserwujemy dzisiaj: te dwie sfery nie korespondują ze sobą, są oddzielone murem. Podobnie walka mniejszości w USA o swoje prawa nie ma nic wspólnego z walką o prawa człowieka u nas. Cenzura we franklistowskiej Hiszpanii obrzucana jest błotem, cenzura u nas jest zbiwienią poręczą chroniącą przed upadkiem w otchłań.

Powiedziałem wyżej, że okres stalinowski wleżył w manipulowanie zbiorowością poprzez ideologię, której realizacją była polityka. Ideologia zakłada dalekosiężne cele, "długie trwanie". Rezygnacja z ideologii jest więc niewiarą w to, że świat potrwą dłużej niż dwa tygodnie. Zresztą odrzucamy ideologię, gdyż okazała się niebezpieczna /produkcja herezji itp./, na jej miejsce wprowadzamy materiał zastępczy, tak jak drukarz wprowadza blok na miejsce brakujących liter. Funkcją tego materiału zastępczego jest niedopuszczanie do wytworzenia się jakiegokolwiek pozapraktycznego systemu wartości, paraliżowanie komórek mózgowych, obezwładnianie myśli obciążonej neutralnym bałastem gazetowych frazesów. Gdyby ktoś wziął serio owe frazesy, mogłoby to okazać się bardzo niebezpieczne. Stąd umyślna sennaść naszego aparatu propagandy, jego zamysłem nie jest bynajmniej przekształcanie obywateli w żywo i inteligentnie myślących marksistów - uchowaj Boże! - ale markowanie ideologii - wypełnianie wszelkich nie zajętych doraźnymi sprawami życiowymi stref osobowości lepkiem kitem frazesów. Ideologia zastąpiona została czystą polityką, to jest taktyką manipulowania ludźmi, nie w celu realizacji określonego systemu wartości - niejako bezosobowego, intersubiektywnego, "długo trwającego" - ale dla doraźnych korzyści grupy rządzącej. Jest to polityka wyzwolona ze służby o ideologii. Dawniej między interesami grupy rządzącej i manipulowaną zbiorowością rozciągał się obszar obrony -

ideologii. Ona stanowiła mur, za którym tkwiła grupa rządząca i jej interesy. Obecnie ten mur rozpadł się, pozostała sama tylko polityka, czyli doraźne zabiegi, prowizorka na tymczasem, tatanina, bricolage, desperacka gestykulacja, przekupstwo i szantaż, i jako ostatni ratunek możliwość teroru prowadząca do ostatecznej katastrofy.

Nie mamy więc żadnego pozytywnego programu kulturalnego/takim był soc-realizm/, mamy za to nijakość rozrywkowo-estetyzująco-nudziarską sztuki oficjalnej i cenzurę walącą drągłem w każdego motyka i komara. Rzeczywiście żyjemy przyciśnięci grubą warstwą lodowca. Ale jest to lodowiec z gówna.

Coda:

Kiedy podejmujemy decyzję pisania o rzeczach, o których dotychczas nie woino było pisać, znajdujemy się w szczególnej sytuacji. Z jednej strony zrzućcie z karku wewnętrznego policjanta daje poczucie nagłej swobody, otwierają się bowiem nieprzewidziane możliwości wyrażenia długiego tłumionego odczuć. Z drugiej jednak ów wybuch nie ułatwia chłodnej analizy, beznamiętnego oglądu zjawisk, słowem tego co nazywamy postawą poznawczą. Najłatwiej wtedy wyłączać się w negacji i w destrukcji, o tyle jałowej, o ile pozostałe na płaszczyźnie wyjściowej ustalonej przez przeciwnika będąc tylko zmianą znaku wartości. Cała problematyka duszącego nas kosmaru nie zostaje wtedy podjęta, nie udaje się nam wyjść poza układ pytań i odpowiedzi już istniejących, poza - przecież fajszywą - dotychczasową konceptualizację rzeczywistości. Właśnie owow napiecie emocjonalne - wynikające z długiego okresu inhibicji - przeszkadza nowej konceptualizacji otaczającego nas świata.

Ale wydaje mi się, że taki wybuch emocji jest konieczny. Musi najpierw nastąpić odhlókowanie, wyładowanie napięć, abyśmy byli zdolni do chłodnej diagnozy, gdzież zreszta brać narzędzia potrzebne do jej wypracowania! Długi okres przymusowej hibernacji nie sprzyja wytwarzaniu pojęć dających się użyć do demityzującego opisu, a więc rozbrojenia tego, co chce się nam jawić jako "nieprzezroczyista konieczność", jako magia, transcendencja, boskość, wobec której jesteśmy bezradni, powalenii na kolana, przejęci sakralnym lękiem, gdy ślina cieknie nam na wldok skórki od kłębasy podawanej na papetyku przez dobrotliwe groźne bóstwo.

Ale jest jeszcze jeden istotny czynnik, w pewnej mierze obezwładniający tego, kto podejmuje demityzujący opis ldoia. Otóż wkracza w pojedynkę na obszar mało eksplorowany, nie krepują go już żadne reguły opisu już wytworzone /bo jakże miały się wytworzyć w czasie hibernacji/, ale też nie pomagają i nie prowadzą. Jest oto jak Adam po raz pierwszy nazywający świat, trudno się wlec dziwić, że kategorie, które wymyśla ad hoc, bywają mało subtelne, dość ogólnikowe, niepogęblone. Zresztą świat, który przyszło mu opisywać, został wymyślony nie przez Pana Zastępów, ale przez milion sekretarzy powiatowych.

Jan Prokop



Ignacy Matuszewski

## ZNIESIENIE CENZURY A LITERATURA PIĘKNA

/fragmenty/

Przez długie, długie lata nasza literatura piękna w Królestwie była do pewnego stopnia niema. Knebel cenzury nie pozwalał na poruszanie i odzwiercanie artystyczne całego szeregu spraw, i to spraw, które wiazały się najściślej z bytem całego społeczeństwa.

Autorowie, drukujący swoje książki za kordonem, nie wyczerpali nawet tysięcznej części materiału, który tkwił w życiu. Cenne artystycznie dzieła wybitnych nowelistów, powieściopisarzy i poetów wychodzące bez cenzury - dają zaledwie fragment tego, co prawdopodobnie, a nawet niewątpliwie weszłoby do literatury. A jeżeli który z pisarzy próbował wypowiedzieć cenzuralnie to, co było niecenzuralnym, musiał uciekać się do "okultystycznego", że tak powiem, sposobu wyrażania swych myśli i uczuć i kryć między wierszami wszystko, co stanowiło istotną treść dzieła. Czeltnicy czasem rozumieli, a czasem nie rozumieli, o co właściwie idzie, a nakład prac w utworach tego typu przewyższał wysiłki artysty o całe niebo.

Moglibyśmy wskazać cały szereg dzieł pisanych tą metoda, ale wolimy poczekać na odpowiedniejszą chwilę. Nie trzeba dopomagać domyślności cenzury i urzędu prokuratorskiego...

Nie o poszczególnych autorach więc, pragnących jeżeli nie ztamać, to przynajmniej uchylić nieco pleczeń milczenia włożoną im w usta, mówić będziemy, lecz o tym, co domagało się ujawnienia, a musiało pozostać w tajnikach udreżonych mózgów i serc, wzdychając na próżno do wcielenia się w formy artystyczne.

Najgłośniejszy nacisk kładła cenzura na epokę porozbiorową dziejów Polski. Kościuszko był do ostatniej chwili na indeksie, o Napoleonie i ks. Józefie Poniatowskim wolno było pisać o tyle, o ile się to nie wiązało zhyt ściśle z podnieconym nastrojem ducha narodowego w chwili ich działań na gruncie naszej ojczyzny. Na zewnętrznej stronie wypadków patrzano pod koniec przez palce, ale kto spróbował odtworzyć wewnętrzne sprężyny ruchu wolnościowego w kraju, przemianowanym bezprawnie na "Prywiślański", ten musiał albo milczeć, albo uciekać się do wspomnianych wyżej sposobów maskowania swych myśli za pomocą symbolów, niedomówień, domyślników etc. Szczere i otwarcie niepodobna było uplastycznić tego, co się widziało i czuło w głębi duszy.

A czasy późniejsze, bliższe nam? Epoka Królestwa Kongresowego, powstanie listopadowe, rządy ks. Paskiewicza - o wprowadzeniu tych momentów do dziedziny sztuki nie było nawet mowy. Rok 1863 również nie istniał dla cenzury. Pisać o Rządzie Narodowym, o "buntowszczykach" i ich psychologii, odtwarzać martyrologię skazańców i zesłańców - równało się zbrodni stanu. Co z tak bogatego w pierwiastki duchowe i plastyczne materiału można by zrobić i co niewątpliwie będzie zrobione - tego chyba dowodzić nie potrzebuję. Dominujące postacie działaczy głównych, nastroj uczuciowy u mas obudzonych z długiego letargu, różniczkowanie się prądu, antagonizmy osobiste, tragiczne sceny, epizody, pomyłki etc.; ścieranie się romantycznego bohaterstwa z zimną trzeźwością - wszystko to prawie leży jeszcze odłogiem i czeka na godnych siebie Homerów, Szekspirów czy Balzaków.

x/ "Tygodnik Ilustrowany" 1906 nr.2. Przedruk w zbiorze "O sztuce i krytyce", PIW 1965.

Dziecko, dom i szkoła rządowa oraz konflikty, wynikające z konieczności kształcenia i nienawiści do metody oraz "gorliwych" przedstawicieli systemu, który poza rzekomą pedagogią ukrywał mniej lub więcej wyraźne tendencje polityczne. Dalej stosunek do urzędników i administracji, ogarniającej ogół i jednostki ślecią bezprawia i samowoli. Kontrast pomiędzy życiem zewnętrznym narodu, płynącym na pozór gładko i wesoło, a życiem wewnętrznym, przpojonym żalem, skargami, goryczą i tęsknotą do innych warunków. Ciągła obawa i nieufność, a zarazem nieokreślona nadzieja i wiara w to, że prędzej czy później minie ponura noc i zajaśnieje zorza.

.....

Rądz co bądź, nie ulega wątpliwości, że z chwilą zniesienia cenzury otworzy się dla pisarzy niezmiernie bogata skarbnica motywów nowych, głębszych, żywych, tragicznych, a dusza narodu polskiego odstąpi się w całej pełni.

W swobodnej poezji i sztuce dojdziemy do poznania samych siebie - a to rzecz pierwszorzędnej wagi nie tylko dla jednostki, lecz i dla narodu, a zwłaszcza narodu pozbawionego samoistności.

Ignacy Matuszewski

## PRZEDMOWA DO SŁOWNIKA RACJONALNEGO 1/

Gdyby Hugo Steinhaus zajmował się tylko matematyką, to matematykom na całym świecie znany byłby nie mniej niż jest znany, ale tu w Polsce więcej jest przyczyn, że non omnis...

Profesor Hugo Steinhaus zmarł w roku 1972. Jedną z ostatnich jego publikacji był artykuł Na marginesie cybernetyki"/Znak 112, 1963/. Pewien krytyk literacki razwał go najpiękniej po polsku napisaną rzeczą, jaka wyszła drukiem w owym roku. Była to także mądra rzecz. Mądrych widać i dziś niemało, gdy się rezebrać, ale kto jeszcze tak pisze? Autor miał takie pióro, że się je poznawało, jeśli nie po każdym zdaniu, to w dwóch kolejnych. Postugiwał się językiem polskim precyzyjnie, z precyzją niewymuszoną. Korzystał tylko z naturalnego bogactwa języka, unikał form papierowych, zbytku słów i nadętości. Napisał: Prawdziwy pisarz wykreśla ze swego manuskryptu każdy zbędny wyraz. Tym różni się od dziennikarza". Lubił lekko archaizować. Co napisał, pociągało żywością i kolorem, a nie zgrzytało nigdy. Było w jego piśmarstwie tyle sztuki, że czytelnik czuł się onieśmieszony. Jego dowcip budził śmiech z gatunku poważnych śmiechów często z opóźnionym zapłonem. Takie śmiech można potem w sobie odtwarzać i przyjemność jest na długo. Tak się zaśmiejemy, gdy przeczytamy słynne hasło nr 11 z niniejszego Słownika lub historyozoficzne 33 3/. Nasz frywolny uśmiech przy 13 4/ okupimy smutnym przy 122 5/.

Kto z serdeczną pasją wnika w znaczenie i brzmienie słów, ten lubi żart językowy. Jest to pieszczotliwe igranie z własną mową, a żart jest tym bardziej udany/udały - powiedziałaby Profesor, bo "udany", to na niby/, im lepiej się tę mowę zna, im bardziej się ją czuje jako część własnego istnienia. Przykłady każdy znajdzie, teraz i niedawno, i dawno w Warszawie i w Czarnolesie. Myślą Słownika Racjonalnego jest układanie dwuznaczności w ten sposób, żeby sens najbardziej dostowny wymagał analizy i odkrycia, gdy sens umowny wynika odrazu z utartych połączeń i zwrotów. Kiedy przedmowa /bo tak w tym miejscu znać maieży autora przedmowy/ nazwał słaboskrzydłą komunikację Lotu w pierwszych latach po wojnie bujaniem gości, Profesor się ucieszył, bo sam nazwał ówczesną komunikację PKP kompletnym rozkładem jazdy kolejowej. Jeszcze bardziej się ucieszył, gdy pewien chłopiec na wiadomość o śmierci doświadczalnego pleska w sputniku zrekł: Teraz świat jest pod zdechłym psem.

Sprawy językowe służyły Profesorowi za temat żartów, ale w sprawach języka żartów z nim nie było. Uważał, że mają pierwszeństwo. Nic nie zdołato w jego oczach okupić lub usprawiedliwić polszczyzny błędnej, ciężkiej, chybionej. Był w tych rzeczach nieustępliw i umiał wymusić posłuch. Listy adresowane Steinhaus Hugo odsyłał nieotworzone i tak ten chwast wokół psalił, że Uniwersytet Wrocławski ze strachu wydał alfabetyczny spis personelu z imionami na pierwszym miejscu.

W swoim niedrukowanym felietonie Kilka słów o kilku słowach Hugo Steinhaus sztydził z wyrazów, które wykroczyły poza swój prawowity obszar semantyczny i na nieswoim terenie panoszą się bezwzględnie, jak "cały szereg" w znaczeniu "dużo", jak "względnie" zamiast "lub", "ubrać pałto", rodem podobno z Galicji, i warszawskie, z rosyjskiego wzięte "a" w zdaniu "nie ten to

1/ H. Steinhaus'a /Wydawnictwo Ossolineum we Wrocławiu, w druku/

2/ Kula u nogi - Ziemia. - Numery pozycji uległy zmianie w obróbce wydawniczej.

3/ Hasło wleku maszyn - zęb za zęb.

4/ Kobieta nienasycona - stokrotka.

5/ Ostatni rozdział podręcznika dobrego tonu - sevoir mourir.

zrobił, a tamten". Felleton nie rozpada się jednak na kilka osobnych potępień, ale zmierza ku syntezie lub synteze. Z tego, co Profesor tam napisał i co nieraz mówił, bije przede wszystkim odraza do sztucznych wielostopowych zwrotów, które wyplerają najzwyklejsze określenia. Owe "na terenie Warszawy" zamiast "w Warszawie", "na temat" /n.t./ zamiast "o", "w związku z tym" zamiast "dlatego" /dodajmy "w związku z czym" zamiast "wiec"/, "na przestrzeni dwóch lat", eleganckie "mam wrażenie" zamiast pospolitego "zdaje mi się"! Czy ktoś jeszcze mówi "weszłym roku ? W gazetach jest już tylko "ubległym", o jedną sylabę dłużej, o ileż poważniej! Ale to nie wygrało naprawdę. To język na pokaz. A gdy się przystuchać, ustyszy się "w tamtym roku", co jednak może także oznaczać rok 10-ty ante Christum czyli p.n.e. /Profesor mawiał, że ci, co wymyśliли p.n.e., powinni pisać p.w.e. - przed waszą erą/. Kto pokaże w gazecie słowo "wskutek"? Zwyciężył wynik. W wyniku gradobicia zmarniały zasiewy. A jednak - wskutek długich narad wszyscy bywają zmęczeni, ale za to w ich wyniku może zapaść mądra uchwała. Ktoś zapewne wiedziony pedanteria semantyczną ponad możliwości żywego języka, użył słowa "specjalistyczny". Minął rozcek czy dwa, a słowo "specjalny" zniknęło ze szpałt i z urzędowej mowy. Fonetyczny rusycyzm "jakby nie było" /jakby nie było słowa jakkolwiek/ straszyl już przed wojną. Teraz przypominano sobie o "jakkolwiek", ale nie zapomniano o "nie" z rosyjskiej cząstki "ni" i słychać coraz częściej "jakikolwiek by on nie był". Może się doczekamy "jakkolwiek bądź by nie był", bo to jeszcze dłuższe. Kiedyś zobaczyłem w warszawskim tramwaju wezwanie do pasażerów, żeby nie przeszkadzali załodze w spożyciu posiłku śniadaniowego /Madzia, daj mi posiłek śniadaniowy/. A język etykiet? Jako pierwszy bym pałkę...

Styl ludzi, dla których pisanie jest czynnością uroczystą, i popytano patos u ludzi, którzy chcieli by uczynić uroczystość ze wszystkiego, odrywają zgodnie język oficjalny od mówionego, prze co oficjalny wzbogaca się pozornie, a mówiony uchożeje naprawdę.

Akcentuacje to osobna sprawa. Dla fizyki i polityki znajdują się jeszcze okoliczności fanodzące, ale byliśmy, robiliśmy, to zamach na melodię języka, źródło wstrętnych rymów, barbarzyństwo, które powinna tępić przede wszystkim telewizja i przede wszystkim u siebie.

Na liberalną doktrynę językoznawców, że język jest zjawiskiem przyrodniczym, więc podlega tylko obserwacji, ale nie ocenie, Profesor odpowiadał, że studiowanie obyczajów mieszkańców Wyp Salomona nie zastąpi dziesiątki przykazań. Czy ludzie najbardziej powołani do czuwania i przestrogi mają tylko w milczeniu rejestrować, że zamiast "wystawa" pisze się "ekspozycja", a "dynamiczny" zamiast "szybki"? Chyba, że ich to obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg.

W języku można nieskończenie, w własnym oczywiście. W matematyce albo się ma rację albo się jej nie ma, a w tych sprawach grają emocje. Grały i u Profesora, i to silnie, ale oparte na głębokim poznaniu języka polskiego i na znajomości kilku innych, układały się w racjonalną całość. Trudno ją opisać abstrakcyjnymi zasadami, łatwiej wytłumaczyć na przykładach. To właśnie czynimy, i sadzimy, że Mistrz wystuchałby życzliwie ekstrapolacji /dywagacji/, na które sobie tu pozwalamy.

Hugo Steinhaus miał ustalony pogląd na to, kto jest uprawniony do tworzenia nowych wyrazów: lud, artyści i dzieci. Gorąco zaprzeczył, gdy prowokacyjnie spytałem, czy także uczeń. Trudno by ustuchać Profesora, bo zupełnie nie wiadomo, kto jest dzisiaj ludem, nigdy nie było wiadomo, kto jest artystą, a dzieci uczą się naszych błędów dodając swoje własne obrydlowości leksykalne. Swoim "tu pisze" zaraziły całą Polskę. Raz zapytałem mego syna, czy wie, co znaczy "strzelać się". Wiedział oczywiście: on się strzela, on się pluje, on się rzuca śniegiem. Prócz sympatycznego piśtorzka, który jednak nie ma szns w mowie dorosłych, niewiele ciekawych neologizmów mają dla nas dzieci na zbyciu. Za to klną na k., zanim jeszcze dowiedzą się po katach, co to znaczy kobieta, chociaż już przed tym musiały dawać laurki na dzień kobiet pani i mamie/najlepiej z matym Edykiem/.

Do kobiet Profesor odnosił się bez większego zaufania /"Mamy dużo dobrych lekarok. Nie świadczy to o wysokim poziomie kobiet, tylko o niskim stanie medycyny"/. Liczył im chromosomy z niekorzystnym dla nich wynikiem.



Dla mnie to było za trudne, ale wiem, że jeśli 2/3 uczniów w liceach ogólnokształcących stanowią dziewczęta, to jest źle. Oznaki czci dla kobiet odpowiadają naszym obyczajom. Ma to wpływ na język. W lansadach zapomina się o tym, że zbiorowość dwupłciową określa się w rodzaju męskim. Stąd "proszę koleżeństwa", "obywatelki i obywatele". Czy wolno jeszcze mówić że jest nas w kraju 34 miliony Półaków? Można by kurtuazję przenieść na czasowników: ludzie byli i byli. Ta rycerskość wieśniacza nie sięga dnia powszedniego, kiedy pani dyrektor każe sekretarce napisać list do towarzyszy sekretarza, a konduktorka sprzedaje bilet pani profesor.

Profesor nie uznawał nazwisk żeńskich bez żeńskich końcówek. Pani się tak nie nazywa - mówiła na egzaminie przestraszona studentką, która przedstawiała się Nowak. Jednakże tu argumenty sprawiedliwości przemawiają przeciwko tradycjom języka. Pani Wąsowicz może nie chcieć ujawniać wciąż i bez potrzeby swego stanu cywilnego, gdy pani Wąsowska nie jest do tego zmuszona.

O kobietach i miłości Steinhaus napisał wiele hons mots. Niektóre z nich przywiodł na myśl maksymę, że stateczny ma być sam poeta... Pruderii nie znośli, jak i wszelkiego zakłamania. Man darf nicht das vor keuschen Ohren nennen, was keusche Herzen nicht entbehren können - to Mefisto. A Steinhaus: Czy miłość fizyczna czy duchowa? Jak to rozstrzygnąć, skoro miłość fizyczna jest najważniejszą potrzebą duszy?

Demokratyczna, a raczej demotropijna orientacja językowa przywiodła Steinhaus do wniosków, które łatwo mogły wzbudzić sprzeciw. - Zgadzałem się na śtrozak - powiedział mi kiedyś/tak chłopi w Galicji nazywali siennik/. Dobrze było dla niego wszystko, co rodzi się na dole. Takiego słowa NIE byłaby o paszport. Nieufny tylko wobec nowotworów uczonej mowy, niechętny obcym konstrukcjom koplowanym przez lekceważenie własnego języka, akceptował sztambajzy, heble i bory. Nie żyłymi się na uprzykrzony wyraz "fajny", nie cleszył do dworzec, bahnhof był dla niego równie dobry. Ale za to kilka słów o kilku słowach kończy się tak: "W szeregu wypadków zaszyły na przestrzeni naszej historii lat ostatnich na odcinku młodzieżowym zjawiska, odnośnie których wypowiedzieli na zewnątrz tego odcinka względnie na wewnątrz platformy ideologicznej wymagają..." itd., a w tym zdaniu bez końca nie ma, jak pisze autor, ani jednej polskiej konstrukcji, ani za grosz sensu, a większość zwrotów jest żywcem przeniesiona z niemieckiego.

Nie chcielibyśmy spać na śtrozakach ani śpieszyć się na bahnhof i woliemy strug od hebla. Ale rozróżnienie jest trafne: co innego martwa polska imitacja języka obcych urzędów, a co innego wiekowy osad ślądzkiej niemieczyny. Można dobrze mówić po polsku w szlafroku i szlafmycy i źle w podomce i trzewiczkach. Niedawno telewizja polska potępiła słowo "szlaban". A jak mamy mówić? Może drogą drogową? Dla niektórych brzydko mówić po polsku, to używać "brzydkich słów"/używajmy byle z sensem/, dla innych znowu, to używać słów "obcych". Na modę "retro" posypały się drwiny, gdy potworne rajstopy przylgnęły od razu do ust całego społeczeństwa i nikt nie protestował. Jacyś anonimowi słowianofile językowi orzekli, że dziecku trudniej będzie zapamiętać, że 2 plus 3 jest 5 niż koślawe zdanie "2 dodać 3 równa się 5". Ten rodzaj puryzmu został już dawno odrzucony w Polsce i gdzieindziej/w Niemczech panował w pewnych epokach prawdziwy furor teutonius językowy/, ale wciąż się odzywa. Podzieliłem się kiedyś z Profesorem uwagą, że język polski jest jedyny, w którym cała ma rodzimą nazwę. - Nie ma się czym chwalić - odpowiedział. Dworował z lekarzy, że sarmaści ze swą ciepłotą zamlast temperatury, ze swą płońicą i bionicą, których podobieństwo może wyrządzić szkodę społeczną. Słowianofilom i germanofobom językowym należałoby wydać walkę. Oczywiście pod warunkiem, że będzie rycerska, z szacunkiem dla szlachetnych intencji i z uszanowaniem honoru. I niech sobie tu poskreślają niestowiańskie słowa.

W motatkach Profesora, z których tu coś nie coś odtworzyliśmy, znajduje się zaskakujące zdanie "Uczyłem się polszczyzny u wielkiego Niemca, który uczył się niemieckiego od swojego nauczyciela łaciny". Z dalszych słów wynika, że ten nauczyciel polszczyzny to wiedeńczyk Karol Kraus. Czy w ogóle umiał po polsku autor ostatnich dni ludzkości? Zapewne nie, ale umiał po niemiecku. Na każdej stronie swego dzieła wyszydza i przedrzeźnia rozmaite rodzaje złej niemieczyny, którą papie i zgrzyta wiedeński inteligent, pruski oficer, cesarsko-królewski urzędnik, niedorozwinięty książę krwi.

Książka jest niesceniczną tragikomedią z dziejów pierwszej wojny światowej, przeżywanej na tyłach w Austrii i w Niemczech. Jest manifestem pogardy dla austriackiego kółtuństwa, dla niemieckiej soldateski, dla okrucieństwa czynów i myśli, dla patriotycznych paskarzy i służalczej prasy. Kraus nie może oddzielić tego świata od jego złej mowy. Widzi w niej znak śmiertelnej choroby. To właśnie była dla Steinhausa cosa nostra. We własnej niemieczyźnie Krausa, bogatej i zwartej, czuł wartość absolutną. Taki język nazywał muskularnym.

"Ucz się po polsku od Krausa" - to byłaby zbyt kłopotliwa recepta na dzisiejsze czasy. Ale nie brak wzorów rodzimych. Sprężysta wierna mowa polska, umiejąca razić i bronić, sprzyja prawdzie. Do matactwa nadaje się mniej, bo język łatwo łamie się na fałszu i spiętrza nad próżnią. A jeśli nie mamy racji, pozostanie tylko apel o trochę serca dla języka, którego dźwięk i szelest idzie za nami przez tych lat kilkadziesiąt. Pan je miał, Panie Profesorze!

Stanisław Hartman

## FILOZOFIA DZIEJÓW A TEORIA SPOŁECZNA

## II. Spór o teorię rozwoju

I. Rola teorii rozwoju w naukach społecznych.

Można stosując współczesne wyrafinowane metody krytycznej analizy i wy-  
mogi metodologii badań zakwestionować wszystko, cokolwiek dotąd w naukach  
społecznych powiedziano, wykazać, że żadne pojęcie nie jest dostatecznie ja-  
sno zdefiniowane, żadne twierdzenie nie daje się w zadawalający sposób uza-  
sadnić, granice wszelkich uogólnień są chwiejne, a wszystkie koncepcje i te-  
orie budowane są na grząskim gruncie metafizycznych dowodności. Świadomość  
tej sytuacji jest powszechna i wielu badaczy szuka wyjścia w uporządkowaniu  
naukowego warsztatu, poddaniu wszystkich jego narzędzi surowemu egzaminowi.  
Niestety, wszystkie dotychczasowe przykłady tego ktytycznego redykalizmu  
nie wniósły do nauk społecznych żadnych mogących budzić nadzieję elementów.  
Im bardziej wysterylizowane z możliwych błędów i dowodności stają się na-  
rządza, tym mniej okazują się adekwatne do materiału dostarczanego przez  
życie społeczne - jakby na potwierdzenie paradoksu poety, że "zbliżając  
się do prawdy oddalamy się od rzeczywistości" 1/.

Dobrym przykładem takiej logicznej puryfikacji są wysięczki w stronę  
nauk społecznych wybitnego logika i metodolona K. Poppera 2/. Na tej samej  
linii leżą modne /od czasów Maxa Webera/ tendencje do budowania abstrakcyj-  
nych modeli. Ponieważ układy i procesy zachodzące w systemach społecznych  
są zbyt skomplikowane i zakłócające przez ingerencje trudno uchwytne czyn-  
ników ubocznych, przeto dla wyjaśnienia buduje się "czyste" modele, mające  
wyjaśnić funkcjonowanie systemów i rolę tych czynników, które uważamy za  
główne. Można na to odpowiedzieć, że abstrakcyjne modele rzeczwiście ułat-  
wiają zrozumienie modeli - natomiast zagadką pozostanie stosunek między mo-  
delem a empiryczną rzeczywistością i zawsze grozi niebezpieczeństwo, że pa-  
trząc na zjawiska społeczne przez pryzmat modelu obracamy się w sferze fik-  
cji.

Jakkolwiek zrozumiała i godna poparcia byłaby tendencja do uściślenia  
nauk społecznych, oczyszczenia ich z flintoficznych, ideologicznych i czy-  
sto literackich dowodności - pogodzić się trzeba, że niady pojęcia w tej  
dziedzinie wiedzy nie mogą osiągnąć jasności i jednoznaczności zadawalające  
logika, a dążenia tego rodzaju - niezależnie od niesłagalności - zawsze  
będą kryły w sobie tendencję do negowania rzeczywistości społecznej jako ta-  
kiej.

Punktem wyjściowym dla nauk społecznych jest zjawisko rozwoju tzn.  
stwierdzalny empirycznie fakt, że społeczeństwa w toku swej egzystencji po-  
diegają jakimś zmianom, zachodzą w nich jakieś procesy tworzące ich histo-  
rię, przy czym procesy te mają wyraźnie odmienny charakter od obserwowanych  
w świecie przyrody, tzn. od przyrodniczej ewolucji. Gdyby w społeczeństwach  
nie zachodziły specyficzne procesy rozwoju, nie istniałby i nauki społecz-  
ne, a socjologia byłaby po prostu działem nauk przyrodniczych, jakim obec-  
nie jest "socjologia" mrówek czy termitów.

Przyjmując jednak ten punkt wyjściowy, musimy mieć świadomość, że nie  
jest on wygodny z powodu niejasności, wieloznaczności i szeregu innych ob-  
ciążań pojęcia "rozwoju". Jego współczesne zrozumienie jako przejawu dyna-  
micznych tendencji tkwiących w społecznych systemach rozpowszechniło się  
dopiero w XIX w., a każde upływające dziesięciolecie ujawniało coraz to nowe

1/ St. J. Lec, Myśli nieuczesane

2/ Por.: Open Society, oraz Misery of Historicism. Niezależnie od wartości  
krytycznych analiz uderzająca jest jałowość i naiwność jego pozytywnych  
propozycji.

dowody złożoności tego zjawiska, odkrywało więcej zagadek i tajemnic niż przynosiło rozwiązań. Problem rozwoju okazał się magicznym kotłem, którego nauki społeczne nie są w stanie przekroczyć. Zniechęcone nieudanyi próbami, usiłują obejść zagadnienie, punktem wyjścia uczynić społeczeństwo istniejące, dostępne bezpośrednio oglądowi, które można fotografować, przełczyć, poddawać wszelkim operacjom klasyfikującym. Pojęcie rozwoju, którego korzenie tkwią w mrokach niedostępnych bezpośrednio poznaniu, należy zastąpić śledzeniem aktualnie zachodzących zmian i tendencji, które pozwalają nam wykrywać badania typu statystycznego.

Impuls do odejścia od kategorii historyczno-przyczynowych w kierunku koncepcji synchronicznych przyszedł głównie ze strony socjologii amerykańskiej /funkcjonalizm/, która ma wszystkie powody do unikania historii. Wszak jest cywilizacją przeszczepioną i wszystkie korzenie współczesnych zjawisk prowadzi na obcy grunt, jednocześnie zaś specyficzność form, jakie przybrał rozwój społeczny na tym kontynencie, nie zachęca do szukania analogii i pokrewieństwa z macierzystym europejskim pnem.

Kwestionuje się samo pojęcie rozwoju, argumentując, że jest ono obciążone tradycją filozoficzną metafizyki, zawiera teleologiczne założenie - rozwój oznacza dążenie do jakiegoś z góry wytkniętego celu, że ponadto opiera się na wartościowaniu, bowiem rozwój ma być przechodzeniem ze stanu "niższego", "gorszego" do "wyższego" i "lepszego". Żadnego zaś z tych założeń nauce przyjmować nie wolno, ponieważ nie mamy żadnych podstaw do twierdzenia, że społeczeństwa dąży do jakiegoś celu, nie istnieją również kryteria oceny poszczególnych stanów, a sądy wartościujące nie mogą być zdaniem nauki. Możemy jedynie mówić o konkretnej, empirycznie stwierdzalnej zmianie zachodzącej w społecznym systemie. Termin "zmiana" jest wolny od wszelkich obciążeń, nie zawiera mogących budzić wątpliwość implikacji. Przykładów tego rodzaju wymyślenia kłopotów wynikających z pojęcia "rozwój" literatura zachodnia dostarcza wiele. Jest to nieszczęśliwe wyjście fikcyjne. Opiera się ono na założeniu, że określona zmiana można rozpatrywać jako fakt wyodrębniony i wyizolowany z diachronicznego kontekstu, który możemy rozumieć nie dociekając jego związków z poprzednimi stanami. Metodologiczna ostrożność prowadzi tu do oczywistego nonsensu i jaskrawej niezgodności z całym doświadczeniem. Mówiąc o zmianie w społecznym systemie /jeśli zmiana ta nie ma charakteru losowego przypadku, jak trzesienie ziemi/, musimy przyjąć, że wiąże się ona z jakimiś poprzedzającymi ją zmianami, że związek ten określamy jako przyczynowy i jego wykrycie jest zadaniem badacza. Każda analizowana zmiana narzuca nam domniemanie powiązane ze sobą cyklu czy łańcucha zmian stanowiących jakiś proces, którego ujawnienie i zbadanie jest głównym zadaniem nauk społecznych. Zastąpienie "rozwój" "zmianą" pociąga za sobą dalekosieżne następstwa. Powoduje, że uwaga badacza skupia się na poszczególnych dających się wyodrębnić faktach i grupach pokrewnych faktów, natomiast społeczeństwo jako spójna całość, zorganizowany system, przestaje być przedmiotem badań, przestaje być w ogóle kategorią socjologiczną - staje się pojęciem z pogranicza filozofii i literatury, czymś zbyt amorficznym, aby mogło się znaleźć na warsztacie badacza. /

Argumentów przeciwko pojęciu "rozwój" nie można traktować poważnie. Zarzut obciążenia teleologią jest echem dawnych sporów pokutujących jeszcze w filozofii - jeśli rozwój musi oznaczać dążenie do "celu", dlaczego zmiana miałyby być "bezcelowa"? Bezzasadny jest również zarzut wartościowa-

- 1/ Szczególnie w szkole amerykańskiej wyraźny jest proces odchodzenia socjologii od pojęcia społeczeństwa. Początkowo rezerwowano dla niego specjalną dyscyplinę "makrosocjologię", ostatnio również i makrosocjologia przestaje zajmować się społeczeństwem. Znany teoretyk A. Etzioni jako przykład problemów makrosocjologicznych wymienia takie jak klasy społeczne, organizacje, a nawet wielkie przedsiębiorstwa jak General Motors. /Por. jego: Toward a Macrosociology, /w/ J.S. Doleman, A. Etzioni, J. Porter, Macrosociology, Research and Theory, 1970/.



nia. Nie tylko w potocznym języku, ale i w terminologii wielu praktycznych dyscyplin, "rozwój" oznacza każdy cykl zmian niezależnie od możliwych ocen /np. "rozwój dziecka", "rozwój choroby", "rozwój alkoholizmu" itp./.

Bez pojęcia procesu jako ciągu zależnych od siebie zmian nie istnieje pojęcie społeczeństwa - proces rozwoju czy zmian stanowi bowiem konstytutywną cechę systemów społecznych L/. Obrona pojęcia rozwoju jest obroną nauki o społeczeństwie przed coraz wyraźniejszymi tendencjami likwidatorskimi. Powstaje bowiem sytuacja, w której społeczeństwo jako funkcjonujący system coraz bardziej zostawia się ideologicznemu i politycznemu znachorstwu, nauka zaś zadawala się analizą poszczególnych wyników. Śledząc do nieco brutalnego porównania, to tak jakby w jatce miesięcy wystawiono półwartowane kawałki mitologicznego zwierzęcia, którego w całość nikt nigdy nie oglądał, nie znamy jego kształtów, nie wiemy, czym się żywi, jak się porusza, skacze czy pełza, i jaką funkcję spełniają wystawione na pokaz fragmenty.

Jedynie koncepcja rozwoju może nam ukazać społeczeństwo jako całość i co najważniejsze otworzyć perspektywy na jego historię, stworzyć alternatywę dla filozoficznych spekulacji.

## 2. Sprzeczności teorii rozwoju.

Ant Marks ani Engels nie stawiali sobie zadania systematycznego wykładu teorii rozwoju. Ich teoretyczna refleksja, podobnie jak sięganie do historycznych doświadczeń, miała charakter fragmentaryczny, dyktowany potrzebą wyjaśnienia głównego problemu, jakim były współcześnie zachodzące procesy. Także i następne prawie stulecie nie odczuwało potrzeby ktytycznego u-systematyzowania podstawowych twierdzeń, co umożliwiłoby sprawdzenie, w jakiej mierze odpowiadają one dwóm podstawowym warunkom teorii: kompletności i zasadności. Całe piśmiennictwo wokół tego problemu pozostawało w ramach ogólnej koncepcji rozwoju, która całkowicie zaspokajała potrzeby ideologii. W tej właśnie dziedzinie rozgrywały się wszystkie dyskusje i polemiki, natomiast wyraźny był zastój i niedorozwój w dziedzinie teorii i krytycznych analiz społecznych procesów, gdzie zadawano się sumarycznymi odniesieniami do ogólnych tez filozofii dziejów. To też próby, jakie w tej dziedzinie podjęto w ostatnim okresie, dość liczne w Polsce l/, zastępują na bliższą analizę.

Naczelnym założeniem marksowskiej teorii społecznej jest twierdzenie o zależności wszystkich elementów społecznego życia od sposobu zaspokajania bytowych potrzeb społecznych, co określa się jako sposób produkcji. "Sposób produkcji życia materialnego warunkuje społeczny, polityczny i duchowy proces życia w ogólności. Nieświadomość ludzi określa ich byt, lecz przeciwnie, ich byt społeczny określa ich świadomość". Przytaczając tę fundamentalną marksowską tezę zwróćmy uwagę, że występuje ona tutaj w podwójnej roli. Jest, z jednej strony, aksjomatem ontologicznym stanowiącym podstawę filozoficznej koncepcji dziejów. Równocześnie zaś w ramach teorii społecznej teza ta jest wstępnym uogólnieniem na temat stosunków zachodzących między dwiema sferami zjawisk społecznych, jest roboczą hipotezą podlegającą weryfikacji przez doświadczenie.

Znakomita większość / a bodaj wszystkie / rozważań na ten temat nie różniła tych zasadniczo odmiennych znaczeń, jakie teza ta przyjmuje w różnych kontekstach. Z reguły jej aksjomatyczny / filozoficzny / charakter rozciąga się także na teren badań społecznych, w wyniku czego powstaje paradoksalna sytuacja: jeśli bowiem teoria przyjęła to jako aksjomat, wszelka analiza społeczna musi sprowadzić się do traktowania analizowanych zjawisk jako potwierdzenie tego, co zostało z góry założone. Taki właśnie pseudobadawczy proces można ilustrować dowolnymi przykładami.

l/ Zróżnicowanie form rozwoju omawiamy niżej. Tu podkreślamy tylko, że nawet w najbardziej zakrepiętych w tradycyjnych formach społeczeństwach zachodzą jakieś procesy zmian.

Do pozycji wymienionych w I części dodać należy najobszerniejszy wykład w pracy: J.J. Wiatr, Marksistowska teoria rozwoju społecznego, Warszawa, 1973.

Wyjaśnijmy, że nie idzie tu o podważanie założeń materializmu historycznego, ani o wyrzekanie się przez badacza zjawisk społecznych materialistycznej filozofii. Idzie o rzecz bardziej elementarną: o to, aby badaniom społecznym nie narzucać warunków, które ex definitione badania naukowe unie-  
możliwiają. 1/

Koncepcja rozwoju zawarta w przedmowie do "Przyczynka" jest w intencji Marksa konkluzją wynikającą z bogatego materiału empirycznego, jakiego dostarczyły dzieje Europy. Myśl europejska co najmniej od początku XIX w. przywykła traktować rozwój społeczny jako zjawisko naturalne, obserwowane nawet nie myśląc kategorią materialistycznymi narzucało się zjawisko wzrostu sił wytwórczych i postępu technicznego, dostrzegalne były / acz nie zawsze zrozumiałe / konsekwencje tego zachodzące we wszystkich dziedzinach życia. Trudno było sobie wyobrazić, aby ten trend rozwojowy mógł ustać - raczej każdy osiągnięty szczebel rozwoju zapowiadał dalsze jego przyspieszenie. To też konieczność rozwoju sił wytwórczych stała się kamieniem węgielnym marksistowskiej koncepcji dziejów. Z założenia tego wynikały wszystkie dalsze następstwa: zmiany w układzie wewnątrzspołecznych stosunków, permanentnie pojawiająca się sprzeczność między stosunkami dyktowanymi przez siły wytwórcze a ustrojowymi formami prowadząca do rewolucyjnych zmian ustrojowych.

Ogólne ramy marksistowskiej koncepcji wytrzymały i do dziś wytrzymują - o frontację z przebiegiem procesów przynajmniej w tej części świata, w której najwcześniej pojawiło się zjawisko kapitalizmu - tzn. w zasięgu cywilizacji zachodniej. Jednakże bliższa analiza samego teoretycznego schematu i jego konfrontacja z empirycznym materiałem, nieporównanie bogactwa niż mógł rozporządzać wiek XIX, ujawnia szereg zasadniczych luk i nieadekwatności. Rozpatrzenia wymagają trzy problemy: 1/ problem czynnika motorycznego rozwoju, 2/ problem jedno czy wielotorowości rozwoju, 3/ problem przejścia do formacji socjalistycznej.

1. Wszystkie teorie dotyczące ewolucji i rozwoju cierpią na chorobę "początku" - jeśli wszystko zaczęło się "ab ovo", skąd wzięto się pierwsze jajo? Dla nauk biofizycznych jest to zjawisko interesujące, ale w istocie zewnętrzne. Sposób powstania pierwszej żywej komórki nie ma wpływu na strukturę, tch nauk, i charakter jej twierdzeń. Nie możemy tego powiedzieć o naukach społecznych. Jeśli stwierdzamy, że społeczeństwa podlegają rozwojowi, jakie czynniki to powodują, skoro nie możemy tego przypisać siłom i prawom przyrody?

Naczelnym założeniem marksistowskiej teorii jest "prawo postępującego rozwoju sił wytwórczych", tzn. konstytutywną cechą sił wytwórczych jest, iż muszą się zmieniać ilościowo i jakościowo, wzrastać i doskonalić się pod względem technicznej sprawności. Siły wytwórcze zaś to wg. definicji praca ludzka plus środki /narzędzia/ produkcji. Przypisując im cechę konieczności rozwoju, wywołujemy pytanie, który z tych składników jest nosicielem tej cechy? Jeśli odrzucimy możliwość, aby cechą tą obdarzone były narzędzia produkcji, pozostaje wniosek, że konieczność zmian narzędzi jest przyrodzoną cechą ludzkiej pracy.

1/ Wyrazem takiego pomieszenia pojęć jest podkreślenie "integralnego" charakteru marksizmu, co ma oznaczać utożsamienie tej filozofii z twierdzeniami teorii społecznej. "Materialistycznego pojmowania dziejów nie można oderwać od tego światopoglądowego źródła" /Lange/. "Zasada integralnego charakteru marksizmu, w szczególności zaś wyptywająca z niego zasada jedności, marksistowskiej teorii rozwoju społecznego i filozofii marksistowskiej; należy do podstawowych założeń całego systemu teoretycznego marksizmu" /Wiatr/. Jeżeli założeń światopoglądowych i naukowych nie można od siebie odrywać - to tym bardziej nie wolno ich utożsamiać. Jedne i drugie przyjmują się na zupełnie innych zasadach, wyrażają one inny sens i pełnią odmienne funkcje. Dla przyjęcia światopoglądu wystarczą "przeświadczenia" o jego prawdziwości, natomiast twierdzenia naukowej teorii trzeba udowodnić.

Teoretycy szukający odpowiedzi na to pytanie usiłują uniknąć podobnej niewygodnej konkluzji. Lange np. pisze: "pierwotnym bodźcem decydującym o rozwoju społecznym... są nie stosunki ekonomiczne, ani nawet ta ich część, jaką stanowią stosunki produkcji. Bodźcem tym jest dialektyczny proces wzajemnego oddziaływania człowieka i otaczającego go materialnego świata, czyli rozwój społecznych sił wytwórczych" /49/. Zdanie to zastępuje pojęcie "ludzka praca" przez "dialektyczny proces wzajemnego oddziaływania człowieka i otaczającego świata" - w intencji podzielenia zasługi rozwijania sił wytwórczych między człowieka i przyrodę. Niewątpliwie człowiek żyjący poza przyrodą nie mógłby rozwijać sił wytwórczych, w tym sensie zdanie to jest całkowicie prawdziwe. Ale to uwikłanie się z postawionym pytaniem.

Gdybyśmy chcieli ludzkiej pracy /bądź też: "dialektycznemu procesowi wzajemnego oddziaływania między człowiekiem i przyrodą"/ przypisać cechy konieczności rozwijania społecznych sił wytwórczych, staniemy wobec trudnego zadania wy tłumaczenia społecznych dzieł człowieka. Od swego pojawienia się człowiek pracował i mimo to, jak wskazują wykopaliskowe ślady, we wcześniejszych fazach społecznego życia te same narzędzia i ta sama technika pracy utrzymywały się dziesiątki tysięcy lat, a w późniejszych przez wiele tysięcy. Już w historycznych czasach społeczeństwa tworzące wykształcone i stosunkowo wysokie cywilizacje postugiwały się w ciągu tysięcy lat niemal nie zmieniającymi się narzędziami, co ciekawszemu, przy stosunkowo wysokim równocześnie rozwoju sztuki inżynierskiej /systemy trygacyjne, piramidy, wskaźniki i światłyne 1/5 Nie mamy tedy podstaw do twierdzenia, że cechą pracy ludzkiej /czy "dialektycznego procesu"/ jest konieczna zmiana, doskonalenie narzędzi pracy. Jeśli cecha ta występuje, przejawia się ona nie jako konieczność, lecz raczej jako zjawisko incydentalne, ujawnia się w historii dosyć kapryśnie - i w czasie i w przestrzeni. Skłania to do przypuszczenia, że doskonalenie narzędzi produkcji zależy jeszcze od jakichś czynników, - dzięki którym praca ludzka może przejawiać cechy nowatorstwa.

Poza tym - na ogół wszyscy, poczynając od Marksa, podkreślają, że jedną z podstawowych cech pracy jest rutyna, dążenie do opanowania techniki skutecznego posługiwania się istniejącymi narzędziami. Robotnik w procesie pracy - pisze Marks - "urzęczywił się zarazem swoim celem, który jest mu znany, który jest dla niego prawem określającym sposób jego działania i któremu musi podporządkować swoją wolę.../ Obok wysiłku pracujących organów przez cały czas trwania pracy potrzebna jest celowa wola objawiająca się jako uwaga, a potrzebna jest tym bardziej, im mniej praca ta... pociąga ku sobie robotnika, im mniej przeto jest dlań, jako gra jego własnych sił fizycznych i duchowych". /Kapitał t.I s. 189, podkr. oryg./ Marks podkreśla rutynistyczny, konserwatywny charakter pracy, wskazując, że tej rutynie podporządkowuje się także świadomość robotnika. Mamy tu jednakże delikatną a nuż, że praca może być także "ponętą grą sił fizycznych i duchowych" - być może iż w tych sytuacjach siły duchowe stają się czynnikiem kreatywnym. W takim razie szukać rozwiązania problemu należałoby nie w pracy w potocznym rozumieniu, kiedy świadomość podporządkowuje się przyjetnym regułom - lecz w sytuacjach, kiedy świadomość przeciwstawia się utrwalonemu mechanizmowi, rutynie, kiedy rodzi koncepcję nowatorską.

W konkluzji musimy stwierdzić, że "prawo postępującego rozwoju sił wytwórczych" w nadanym mu przez współczesnych interpretatorów znaczeniu może być uważane za uogólnienie doświadczeń jednego historycznego okresu w określonym rejonie świata i nie da się przyjąć jako ogólne prawo socjologiczne. Ponadto nie daje ono odpowiedzi, co jest źródłem rozwojowych impulsów. Znaczenie podstawowego motorycznego czynnika /czy czynników/, który tworzył dzieje ludzkości, kształtował w historycznym procesie tak bogatą mozaikę systemów społecznych - w tym także doprowadził do współczesnej cywilizacji industrialnej - pozostało problemem otwartym.

1/ Analiza tkanin, w które spowijano mumie, wskazuje, że w ciągu kilku tysięcy lat nie ulegała w Egipcie zmianie technika tkactwa. Por. F.M. Reichelhelm, An Ancient Economic History, Leiden 1958

2. Problem jedno czy wielotorowości rozwoju. Tego niezwykle złożonego i dotąd słabo przeanalizowanego problemu chcemy dotknąć tylko w jednym punkcie związanym z konsekwencjami naczelnej tezy marksowskiej teorii rozwoju. Twierdzenie o koniecznym charakterze rozwoju sił wytwórczych polega na sobie dalsze konieczności: zmianę wytwórczych stosunków, a następnie dostosowanie do nich ustrojowych form społecznej życia. Działają tu dwa prawa: "prawo koniecznej zgodności stosunków produkcji z charakterem sił wytwórczych" oraz "prawo koniecznej zgodności nadbudowy z bazą ekonomiczną" /Lange, s. 29,34/. Mówiąc o "koniecznej zgodności" w obydwu przypadkach sugerujemy, że istnieje jakiś idealny wzorec, według którego danemu charakterowi sił wytwórczych odpowiada jakiś określony typ stosunków produkcji i określonej bazy odpowiada tylko jedna określona nadbudowa. Otóż takiej zgodności ani istnienia idealnego wzorca doświadczenie nie potwierdzić się nie da. Istniejące tu korelacje mają charakter znacznie luźniejszy, co uderzające jest szczególnie w drugim przypadku - zgodność między bazą a nadbudową: na analogicznej czy zbliżonej bazie ekonomicznej mogą się kształtować bardzo różnicowane formy ustrojowe. Teza o koniecznej zgodności zawiera jeszcze inną, logiczną sprzeczność: przy założeniu koniecznego rozwoju sił wytwórczych osiągnięcie zgodności między bazą a nadbudową jest niemożliwe - w chwili bowiem, kiedy utrwalają się formy ustrojowe, siły wytwórcze już posunęły się dalej, powstała sprzeczność, która będzie się pogłębiała. Istnienie stałej nieadekwatności wynika z samego założenia. Toteż właściwszym sformułowaniem oddającym przebieg tego procesu byłoby: "prawo nieuchronnej sprzeczności" między ekonomiczną bazą a ustrojową nadbudową - oczywiście w systemach dynamicznych przy mniej więcej ciągłym rozwoju sił wytwórczych.

Mówiąc o empirycznych podstawach przytoczonych uogólnień "praw" mamy na myśli historyczne procesy zachodzące w obrębie zachodniej cywilizacji, szczególnie od przejścia między feudalizmem i kapitalizmem. Absolutyzacji tego wzoru sprzyjały niewątpliwie i darwinowskie odkrycia przyrodniczej ewolucji, które na teren społeczny przeniesione zostały w osobliwie wypaczonej postaci. Wyobrażono sobie mianowicie, że wszystkie formy społeczne przechodzą przez te same stadia, przekształcając się po jednej ewolucyjnej linii, gdzie jak w przyrodzie początkiem jest pierwotna komórka, a końcem arcytwór jakim jest człowiek. Echem tego były ewolucyjne koncepcje socjologów i antropologów drugiej poł. XIX w. /Horgan/.

Niezależnie od zastrzeżeń jakie mogą budzić uogólnienia doświadczeń europejskich stwierdzić trzeba, że nie dadzą się one rozciągnąć na inne cywilizacyjne obszary. Nigdzie poza Europą i jej amerykańskim przyczepem nie da się stwierdzić samodzielnego, homogenicznego przejawu tego rodzaju ewolucji. Stare cywilizacje wschodniej i południowej Azji /Chiny, Indie/, które o kilka tysięcy lat wyprzedziły dzisiejsze rozwinięte kraje Europy, nie przejawiały tego rodzaju tendencji. Europejski punkt widzenia uproszczył sobie zagadnienie traktując rozbieżności z obowiązującym wzorcem jako ogólny wpływ spowodowane różnego rodzaju wewnętrznymi i zewnętrznymi przeszkodami w kształtowaniu się poszczególnych faz rozwojowych. Wyjaśnienia tego rodzaju stoja w jaskrawej sprzeczności z historią - nigdzie bowiem w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat nie zaszło tyle przeszkód, zaburzeń, wstrząsów i globalnych kataklizmów, co właśnie na obszarach, na których rodziła się śródziemnomorska zachodnia cywilizacja. Znacznie bardziej uzasadnione jest odwrócenie tego rozumowania, że właśnie zaburzenia i wstrząsy burzace ukształtowane formy społeczne w tym rejonie świata przyczyniły się do powstania takiej "anomalii", jaką jest cywilizacja zachodnia. Na tym tle cywilizacja chińska może reprezentować typ społecznej ewolucji zbliżonej do "naturalnej", tzn. wynikającej z tendencji powstających w samym systemie. Rozumowanie to można poprzeć analizą form społecznych na innych kontynentach Afryki, Oceanii - zwłaszcza wszędzie tam, gdzie formy społeczne życia kształtowały się we względnej izolacji od zewnętrznych wpływów.

Wprawdzie współcześnie cały świat wszedł w okres, którego uderzającą cechą jest tendencja do upodobnienia form ustrojowych, do swolistej standaryzacji rozwoju, ogólnie mówiąc w kierunku industrializacji. To jednakże nie może być argumentem za jednolitym charakterem rozwoju, jest to bowiem



kierunek narzucony potężną presją ekonomiczną, militarną, ideologiczną, której w żaden sposób nie można podciągnąć pod ewolucyjne tendencje i która wykracza także poza to, co w rozwoju cywilizacji uważa się za zapożyczenie, "dyfuzję" wzorów kulturowych. Cywilizacja industrialna ze swoim fantastycznym rozwojem sił wytwórczych i osiągnięciami techniki jest niezwykle agresywna /nie tylko jako świadomy kolonializm/. I każde jej zetknięcie z innymi cywilizacjami prowadzi do głębokich wstrząsów, rozkładu starych systemów w warunkach, gdy nie powstały żadne przesłanki nowych.

Wywołujące się tu zagadnienie jedno czy wielotorowości rozwoju ma pod stawowe znaczenie nie tylko dla socjologicznych teorii i koncepcji rozwoju ogółe. W epoce, kiedy kraje Azji, Afryki, Oceanii - społeczeństwa i plemiona o najrozmaitszych systemach społecznych, kulturach, znajdujące się w różnych fazach krystalizacji swej wewnętrznej struktury, stały się pełnoprawnymi członkami wielkiej rodziny narodów, kiedy stanęły wobec konfrontacji ze światem zachodnim - zrozumienie tego problemu winno mieć także ważne znaczenie praktyczne.

W świetle rozporządzalnego materiału empirycznego twierdzenia o koniecznym charakterze rozwoju środków produkcji i wynikającym stąd koniecznym następstwie formacji nie dadzą się utrzymać jako ogólne prawa socjologiczne. Co więcej, uogólnienie takie byłoby sprzeczne z poglądem samego Marksa, który dynamiczny charakter przypisywał tylko kapitalistycznemu sposobowi produkcji przeciwstawiając go wszystkim poprzednim systemom czy formacjom.

Aby uporać się z tą trudnością, próbowano wprowadzać dodatkowe czynniki modyfikujące przebieg procesów w stosunku do "czystego modelu". Ludwik Krzywicki wprowadził pojęcie "podłoża historycznego", którego oddziaływanie powoduje tak poważne zróżnicowanie przebiegu rozwojowych procesów. Do kategorii tej "wchodzi najodmienniejsze składniki: urządzenia polityczne i prawne, poglądy etyczne i estetyczne, wierzenia i systemy filozoficzne, zwyczajne życia codziennego, nawet usposobienie nasze i temperament". "Żyjemy wlekiem ubiegłymi skrupowaniami.../ Cokolwiek stwierdzoneby o naszej niezależności, jesteśmy niewolnikami dziadów i pradziadów". /Studia socjologiczne/. Koncepcja Krzywickiego przyjęta została przez polskich teoretyków /Langę, Topolski, Wiatr/, jest ona niewątpliwie interesująca. Rola "podłoża historycznego" nie da się zakwestionować, tylko, że wnioski stąd nie tylko że nie podtrzymują samej teorii, lecz przeciwnie - kwestionują jej podstawowe założenia. Skoro podłoża historyczne może w zasadniczy sposób modyfikować przebieg rozwoju, może go hamować, a nawet całkowicie na długie okresy zatrzymać - zakwestionowaniu ulega naczelna teza o koniecznym rozwoju sił wytwórczych. Siły wytwórcze stają się zmienna zależna od innych czynników i to w dodatku trudnych do sprecyzowania, rządzących się jakimiś innymi prawami. Oprócz nieokreśloności pojęcie to w interpretacji Krzywickiego ma jeszcze jedną wadę. Podłożu historycznemu przypisuje on rolę bierną, hamującą rozwój, konserwującą stan istniejący. W tym sensie koncepcja ta nie da się utrzymać w świetle historycznych doświadczeń. Nie ma tak zakonserwowanego systemu, w którym nie dokonywałyby się jakieś zmiany, nie zachodziła jakaś ewolucja i to przede wszystkim w tej sferze objętej pojęciem historycznego podłoża. W dalszym ciągu postaramy się wskazać, iż właśnie pod tą tajemniczą ogólnikowo określoną kategorią kryją się czynniki wywierające dynamiczny wpływ na społeczne procesy.

3. W formach nadanych przez współczesnych interpretatorów marksistowska teoria rozwoju doznaje zasadniczego załamania przy przejściu do formacji socjalistycznej. Wszystkie poprzednie przejścia dokonywały się w ten sposób, że rozwój sił wytwórczych zmienił stosunki produkcji, te rozsadzały stare formy ustrojowe, doprowadzały w konsekwencji do ustanowienia nowej formacji - nowa formacja dojrzała w tonie starej. Otóż przy przejściu do formacji socjalistycznej - wg. dość powszechnie akceptowanego twierdzenia - zasada ta przestaje obowiązywać, przejście to dokonuje się według całkowicie odmiennych, odwróconej zasady, tutaj "nadbudowa wyprzedza chronologicznie ekonomiczną bazę socjalizmu". 17:

1/ Por. Wiatr, s.132. W dalszym ciągu Wiatr pisze: "Tak więc powstanie formacji socjalistycznej dokonuje się w sposób różny od drogi formowania się poprzednich ustrojów. Cechą szczególną powstania tej formy są zmiany w

Teza ta jest konkluzją toczącej się od dawna dyskusji nad "strategią i taktyką" przechodzenia do socjalizmu i zawiera zaskakujące implikacje. Wynika z niej bowiem, że u bram ustroju socjalistycznego ustaje działanie wszystkich podstawowych praw rządzących ekonomicznym i społecznym rozwojem, traci ważność cała marksowska teoria. Do tego momentu był określał świadomość, tu rolę się odwróciły - świadomość zaczyna określać byt. Można powiedzieć, że marksowska "materialistyczna dialektyka" znów wróciła do heglowskiej poczycji, tzn. "stała na głowie".

Poza argumentami, jakie można przeciwko tej koncepcji wysunąć, trzeba stwierdzić, że teza jakoby system socjalistyczny nie mógł dojrzewać w tonie systemu kapitalistycznego, jest jaskrawo sprzeczna ze stanowiskiem Marksa. Można przytoczyć dziesiątki jego wypowiedzi określających warunki, jakie muszą być spełnione w systemie kapitalistycznym, aby przejście do socjalizmu było możliwe, a także ostrzeżenia przed konsekwencjami, jeśli rewolucja społeczna wyprzedzi dojrzałość warunków do niej.

Motywy tej karkołomnej sofistyki jest chęć wyjaśnienia faktu, że formacja socjalistyczna powstała i nadal ma tendencje do powstawania w krajach, które warunków przewidywanych przez Marksa nie spełniły, tzn. nie przeszły przez rozwinięty kapitalizm. Posłużono się w tym celu metodą polegającą na pozostawieniu marksowskiej terminologii ale nadając jej całkowicie odmienne wrecz przeciwstawne treści.

W chwili obecnej, u początku ostatniej ćwierci XX stulecia zagadnienie ustroju socjalistycznego i "strategii" przechodzenia do niego jest jednym z naczynych problemów społecznej i politycznej praktyki - i winno stać się również jednym z węzłowych zagadnień teorii rozwoju. Bogate empirycznie dane, jakich dostarczyła historia krajów socjalistycznych, stawiają mnóstwo niezwykle zawiłych problemów. Nie wydaje się jednak, aby jedynym ratunkiem była ucieczka do idealistycznych koncepcji Hegla, aby dla zrozumienia zachodzących w tych krajach procesów trzeba było odrzucić marksowski historyczny materializm.

-----  
 1/ nadbudowie wyprzedzające zmiany w bazie, które z kolei poprzedzają uformowanie się nowych sił wytwórczych dostosowanych... do wymogów nowej formacji."

Władysław Bieńkowski.

## SUMMA CZESŁAWA MIŁOSZA

Epoka nasza czyli zgon,  
 • Ogromna Die Likwidation...

/"Traktat Moralny"/.

1

Z początku książka Miłosza i/ przycięczyła mnie, oszołomiła, uczyniła bezradnym. Szczęśliwy przypadek zrzucił, że byłem jednym z pierwszych jej krajowych czytelników; jeśli nie wykorzystałem okazji i nie spełniłem od razu swojej recenzenckiej powinności, to dlatego, że przed powtórna lekturą czułem potrzebę zaczerpnięcia oddechu. Nabieranie oddechu trwało jednak niespodziewanie długo: kilka miesięcy. W ciągu tego czasu na świecie wydarzyło się paręset nowych porwań i terrorystycznych zamachów, przycięczyło się parę lokalnych wojen przy bratnim współudziale obcych doradców wojskowych, ludzkość przełknęła bez oporu potężną porcję nowych kłamstw, obywatele krajów demokratycznych maszerowali przez ten czas w nieustannych pochodach, domagając się rządów silnej ręki, a mieszkańcy państw totalitarnych stali jak zwykle w kolejkach, marząc o choćby minimalnym odroczeniu ruby. Nasza obłudna epoka trwała w swoim obłudzie: również na naszym zacisznym podwórku, gdzie sam miałem możliwość obserwować między innymi, jak milicja obywatelska traktuje gazem łzawiącym obywateli, którzy w prywatnym mieszkaniu chcieli wysłuchać wykładu o historii swego kraju.

W zamęcie tych miesięcy /tak jakby nasze czasy znaty choć tydzień wolny od zamętu/ trudno było pisać o książce, której pełne objęcie wymaga nie tylko większej niż zwykle umysłowej pracy, ale i wyjątkowo dogłębnego przemyslenia samego siebie, własnej postawy wobec wszystkiego, o czym tu mowa. W dodatku jest to książka, która rozważa co prawda właśnie obłudę naszej epoki i jego przyczyny, ale dokonuje tego w sposób niezmiernie nietypowy: przeczuciam już liczne głosy niechęci i nawet oburzenia tych krajowych czytelników, którzy, biorąc z zapamiętaniem do ręki "nowego Miłosza", natkną się niespodziewanie na dywagacje o Swedenborgu, gnostykach i Kahale. Jak to, my tu się borykamy z tak konkretnymi problemami, robimy co możemy, aby zwalczyć nonsensy swojego czasu, a nasz największy poeta nie podaje nam ręki?

To nie tak, Miłosz jak zawsze podaje nam rękę. Jest coś, co pozwala mu łączyć wyziewy piekiel Swedenborga z tymi gazami przemocy i absurdu, od których co dzień łzawią nasze oczy. Jeśli powiedziałem, że książka ta przycięczyła z początku i czyni bezradnym - miałem tylko na myśli ogół jej wewnętrzniego formatu, skałę stawianych przez nią pytań; jako ściśle powiązanie duchowego autoportretu pisarza z wizją naszej cywilizacji i jej najgłębszych dylematów, "Ziemia Ulro" nie ma, sądze, równych sobie partnerów w polskiej literaturze, poza może tylko "Dziennikami" Gombrowicza. Ale, imponując niespotykaną erudycją, oryginalnością stylu myślenia, swobodą poszukiwań - jest zarazem beczenną pomocą w zrozumieniu nie tylko samego Miłosza i jego twórczości: również w zrozumieniu nas samych, naszego miejsca na ziemi, naszej tradycji i naszej rzucającej się gmiłście przyszłości. Zwłaszcza tu i teraz, w dzisiejszej Polsce.

2

Podjęmuję się nietatwego i niewdzięcznego zadania epowiedzenia, po części własnymi, po części zapożyczonymi słowami, o co w "Ziemiu Ulro" chodzi. Zadanie nietatwe, bo tok myśli wiże się tu meandrami i odpywa w liczne dygresje, łącząc ze sobą z pozoru dowolne stulecia i kultury, swobodnie lawirując pomiędzy faktami autobiograficznymi a refleksjami na temat lektur; i zarazem zadanie niewdzięczne, gdyż taki właśnie sposób snucia myśli decyduje o artystycznej znakomitości książki, wszelkie streszczenie zatem będzie nie tylko uproszczeniem, ale i odarciem eseju Miłosza z całego literackiego uroku. A przecieź streścić trzeba: choćby z tego prostego względu, że książka w krajowej księgarni kupić nie można, ale także i dlatego, że logiczny p

rzadek myśli nie pokrywa się tu - jak to w eseju bywa - z porządkiem jej przedstawiania i pewnego rodzaju rekonstrukcja poglądów autora jest niezbędną, jeśli chce się z nimi dyskutować.

Najpierw - skąd tytuł. Ulro to kraina, która w późnych wierszach Williama Blake'a symbolizuje obszar "duchowych cierpień, jakie znosi i musi znosić człowiek okaleczony": to "krajna wydziedziczenia/.../ gdzie człowiek zmienia się w cyfrę wymienną i co gorsza, dla siebie samego, w swojej świadomości, przestaje być czymś więcej niż cyfra wymienna". Umysł wydziedziczony - oto cecha człowieka nowoczesnej epoki: "umysł wydziedziczony w sensie ontologicznym, wewnętrznie rozdarty, równocześnie przekonany, że człowiek jest niczym w ogromie wrogłego universum i, ponieważ dotkliwie rani to ludzką dumę, przynisujący człowiekowi najwyższe znaczenie".

Ale korzenie naszej epoki tkwią w wieku Oświecenia. Wówczas to, według metafory Miłosza, ludzkość wsiadła jakby do niewłaściwego pociągu, ponieważ się dopiero orientując się, że zawiózł on ją w strony, których wcale nie oczekiwała. Wiek Oświecenia, wiek triumfu Nauki i Rozumu, który swoje źródła ma w nazwiskach Bacona, Locke'a i Newtona, był początkiem zasadniczego rozszczepienia tego, co pierwotnie stanowiło jedność: rozdwojenia na zimny, abstrakcyjny świat praw nauki i świat wewnętrzny człowieka. Wówczas to przygotowany został grunt dla procesu, nazwanego później przez Przewozowskiego "romantycznym przesileniem kultury europejskiej", procesu trwającego do dziś dzień. Całe dzieje europejskiego piśmiennictwa poświeceniowego sprowadza Miłosza do, z jednej strony, nieprzeliczonej rzeszy autorów, którzy zajmowali się utwierdzaniem murów krainy Ulro, lub co najwyżej poszukiwali z niej na oślep wyjścia, z drugiej zaś - do kilku nazwisk twórców swolście "nawiedzonych", którzy, wierząc w swoją proroczą wizję, burzyli mury Ulro /niektórzy jeszcze przed ich ostatecznym sformowaniem/, choć byli w tym przez współczesnych kompletnie nie rozumiani.

Dobór tych nazwisk może zaskakiwać: zbytnio jesteśmy przyzwyczajeni do sztywnych historycznoliterackich i filozoficznych poddałów. Emmanuel Swedenborg, William Blake, Adam Mickiewicz, Fiodor Dostojewski, Oskar W. Miłosza. Dziełami tych pisarzy i myślicieli Miłosz zajmuje się najobszerniej, jako swymi wielkimi przegodami duchowymi w prywatnych zmaganiach z prawami krainy Ulro. Jak sam pisze, jeśli nie liczyć Mickiewicza, niewiele im zawdzięcza z punktu widzenia literackiej techniki, zwłaszcza, że niektórych studiował gruntownie dopiero w późniejszym okresie życia: wszyscy natomiast są dla niego ważni w sensie wpływu intelektualnego. Nicia, która łączy te kolejne wpływy, jest stały watek światopoglądu Miłosza: "antropocentryzm i niechęć do Natury".

Zacznijmy od tej drugiej sprawy. Mówiąc o swojej niechęci do Natury, ma Miłosz na myśli fakt, że był zawsze "ekstacyzm porywisty", że na zasadzie trwałej sprzeczności współegzystuje w nim zachwyt nad pięknem tego świata z obrzydzeniem dla okrutnych praw, które nim rządzą. Nie jest w stanie widzieć w Naturze przemyślnego i harmonijnego mechanizmu, jak czynili to deści w wieku Oświecenia, ani też azylu chroniącego przed kłopotami cywilizacji, jak od czasów Rousseau czynił to romantyzm. Pozostaje więc dla niego aktualne stare pytanie: jak można naszemu istnieniu na ziemi powiedzieć "tak"?

Wyjściem jest antropocentryzm rozumiany tak, jak pojmowali to wszyscy wspomniani wyżej burzyciele murów Ulro: jako idea Boga-Człowieka. Bóg jako nieładki i obojętny Wielki Zegarmistrz: taka była wizja oświeconych deistów i to ona stanowiła fundament "umysłu wydziedziczonego". Pierwszy Swedenborg, później Blake dostrzegł, że jedynym wyjściem jest człowieczeństwo Boga jako podstawa religii. "Nieludzkość świata - pisze Miłosz - czyli jego obojętność na potrzeby naszego serca może być złagodzona jeżeli Bóg otrzyma rysy ludzkie. Wtedy możemy porozumiewać się z nim niejako ponad głową świata. Chrystus czyli Słowo, Logos, występuje więc jako najwyższy sędzia i władca, Pantokrator". Mówiąc inaczej, pojście miłości Boga do Stworzenia mogłoby nam się wydawać - na podstawie historycznych i osobistych doświadczeń - podejrzane i wstępne, gdyby nie fakt, że "Bóg stwarzając świat przyjmował tym samym kształt ludzki i godził się umrzeć śmiercią torturowanego więźnia. Tam gdzie nie ma czasu, nie ma kolejności wydarzeń i Golgota jest równoczesna z chwilą aktu Stwórcy".

Swedenborg, jak powiedzieliśmy, był pierwszym, który zareagował na "0-



brzydliwość spustoszenia", jaka pozostała po ciosach zadanych chrześcijaństwu przez scjentyzm. Jedyłą obroną przed newtonowską wizją "nieskończonej liczby planet wirujących w nieskończonym i absolutnie przestrzeni" widział w wyznaczeniu centralnego miejsca Boskiemu Człowieczeństwu. Podobnie jak Blake, protestując przeciw triumfom Urizena /Rozum/ ale także i przeciw Kościołowi i religii pojętej jako system zakazów i represji, mówił o "Bogu-Człowieku, tj. Chrystusie jako Bogu Jedynym". Podobnie Mickiewicz, w którego twórczości Miłosz, wbrew przyjętym podziałom, widzi linie ciągła i rozwojową logikę od "Dziadów", poprzez "Pana Tadeusza", aż do "Zdania i Uwagi". Podobnie Dostojewski, ze swoim wielokrotnie przywołanym przez Miłosza oświadczeniem, iż gdyby miał wybierać między Chrystusem a prawdą /tj. "obiektywną" prawdą nauki/, wybrałby Chrystusa. /Miłosz oczywiście dobrze zdaje sobie sprawę ze specyfiki wieku XIX i silnie podkreśla, że i u Mickiewicza i u Dostojewskiego swoiste dla każdego z nich postacie mesjanizmu, "zatarcie granic pomiędzy religią i ideą narodowości", stanowią herezję wobec chrześcijańskiego poglądu na świat, tak samo zresztą, jak - z innych przyczyn - popularna w okresie romantyzmu wiara w metempsychozę/. Podobnie wreszcie Oskar W. Miłosz w swoich mało znanych a głęboko w "Ziemii Włro" rozumianych i interpretowanych "poematów metafizycznych". Wszyscy ci natchnieni prorocy, z których każdy przeszedł w swoim życiu przez doświadczenie mistycznej iluminacji, za swoją misję uważali protest przeciw utopii Rozumu i Postępu; protestowali jednak, co ważne, nie przez powoływanie do życia konserwatywnej kontrutopii i nie przez odwoływanie się do romantycznej taktyki "Wiary przeciwstawionej rozumowi": protestowali natomiast poprzez tworzenie "zupełnie innego obrazu człowieka i świata, niż ten jaki ofiarowuje nam nauka osiemnastowieczna i jej pochodne po dziś dzień". Pomocą w tym dziele była dla nich potęga Wyobraźni, w dziełach poetyckich i w metafizycznych traktatach ożywiająca nowymi treściami i obrazami splotały język teologii.

Trafiamy w ten sposób w wtek dwudziesty, którym rządzi już bez żadnych wątpliwości "logika przyspieszonego rozpadu". W stuleciu tym Miłosz dostrzega liczne objawy generalnej księki tego, co nazywa laickim humanizmem. Doktryny, wywodzące się z Oświecenia, deformują się dziś w hasło "prawa jednostki do szczęścia czyli do spożywania"; mechanistyczny determinizm "praw postępu" zdejmuje z jednostki wszelką odpowiedzialność i czyni ją anonimowym elementem statystycznej masy. To też w krajach zachodnich hasła laickiego humanizmu odniosły sukcesy dopóki funkcjonowała jeszcze - siłą rozpedu - religijna "etyka powściągliwości, wyrzeczeń i poświęceń". Ponieważ zaś kres jej nastąpił w XIX stuleciu, nowym pokoleniom w erze "permissive society" pozostaje jedynie próżnia, "dotkliwość wydziedziczenia". Dlatego też laicki humanizm, zjadany od wewnątrz przez swoją pustkę, korzy się wobec nostalgii rewolucyjnych hasła. Nie każdego intelektualistę Zachodu - powiada Miłosz - stać na taką odwagę i uczciwość, jaka cechuje Becketta, który nie pozostawiając nam i sobie żadnych złudzeń, zaświadczył istnieniu owej pustki. Częściej zapełniają ją surrogaty: ideologie, hasła, "izm", co najwyżej powierzchniowy okultyzm, zastępczo zaspakajający nasze potrzeby metafizyczne.

Na tym tle Miłosz próbuje ułokować samego siebie, odpowiedzieć na postawione w pierwszych już słowach książki pytania: "Kim byłem" i "Kim jestem teraz?". Jak sam pisze: "Mieszkałem w Włro na długo przed tym nim dowiedziałem się od Blake'a jak się ta kraina nazywa, ale nie godziłem się na takie miejsce pobytu. To znaczy wchłaniałem, jak inni, zespół pojęć i wyobrażeń mojego stulecia, nawet postępując się nimi czynnie, w pisanu, a zarazem uważałem to wszystko za fałsz zapowiadający katastrofę". Mowa o wileńskiej młodości Miłosza, kiedy to wpływ ducha czasów zamykał poetę w państwie Urizena, gdzie za ważne wolno poczytywać tylko to, co ogólne, społeczne, statystyczne itd." Sama wyobraźnia poetycka nie wystarczyła, aby wyrwać się z kręgu dogmatów epoki: "byłoby ze mną całkiem źle, gdybym nie został wychowany w obrządku rzymsko-katolickim. Gdyż obrządek ten wyzwala w nas cząstkę kobiecą, bierność gotową na przyjęcie Chrystusa albo poetyckiego natch-

nienia - Blake poprawiłby „albo” na „czyli””.

U podstaw poezji Miłosza leżą zatem dwa czynniki: pierwszy to fakt, że jako młody człowiek został „porażony odgadnięciem wymiaru w jakim odbywają się wydarzenia/.../ stulecia, że jest to conajmniej jak koniec świata antycznego”; drugi to wychowanie w obrządku katolickim, i w dodatku wychowanie na „mistycznej Litwie”, szczególnie dobrze konserwującej archaiczne formy religijności. Te dwa wpływy we wzajemnym zderzeniu tworzą pogląd na historię, który stanowił jak gdyby odpowiednik „pesymistyczno-ekstazytycznego” stosunku do Natury: tworzą mianowicie katastrofizm, ale katastrofizm „eschatologiczny”. Miłosz wielokrotnie z naciskiem podkreśla, że jest przeciw „radykalizmowi nicości”, jaki oferuje współczesna „czarna” literatura, i, jakkolwiek pochwała odwagę i konsekwencje Becketta, nigdy nie zamierzał iść w jego ślady. Jego własny katastrofizm na czym innym polega: „Katastrofa w poezji i w sztuce chrześcijańskiej zawsze spełnia tę samą funkcję: pozwala nam przyjąć ten świat nie w imię jego porządku, skoro ten zostaje zakłócony, ale w imię nadziei, że/.../ nastąpi/.../ powrót do ładu”. Sztuka chrześcijańska musi bowiem odwzorowywać podstawową potrzebę i istotę ludzkiej wyobraźni, jaką jest „rebelia przeciwko Naturze w imię wielkiej nadziei”.

Tu, już pod koniec książki, następuje arcyciekawa „wycieczka w stronę ateistyczną”. Mając się za manichejczyka, Miłosz uważa za bliskich sobie wszystkich tych, którzy konsekwentnie rozróżniają dobro i zło, choćby byli ateistami. Taki był Gombrowicz - „ateista prawdziwy”, zwłaszcza tam, gdzie „Istnienie pojmował jako Ból”. Znacznie częściej jest ateizm fałszywy, ateizm „ludzi”, którzy nie wierzą w Boga ale uwierzyli, zwłaszcza wskutek historycznych doświadczeń, w „diabła” i nawet „wyciągnęli z tego konsekwencje, postanawiając z nim pracować, bo tylko on zwycięża, czyli powtarzając wybór zrobiony przez Wielkiego inkwizytora Dostoiewskiego”. Natomiast „prawdziwy ateista jest, myślę, rzadkim ptakiem”. Dlaczego? Nie obejdzie się tu bez dłuższego cytatu: „Jak najbardziej rygorystyczna etyka obowiązuje prawdziwego ateistę, bo jego bliźni nie otrzyma żadnej pośmiertnej rekompensaty i w swoim krótkim pobycie na ziemi jest na łaskę i niełaskę innych ludzi. Nic, żadne najwznioślejsze hasła, żadna prawda, żaden odległy cel nie mogą usprawiedliwić dreczenia poszczególnego człowieka. Dlatego też dla prawdziwego ateisty rosyjski komunizm jest winien zbrodni zaiste straszliwych, zarówno tortur fizycznych, jakim poddał miliony bezbronnym ludzkich istot, jak tortur duchowych, a są nimi strach, wyrzeka nie się pod wpływem strachu zwykłych odruchów moralnych i udziału w religijnych obrzędach. Właśnie prześladowac religii, która dla ateisty jest godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni i skutecznym środkiem łagodzącym dotkliwość życia i śmierci, komunizm ujawnił się jako system anty-ludzki”.

Prawdziwy ateizm jest jednak rzadki, bo jest ciężarem; i Miłosz otwarcie wyznaje, że dla niego byłoby to ciężar nie do zniesienia. „Moralnie, nic nie przemawia moim zdaniem za chrześcijanami i przeciw ateistom /.../. Rzekłbym nawet, że jeżeli kogoś stać na to żeby być ateistą, powinien nim być”. Stąd podziw Miłosza dla Gombrowicza. On sam był jednak od początku na tyle rozdarty wewnętrznie przez „zupełny pesymizm i razem zachwyt” nad światem, że uświadamiał sobie zawsze, iż „zginie bez Boskiej Pomocy”. Uwierdzony w tym przez przykład wspomnianych wyżej poetów i myślicieli, przez pisma współczesnych manichejczyków w rodzaju Simone Weil i teorie takie jak C.G.Junga z jego uznaniem naturalności potrzeby religijnej w człowieku, zdając sobie przy tym sprawę, iż wobec współczesnej słabości symboliki chrześcijańskiej rolę zastępczą spełniają często „różne izmy, które występują jako nowi okrutni bogowie” - Miłosz podejmuje próbę generalnej obrony religii. Religii nawet w jej formach najbardziej powlerzchownych, takich jak zwyczajowy udział we wspólnym obrzędzie. „Struktury społeczne, które w jakiejś mierze chronią człowieka od popadania w skrajne zło, zastęgu-

ją na szacunek./.../ Jeżeli człowiek jest homo ritualis, zalet obrzędu, który wprowadza w wymiar sakralności, nie woino lekceważy!". Nie tylko więc obrona religii, ale obrona katolicyzmu w jego polskim wydaniu; choć bowiem Miłosz nigdy nie potrafił "uogólnić kolan przed boginią, której na imię polskość", to jednak konkluduje: "Myślenie, że katolicyzm, nawet przy znacznie zmniejszonej liczbie wiernych, będzie w Polsce gruntem albo przynajmniej tłem wszelkich umysłowych przedsięwzięć, i że w nim zawiera się obietnica polskiej kulturowej oryginalności". Na tej zasadzie opiera się wiara autora "Ziemii Ulro" w "cywilizację odnowioną", która zapewne nie nastanie za naszego życia, przecież jednak bez nadziei na nią nie możemy się obejść.

3

Odartem myślowy szkielet książki Miłosza nie tylko ze skóry literackiego stylu, ale i z mięsa dodatkowych dygresji, ubocznych refleksji, erudycyjnych wycieczek. Pomijając już nawet warstwę w "Ziemii Ulro" najważniejszą - duchowej autobiografii poety - powiedzieć trzeba, że ten zwięzły tom nabył jest zagadnieniami, z których na dobrą sprawę każde mogłoby rozwinąć się w odrębną książkę. Tyle tego i z dziedzina tak różnych: znakomita analiza porównawcza "ateizmu Gombrowicza i ateizmu Przybosa"; rozmyślenia nad Goethem i jego "Wojną Trzydziestoletnią przeciwko Newtonowi"; fenomenalne, pionierskie interpretacje "Dziadów" i "Braci Karamazow"; umiejscowienie Dostojewskiego na tle zachodniej wyobraźni religijnej; refleksje nad rolą społeczną poety-prozaka; cały wątek historii chrześcijaństwa ze szczególnym uwzględnieniem nurtów manichejskich; wreszcie szczegółowa problematyka systemów metafizycznych Swedemborga, Blake'a, O.W. Miłosza. A wymieniam tylko rzeczy dla mnie jako czytelnika najbardziej nowe lub uderzające odkrywczością interpretacyjnego pomysłu. Dostyc tego, aby nabawić się kompleksów. Nie bez racji powiada Miłosz: "Walczę o prawo do używania swego umysłu poza przyjętymi w Polsce rubrykami". Wobec tego oromnego poła wiedzy i wobec swobody myśli, poruszającej się bez przeszkód ponad tradycyjnymi miedzami i parkanami, ktytyk literacki staje w gruncie rzeczy dość bezradny.

Ale przecież nie jest to książka pisana dla krytyków literackich. Zapomnę więc na chwilę, że nim jestem, i spróbuj: powiedzieć, jakie myśli budzi "Ziemia Ulro" we mnie jako po prostu w swoim czytelniku. Choć i tu czuję pewną bezradność. Trzeba bowiem zacząć od tego, że jestem zawstydzająco typowym przykładem mieszańca Krainy Ulro. Urodzony o epokę później niż autor książki, wychowywałem się już w świecie planowo i konsekwentnie odzieranym z wartości metafizycznych; mój umysł mógł do pewnego momentu stanowić klasyczny okaz duchowego wydziedziczenia. Błądząc po omacku, szukając wartości, które wypełniłyby pustkę, sięgałem z początku po rozmaite zastępcze "izmy", odrzucając je, gdy tylko objawiły się antyludzkość i fałsz. A wokół siebie miałem - jak my wszyscy - świat, który odpychał swoim bezsensem i okrucieństwem, świat, na który nie sposób było po prostu i bez zastrzeżeń się zgodzić. Czym mogłem uzasadnić swoją mimo-wszystko-zgodę na ten świat? Niestety nie wiarą, bowiem jej taska była i jest mi do dzisiaj odmówiona, z przyczyn, które - jak zawsze chyba z w takich wypadkach - nie dadzą się jednoznacznie wskazać. Byłem i jestem bliższy raczej postaci, którą w książce Miłosza symbolizuje Gombrowicz. Tyle, że nie określałbym się jako "prawdziwy ateista" /w Polsce powojennej słowo "ateista" nabrało zbyt agresywnego i prostackiego odcienia emocjonalnego/, a raczej jako agnostyk. Swoją sytuację poznawczą wobec nadprzyrodzonego porządku, który być może włada tym światem, mógłbym określić tylko jako niewiedzę czy niepewność, nieufną wobec rozwiązań racjonalistycznych, ale i nie dającą się zastąpić przez wiarę. Trochę tak jak w wierszu Miłosza:

Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat  
wziąłbym chomika albo jeża albo kreta,  
posadziłbym go na fotelu wleczołem w teatrze

I przytykając ucho do mokrego pyszcza  
 słuchałbym co mówi o świetle reflektorów,  
 o dźwiękach muzyki i ruchach baletu.

~ / "Po ziemi naszej!"

"Jeżeli kogoś stać na to, żeby być ateistą..." Ależ nikogo na to nie "stać", brak wiary to, sądzę, kalectwo, którego się nie wybiera; z drugiej strony wiara nie jest protezą, którą można sobie sprawić, aby kalectwo przestało doskwierać.

Poza tym jednym zastrzeżeniem uwagi Miłosza o tym, co nazywa "prawdziwym ateizmem", wydają się niezwykle celne. Właśnie: nie mając dla swych postępów religijnej sankcji, człowiek niewierzący powinien tym usilniej i świadomie trzymać się etyki, w której centrum stoi jednostka ludzka, drugi człowiek, mój bliźni. Paradoks, ale głęboko prawdziwy: etyka chrześcijańska w całej pełni obowiązuje agnostyka, takiego agnostyka, któremu niedostępne jest Objawienie, ale który mimo to chce być człowiekiem dobrym i czyniącym dobro wedle swoich ludzkich możliwości. Powtórzmy raz jeszcze: "Nic, żadae najwyższe hasła, żadna prawda, żaden odległy cel nie mogą usprawiedliwić dreczenia poszczególnego człowieka". Mimo wszystko nie tak ma to być ludzi, którzy nawet bez udziału wiary potrafili uczynić to zasadę swojego postępowania i nie czują się zwolnieni z odpowiedzialności przed "nieznanym trybunałem" /jak to nazwał inny polski pisarz/, choćby to miał być tylko trybunał indywidualnego sumienia.

Może więc nie wszyscy "łajcy humaniści" zasługują na wrzucenie do wspólnego Judaszowego worka? Może nie zawsze ich postawa sprowadza się do obrony "prawa jednostki do szczęścia czyli do spożywania"? Naocho to siebie widzę coraz więcej ludzi, którzy walczą o prawa jednostki rozumiane znacznie szerzej /co wynika z samej natury ustroju, któremu się przeciwstawiają/ a który odbiera jednostce nie tylko "prawo do spożywania" przecież/. A jednak nie wszyscy z nich są wierzący. Prawda: wśród niewierzących takich jak ja, wielu powołuje się na Ewangelię jako na wzór etyczny i stara się w myśli jej zasad postępować. Miłosz jednak musiałby postawić ich po drugiej stronie. Jak sam bowiem pisze, sprawa etyki nie ma tu nic do rzeczy, "moralnie nic nie przemawia/... za chrześcijanami i przeciw ateistom"; o wspólnocie decyduje wiara, a przynajmniej - wspólny udział w obrzędzie.

Z tym ostatnim właśnie w książce Miłosza nie potrafię się zgodzić. Prawda, że "zalet obrzędu /.../ nie wolno lekceważyć", że - aby raz jeszcze zacytować to zdanie - "struktury społeczne, które w jakiejś mierze chronią człowieka od popadania w skrajne zło, zasługują na szacunek". A jednak otoczeń dzieł w moich oczach obyczaj chrześcijaństwa dzieł czy udziału w nabożeństwach od pełnego uświadomienia sobie obowiązków chrześcijanina wobec bliźnich. Czy obrzęd naprawdę jednoczy silniej niż wspólne, ponad i poza obrzędami istniejące przekonanie, że "nic nie usprawiedliwia dreczenia poszczególnego człowieka"? Gdzie właściwie przebiega ta najważniejsza linia podziału?

Podobna sprawa z krytyką uroszczeń Rozumu. Zgoda na nią, jeśli po przeciwną stronę stoi Wybórnia; jeśli krytyka dotyczy zawężenia horyzontów i jałowego determinizmu, w który wpędzała nas przez stułecia bezmyślnie adorowana "prawda nauki". Ale Rozum można też czynić wartością opóźcyną wobec masowych, irracjonalnych psychoz, jakich nie brakowało za czasów Locke'a /autora "Listu o tolerancji", do dziś, jak stylare, nie wydanego w ZSRR i krążącego tam w samizdacie/ i jakich nie brakowało tym bardziej w wieku dwudziestym. Być może, iż w skomplikowanym, fałszywym procesie metamorfoz to, co dziś jest irracjonalna demencją, ma swoje korzenie w ktytycyzmie wieku Oświecenia: cała książka Miłosza stara się udowodnić ten paradoks i czyni to w sposób tak przekonujący, że nie czuję się na siłach z nią polemizować. Inna jednak sprawa są genetyczne związki, a inną - współczesne zderzenia tych dwu postaw: mnie się zdaje, że przeciw szatom nacjonalizmu, rasizmu,



totalitaryzmu, przeciw krzywdzeniu jednostki i łamaniu praw ludzkich protestowali w naszym stuleciu nie tylko chrześcijanie, ale również bezwyznaniowi liberałowie o wyraźnie racjonalistycznym rodowodzie. I bywały to nieraz protesty słyszane szeroko i skutecznie. Antoni Słonimski, George Orwell, Andriej Sacharow - te parę przykładów wystarczy. Że niektórzy z nich stopniowo zbliżali się do chrześcijaństwa - to tylko potwierdzający moją tezę dpwód bliskości, nie obojętnej, obu postaw, postawy chrześcijanina i postawy "laickiego humanisty".

Nie znaczy to, abym sam był programowym racjonalistą: Miłosza obro-  
na Wyobraźni przemawia do mnie żywo i na tyle jestem wyzwolony z pęt arystotelesowskiej logiki, iż potrafię doskonale rozumieć, jak Blake mógł jednocześnie utrzymywać, że ziemia jest płaska, i wiedzieć, że "naprawdę" tak nie jest. O względności wszelkich "wiecznych" i obiektywnych praw nauki" przekonała zresztą człowieka dwudziestego wieku sama nauka /poczynając od teorii Einsteina, która, jak czytamy w "Ziemiu Ulro", silnie oddziaływała m.in. na system metafizyczny O.W. Miłosza/. Chodzi mi raczej o coś zupełnie innego. Wydało mi się po prostu, że najważniejszy podział postaw, jakie zajmują ludzie wobec niewątpliwego obfędu naszej epoki, przebiega nie wzdłuż tej linii granicznej, która dzieli chrześcijan od "laickich humanistów": przebiega raczej w poprzek tej linii, dzieląc nas na tych, którzy bronia ludzkiej jednostki w imię zasad chrześcijańskich /mniejsza, czy pojmowanych jako objawienie wiary, czy jako świadomie wybierany etyczny kodeks/, i tych, którzy wyzuwają jednostkę z jej praw w imię jakiegokolwiek ideologii, religii, ustroju czy utopii.

Przypuszczam zresztą, że ta niezbyt nowa koncepcja nie jest wcale tak bardzo sprzeczna z ideą "Ziemiu Ulro". Przemawiałaby za tym w każdym razie ta końcowa partia książki, w której Miłosz sugeruje jedność celów etycznych chrześcijanina i "prawdziwego ateisty". Jeśli tak jest, wówczas zastanawia mnie inna sprawa. W takim ujęciu wiara byłaby po-  
niekiąd zdegradowana do roli deski ratunku, którą posługuje się człowiek, zdający sobie sprawę, iż "zginie bez Boskiej pomocy". Wiara jako świadomie wybrany środek samoobrony - ujęcie to wysocy nieortodoksyjne i przypuszczam, że od tej strony rozpatrywana "Ziemia Ulro", wzbudzi zastrzeżenia. Uprzedza je zresztą sam Miłosz, pisząc: "Taki człowiek jak ja /.../ słyszy w sobie głos oskarżający go o niewystarczalność własnego istnienia jako prawdziwą przyczynę jego wewnętrznych manipulacji, czyli o zmuszanie się do wiary przy braku wiary prawdziwej. I słysząc stale ten głos, musi odpowiadać jakby mentalnym wzruszeniem ramion: no to co?".

Stwierdzenie: na takie postawienie sprawy można tylko, odpowiedziedź wzruszeniem ramion. Bo nie o cokolwiek indywidualnym wyborze wolno tu dyskutować. Jeśli wiara pomaga człowiekowi w jego trwaniu, w opieraniu się naciskowi okrucieństwa i bezsensu, w twórczości - pytanie o istotę i genezę tej wiary może interesować co najwyżej docieklivego spowiednika. W takim jednak ujęciu jak u Miłosza - to jest wtedy, gdy wiara zostaje sprężona i w pewnym sensie utożsamiona z Wyobraźnią - przeciwstawienie wierzącego i "prawdziwego ateisty" staje się jeszcze bardziej problematyczne i nielogiczne. "Prawdziwego ateisty", tak jak go Miłosz rozumie, nie można sobie bowiem wyobrazić bez dominującego w nim poczucia Sensu, który m i m o w s z y s t k o, wbrew całej okropności Natury i bezsensu postępku ludzkich, musi w świecie istnieć. To "mimo wszystko" wskazuje, że nie ma tu mowy o jakimś głęźmie z jego zasadą "wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne". Przeciwnie, w zewnętrzny świat nie mał wszystko może się "prawdziwemu ateście" wydawać absurdalne, jego poczucie Sensu może mieć zatem czysto hipotetyczny charakter: inaczej mówiąc, może również stanowić rodzaj mentalnej podpórki, która o tyle jest niezbędna, że bez niej jednostka musiałaby runąć albo w samounicestwienie, albo w prymitywny nihilizm. Gdyby więc nawet wszystko przemawiało przeciw obecności Sensu na tym świecie, należałoby sobie ten Sens stworzyć. Nie może to być wszakże sens dowolnie zadekretowany, jak chcieliby - żeby przywołać określe-

nie Kołakowskiego - "chimera nietzscheańska czy sartrowska". W każdym wypadku musi to być Sens zaświadczony i uwarunkowany istnieniem innych ludzi, bliźniego, którego cierpienie jest jedyną sprawdzalną miarą. A skoro tak, doprawdy nie ma wielkiej różnicy pomiędzy wierzącym chrześcijaninem a "prawdziwym ateistą".

4

Przestaję stukać w klawisze maszyny. Zza ściany dobiega mnie głos telewizyjnego spikera: porwanie Aldo Moro, zwycięstwa Kubańczyków w Etiopii, nowa rzeź na granicy Kambodży i Wietnamu, oświadczenie komunistów portugalskich, dalszy pomyślny rozwój, szczerza i przyjazna atmosfera. Zgon naszej epoki przedłuża się. Daleko jeszcze do "nowej powszechnej harmonii", do "wieku wiary i siły". "Gdzież jest, poeto, ocalenie?..." Odkładam "Ziemie Ulro" i - jakbym sięgał po poprzedni tom tego samego dzieła - otwieram wiersze Miłosza, aby przypomnieć sobie jeszcze raz znajome słowa:

Epoka nasza czyli zgon,  
Ogromna Die Likwidation....

.....

I płyniesz w tym społecznym fakcie,  
Jak orzech w Nilu katarakcie.  
Nie jesteś jednak tak bezwoiny,  
A choćbyś był jak kamień polny,  
Lawina bieg od tego zmienia,  
Po jakich toczy się kamieniach.  
I, jak zwokł mawiać już ktoś inny,  
Możesz, więc wpuść na bieg lawiny.  
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,  
Do tego też potrzebne męstwo.  
A chociaż nowoczesne państwo  
Na służbę grzmi samarytańską,  
Zbyt wieleśmy wdzielił zbrodni,  
Byśmy się dobra wyrzec mogli  
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania -  
Zasiaść spokojnie do śniadania,  
Albo konieczność widząc bredni  
Uznawać je za chleb powszedni.  
A więc pamiętaj - w trudna porę  
Marzeń masz być ambasadorem...

Stanisław Barańczak

-----  
1/ Czesław Miłosz: Ziemie Ulro. Przedmowa ks. Józefa Sadzika. Instytut Literacki, Paryż 1977, ss. 221. "Biblioteka Kultury" tom 280.

## SZTUCZNE ODDYCHANIE 1/

Stanisławowi Barańczakowi

Ma trzydzieści trzy lata.

Pewnego dnia budzi się w klatce pokoju hotelowego. Zza ścian, spod podłogi, znad sufitu, przez okno dochodzą go słowa piosenek nakazujących bądź pokorną uległość i spokój /zza prawej ściany/, bądź bezkrytyczny posłuch /zza okna/, opisujących beznadziejność jakichkolwiek prób zmiany /zza lewej ściany/ spod podłogi, znad sufitu/. Słucha radia z radosnymi prononkami oraz informacjami o życiu kraju i nieszczęściach na świecie. Porządkuje swoje papiery osobiste, je za improwizowany obiad, korzysta z toalety.

Obudziło go pytanie wyrzucone nagie na powierzchnię świadomości:

- Kim jestem?

Zastanawia się nad sobą, nad swoim życiem. Nie dziwi się sobie, nie dziwi się niczemu. Jest zmęczony. Droga krzyżowa, która przeszedł, jest drogą zwyczajną. Zwyczajną drogą człowieka żyjącego tu i teraz: Nie jest to droga ani bolesna, ani okrutna. Z tym można żyć. Krzyż, który dźwiga, jest niemal nieodczuwalny. Ciężar jednak daje znać o sobie nagie i niezwykle ostro. To ciężar słów, które wokół siebie słyszy i słowa, które próbuje z siebie wyrzucić, a które przemieniają się w krzyk:

możesz się nagle obudzić i poczuć, że wciąż  
jesteś pomiędzy: pomiędzy rodzinnym obiadem  
a zebraniem partyjnym; pomiędzy prześcieradłem  
dziennika, który piszesz w nocy, a kofrą dziennika  
który kupujesz rano; pomiędzy prawą ręką, która  
wał w stół pięścią, a lewą, która się podnosi  
jak na sznurku, aby głosować za; pomiędzy ramionami  
nieustannego krzyża, który niesiesz  
we własnym ciele;  
krzyż ci na drogę,  
krzyż ci nad grobem,  
krzyż ci w nagrodę,  
krzyk, z którym się czasem budzisz

I nic ponad krzyż tego krzyku: - kim jestem?

Nieokreśloność, niejawność jego istnienia, istnienia równie koniecznego, co zbednego, zatopionego i roztopionego w szarej, nierozróżnialnej magmie codzienności; otóż nieokreśloność tego życia domaga się w pewnym momencie wyjaśnienia.

Świadomość dopomina się o swoje prawa.

Pozbawiony własnej tożsamości, niewyróżnialny i anonimowy, żyjący w ciągłym lęku przed natarczywością tego pytania - kim jestem? - rezygnuje z odpowiedzi:

i trudno się dziwić,

że w lęku o bezpieczeństwo i higienę prawdy  
zastania nieraz oczy dłońmi: zwykły gest  
człowieka zmęczonego;

że, zatykając uszy, nie zwraca uwagi  
gdy zamiast "szczęście jednostki", ktoś mówi  
"szczęście w jedność"; że próbuje  
wtopić się w ową jedność, łatwą wierność, łatwą bierność,  
łatwowierność; choć przeciw jedności protestują słabo  
jego dwoliste oczy, płuca, ręce

Stanisław Barańczak: "Sztuczne oddychanie", Maszynopis, 1975.

I półkule mózgowe;  
I trudno mu się dziwić, że zamiast podnieść pięść,  
woli wykonać jeszcze jedno  
zmęczone  
machnięcie ręką

Lecz mimo wszystko rodzi się w nim bunt. Postanawia nagle, Postanawia nagle, skończony śmiertelnie, skończyć z dotychczasowym życiem. Czyli: skończyć z życiem, na inne bowiem nie ma żadnej nadziei. Ta jedna decyzja należy napewno tylko do niego: jest jego prawem, z którego, w imię zachowania własnej tożsamości, postanawia skorzystać. To jego ostateczne "nie", jego totalna odmowa uczestniczenia dalej w tym świecie, który go otacza i który nie daje żadnej nadziei na własne życie. Ta odmowa ma stać się pełna - i jedynie tu możliwa - afirmacją własnej indywidualności:

Z perspektywy ulicy wygląda to chyba dość zagadkowo: osobnik wchodzący na zewnętrzny parapet okna, przymyka je za sobą, jak gdyby zamierzał odgrodzić sobie powrót do wnętrza pokoju. Na tle krzyżowej ramy okna, wsparty rękami o framugi, wygląda jak rozpięty na krzyżu albo jak poddany sztucznemu oddychaniu. Zachodzące słońce odbija się czerwonym blaskiem w szybie nad jego głową. Zaraz skoczy. Zaraz rozkrzyżuje go beton chodnika. Tłum gapiów gestnieje, słychać histeryczne piski. Zaraz skoczy.

Nie skacze.

Maca dłońmią poza sobą, otwiera okno na powrót, niezgrabnie, na drżących nogach zsuwa się do środka. Zamyka okno i wybucha płaczem. Pada na tóżko szlochając. Rozkłada bezwładnie ręce. Leży rozkrzyżowany. Szlocha.

2.

to on zatrzymuje się na krawędzi chodnika z przerażeniem i fascynacją obserwując rytmiczną, solenną młóckę patek, ich gumowy wzlot nad głowami młodzików uciekających w stronę najbliższego kościoła lub uniwersytetu i to on usłucha się po chwili do stojącego obok przechodnia /ta chuligania-ria raz trzeba z nimi zrobić porządek/ gdy szczeniak w studenckiej czapce wiał się bezwładnie jak worek zboża na klepisko pakownej karetki; to jego widać na zdjęciu w gazecie /ZAKŁOGA ZAKŁADU PROTESTUJE PRZECIWO/, gdy stoi pod lewą półowka transparentu PRECZ Z KNOWANIANIAMI PISARZE DO, to jego właśnie twarz nic nie wyraża poza ukrytą w kącikach ust elastyczną wiedzą nic ma sensu się wygłupiać nie pójdziesz ty pójdziesz kto inny a tobie jeszcze z premii potracą

Nie ma imienia ani nazwiska: N.N.

Anonimowy Chrystus naszych czasów, który jednak Chrystusem nie zostanie, bo "nie ma sensu się wygłupiać". Jeden z nas. Tu i teraz. W Polsce. Bezwolny, ubezwłasnowolniony, bojący się życia i śmierci, absolutnie bezsilny człowiek, który nie może być sobą, który też nie chce być tym, kim jest. Ocknął się nagle przerażony i porażony oczywistością pytania, na które, chcąc żyć jak dotąd, nie może odpowiedzieć. Konieczność odpowiedzi nie pozwala mu jednak przejść nad tym pytaniem do porządku dziennego, przemilczeć go, uważać, że nigdy nie zostało postawione.

On już wie, kim jest i tej wiedzy nic już nie może wymazać. Wie również, że wszelki bunt przeciw światu, w którym mu przyszło żyć, jest buntem bezcelowym, że zostanie stłumiony, nim zdąży się rozwinąć.



Wie, że żyje w systemie, którego istotą polega na odebraniu ludziom prawa do wydawania niezależnych sądów, do samorealizacji i obrony własnego szczęścia. Wie, że siły, którym chce się przeciwstawić, są zbyt wielkie, by jego sprzeciw miał jakikolwiek sens poza wyrazem bezsilnego buntu, który uznany zostanie co najwyżej za rodzaj choroby psychicznej. Lecz wie również, że:

Niedługo po wojnie 1914-1918 powstały pierwsze państwa faszystowskie. W tych państwach słońce wschodziło i zachodziło o normalnej, ponze  
opromieniając  
dachy domostw i wzgórz zieloną spadziścią /.../  
w państwach tych wielu było

ludzi zwyczajnych i ludzi dobrych i takich którzy nie wiedzieli o niczym i którym nie przychodziło na myśl i którzy nie czuli się współwinowajcami i którzy nie mieli z tym nic wspólnego i którzy nawet nie czytali gazet lub też czytali niedbale zajeci myślami o tym że trzeba naprawić przeciekający dach oddać buty do szewca oświadczyć się wypić kufel piwa wymieszać farby zapalić świeczkę i którzy naprawdę nie dostrzegali strachu w oczach sąsiada nie słyszeli drżenia w głosie pytającego o drogie nie dostrzegali różnicy nie słyszeli głosu w sobie albo skoro domyślali się czegoś nie mogli nic zrobić i pocieszali się mówiąc My przynajmniej nie robimy nic złego żyjemy jak żyliśmy zawsze  
co było prawda

A jednak były to państwa faszystowskie /

On również "nie może nic zrobić", lecz wie, do czego ta niemożność może doprowadzić. Wie czym był faszyzm i czuje, że świat, w którym żyje, choć może nie jest światem faszystowskim, uruchamia mechanizmy podobne. Wie, że jego życie jest upaństwowione, że upaństwowiona jest każda sfera bytu społecznego. Nie odczuwa nienawiści, tylko strach, strach, który w nim się rozrasta dławiąc słowa buntu lub choćby tylko protestu.

Odczuwa jednocześnie konieczność tego protestu, konieczność przetańmania druzgocącego, miazdżącego nacisku powoli narastającej przemocy. Nie chce się pogodzić z nieuniknioną koniecznością utraty własnej osobowości i nadziei wolności. "łatwa wierność" i "łatwa bierność" tylko z pozoru są łatwe - przystosowanie się do nich wówczas, gdy się wie, o co w tym wszystkim chodzi, gdy wiadomo, że jest to podstawowy warunek istnienia systemu zmierzającego do zdławienia człowieczeństwa, przystosowanie to staje się wtedy zadaniem ponad siły. Prawdziwy jednak dramat rozpoczyna się z chwilą, gdy nie można znaleźć sposobu przetrwania tej sytuacji, gdy nawet nie można ocalić własnej godności: ocalić we własnych oczach. System humanistycznych wartości rozsypuje się wówczas właśnie dlatego, iż człowiek nie może znaleźć sposobu jego ocalenia, że silniejsze od obowiązku jego obrony staje się poczucie strachu. "Lęk - pisze Antoni Kępiński - działa dezintegracyjną na czynności psychiczne; pod jego wpływem traci się orientację w świecie otaczającym, system wartości ulega rozchwianiu, formy zachowania stają się impulsywne i nieraz przypadkowe" 2/.

Reakcja N.N. staje się zatem oczywista: próba samobójstwa wynika z pierwszego odruchu - z chęci ucieczki przed zagrożeniem, które nagle stało się dojmującym obecne. Jest to jednak ucieczka, w której trzeba przetańmac jeszcze jedną granicę - leku przed śmiercią. Niemożność jej przekroczenia przy jednoczesnej niemożności życia w świecie zagrażającym zniszczeniem najistotniejszych wartości ludzkich prowadzi do załamania. Lecz w końcu, prędzej czy później narodzić się musi pytanie: co dalej?

Jedno z wyjść proponują słowa piosenki dobiegające zza okna:  
Nie myśl tyje nie stój z boku ośle

Trzeba razem równym krokiem i na ośle

Ramię w ramię szturmować do bram  
Kto nie jest z nami ten jest przeciw nam

3.

Wybór tej drogi jest nie do przyjęcia. I choć większość ludzi świadomie lub nieświadomie, czasami ulegając wierzze, iż działa w imię historycznej konieczności / wiera polegająca na tym, że nie człowiek ma tworzyć historię, lecz że historia tworzy człowieka/, która okresu terroru i zniewolenia czyni czystym poprzedzającym zaorowanie arkadyjskiego porządku, ulega omemu przykazaniu, to przecież nie powinni mu się poddawać wszyscy, zwłaszcza ci, którzy wędzą jak w świecie terroru i zniewolenia ulegają znieszczeniu te wartości, w imię których ów terror wprowadzono. "Sztuczne oddychanie" to poemat, w którym jak dotychczas poezja "pokolenia 68" osiągnęła punkt graniczny: dalej w tej poetyce chyba pójść się nie da. Dowodzą tego zresztą późniejsze wiersze autora. Tutaj też poezja ta osiągnęła najpełniejszy, najdoskonalszy kształt artystyczny będąc zarazem wypowiedzią w imieniu "milczącej większości", wypowiedzią dającą dojść do głosu temu wszystkiemu, co przemilczane, a co stanowi treść myśli często ukrywanych nawet przed sobą.

"Poezja rewolucjonistów - pisał swego czasu Miłosz - stoi na ogół wyżej niż poezja artystów kameralnych, bo treść bliska pragnieniom ludzkim wyzwała słowa z powłoków przejściowej literackiej mody"<sup>3/</sup>. W tym właśnie sensie jest to poezja rewolucyjna: konkretne, ostre widzenie otaczającej rzeczywistości zderzone jest tutaj z dążeniem do przezwyciężenia schematów, w których na ogół łączy się jej - również artystyczny - obraz:

Nówić językiem, w którym słowo "bezpieczeństwo"  
hudzi dreszcz grozy, słowo "prawda" jest  
tytułem gazety, słowa "wolność" i  
"demokracja" podlegają służbowo  
generałowi policji;  
jak to się stało, żeśmy się zaczęli  
w to bawić? W te łgraszki słów? W te kalambury,  
przejęzyczenia, odwrócenia sensu,  
w te lingwistyczna poezję?

Dopowiedzmy do końca: słowo "bezpieczeństwo" budzi dreszcz grozy, bo kojarzy się z policją polityczną - Służbą Bezpieczeństwa; słowo "prawda" jest tytułem moskiewskiej gazety, która dość skutecznie potrafi przed prawdą ochronić; słowa "wolność" i "demokracja" - pomilnny konkretną aluzją - ze szczególną podejrzliwością traktowane są przez cenzurę. Ta poezja ekspozuje zagrożenie języka, w którym jesteśmy zanurzeni, który nas zniewala, zacięra sensy i znaczenia /"szczęście jednostki" - "szczęście w jedności"/, znieczula naszą poczuć krytycyzmu. Spostrzeżenie tego zagrożenia pozwala w owych "przejęzyczeniach" /"Kraj Rad - "Raj Krat"/, "odwróceniach sensu", w owej grze językowej ukazać rozpad świata wartości humanistycznych, ukazać wyptukanie rzeczywistych znaczeń takich pojęć jak "prawda", "demokracja", "sprawiedliwość", "wolność", pojęć w języku oficjalnym niejednokrotnie całkowicie przełanych: "szustna prawda", "prawdziwa wolność", "sprawiedliwość klasowa", "demokracja socjalistyczna". Te łgraszki słów są grą o bycie albo nie być świadomości niezafałszowanej oszukawczą grą pozorów, pozwalają uruchomić wyobraźnię, stworzyć dystans wobec języka, który nas codziennie atakuje swymi gładkimi formułkami maskującymi rzeczywistość, w której przyszło nam żyć.

Oczywiście - poemat nie formułuje i formułować nie może żadnego rozwiązania: "Nóż kraje, ponieważ dwie skośne piaszczyste stykają się ze sobą i łączy w ostrze. Z poezją ma się sprawa troszeczkę inaczej: przy zastosowaniu podobnej zasady musimy jej zarazem zaprzeczyć; siatka znaków w poemacie oraz siatka jego napięć nachyla się co prawda ku sobie, ale nie mogą się ze sobą zetknąć, co stwarza przy niedokonanej / niewykonanej, niewykonalnej / tendencji do zetknięcia się nowe napięcia, które dają zdeftu skuteczną estetyczną. Niemożność doprowadzenia rozgrywki do końca jest źródłem zarówno tragizmu, jak i komizmu: podstawowych kategorii estetycznych; a więc ostrością poematu jest niemożność wytworzenia ostrza. Czy jest to to samo,

co bezradność? Nie, to chyba nie to samo, co bezradność. To jest nunc stans poematu" 47.

W "Sztucznym oddychaniu" owych zmierzających ku sobie napięć jest wiele: tragedia istnienia zmierza ku splęciu z autolironią, komizm gry językowej nakłada się na zgoła nie zabawny obraz rzeczywistości jaką opisuje, dystans poetyckiego opisu zdzierza się z bolesną bezpośredniością przeżycia. Wszystko to pobudza dynamikę odbioru: czytelnik z biernego obserwatora staje się aktywnym uczestnikiem tekstu, jego bohaterem. Zaczyna grać - tu zwłaszcza - podwójną rolę narratora i bohatera. Wie, że różnica jest tylko różnica formalną, jednakże zdaje sobie sprawę z tego, iż poemat pisany w pierwszej osobie byłby artystycznym fałszem. Podwójna dwójność ról /czytelnik-bohater, narrator-bohater, czytelnik-narrator/, ich wymiennosc pozwala mu znaleźć dystans wobec samego siebie, pobudza prace wyobraźni, pozwala odnaleźć siebie.

Wewnętrzna dynamika tekstu wyzwalająca zarazem aktywność odbioru nakazuje formułowanie własnych sądów - w ten sposób odbiór poematu staje się dialogiem i sam tekst zatracza charakter monologu stając się wypowiedzią otwartą, wychyloną ku głosom zewnętrznym. To właśnie stanowi - obok mistrzostwa gry językowej - o artystycznej wartości "Sztucznego oddychania".

4.

Trudno mi pisać o tym tekście. Po pierwszym czytaniu i wielu dyskusjach z przyjaciółmi, na których tekst ten zrobił kolosalne wrażenie, byłem przekonany, iż pozostawił on czytelnika bez złudzeń, że odbiera mu wiarę i nadzieję. Pozostawiający człowieka bez egzystencjonalnych oraz metafizycznych wartości, pozbawiający go wszelkich szans poemat ten zdawał się nie tylko zresztą mi - kamieniem przywłazanym do stóp tonacego. Tak jednak przecież nie jest: właśnie mój sprzeciw wobec tej lektury stał się punktem wyjścia do ponownego odczytania. Dziś, po kilku próbach pokonania oporu tekstu - z których tylko częściowo zdałem sprawę w tym szkicu - myślę, że "Sztuczne oddychanie" można i należy odczytywać jako apel nawołujący do skonstruowania własnego systemu wartości, systemu, który by pozwolił sprzeciwić się znieważaniu świadomości. Jest apelem o zachowanie, a może już nawet odzyskanie ludzkiej godności.

Jedyną, co człowiek rzeczywiście może dać światu, to on sam - bez względu na to, ilu przy tym będzie świadków: sam jest świadkiem swojego życia i musi mu nadać rzeczywistą wartość. Pierwszym krokiem winno być odrzucenie jakżeż dziś pociągającej pokusy zaparcia się siebie. Inaczej myśląc powtarzać będziemy w nieskończoność pytania bohatera poematu Parańczaka:

czy zawsze można mieć aż takie szczęście, aby  
jakiś sąd ostateczny zadał nam pytanie,  
na które można odpowiedzieć tylko "tak" lub "nie"?  
Dlaczego ten sąd, który co dzień się odbywa,  
nigdy nie ostateczny, pośpieszny, znużony,  
nie słucha nawet dobrze odpowiedzi,  
zlewa i pokastuje, gdy ja - jakam swoje  
"chyba", "może", "tak, ale...", "raczej nie"? Dlaczego  
nawet mnie nie przynagla, gdy w końcu już milknę,  
bojąc się rzec cokolwiek? i czemu  
tak pospolity jest ten proces, że  
nawet ciekawsza publiczność wychodzi  
albo zasypia - i nikt nie doceni,  
nie zapamięta nikt mojej odmowy,  
mojego "nie"? To nie tragiczna scena,  
to duszna sala gdzie drzemlą sędziowie  
i złote pyłki drżą w promieniu słońca,  
co z rzadka zajrzy przez niemyte szyby.

Zaś czekając na chwilę decyzji - zawsze wciąż jeszcze nie tę chwilę - możemy się ocknąć uświadamiając sobie nagle, jak bohater wiersza Krzysztofa Karaska, iż żyjemy życiem pozornym:

Udaje, że żyję. Wiem, że to oszustwo,  
oszustwo tego oszustwa,  
że żyję. Umartem już dawno,

- 
- 1/ Wiktor Woroszyński: "Państwa faszystowskie" /w:/ "Wybór wierszy", Czytelnik, Warszawa 1974, s.122-3.
  - 2/ Antoni Kępiński: "Lęk", PZWL, Warszawa 1977, s. 243.
  - 3/ Czesław Miłosz: "Zniewolony umysł", Instytut Literacki, Paryż 1953, s. s. 223.
  - 4/ Witold Wirpsza: "Gra znaczeń", PIW, Warszawa 1965, s. 256.
  - 5/ Krzysztof Karasek: "Rewolucjonista przy kiosku z piwem" /w:/ "Drozd i inne wiersze", Iskry, Warszawa 1972, s. 35.
- 

Leszek Szaruga



## O EWOLUCJI CZY REWOLUCJI Marka Tarniewskiego 1/

W całościowej recenzji z Ewolucji czy Rewolucji musiałoby się znaleźć <sup>miejsce</sup> dla szkicowego, ale świetnego rozdziału I o historii, o początkach i pochodzeniu systemu. Trzeba by też uwzględnić ogólne rozważania o ustroju, własności, państwie i jego wewnętrznym uorganizowaniu /rozdział II/. W tej części Tarniewski wiele wysiłku wkłada w "wyciszyczenie" i zaprezentowanie podstawowych pojęć używanych później w opisach i analizach. Podstawowa i najlepsza - moim zdaniem - część tej książki, to rozdziały od III do V. Szklkuje w nich Autor sposób uorganizowania społeczeństwa, zasady i reguły obowiązującego tu ładu społecznego, charakteryzuje rządzących i rządzonych, próbuje dłażnozy świadomości społecznej. Stosunkowo najmniej jest tutaj nużących czasem precyzacji i ustaleń pojęciowych, a stosunkowo najwięcej udanych prób "łapania" systemu na gorących uczynkach". Książke kończą rozważania o przemianach: dziedzicznych i kierunkach przemian, ich "motorach i hamulcach", dla których układami odniesienia są procesy demokracji, liberalizacji, pluralizacji i - dalej - wymiar racjonalności systemu. Tarniewski pokazuje potencjalne możliwości organizacji społecznej i zrealizowane już postaci systemów tzw. demokracji ludowych.

## I. Odnowa języka

Tarniewski wprowadza szereg pojęć, które prawdopodobnie przestały funkcjonować w polszczyźnie młodego Inteligenta polskiego. Takie restytuowanie pojęć wymaga wysiłku od czytelnika, ale trud ten opłaca się. Jego sensowność i jego wagę trudno przecenić. Po pierwsze, jest to trud demaskowania i niszczenia pojęciowych oraz językowych krektactw, czyszczenia zarówno pojęć jak i składni, a więc języka, którym i w którym wypowiadamy się. Po drugie jest to trud wyposażania nas w znaczenia pierwotne. Tarniewski wprowadza nas poza utarte, bezmyślne i automatycznie działające przyzwyczajenia językowe. Wolność nie musi oznaczać "uświadomionej konieczności". Po intensywnym używaniu i nadużywaniu tego przeciwstawienia pojęcie wolności obecne w świadomości potocznej jest zszarżate i nic nie znaczące. Natomiast przeciwstawione przymowski uzyskuje trafność, potrafi coś ukazać, odesłać do czegoś, co funkcjonujące w oficjalnej publicystyce przeciwstawienie "wolność-konieczność" starannie maskuje. Instytucje demokratyczne - by dać inny przykład - są niemal zupełnie zapoznane. Na marginesach naszej świadomości snują się zbitki pojęciowe o "centralizmie demokratycznym", który jest proletariacki i jedynie słuszny, podczas gdy wszelka Inna demokracja służy interesom burżuazji. A demokracja po prostu - na czym polega? Elementarne sensy stanowione przez Tarniewskiego mają w sytuacji zawłaszczania języka przez propagandę siłę rewelacji, wywołują efekt "otóż to". Takim elementarnym sensem demokracji jest wpływ ogółu obywateli i ich kontrola nad nią, z jednej strony, a z drugiej - kierwanie się przez rządy zdaniem większości. Demokracja to liczne, wypracowane w zbiorowym doświadczeniu Instytucje mające ten wpływ, tę kontrolę i to liczenie się uatwlać i zabezpieczać. Ich funkcjonowanie tworzy pewien typ kultury politycznej i świadomości społecznej; kształci człowieka nie rezygnującego z własnych praw, przedstawiającego swoje - szeroko rozumiane - interesy, uczestniczącego w życiu publicznym.

Nie chodził mi tu o przedstawienie po kolei pojęciowych i językowych analiz Tarniewskiego. Ale książka ta jasno pokazuje erozję naszego języka i jego zużycie przez język propagandy. Kto jeszcze spontanicznie, bez ana-

1/ Marek Tarniewski: "Ewolucja czy rewolucja", Instytut Literacki, Paryż 1975, ss.275. Biblioteka Kultury t. 254.

Książka tą przed jej wydrukowaniem była znana w kraju pod tytułem: "Nowy ustrój i ewolucja".

litycznego wysiłku rozróżnia upaństwowienie od uspołecznienia? Czyż nie uwierzyliśmy, że państwo daje nam pracę i zarobki? I jeszcze do nas dokłada? A prawo, czy umiemy je jeszcze wnikliwie czytać i rozumieć? Lektura książki Tarniewskiego, to w pewnym sensie ratowanie naszego języka.

## II. Wątek marksistowski

Chciałbym tu poczynić także uwagi o "marksistowskim watku" książki Tarniewskiego, który ze względu na właściwą treść książki ma charakter niekiedy marginesowy. Trzeba by tu wyróżnić marksizm jaki znamy w Polsce z podręczników materializmu historycznego i dialektycznego, ze szkoły, z wykładów tzw. filozofii marksistowskiej, wreszcie marksizm upowszechniany natrętnie przez wszelkiego rodzaju oficjalną propagandę, marksizm prostych hasań, zawołań typu "byt określa świadomość", praw koniecznych zgodności i dialektycznych sprzeczności z przechodzeniem ilości w jakość itd. itp. Kto tego nie przerabiał? Kto nie nabrał do tych hasań dystansu i niechęci?

Alc też czasem bywa, że przez marksizm rozumie się zespół poglądów na sprawy społeczne zawarty w oryginalnych pismach Marksa /nie w streszczeniach omówieniach, cytatach/ oraz jego wybitnych interpretatorów i kontynuatorów / np. Gramsci, Lukács, Goldman, Althusser, by wymienić tylko niektórych/. Tak rozumiany marksizm jest głównie przedmiotem studiów, krytyk naukowych, rozmaitych ocen w krajach, gdzie myśl nie jest poddana ciśnieniu i ograniczeniom narzuconym przez aparat państwowy. Tak rozumianym marksizmem zajmują się w Polsce nieliczni.

Społecznie funkcjonujące wyobrażenia o marksizmie i emocjonalne nań reakcje związane są z pierwszym wyróżnionym tu typem. Zwłaszcza w kręgach młodej inteligencji liberalnej istnieły już tradycja ironizowania i szydzenia z tak rozumianego marksizmu, a nawet jego twórczego rozwijania/ ilość nie przechodzi w jakość tylko w bylejakiej itp./. Tarniewski takiemu przedstawieniu wychodzi jakby naprzeciw i utrwała je. Marksizm w drugim wymienionym tu rozumieniu zdaje się go po prostu nie interesować i nie zajmuje się nim. To czego mi brak w tej książce, to wyraźnego stwierdzenia tego właśnie. Bo względnie łatwo jest poddać krytyce wypaczone i zdegenerowane formy myślenia. Tylko, że jest to dopiero pierwszy krok, to jakby oczyszczenie przedpola. Jednak ten pierwszy krok zbyt często jest zarazem ostatnim, po którym nic nie następuje.

Niedawnym przykładem wyjścia poza rozpowszechnione stereotypowe reakcje wobec filozofii marksistowskiej może być pierwszy tom Głównych nurtów marksizmu L. Kołakowskiego. Byłoby dobrze, gdyby opozycyjne dyskusje nad marksizmem przyjmowały w punkcie wyjścia poziom narzucony przez L. Kołakowskiego. Postępujmy niezamierzonego prawdopodobnie przez obu Autorów dialogu:

M. Tarniewski: "Jak pisał Karol Marks, "żarna dają nam społeczeństwo panów feudalnych, młyn parowy - społeczeństwo kapitalistów przemysłowych"/ "Wędra filozofii". Ponieważ Marks mało zajmował się przyszłością, więc nie zastanawiał się nad tym, jaka maszyna "daje nam" społeczeństwo socjalistów i komunistów"/ s. 43/.

L. Kołakowski: "Kiedy Marks powiada/ w Nedzy filozofii/ żarna "dają" nam społeczeństwo feudalne, a młyn parowy - społeczeństwo kapitalistyczne, to jasne jest, że formuły takich nie można rozumieć dosłownie; żarna bowiem "dają" jedynie młke, podobnie zresztą jak młyn parowy i żarna mogą współistnieć w jednym społeczeństwie, które samo może mieć bądź cechy raczej feudalne, bądź raczej kapitalistyczne", - I parę zdań dalej poświęconych analogicznemu sformułowaniu Engelsa: "Byłoby jednak krytyka typu policyjnego szukanie w takich formułach właściwego sensu doktryny"/ s. 370/.

## III. Świadomość społeczna

Warta osobnej uwagi wydaje mi się diagnoza świadomości społecznej i "mapa" ideologii pomieszczone w rozdziale V. Warta ponieważ stan świadomości społecznej jest niezwykle ważny, a bywał niekiedy wręcz decydujący dla działania ludzi w społeczeństwie i funkcjonowania społeczeństwa. Tarniewski swoimi rozważaniami zapełnia dotkliwą lukę w naszych wyobrażeniach na ten

temat i jest to bezdyskusyjna, niczym niepodważalna załuga.

Tarniewski kreśli przekonująco obraz społeczeństwa w stanie powolnego rozpadu: rwa się więzi między ludźmi i więzy ogólnospołeczne, zanika poczucie wspólnoty i solidarności z innymi. Izolacja, obojętność, pomieszana z lękiem wrogość, organizowane przez nowy ustrój zapomnienie tradycji, to są /były na początku lat 70-tych/ zjawiska w świadomości potocznej dominujące i postawy najczęstsze. Taka świadomość jest zapleczem dla ideologii, zanikiem ideologicznym.

Istniejące w Polsce ideologie Tarniewski próbuje - za Amalikiem - przedstawić i scharakteryzować na schemacie koła. Próbuje, co więcej, określić je jako modyfikacje ideologii wyróżnionych i opisanych przez Amalika, jako ich polskie odmiany /czasem skarlałe, czasem - przeciwnie - zdrowsze i mocniejsze niż ich rosyjskie odpowiedniki/. Pierwszy zabieg nie może budzić wątpliwości: Amalik, a za nim Tarniewski swoimi analizami przekonują, że jednowymiarowe schematy ideologicznych zróżnicowań są daleko niewystarczające. Istniejących ideologii nie da się uporządkować: wzdłuż jednej prostej ze względu na małą jej intensywność jednej cechy i rosnąć drugiej, ze względu np. na "prawicowość-lewicowość". Różnią się one bowiem ze względu na więcej niż jedną cechę. Zatem ze względu na niektóre właściwości dwie ideologie mogą być do siebie podobne, a ze względu na inne - przeciwstawne. Wreszcie, niektóre wymiary ideologicznych zróżnicowań mogą hipotetycznie różnić się tu ideologii nie dotyczyć. Co więcej, jednowymiarowe schematy typu: ideologie lewicowe - prawicowe, miękkie - twarde, otwarte - zamknięte, nie nakładają się na siebie, ale krzyżują się i zazoblaiają. Nie jest tak, że ideologie lewicowe, są zarazem miękkie, otwarte itd., ale jest tak, że istnieją i miękkie i twarde ideologie lewicowe.

W schemacie Amalika cały środek koła zajmuje ideologia konformistyczno-reformistyczna. Jest ona centralna w tym sensie, że styka się ze wszystkimi pozostałymi ideologiami, które Amalik rozmieścił dookoła niej, na jej obrzeżach. Jest ona również centralna w tym sensie, że jest potoczna i skomunikowalność masowo spotykana. Pozostałe są wytworzone i wyznawane przez prukiel intelektualistów /zatem przez grupy w pewnym sensie marksowskie i skrajne/. Wymieńmy je dla porządku: są to oficjalny marksizm-leninizm, który sąsiaduje z oficjalnym nacjonalizmem, a ten z neostowianofilstwem; neostowianofilstwo graniczy z ideologią chrześcijańską, z kolei ona sąsiaduje z ideologią liberalną; ideologia liberalna sąsiaduje z "pradziwymi marksizmem-leninizmem", który graniczy z oficjalnym marksizmem-leninizmem. Taką mapę ideologii można z kolei charakteryzować ze względu na tradycyjne wymiary ideologiczne, analizować wzajemne związki tych ideologii, bliskości i pokrewieństwa, oddalenia i różnice.

Trzeba przyznać, że wypadła to bardzo zgrabnie. Ale czy jest to trafny opis rosyjskiego życia ideologicznego?

Wątpliwości te zyskują na sile, gdy od "koła Amalika" przechodzimy do "koła Tarniewskiego". Spróbujmy przekonać się, czy schemat Amalika jest w ogóle dla warunków polskich do utrzymania. Zacząć by trzeba od ideologii oficjalnych - od marksizmu-leninizmu i nacjonalizmu. Ponieważ kształt ideologii oficjalnych decyduje się na zewnątrz, a w każdym razie z zewnątrz jest kontrolowany i regulowany, dlatego też są one w Polsce راحتیczne i utomne. Dalej: zamiast "prawdziwego marksizmu-leninizmu" Tarniewski dostrzega w Polsce całe spectrum: od stalinizmu poczynając poprzez tendencje lewicowe do różnych postaci socjalizmu. Najbliższy ideologii liberalnej /której istnienia Tarniewski nie zaznacza w Polsce/ jest tzw. socjalizm żoliborski, sformułowany przez inteligencję i głównie przez nią reprezentowany. Liberalizm na mapie Amalika sąsiadował z ideologią chrześcijańską. Tarniewski pisze o chrześcijaństwie po prostu. Zauważa jednocześnie, że wiara nie przesądza o wyborze ideologii: many przecież wśród katolików i Więzi i Pax, mamy też apolityczną większość, o której Tarniewski pisze, że wybiera postawę konformistyczno-reformistyczną. Między ideologią chrześcijańską a oficjalnym nacjonalizmem Amalik umieszcza neostowianofilstwo. Tarniewski zaś wartości narodowe, które - gdy przyberają postać nieswołnitwistyczną i raczej nieoficjalną - stają się dla Tarniewskiego po prostu patriotyzmem. Ale, zastrzega Autor, patriotyzmy bywały i bywają różne. Bardziej realistyczne, dążące do stworzenia podstaw narodowej egzystencji i

bardziej romantyczne, rozbudzające sumienia. Co więcej, patriotyzm jest nie tylko wewnętrznie zróżnicowany, ale nie może być uważany za przeciwstawny ideologii socjalistycznej /jak na wykresie Amalrika słowianofilstwo było przeciwstawne wobec "prawdziwego marksizmu-leninizmu"/, która na ogół nie była obojętna na sprawy i wartości narodowe. Żeby analogia z "kotem Amalrika" była pełna, wartości narodowe musiałaby saskładać z oficjalnym nacjonalizmem - koło zamknięty się. Jego środek zajmowałyby oczywiście Ideologia konformistyczno-reformistyczna ozdobiona tradycją pracy organicznej, jakimś patriotyzmem, jakąś religijnością, czasem akcentująca postulat rewindykacji krzywd, obecny i w innych Ideologiach /np. w Ideologii socjalistycznej/.

Z tego przydatnego może streszczenia wynika dość przekonująco, że Amalrikowski schemat dostosowany do polskich warunków przez Tarniewskiego traci swoją wyrazistość i elegancję. Sprzeciw może budzić dokonany przez Autora wybór poszczególnych ideologii oraz ich rozmieszczenie. Czy w naszej Ideologicznej rzeczywistości istnieje coś takiego jak maolizm? A mijałowska odmiana stalinizmu? A jeśli nawet, to dlaczego została ona umieszczona między oficjalnym marksizmem-leninizmem a "resztą" Ideologii lewicowych i socjalistycznych, gdy pod pewnymi względami doktryna oficjalna jest bliższa owej "reszcie" niż doktryna mijałowców. A czy Pax umieszczony przez Tarniewskiego w "segnencie" chrześcijańskim sąsiadującym z liberalizmem jest z tym liberalizmem jakkolwiek spokrewniony? Ktoś jakby nie chciał się uformować i zamknąć.

Nie chodzi tylko o nieadekwatność schematu. Mapa Amalrika jest być może mapą ideologii. Mapa Tarniewskiego jest mapą wartości obecnych i żywych w świadomości społeczeństwa polskiego. Ale wartości, choćby dla danej grupy społecznej najdonioślejsze, choćby nawet motywujące do działania na ich rzecz nie są jeszcze ideologiami. Wokół tych wartości można zbudować drastycznie różne Ideologie. Za przykład niech posłużą wspomniane już ugrupowania katolickie Pax i Wleż.

Co zatem jest ideologią? Nie ma sensu wdawać się tu w precyzyjne definiowanie. Nówlac swobodnie byłaby to wizja czy koncepcja świata społecznego, która:

- po pierwsze, porządkuje doświadczenia członków określonej grupy społecznej, dostarcza ogólniejszych ram i kategorii, w których członkowie tej grupy interpretują i rozumieją swoje doświadczenie.

- po drugie, wskazuje cele /a często i środki prowadzące do nich/, które są dla członków owej wizji uzasadnialne i usensownialne, i które z kolei uzasadniają i usensowniają społeczne działania członków tej grupy.

Uwzględnionym przez Tarniewskiego Ideologiom cecha Ideologiczności rozumianej jak wyżej /zwiazek z doświadczeniami określonej grupy społecznej i formułowanie celów/ przysługuje w różnym stopniu: w przypadku wartości narodowych czy chrześcijańskich w minimalnym. Nic też dziwnego, że tak anemicznie wypadają opisywane ideologiczne zróżnicowania grupowe, np. chłopci okazują się przywłazani do katolicyzmu, wartości narodowych, i wrażliwi na nadużycia wolności w dziedzinie gospodarczej.

Można by Autora przedzić: być może to rzeczywistość Ideologiczna jest anemiczna, nie zaś jego charakterystyki. Na rzeczywistość - zgoda, jest anemiczna i bez życia. Ale ta sfera rzeczywistości, o którą mu chodzi, sfera przekonań i Ideologii, jest szczególnie wrażliwa na zmiany warunków zewnętrznych. Gdyby uległy one zmianie, gdyby stała się możliwa artykulacja interesów i przekonań oraz krystalizacja światopoglądów i Ideologii - jaka wtedy okazałaby się rzeczywistość? Czy koło Tarniewskiego pomaga nam w myśleniu o Ideologiach? Czy pomógłby nam ono w myśleniu o Ideologiach możliwych, takich, które pod pewnymi warunkami miałyby szansę w społeczeństwie polskim zaistnieć? Nie sądzę, a to dlatego, że nie jest ono w istocie mapą Ideologii, lecz mapą wartości.

Pomoc pogłaby tylko analiza Ideologii okresu międzywojennego połączona z analizą przekształtań społecznych i stopnia zniszczenia pewnych Ideologii. Databy nam ona wyobrażenie o tym, czy i które z Ideologii okresu międzywojennego mają szansę przetrwania i z jakimi modyfikacjami. Trzeba by też zastanowić się, jak interferują rozmaite treści szeroko rozumianej tradycji polskiej /obyczajów społecznych, mentalności, kultury politycznej/ z



treściami, które niesie ze sobą nowy ustrój.

Taką analizę trzeba by uzupełnić analizą grup społecznych, powstałych i funkcjonujących w warunkach nowego ustroju. Czy mimo wszeobecných przeszkód w artykulacji nie wytworzyły one nowych ideologii wyrażających ich doświadczenia, interesy i cele? Jaki może być ich zasieg, jaka trwałość? Ale wszystko to są problemy wykraczające daleko poza omawianą książkę.

#### IV. Pojęcia a rzeczywistość: "nowego ustroju".

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem. Autor Ewolucji czy rewolucji mówi wyraźnie, że za swoje zadanie uważał opis nowego ustroju, stwierdzenie, precyzyjne na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe, jak się rzeczy mają. Również wtedy, gdy mówi o funkcjonowaniu monopartyjnego ustroju etatystycznego, czy też o zmianach, którym on ulegał czynił to w formie opisu, świadomie wystrzegając się formułowania "praw", "tendencji" itp. Pisze: "W tej pracy zajmowaliśmy się diagnozą, dość szeroko zresztą rozumianą, bo obejmującą zmiany, a więc sięgającą także w przeszłość" /str. 269/. Gdy zdarza mu się analizować cudze sformułowania pretendujące do miana teoretycznych uogólnień, dąży do pokazania ich fikcyjności /co mu się zazwyczaj udaje/. Tzw. "problematyka teoretyczna", tj. próby budowania i zestawiania praw i uogólnień, odnotowana jest jedynie w dwóch krótkich paragrafach /Różne punkty widzenia, s. 142; Trudności teoretyczne, s. 232/.

Osobiście odczuwam brak refleksji teoretycznej nad zagadnieniami nowego ustroju w ogóle i w tej książce. Przydałyby się oddzielny rozdział choćby rekapitulacji istniejących już prób teoretycznego podejścia do zagadnień nowego ustroju. Wspomnę tu choćby próby W. Hienkowskiego, czy wydane po 1972 roku /kiedy to Tarniewski napisał swoją książkę/ książki M. Hirszowicz, W. Narojka, W. Brusa.

Opisowość książki Tarniewskiego jest specyficznego rodzaju. Wtór jest to, by tak rzec, opisowość analityczno-informacyjna. Obiektywny opis winien mieć za swoją podstawę siatkę pojęć jasno określonych i używanych konsekwentnie w ustalonym sensie w toku całego wywodu. Ten warunek zrealizował autor w sposób doprowadzony do perfekcji. Dobrze zdaję sprawę z matrycy podstawowych pojęć tytuły poszczególnych paragrafów: państwo, własność, centralizm, elita a klasa, stanowienie praw i stosowanie prawa, tytuł do władzy, konflikt, demokracja, wolność, różnorodność itd. Zestaw podstawowych pojęć jest uniwersalny, równie dobrze można by ich użyć do opisu liberalnej demokracji zachodnich. Dopiero wewnątrz każdego rozdziału pojawiają się informacje, które dostarczają differentia specifica nowego ustroju: wszędzie istnieje elita, tylko w nowym ustroju mechanizmy selekcji są mniej doskonałe; każda władza rozporządza jakimś tytułem do władzy, tylko tytuł władzy w naszym kraju w większej mierze opiera się na przemoc i nadużyciu; każda produkcja ma cel, tylko cel ten w monopartyjnym ustroju etatystycznym jest i musi być mniej racjonalny niż w liberalnych demokracjach itd. Itp. Kryje się za tym przeświadczenie, że nowy ustrój /ustroj szeroko pojmowany/ może być analizowany w kategoriach wypracowanych w ramach kultury zachodnioeuropejskiej. Cały aparat pojęciowy wywodzi się z tej tradycji. Zresztą Tarniewski, choć pośrednio, stwierdza to wyraźnie: "Socjalizm nie jest ustrojem, który byłby specyficzny pod każdym względem" /s. 82/.

Jednak sposób wyodrębnienia jednostek analizy i zasób podstawowych pojęć przesądza o czymś. A mianowicie: prawo, wolność, partia, ideologia, legitymizacja władzy itp. ukazują się jako zdegenerowane postaci swoich istniejących gdzieś indziej "normalnych" odpowiedników. Stąd pojęcia zaprojektowane jako tylko sprawozdawcze nie są czysto opisowe, ponieważ zawsze są uzupełnione o skale oceniające wplecione w narrację. Weźmy przykład partii: przecięte w nowym ustroju nie jest to partia "normalna" znana z liberalnych demokracji, ale jest to partia "nowego typu" z centralizmem demokratycznym i monolitycznością. Poza tym, ponieważ jest partią jedną i rządzącą, to

nabiera nowych cech, których "partia" modelowa nie posiada. W toku narracji wychodzi na jaw oś wartościująca, a konkluzja mogłoby być stwierdzenie: partia nie jest właściwie "partią". Takie "opisowe demaskowanie" nie jest w moim przekonaniu efektywne. Potrzebne są nowe pojęcia, nowy język, aby ujawnił się w nim właściwy sens detonowanych zjawisk. W przypadku partii takim nowym pojęciem mającym wręcz walory odkrycia jest pojęcie umowy o partyjność /świetny paragraf na s.163-165/, które nie daje się przenieść na grunt zachodnich liberalnych demokracji /bo nie znajduje tam odpowiednika w rzeczywistości społecznej/. Takich nowych pojęć chwytających specyficzne, jakościowo nowe zjawiska jest - moim zdaniem - za mało. Umowa o partyjność jest jednym z nielicznych wyjątków.

Powraca tu problem specyficzności socjalizmu. To, że socjalizm nie jest ustrojem specyficznym pod każdym względem, jest bezdyskusyjne. Jednak nie wydaje mi się, by jedna skala pojęć i ocen, choćby skalą nawet o bardzo wielu stopniach, udało się ogarnąć zjawiska ustrojowe Europy Zachodniej i Wschodniej. Nowy ustroj wytworzył zjawiska jakościowo nowe, które domagają się właściwej im pojęciowości. Opisywanie tych zjawisk jako swego rodzaju odstępstwa od modelu zastania je raczej niż odkrywa przed nami. Mimo opisu zostawia nas bezradnymi, bo tylko - by tak rzec - "prawdziwe" pojęcie ma moc operacyjną w stosunku do rzeczywistości. Odkrycie takich pojęć właściwych nowemu ustrojowi jest pierwszym krokiem umożliwiającym niezgodę na tę rzeczywistość w skali społecznej, taką niezgodę, która ma konsekwencje, daje się bowiem przełożyć na język postaw i zachowań. Nowy język ma poza tym znaczenie terapeutyczne: to, że jesteśmy jakoś tam podobni do Zachodu to przynajmniej w części złuda. Odrzucenie tej złudy pomaga znaleźć się wobec rzeczywistości nowego ustroju.

Jest kwestią dyskusyjną, jaki zakres przypada w nowym ustroju na zjawiska jakościowo nowe. A jeszcze czym innym jest pytanie o stopień, w jakim, w sprzyjających warunkach, po kolejnym ruchu historii, będziemy mogli sprostać zachodniej pojęciowości ustrojowej i implikowanym przez nią standardom. I w jakim stopniu tego właśnie będziemy chcieli.

## WALKA, PONIEWIERKA I GORYCZ

W nr 41 wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu "Zeszytów Historycznych" ukazał się obszerny, niemal 200 stron liczący tekst wspomnień Kazimierza Pużaka. Obejmuje on dramatyczny okres ponad sześciu lat, od 31 VIII 1939 r. do 8 XI 1945 r. Tekst ma pewne luki i zniekształcenia, trudno zaś powiedzieć, czy wynikały one już z pośpiechu w spisywaniu wspomnień, czy też z trudności w odczytywaniu zniszczonego wobec obawy represji rękopisu. Historykom przybyło jednak ważne źródło, o którego istnieniu od dawna było zresztą wiadomo.

Kazimierz Pużak należał do tych, którym dane było przeżyć w szczególności skrajnej formie losy Polaków XX wieku. Urodzony w 1883 r., już podczas rewolucji 1905 r. znalazł się wśród wybitnych młodych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Po rozłamie w tej partii działał w PPS Frakcji Rewolucyjnej, a po aresztowaniu w 1911 r. skazany został na 8 lat więzienia w twierdzy Schlüsselburga i dożywotnie zesłanie. Bramy więzienne otworzyły się przed nim w 1917 r., po rewolucji lutowej w Rosji. Był jednym z kierowników organizacji PPS w Rosji przez lata 1917-1918. Z bolszewikami nie gadał się wówczas, jak i zawsze później, ale jako polski przywódca socjalistyczny utrzymywał z nimi kontakty, spotykał się z Trockim, prawdopodobnie także z Leninem.

W II Rzeczypospolitej Pużak był przez wszystkie lata jednym z liderów Polskiej Partii Socjalistycznej. Wewnątrz partii klasyfikowano go różnie, naprzód bliżej lewicy kierownictwa, potem w centrum, wreszcie w drugiej połowie lat trzydziestych raczej na prawicy. Od 1921 r. sprawował kierownictwo całego aparatu organizacyjnego partii, jako jej sekretarz generalny. Swą pozycję zawdzięczał dużej sprawności działania, oskarżano go nie raz o bezwzględność i biurokracyzm, napewno też nie należał do częstych wśród socjalistów giętkłych taktyków poszukujących kompromisu między różnymi frakcjami partyjnymi. Należał do tych, którzy głęboko byli przekonani o swych racjach. Niewątpliwie pomagała mu przyjaźń polityczna z o wiele bardziej elastycznym Zygmuntem Zarembą. Obaj wśród dążeń PPS na pierwszym miejscu stawiali walkę o niepodległość, a później obronę tej niepodległości, potem sprawę demokracji, wreszcie sprawę dążeń społecznych, mających w przyszłości torować drogę do demokratycznych przeobrażeń socjalistycznych.

Kazimierz Pużak należał do kierownictwa grona Polski Podziemnej w latach okupacji hitlerowskiej. Jeszcze podczas obrony Warszawy w 1939 r. wraz z Zarembą i Niedziałkowskim koordynował działalność PPS, po przejściu do konspiracji na początku 1940 r. był jednym z inicjatorów powstania WRN - Wolności, Równości, Niepodległości. Wraz z Zarembą i Arciszewskim stał na jej czele. Był przedstawicielem socjalistów w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym, reprezentującym główne partie podziemne, a później w jego kontynuacji - Krajowej Reprezentacji Politycznej. Kiedy miejsce tych instytucji zajął prowizoryczny parlament podziemny - Rada Jedności Narodowej - Pużaka wybrano na jej przewodniczącego. W tym charakterze działał on także podczas Powstania Warszawskiego.

W marcu 1945 r., już po wypędzeniu Niemców z ziem polskich, z przedstawicielami podziemnego państwa nawiązali kontakt oficerowie radzieccy, rzekomo reprezentanci organów wojskowych. Były to owe słynne pertraktacje, które prowadziły do ujawnienia się i podjęcia rozmów politycznych na podstawie porozumień jałtańskich między wielkimi mocarstwami. W trakcie tych pertraktacji, jak wiadomo, aresztowani zostali podstępnie ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Okulicki, delegat rządu na kraj Jankowski i jego zastępcy oraz grono członków Rady Jedności Narodowej.

Przewiezieni do Moskwy przywódcy Polski Podziemnej poddani zostali wieloletniemu śledztwu, zaś w czerwcu 1945 r. odbył się haniebny proces szesnastu, w którym oskarżonym imputowano prowadzenie działalności dywersyjnej przeciw wojskom sowieckim, a nawet wręcz współpracę z hitlerows-

kim Niemcami. Wyroki, jak na inscenzowany proces, w którym nie zważając na zaprzeczenia oskarżonych "udowodniono" im winę przy pomocy prowokatorów i załamanych represjami świadków, były niewspółmiernie niskie. Jednak pięciu skazano na 5 do 10 lat, wśród nich Okulickiego, który zakończył później życie w więzieniu. Pozostali oskarżeni zostali skazani na niskie wyroki, trzech uniewinniono. Pużak otrzymał karę półtora roku więzienia.

Większość skazanych w ciągu 1945 r. po odbyciu kary lub w rezultacie indywidualnej amnestii przekazana została do Polski. Wśród nich znalazł się w listopadzie Pużak. W kraju Pużak brał nadal udział w nielegalnej działalności socjalistycznej. W 1948 r. został ponownie aresztowany i skazany w tzw. procesie WRN. Tegó ostatniego więzienia, kiedy miał już za sobą Schüsselburg z czasów carskich i sowiecką tubiankę, nie przeżył. Zmarł w Rawiczu 3 kwietnia 1950 r. Grób Pużaka znajduje się na warszawskich Powązkach.

Wspomnienia Pużaka nie są łatwą lekturą. Zawierają jednak ogromny materiał informacyjny dotyczący funkcjonowania władz WRN i władz Polski Podziemnej. Zapisy są często skrótoowe, nieraz dla zrozumienia wymagają znakomitej wiedzy o epoce. Szczególna wartość przypisać można obszernym fragmentom dotyczącym aresztowania w 1945 r., śledztwa w procesie szesnastu, atmosfery więzienia radzieckiego i samego procesu. Jest to jedno z najbardziej wstrząsających oskarżeń sowieckiej perfidii, a zarazem przyczynek do tragedii polskiego podziemia; kiedy dobiegała końca II wojna światowa, ci, którzy ponad pięć lat kierowali z niespotykaną ofiarnością i odwagą oporem społeczeństwa przeciw hitlerowskiej okupacji, znaleźli się w więzieniu "sojusznika", prześladowani i szkalowani.

Kazimierz Pużak był człowiekiem o nieuległej postawie osobistej, a zarazem bezwzględny przeciwnikiem wszelkiego kompromisu z siłą, jaką w 1945 reprezentowały w Polsce Sowiety oraz odwołująca się do ich poparcia PPR. Pił są swe wspomnienia w 1946 r. i na początku 1947 r., pełen nienawiści i goryczy. To ogromny walor, autentyczność jego relacji. Ostrzegalbym jednak przed bezkrytycznym przyjmowaniem jego ocen, dotyczących cudzych motywów działania i cudzej etyki. Charakterystyczna dla Pużaka bezkompromisowość w połączeniu z goryczą ostatnich już - jak się okazało - lat życia pozostała wita we wspomnieniach wyraźne ślady.

Na spojrzeniu Pużaka ciążyą antagonyzmy z lat międzywojennych, np. wrogość wobec endeków i ONR, ale nieporównanie silniej - wrogość nie tylko już do komunistów, lecz wszystkich, którzy w latach 1945-1946 szukali dla Polski wyjścia drogą kompromisu z PPR. Dotyczyło to wielu socjalistów, choćby w mniemanych przez Pużaka - Żuławskiego, Zdanowskiego, Stańczyka, Kuryłowicza Wachowicza, Kłuszyńskiego, Krygiera. Dotyczyło en bloc ludowców i Stronnictwa Pracy. Dotyczyło pogardliwie traktowanych przezeń "podstawników", niemal więc agentów komunistycznych - wielkich uczonych Adama Krzyżanowskiego i Stanisława Kutrzeby. Pużak wrogości swej nie krył, a na domiar nie szczędził określić lub wręcz oskarżeń kwestionujących moralne oblicze owych przeciwników.

Wielu z nich całą swą późniejszą działalnością zaprzeczyło podejrzeniu Pużaka. Rzecz nie w tym zresztą, by dzielić tu racje polityczne, które skłaniały do wyboru różnych dróg ocalenia Polski przed sowietyzacją. Gorycz Pużaka w czasie, kiedy pisał swe wspomnienia, jest aż nadto zrozumiała. Podziwiając jego postawę osobistą, nie sposób jednak wyrzucić każdego, który decydował się działać inaczej, poza nawias chlubnych tradycji politycznych społeczeństwa polskiego.

Stanisław Warecki



## ŚWIADECTWO MIMO WOLI

Przed kilku miesiącami ukazała się książka Natalii Rieszetowskiej "Sołżenicyn - realia i mistyfikacje" / tytuł oryginału rosyjskiego "W sporie so wremieniem" / . Przeżył Szymon Marych, redagował Tadeusz Świrski, opracowanie graficzne Ryszarda Świętochowskiego. Na książkę tę, potraktowaną jako pewnego rodzaju normalny czy typowy produkt systemu, nie warto by zwracać uwagi. Jest ona jednak produktem wyjątkowym.

Na wstępie krótka informacja o autorce. Natalia Rieszetowska jest byłą żoną Aleksandra Sołżenicyna. Czytelnikom "Pierwszego Kręgu" może kojarzyć się z Nadia, żoną Nierżyna. Pamiętając postać Nadii, wiedząc jak wiele przeżyła za czasów stalinowskich, można wyrazić zdumienie, że nie załamata się wtedy, ale właśnie teraz, kiedy metody łamania ludzkich charakterów złagodniały. Należy jednak pamiętać, że chodzi o Aleksandra Sołżenicyna. Tyko dlatego Natalia Rieszetowska mogła znaleźć się w sytuacji ponad jej siły. Pamiętając o tym można wyrazić przypuszczenie, że to nie autorce, ale raczej sytuacji zawdzięczamy powstanie książki.

Czytelnik Rieszetowskiej łatwo przekona się, że zastosowano metodę znaną i zawsze stosowaną w kampaniach propagandowych: maksymalnego oczernienia przeciwnika, choć trzeba przyznać, że starano się oczernić możliwie taktownie i dyskretnie. Niemal od pierwszej do ostatniej strony wyławiamy z tekstu informacje o złym charakterze i złych postępkach Aleksandra Isajewicza, jak pisze autorka /iub zdrobniałe Sani/, przy czym ciężar zarzutów jest różny: od dziecka chorobliwie ambitny, męczący jako uczeń i przykry jako kolega /str.7/, aresztant składający donosy na swoich przyjaciół, nawet na żonę /str. 84-89/, antysemita /str.135/, leniwy wzięcie /str.136/, brygadzysta umiejący się urządzać, sprytnie wykorzystujący swoje umiejętności /str.94 i 152/, człowiek pozbawiony przyjaciół, narzucający swoje zdanie otoczeniu /str.228/. i czytelnik łatwo nabiera nieufności do tych wszystkich rewelacji, wiedząc z doświadczenia, że jeśli przeciwnika miesza się z błotem, a jednocześnie nie daje żadnej szansy przeprowadzenia publicznej obrony, to prawda ma z tym wszystkim mało wspólnego. Z punktu widzenia oceniających, prawda jest zresztą nieistotna.

Można oczywiście mieć wątpliwości, co powie czytelnik niedostatecznie zorientowany, kim jest Aleksander Sołżenicyn? Czytelnik naiwny, skłonny każde drukowane słowo traktować serio? Może o takich czytelników chodziło? Nie wiadomo. Normalny czytelnik z łatwością dostrzeże i wyłowi z tekstu innego typu informacje. Te, które tworzą sylwetkę Aleksandra Sołżenicyna na pewno niezgodną z intencjami wydawców. Skazany na ośmioletni pobyt w łagrach, człowiek ten potrafił interesować się życiem poza obozem, uczyć, prowadzić notatki, myśleć o przyszłych książkach. Chory /z podejrzeniem nowotworu/, opuszczony przez żonę, po wyjściu z obozu skazany na przymusowe osiedlenie w obcym Kazachstanie - zachował postawę człowieka nieugiętego. Portret Autora "Pierwszego Kręgu" namalowany czarną farbą nie zastąpił autentycznej fotografii.

W tym miejscu doszliśmy do sprawy najważniejszej, jak sądzę, przy próbie oceny "W sporie so wremieniem". Myślę o mimowolnych, przypominających błyski światła w mrocznym wnętrzu, świadectwach prawdy o czasach stalinizmu i ludziach, którzy tworzyli tamtą epokę. Ta prawda, wbrew woli wydawców pojawia się na wielu stronach książki zadziwiająco czytelnika. Oto opis

- 
- 1/ Krajowa Agencja Wydawnicza, RSW "Prasa-Książka Ruch", Warszawa 1977.
  - 2/ Zastługą Ryszarda Świętochowskiego jest ozdobienie okładki specjalnie dobranym, nie wzbudzającym sympatii czytelników zdjęciem Aleksandra Sołżenicyna.

losu pewnego małżeństwa: mąż skazany na dziesięć lat; w oczekiwaniu, jak pisze autorka "na prawdziwe życie z Andrejem", żona "zorganizowała sobie zastępcze z innym człowiekiem"/str.116/, "Robiła jednak wszystko, aby ułatwić życie więźniowi. Wysyłała paczki/.../ Pisała listy: "Ciebie Kocham najbardziej ze wszystkich na świecie. Gdy tylko zawałasz wszystko rzucę i przyjdę do Ciebie". Jednak dopóki człowiek znajduje się za kratą - nie można go zawałać, tym bardziej, że nie uzyskała nawet zgody na widzenia. Włęcz czy można potępić tę jeszcze młodą, ładną, energiczną kobietę, że ulegając prawom natury szukała ukojenia w ramionach innego mężczyzny./.../Kiedy natomiast dowiedziała się, że jej mąż po odbyciu kary został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia, to natychmiast pojechała i przywiozła ze sobą do Moskwy chorego, wznędniałego człowieka, zmienionego nie do poznania, po prostu szkielet. A czy ta kobieta od początku jego pobytu w więzieniu i obozie nie rzuciłaby Moskwy i nie pojechała do Połmy, gdyby pozwolono jej mieszkać tam razem z Andrejem? O jej odwadze, sprytle, a nawet bezczelności najlepiej świadczy fakt, kiedy po uzyskaniu wiadomości, że jej mąż znajduje się w Połmie, nie uzyskała zgody na widzenie, śmiało podeszła do pracujących więźniów, pokazała im fotografię Andrieja i dzięki wskazówkom więźniów, a nawet strażników doszła w końcu do miejsca, gdzie pracował jej mąż/.../ Innym razem ze swego domowego telefonu w Moskwie zamówiła rozmowę z Połmą. "ymieniła odpowiedni numer telefonu podobozu, nazwisko rozmówcy... Widocznie był to wypadek bez precedensu, gdyż mąż zawałano do telefonu. "Andrej? Wiera, ty...?" Po jego zwolnieniu przeżyli razem 16 lat.

Niewiele zdań, za to dużo informacji. Okazuje się, że można było zostać skazanym bez prawa widzenia się z rodziną /warto dodać, że z innego ustępu, na str.76, wiemy, że można było otrzymać wyrok z prawem lub bez prawa do korespondencji, z innego - na str. 146 - że listy mógł więzień wysyłać tylko dwa razy do roku;/ zły stan zdrowia oznaczał "człowieka zmienionego nie do poznania, po prostu szkielet"; dążenie kobiety do zobaczenia skazanego męża można niekiedy nazwać zachowaniem bezczelnym, a wspomniany wypadek zamówienia z domowego telefonu rozmowy z obozem był wypadkiem bez precedensu.

Opisując kontakty z mężem-więźniem, Rieszetowska pisze: "Nie mogę posyłać paczek od siebie. Różań to nie Moskwa i na mojej uczelni natychmiast związane z poświęceniem bierze na siebie ciocia Nina, mieszkająca w Rostowie./.../ Sania otrzymuje co miesiąc cukier, słońinę, suchary, tytoń, czasa, mi nawet masło, kiebasę, cebulę i czosnek. W paczkach jest nie tylko żywność, "balonki, piecak, wełniane skarpetki, rękawice, i wiele najróżniejszych drobiazków: drewniana łyżka, pasta do zębów, igły z nicią, gąbka, plastikowe naczynko, kałamorz z atramentem. Nadejście paczki za każdym razem było dla Sani wielkim świętem. Nie mógł ościs więcej niż dwa listy rocznie, ale zezwalano więźniom na pocztówki, potwierdzające odbiór przesyłki." /str. 145-146/.

Autorka na ogół unika ujemnej oceny przeszłości. Żle ocenia Sołżenicyna, który nie potrafił szybko o przeszłości zapomnieć/str.225/. Powtarzające się opisy nienormalnych, nieludzkich warunków wydają się beznamiętne, jakby - zdaniem autorki - tamten świat, tamte czasy, nie były niczym niezwykłym. I tylko czytelnikom pozostaje ocena i wnioski: żona musiała ukrywać przed otoczeniem fakt pobytu męża w obozie, paczki trzeba było wysyłać ukradkiem. O tym, czego więźniom brakowało, świadczy zawartość paczek, Nadejście każdej, to święto. Pisać można było dwa razy do roku, ale /przejaw wyjątkowego humanitaryzmu /:"zezwalano więźniom na pocztówki potwierdzające odbiór przesyłki".

Z krótkich wtrąconych zdań, z dygresji, dowiadujemy się o sprawach, o których głucho w oficjalnych publikacjach. Np. o narodowościach więzionych w niej Ukraińcy, Łotysze, Estończycy, nawet Polak i Węgier." /str.152/. O pomocy amerykańskiej w czasie wojny:"Poza amerykańską grzałką mam jeszcze amerykańskie botki, wspaniałe, mama dostała je na talony." /str.56/. W innych miejscach świadectwa tragicomiczne, jak choćby opis zwolnienia z pracy z powodu nie zamkniętego łufcika/str.128/: "Następnego dnia zastępca Kobiłowa do spraw gospodarczych wytknął mi, że wychodząc z pracy nie zamknę-

tam łufcika. Całkiem możliwie. Ale przecież nie wyszłam ostatnia. W gabinecie Kobozilewa byli jeszcze ludzie. Mój pokój jest przejściowy i ten, który wychodził ostatni, powinien był zamknąć łufcika. W dodatku okno jest przecież zakratowane. Odpowiedziano mi, że wieczorem laboratorium kontrolowane było przez funkcjonariuszy tajnej kancelarii, którzy potraktowali to bardzo poważnie. Natychmiast poszłam do szefa tajnej kancelarii, który powiedział, że istotnie, wpłynął do niego odpowiedni raport. Wyjaśniłam mu całą sytuację. Wystukałam mnie w milczeniu. Uznałam, że dał się przekonać i uspokojona wróciłam do siebie./.../ A tu nagle 6 czerwca, nie wierząc własnym oczom, otrzymałam pismo, zwalnające mnie z pracy na Uniwersytecie Moskiewskim "za niedbały stosunek do pracy, wyrażający się w tym, że opuszczając laboratorium zostawiłam otwarte okno i drzwi."

Motyw humoru mimo woli pojawia się w książce często. Oto historia pewnego Węgra/str.152/: "Sania poczuła do Janosa dużą sympatię. Stopniowo poznała jego krótki życiorys, gdyż był to wówczas człowiek bardzo młody, niemal chłopiec, który pewnie dlatego szybko i dość dobrze nauczył się mówić po rosyjsku. Kiedy Rozsasowi odczytano wyrok w nieznanym mu wówczas języku, liczył sobie zaledwie osiemnaście lat. I chociaż Janos został na długo oderwany od swojej ojczyzny, nie było w nim nic z zapiekłej nienawiści. Zawsze uważał się po prostu za ofiarę wojny. Żyjąc w otoczeniu Rosjan, coraz bardziej się do nich przywiliżywał. A szczególnie pokochał i ocenił Rosjan wtedy, gdy uznał, że swe życie zawdzięcza pewnej pielęgniarce. W trudnych powojennych latach Janos pracował przy wyrebie lasu, i zaczął powoli "wysilać". Trafił do lazaretu, gdzie wycieńczonymi opiekowały się dwie pielęgniarki. Ze szczególnym poświęceniem pracowała siostra Dusia, traktująca Janosa po macierzyńsku./.../ Pod koniec 1953 roku Janos został zrehabilitowany i wrócił do kraju, na Węgry, gdzie zaczął pracować jako księgowy. Po roku ożenił się. Obecnie ma dwóch synów i córkę. Wydawałoby się, że nic mu nie brakuje do szczęścia. Ale nie... Janosowi brakuje tych dalekich przyjaciół, z którymi dzielił kiedyś lata gorzkie, lecz młode. Urządził więc u siebie w mieszkaniu kącik, który nazywa "matą Rosją". Przechowuje w nim płyty z pieśniami rosyjskimi, rosyjskie książki. W swojej bibliotece ma komplet rosyjskich klasyków./.../ Najbardziej lubi śnić rosyjską "Trojkę". Kiedy jednak zaczyna śpiewać po rosyjsku, ból ściska mu serce, że nie zobaczy już swych dawnych rosyjskich przyjaciół, których pokochał "za dobroć".

Nowy typ nostalgia: tęsknota do życia w łagrach. Niezrealizowany ideał czasów stalinowskich: wypuszczeni z obozów zgłaszają się ponownie, ponieważ tęsknią. Tyko kto w to uwierzy? Może ktoś, komu liczni Rozsasowie w Polsce, na Węgrzech, na Litwie i w Czechostowacji opowiedzą o swoich przeżyciach?

Opisując moment uświadomienia sobie że co aresztowano męża, autorka pisze: "Zostali aresztowani obaj. Aresztowani z powodu listów, pisanych do siebie - myślałam, trzymając w ręku plik kopert. Doиграли się swoimi żarcikami."/str.72/ "Żarciki" w tamtych czasach kosztowały drogę:"... w noccekalni MBW na Moście Kuźnickim powiedziano mi: "Osiem lat obozu pracy poprawczej". - A czy będzie można pisać? - zapytałam natychmiast. Już to wydawało mi się pociechą. - Tak. Z prawem do korespondencji."/ str.76/.

Ostatecznie jednak nigdy w ciągu tych ośmiu lat nie było tak źle. Autorka wielokrotnie stara się o tym przypominać: "Nikt nie zmusza do pracy. Karmią całkiem znośnie." "Sanatorium bu-Tiur" - takie znaki widać na wierz- zielonej białiznie."/ str.72/ "W przerwie obładowej wyleguje się na trawie na dziedzińcu lub śpi na swojej przyzy. Wieczorem i rano spaceruje, najczęściej pod ulubionymi lipami. W dni wolne od pracy spędza na powietrzu trzy do czterech godzin, gra w siatkówkę."/ str.98/ "I oto zima - pierwsza "ekibastuska" zima - nareszcie się kończy./.../ Sania ma twarz szcypła, lecz świeżą i rumianą - "to dobroczynny wpływ tych stepowych, mroźnych wiatrów". / str.147/..

O co więc chodziło Aleksandrowi Isajewiczowi, skoro mógł "wylegiwać się i grać w siatkówkę", spał na pościeli z nadrukiem "Sanatorium Bu-Tiur", poznawał "dobroczynny wpływ stepowych wiatrów"? Czy nie przeholował czasem w "Pierwszym kręgu" i "Archipelagu Gułag"? Natalia Rieszetowska nie jest konsekwentna. Na stronie 150 znajdujemy następujący ustęp: "Dla Sanii

nastąpiła siódma więzienna wiosna. Dopóki trwała ciężka zima, było nawet lepiej, gdyż Sania miał bliiski i bardzo ważny cel - za wszelką cenę przeżyć tę zimę". Niezwykła szczerość: "za wszelką cenę przeżyć zimę"! Sądzą, że to groźne zdanie dostatecznie jasno odświeża czytelnikom tragiczny los mieszkańców Archipelagu Gułag. Aleksander Isajewicz nie przeholował na pewno.

Ukazywanie się książki Rieszetowskiej jest ewenementem. Ponieważ zastosowano w niej metodę dostatecznie skompromitowaną w oczach czytelników/maksymalnego oczernienia/ - sukcesu propagandowego nie osiągnięto na pewno. Co więcej: w książce umieszczono mnóstwo informacji o czasach stalinowskich, o łagrach, i więzieniach, o mentalności ludzi tworzących tamtą epokę. Dlatego można powiedzieć, że dano w ten sposób świadectwo Prawdzie. A chociaż świadectwo wystawiono niechętnie, jakby mimo woli, zważywszy na wystawców, ma ono wyjątkowe znaczenie. W rezultacie, "W sporie so wremieniem" wydaje się wielkim propagandowym potknięciem. Po prostu niewypałem, który wymknął się spod surowej kontroli wydawców.

Kazimierz Orłowski



## BYĆ DOCENTEM, SEKRETARZEM I POETĄ....

Na łamach warszawskiej "Kultury" z 19 lutego 1978 zadebiutował jako poeta sekretarz KW PZPR do spraw nauki, doc. dr hab. Krzysztof Kruszewski. Zdarzenie to zasługuje na szczególną uwagę i to w kilku odmiennych porządkach, przy czym - podkreśliły - walory stricte poetyckie twórczości docenta nie są tu sprawą najważniejszą.

Onotujemy, że sama postać Kruszewskiego jest na tle naszego szarego życia bardzo oryginalna; jest to bodaj pierwszy w historii PRL docent mianowany sekretarzem, w przeciwieństwie oczywiście do sekretarzy mianowanych magistrami, docentami czy nawet profesorami zwyczajnymi. Praca docenta-sekretarza jest trudna i odpowiedzialna: to jemu przecież podlega warszawskie środowisko naukowe i to pod jego rządami rozwinął się i nadal rozwija społeczny ruch naukowy nieoficjalnie nazywany latającym uniwersytetem, oficjalnie zaś Towarzystwem Kursów Naukowych.

To nie kto inny, lecz właśnie docent Kruszewski na licznych zebraniach z pracownikami naukowymi PAN-u czy warszawskich uczelni, a także w rozmowach w cztery oczy z poszczególnymi uczonymi ostrzega przed samowolnym sięganiem po władzę, grozi konsekwencjami, nawołuje do postuszerstwa. Nie ukrywamy, że jest to praca niewdzięczna.

I właśnie nie kto inny, tylko docent Kruszewski w wolnych chwilach pisze wiersze, z których dwa świeżo opublikował, a w najbliższym czasie - jak dowiadujemy się z kół dobrze poinformowanych - wyda cały tomik. "Polsce tradycji pisania wierszy przez polityków w zasadzie nie ma/może jeden Wieniawa, ale on znowu nie był docentem, tylko generałem/, historia notuje jednak takie przykłady, żeby wspomnieć powiedzmy Juliusza Cezara czy Mao Tse-Tunga.

Wydaje mi się, że jeśli docent-sekretarz bierze się do pisania wierszy, to znaczy, że czegoś mu w życiu nie dostaje, że nie potrafi zrealizować się w pełni ani w roli docenta, ani sekretarza. Jest chyba tak, że Kruszewski ma ogromną potrzebę przekazania ludziom jakiejś prawdy i poszukuje najlepszej dla tego przekazu formy, przerzucając się od uniwersyteckiej katedry do partyjnej mównicy czy wreszcie komunikatu poetyckiego.

Przyjrzyjmy się prawdom, jakie komunikuje nam w swoich wierszach. Przepisujemy je w całości:

Rozmowy z synem

Podziękowanie drzewom -  
na pierwszych mchach chata stoi;  
las gospodarzy bogact,  
niedobrym przystępu broni,  
myślim rozważnej nadaje zieloności.

Podziękowanie drzewom -  
trwają w leśnym dzyku,  
a kiedy padną,  
to dopóty żyją  
aż z wykrótów wytryśnie nowa zieloność.

Podziękowanie samotnemu drzewu -  
zwiastunowi kroczącego lasu,  
oflerze piorunów i zakochanych kozłków -  
ono nie odejdzie;  
chyba umarłe, chyba, że doczeka wkroto zieloności.

Podziękowanie drzewom -  
z ziemi korzeniami zieloność czerpią  
i zielenią ziemię.

Przekrzywiają się wszystkim  
i wszystkiemu;  
dostępny to sposób  
na indywidualność.  
Każdy grymas pracowicie  
studiują w lustrze,  
aż się z twarza zrośnie,  
aż w genach zawrze.  
Ptakom niebieskim  
wyrwają pióra -  
woskłem lenią w skrzydła  
do średniego lotu,  
by uciec od ziemi  
a uniknąć stołca.

Oczywiście las czy dokładniej drzewa bywają w poezji używane w znaczeniach bardzo różnych, zbadajmy przeto, za cóż to dziękuje drzewom docent-sekretarz. Przede wszystkim ustalimy, że chodzi tu o drzewa w ogóle, nie zaś o jakieś drzewo szczególne, pojedyncze; poeta cení to co wspólne, typowe, a nie to co indywidualne i dlatego w drugiej strofie porównuje las do oddziału żołnierzy.

Cóż więc wspaniałego widzi w zuniformizowanych drzewach zmęczony nerwowym życiem docent? Czy może to, co w swojej liście widział były sekretarz króla Zygmunta Augusta, który jednak docentem nigdy nie był i w lesnym zaciszu puszczając wodze swojej indywidualności? Oczywiście nie. Docent fraszkami zajmować się nie będzie. Stwierdza natomiast wstępnie gospodarczą przydatność lasu, żeby z kolei wyeksponować te jego cechy, którą cení najwyżej: stabilność; las stoi w miejscu, porzadnie wrosnięty korzeniami w ziemię, i nie ma powodu do obaw, stać będzie solidnie w wyznaczonym mu miejscu, bo nawet jeśli drzewo padnie, wyrosną obok inne.

Docent musi ciągle zadawać się z dialektyką; wykładać ją studentom na uniwersytecie, uwzględniać w rozmaitych oficjalnych wypowiedziach, tak że w wiegściach swych składa najwyższy honór właśnie zaprzeczeniu dialektycznej zmienności; trwania. Kto nie był naraz docentem i sekretarzem, nie zrozumie łatwo, jak wielkim osiągnięciem dla takiego człowieka jest trwanie właśnie, ile wymaga ono codziennych zabiegów i wybiegów, ile kosztuje zdrowia i nerwów.

Trwanie okazuje się celem tak wielkim, że względu na koszty, które trzeba płać, że nic większego nawet nie daje się pomyśleć; włączej - w ogóle coraz trudniej myśleć jest o czym innym niż o sposobach trwania zapewniających.

I nagle, z tego wszystkiego, poetyckie olśnienie drzewem, któremu tak łatwo trwać, które trwa samo przez się. A docent? Ile jeszcze czasu zdoła wytrwać? Przecież - jak widać z tytułu wiersza - ma syna, któremu chciałby przekazać własci zdobyte drogą łupów wojennych czy pańskich nadań. Ale czy to się uda?

Najlepiej być drzewem, stać na swoim miejscu, nie wychylać się, kiedy inni się nie wychylają, chyba, że w wypadku silnego wiatru, ale wtedy z całym lasem. Zresztą to będzie tylko wychylenie się pozorne; machanie gałęziami, robienie szumu, wrażenia ruchu i - stanie w miejscu. Tak trzeba żyć. Tak docent pedagogiki uczy swojego syna. Tak uczy nas wszystkich.

Gdy pierwszy wiersz jest programem pozytywnym, drugi stanowi druzgocącą i zjadliwą krytykę. Jej przedmiotem jest ruch. W ruchu jako takim kryje się niebezpieczeństwo zmiany status quo i dlatego docent woli drzewa niż ruch. Drzewa, jak pamiętam, porównane do żołnierzy, w mundurach, w szyku, na baczność. A czym jest w takim razie indywidualność? Proste. Przekrzywianiem się. Żołnierz w przekrzywionej czapce. Żołnierz z oberwanym guzikiem. Żołnierz z brodą. Nieporządek. Niesubordynacja. Wyrównać zgodnie z instrukcją. Nie robić min. Nie przegładać się w lustrze./der Spiegel/. Nie rwać się do lotu. Do latania są ptaki, a człowiek ma znać swoje miejsce i stać na ziemi. To są wartości. To są ideały. Ruch zakłóca porządek. Indywidualność

zakłóca typowość. Docentowi psuje się harmonijny, spokojny obraz lasu. Zakończenie wiersza stanowi atak na Dedala, który wzbudza w docencie odrazę wszystkimi swoimi cechami: przede wszystkim narusza ustalony porządek/ "ptakom niebieskim wyrwywają pióra"/, a do tego skutecznie - jest na tyle rozumny /docent pewnie uważa, że chytry/, iż potrafił skonstruować sprawne skrzydła i - o zgrozo! - użyć ich zgodnie z przeznaczeniem, do latania. Niezależność, intelekt, wola, rozważa zespolone w jedno - czy można pomyśleć zestawienie bardziej przerażające dla kogoś, kto za Ideał uważa drewniane stanie w miejscu? Dedalowej świadomości docent nie chce ani dla siebie, ani dla swojego syna, ani dla nikogo. Świadomość to grzech pierworodny. Jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego. Dobre jest drzewo, bo rośnie, żyje i wydaje owoce samo świadomością nie obciążone. Docent chce nam zapewnić raj. Więcej, my już jesteśmy w raju, a docent pilnuje, żeby nie dobierał się do jabłek. Docenta po to partia postawiła na stanowisku, żeby szatański TK"owski wąż nie kusił studenta jabłkiem świadomości. Lepiej trwać w roślinnej węgetacji drzewa.

Towarzyszu Kruszewski, czy wyście aby o czymś nie zapomnieli? Wy przedstawicie lepiej pisać te wiersze, ale przeczytajcie sobie spokojnie lepiej jakąś księżkę, może być nawet cienka - na przykład "18 Brumaire'a" albo jakiś tomik Mickiewicza. A już najlepiej coś z Szekspira. Bo jest tak, że i na tym swoim ukochanym lesie możecie się zawieść. Był już taki, co wiarę w swoją pozycję opierał na stabilności lasu. A las też może podejść pod komitet. Las Birnam.

Jan Waic

Oświata niezależna

Od początku roku akademickiego 1977/78 rozpoczęła się w Warszawie, w prywatnych mieszkaniach, niezależna działalność samokształceniowa. Grupy studentów i absolwentów wyższych uczelni słuchały wykładów z najnowszej historii Polski, z historii myśli społecznej, z problemów gospodarczych Polski współczesnej, Wykłady dotyczyły także powojennych polemik ideologicznych oraz przemian współczesnej literatury polskiej. Nie jest to akcja zupełnie nowa. Prywatne wykłady i seminaria prowadzono po roku 1968, prowadzono je także wcześniej. Nowością jest rozszerzający się stale zasięg tej akcji oświatowej i znaczna frekwencja na zajęciach. Wykłady i zajęcia seminaryjne odbywają się również poza Warszawą, często przy tym prowadzą je prelegenci dojeżdżający z innych ośrodków.

Na początku 1978 roku grono osób - uczonych i artystów - ogłosiło deklarację, stwierdzającą na wstępie:

"Niżej podpisani powołujemy do życia Towarzystwo Kursów Naukowych.

inicjatywą tą pragniemy wyjść na przeciw dążeniom do poszerzania, wzbogacania i uzupełniania wiedzy, które ożywiły się od pewnego czasu w kręgach młodzieży studenckiej i młodej Inteligencji w Polsce."

Założyciele Towarzystwa Kursów Naukowych wyjaśniają dalej:

"Niedostatki wykształcenia oficjalnego oraz polityczne i ideologiczne ograniczenia wolności nauki znane były i krytykowane od wieków. Chcąc im zaradzić społeczeństwa tworzyły i tworzą Instytucje oraz formy nauczania i samokształcenia poza systemami oświaty oficjalnej. Również dzieje nauki i oświaty polskiej mają w tym wzłędzie świątynie tradycje wlewu towarzystw naukowych, "uniwersytetu latającego", "poradnika dla samouków" czy Wojskiej Szkoły Technicznej Polskiej w okresie międzywojennym.

Świadomi tej tradycji oraz współczesnych potrzeb, występujemy z naszą inicjatywą mającą na celu pomoc wszystkim, którzy poprzez samokształcenie pragną wzbogacić swą wiedzę. W miarę swych możliwości, chcemy służyć radą, informacją oraz pomocą dydaktyczną i naukową każdemu, kto zechce się do nas o to zwrócić. Komisja Programowa, która wybrała nas, weźmie na siebie merytoryczną odpowiedzialność za poziom i programy tej działalności, jej metody i kierunki, swobodę dyskusji i dociekań.

Zaczątkiem tej działalności jest praca grup samokształceniowych, które w bieżącym roku akademickim studiują i studiuwać będą wybrane zagadnienia historii, socjologii, ekonomii, literaturoznawstwa, filozofii i pedagogiki. Zajęcia te są powszechnie dostępne i bezpłatne. Uczestniczą w nich studenci i absolwenci wszystkich niemal kierunków studiów oraz pracujący bezinteresownie wykładowcy. Mimo, że udział w samokształceniu nie daje żadnych praw i nie zapewnia dyplomów, zainteresowanie młodzieży jest znaczne, co potwierdza społeczna potrzeba takiej działalności."

W następnych tygodniach deklarację założycielską TKN zaakceptowały dalsze osoby. Do aktualny skład Towarzystwa Kursów Naukowych: Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Władysław Bieńkowski, Jacek Bocheński, Marjan Brandys, Ailina Brodzka, Hanna Buczyńska-Garewicz, Tomasz Burek, Andrzej Celiński, Mirosława Chmurnowa, Bohdan Cywiński, Izydora Dąbaska, Roman Duda, Maria Dzwlewicka, Kornej Filipowicz, Wacław Gajewski, Polestaw Gielgewicht, Michał Głowiński, Antoni Gońbiew, Konrad Górski, Joanna Guze, Stanisław Hartman, Aleksander Hauke-Ligowski - O.P. Aleksander Jałtonski, Maria Janion, Aldona Jawłowska, Jerzy Jedlicki, Jakub Karpiński, Adam Kersten, Jan Kleianowski, Andrzej Kljowski, Tadeusz Konwilk, Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński, Władysław Kunicki-Goldfinger, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Edward Łukawer, Hanna Malewska, Marian Małowski, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Zygmunt Mycieliński, Irena Nowakowa, Seweryn Połlak, Stanisław Rodziński, Janina Rutkowska, Barbara Skarga, Irena Stawińska, Adam Stanowski, Krystyna Starczewska, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Zdzisław Szpakowski, Wiśława Szymborska, Marek Tabin, Karol Tarnowski, Andrzej Tyszka, Henryk Wereszycki, Andrzej



Werner, Krzysztof Wołlicki, ks. Stanisław Wołoszyn, Wiktor Woroszyński, Maria Wosiek, Jacek Woźniakowski, Adam Zagajewski, Czesław Zgorzelski, Tadeusz Ziśser.

W drugim semestrze roku akademickiego 1977/78 w Warszawie odbywały się następujące wykłady:  
 Stefan Amsterdamski - Społeczne problemy nauki współczesnej; Władysław Bartoszewski - Historia polityczna Polski/lata 1918-1945/; Tomasz Burek - Literatura jako wyraz świadomości społecznej; Bohdan Cywiński - Sprawa polska w myśli politycznej i w mentalności społecznej epoki zaborów; Jerzy Jedlicki - Ideologie społeczne i polityczne od Rewolucji Francuskiej do II wojny światowej; Tadeusz Kowalik - Historia gospodarcza i historia myśli ekonomicznej Polski współczesnej; Jacek Kuroń - społeczeństwo a wychowanie; Adam Stanisowski - Społeczne problemy wychowania; Jan Strzelecki - Przegląd wielkich dyskusji pierwszego XV-lecia powojennego; Andrzej Werner - Ideowe oblicze polskiego kina; Wiktor Woroszyński - Wybrane zjawiska i problemy nowszej literatury rosyjskiej.

Wykłady w Warszawie odbywały się na ogół bez przeszkód. Inaczej wyglądała sytuacja w Krakowie, Poznaniu i innych miastach, gdzie siły MO i Służby Bezpieczeństwa kilkakrotnie utrudniały lub uniemożliwiały odbycie się wykładów. Komisja Programowa TKN wydała w tej sprawie oświadczenie z dnia 4 marca 1978. Powołując się na ratyfikowany przez Radę Państwa PRL Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, w którym mowa m.in. o "prawie każdego człowieka do swobodnego wyrażania opinii, oraz do poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów", a także o "prawie do spokojnego zgromadzenia się", Rada Programowa stwierdza, że "kursy TKN działają pod ochroną wymienionych artykułów Paktu, realizując promulgowane w nich prawa, uznając w pełni i respektując nałożone warunki". Tymczasem, jak czytamy dalej w oświadczeniu, "graca grup samokształceniowych - czy to objętych patronatem naszego Towarzystwa, czy to powstałych niezależnie od niego - spotyka się z różnymi formami przeciwdziałania i nękania ze strony władz administracyjnych i porządkowych. Osoby uczęszczające na wykłady i seminaria spotykają się ze strony urzędników Wydziału Spraw Wewnętrznych m.st. Warszawy z groźbą wniesienia spraw do kolegium orzekającego oraz pozbawienia ich praw do zajmowanego mieszkania. Jest to groźba bezprzekładna, a jej realizacja byłaby pozbawiona wszelkiej podstawy prawnej. Sam fakt postępowania się takimi groźbami obraża państwową i stwarza zagrożenie elementarnych praw ludzkich. Jeden z wykładowców TKN w ciągu dwóch tygodni był pięciokrotnie zatrzymywany na ulicy przez MO i przetrzymywany w areszcie bez uzasadnienia; dwukrotnie funkcjonariusze pobili go dotkliwie, nie szczedząc też zniewagi i gróźb. Słuchacze udający się na zajęcia lub opuszczający je bywali legitymowani na ulicy, a ich nazwiska były spisywane, pomimo iż swoim zachowaniem nie dawali do tego najmniejszego powodu. W Krakowie milicja przerwała wykład, a w Sopocie zajęcia grupy seminaryjnej; w obu wypadkach użyto gazu łzawiącego."

Końcowy fragment oświadczenia brzmi: "Nie wiemy, do czego zmierza i co chce wywołać ta akcja organów mających za zadanie strzec porządku publicznego i bezpieczeństwa państwa. Ani wykładowcy, ani uczestnicząca w pracy samokształceniowej młodzież porządku i bezpieczeństwa nie naruszają. Wszelkie kursy objęte patronatem Towarzystwa pracują w spokoju i powadze. Towarzystwo czuwa nad tym i troszczyć się o to nie przestanie. Wszelkie opisane działania represyjne powodują stan napięcia dając tym podstawy do obaw o możliwe niebezpieczne następstwa. Kursy objęte patronatem TKN będą kontynuowane zgodnie z ustalonymi programami. Wszystkich uczestników wzywamy do zachowania w każdej sytuacji całkowitego opanowania, zaś do kompetentnych władz apelujemy o powstrzymanie nieopatrnych działań oraz o poszanowanie spokoju i powagi, w jakiej praca samokształceniowa się odbywa."

### Episkopat Polski o krepowaniu kultury

W ogłoszonym 10 marca b.r. komunikacie o 162 Konferencji Episkopatu Polski/która obradowała 8 i 9 marca w Warszawie/ czytamy m.in. "Rozpatrząc szereg ostatnich deklaracji czynników politycznych na tle niektórych

faktów, Biskupi wyrazili przekonanie, że w obecnej sytuacji kraju władze państwowe i państwowe podejmą takie kroki, które szanując prawa obywatelskie zagwarantowane w Konstytucji i potwierdzone w dokumentach międzynarodowych - mogłyby doprowadzić do przezwyciężenia trudności, jakie nawarstwiły się w ostatnim czasie. Biskupi są przekonani, że obywatele pragną kierować się dobrem kraju i Ojczyzny, chcą skupić swoje siły dla służby Narodowi; wymaga to jednak odpowiednich warunków społecznych i politycznych umożliwiających wywołanie tychże energii obywatelskich. Należy większym zaufaniem darzyć obywateli, aby pozyskać ich zaufanie i poświęcenie dla kraju. W Narodzie jest dość siły, aby pokonać trudności, które pojawiają się w jego życiu, zwłaszcza na odcinku życia gospodarczego i zawodowego."

W jednym zaś z dalszych fragmentów: "Konferencja wyraża dezaprobatę dla wszelkich poczynań, które krepują ducha ludzkiego tworzącego swobodnie wartości kultury. Stąd też godnym ubolewania jest fakt ograniczania twórczości naukowej, badawczej, artystycznej, religijnej przez cenzurę państwa. Istnienie tej cenzury o tak szerokim zakresie interwencji jest szkodliwym nieporozumieniem. Kościół będzie popierał takie inicjatywy, które dążą do ukazania kultury, wytworów ducha ludzkiego, historii Narodu w formie autentycznej, bo Naród ma prawo do obiektywnej prawdy o sobie."

### Solidarność

Francuski Komitet Intelektualistów na rzecz Europy Wolności CIEL wyraził solidarność z działalnością Uniwersytetu Łatającego. Komitet zaprotestował przeciw represjonowaniu akcji samokształceniowej, zadeklarował chęć pomocy i współpracy z TKN. Członkami Komitetu są m.in.: Raymond Aron, Arrabal, Alexandre Astruc, Jean-Marie Benoist, Jean-Louis Barrault, Michel Crozier, Jean-Marie Domenach, Francois Fejtő, Jean Fourastie, Paul Goma, Pierre Hassner, Eugène Ionesco, Julia Kristeva, Claude Mauriac, Jean d'Ormesson, André Pieyre de Mandiargues, Krzysztof Pomian, Jean François Revel, Emmanuelle Riva, Jules Roy, Artur Rubinstein, Piotr Słonimski, Aleksander Smolar, Paweł Tigrid.

Profesor Janusz Groszkowski, były przewodniczący Frontu Jedności Narodu, wystosował na ręce profesora Jana Kleianowskiego list, w którym popiera TKN witaając z uznaniem tę inicjatywę.

### Wieczór "Zapisu" u Walendowskich

W mieszkaniu państwa Anny Frdman i Tadeusza Walendowskiego odbyły się kolejne wieczory literackie, w których wystąpili m.in. Jan Kelus, ponownie Jacek Kleyff, Stefan Kisielewski, Tadeusz Korzeniewski, Kazimierz Orłowski, Seweryn Pollak i Leszek Szaruga. Wieczór 8 lutego 1978 poświęcony był spotkaniu z autorami i redaktorami "Zapisu". Na wstępie Stanisław Barańczak mówił o problemach, kłopotach i zamierzeniach zespołu przygotowującego kolejne numery. Z głosów w dyskusji na odnotowanie zasługują zwłaszcza dwa - Lesław Maleszki, studenta polonistyki z Krakowa, oraz Bohdana Chwedeńczuka, filozofa z Warszawy. Maleszka uznał "Zapis" za "istotną szansę" dla literatury krajowej jako jej "optymalny układ odniesienia". Próbując scharakteryzować numery pisma, jakie ukazały się do tego czasu, stwierdził, że np. w pierwszym "nie przypadkowo tak różne utwory zosną motyw gwałtu... gwałt bowiem stanowił metaforę świata, w którym "ZAPIS" jawił się jako krzyk protestu." Dla drugiego z kolei numeru Maleszka przyjął metaforę listu: "List jest próbą samookreślenia się, aktem wwodrebnienia w słowie, odpowiedzią rzuconą zawłaszczającemu wszystko językowi, jest alternatywą prawdy jednostki, prawdy twórcy, przeciwstawioną gwałtowi i jego apologetom... Oczywiście nie chodzi tu tylko o listy w znaczeniu dostępnym. Pamiętniki, biografie, wspomnienia, wyznania... listy poetyckie, listy w przeszłość czy do anonimowych oponentów..." W numerze czwartym dyskutant dostrzegł kontynuację obu wątków: wieloobrotowego gwałtu i motywu konfesyjnego. "Jest też taki temat - mówić dalej - dla mnie szczególnie interesujący, który przewija się w kolejnych numerach ZAPISU: myślę o problemie narodu, dziedzictwa kulturowego, potrzeby jego przeceny i jego niezafałszowanego obrazu... Temat ten powraca też w frapujących dygresjach i wyznaniach ostatniej powieści T.Konwickiego..."

"ZAPIS to włącęj niż pismo - zakończył Maleszka swoją wypowiedź. - To równieź ci, którzy nocą stukają na maszynach, którzy kręcą korbą powielacza/daj Boże lepszą technikę i bardziej czytelne egzemplarze/, rozwoją pismo do wielu miast, sprzedają je i pożyczają, szukają schowków na wypadek rewizji. Każdy egzemplarz z biegiem czasu obrasta we własną fabułę, kryjącą w sobie epizody godne opowiadania przygodowego... Dla mojego pokolenia ZAPIS jest nie tylko przygodą stricte literacką. Jest też pewna forma uczestniczenia w wolności, jest dowodem i wezwaniem zarazem do niezgody na codzienny fałsz i drętwotę języka. Entuzjazm towarzyszący temu pismu jest czymś zdumiewającym przez swój kontrast z sytuacją wcześniejszą, w której literatura - jak się zdawało - skazana jest na powolne konanie."

Uwagi Bohdana Chwedeńczuka nosiły charakter bardzo krytyczny zarówno w stosunku do "Zapisu", jak do całej "kultury niezależnej". Oto fragmenty jego autoryzowanej wypowiedzi:

"... w dotychczasowym "Zapisie" /1-5/ nie znalazłem tekstu literackiego, który by mnie porwał, który dałby wielkie przeżycie, który byłby poznawczo ważny, prawdziwie odkrywczy /wyjątek stanowi, moim zdaniem, interesujący, choć nie pozabawiony mielizn, debiut z numeru 5, opowieść Tadeusza Korzeniewskiego "W Polsce"/. Nie znalazłem też tekstu publicystycznego, który wykraczałby zdecydowanie poza obiegowe i banalne prawdy, który oodejmowałby analizę, dawał wgląd w rzeczywistość Polski czy choćby w jakiś jej fragment, który starałby się w badawczej, a nie tylko napedzanej przez emocje refleksji uchwycić osobliwość ustroju tego typu, jaki tu mamy /za wyjątki w tym gatunku gotów bym uznać odpowiedź, jaka Jacek Pocheński udzielił w drugim numerze "Zapisu" prof. Janowi Szczepańskiemu oraz tekst Anny Chmielewskiej, "Kampania", z numeru czwartego/. I zarzut ogólniejszy: "Zapis" jest dotąd pismem bez wyraźnej, jednorodnej osobowości, choć ostatnie numery rodzą nadzieję, że powoli ukształtuje własną twarz.

Andrzej Kijowski pisze gdzieś w zbiorze "Niedrukowane", że po jednej i drugiej stronie /po stronie władzy i po stronie, umownie mówiąc, opozycji/ nie ma wielkich wzlotów i myśli. Jak widać, przedstawiona tu ocena kultury niezależnej stanowi w istocie konkretyzację tego spostrzeżenia.... Otóż chcę powiedzieć, że dopóki kulturę niezależną będzie wyznaczać prawie bez reszty/jak to, moim zdaniem, dzieje się dotychczas/ obraz świata zordynizowany wokół przeciwstawienia władza-antywładza, dopóki będzie ją wleźć ten doraźny i ciasny horyzont, dopóty będzie ona na miarę owego przeciwstawienia i owego horyzontu, dopóty będzie wleć ciasna, powierzchowna i jałowa. Autentycznie niezależna kultura sama wytycza sobie swoje obszary zainteresowań, horyzonty, cele, sama obrała sobie swoich partnerów i przeciwników, nie pozwala natomiast, by o jej obsesjach, aspiracjach i zadaniach decydował przeciwnik, który w ostatniej instancji ma do zaproponowania tylko antykulturę. Sytuację, którą mam tu na uwadze, można też opisać, odwołując się do znanego rozróżnienia wolności negatywnej/wolności od czegoś/ i pozytywnej /wolności do czegoś/. Kultura niezależna zdobywa na razie wolność negatywną, ale owo coś, od czego jest to wolność, ciągle jeszcze rzuca na nią swój paraliżujący cień".

### Protesty Instytucji społecznych przeciw cenzurze

Jak już podawaliśmy, liczne instytucje, zrzeszenia i poszczególne osoby w kraju otrzymały egzemplarze wydanej przez Niezależną Oficynę Wydawniczą publikacji "Z księgi zapisów GUKPPIW" /obecnie wydanej również, w obszerniejszej postaci, pt. "Czarna księga cenzury PRL", przez kwartałnik emigracyjny "Aneks"/. Niektórzy adresaci, po przestudiowaniu tych niecodziennych materiałów, odczuli potrzebę dania wyrazu swoim niepokojom o sytuację w kulturze polskiej. Władono nam przynajmniej o trzech takich inicjatywach /co nie znaczy, że nie było innych/. Tak więc Polski Penclub wysłał list do premiera Jaroszewicza, pod którym podpisali się wszyscy obecni w Warszawie członkowie zarządu, z prezesem Janem Parandowskim na czele. Odpowiedzi listemnej i ustnej udzielił Penclubowi kierownik Ministerstwa Kultury Janusz Wilhelm, m.in. zapowiadając powołanie nowego ciała, w którym obok urzędników zasiadali by również twórcy kultury i do któregoż można by się odwoływać od decyzji GUKPPIW. Nie wyjaśnił jednak, czyj głos byłby w spra-



wach konfliktowych decydujący.

Drugie pismo do prezesa Rady Ministrów wystąpił Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Socjologowie od dawna już występowali do władz Polskiej Akademii Nauk i Innych Instytucji, zwracając uwagę na utrudnienia, jakich przysparza im w pracy działalność cenzury, uniemożliwiająca publikację rzetelnych sprawozdań z wyników badań społecznych i utrudniająca obieg informacji o współczesnej rzeczywistości społecznej. W ostatnim piśmie ZG PTS, ponawiając swoje protesty, zapytywał o autentyczność księgi zapisków, która została jednocześnie przestana premierowi jako załącznik. Formą odpowiedzi premiera było upoważnienie sekretarza naukowego PAN do przeprowadzenia rozmowy z Zarządem Głównym PTS. Rozmowa ta nie dostarczyła jednak zadowalających wyjaśnień na tematy, o których traktował list.

Trzecie wreszcie pismo w tej sprawie zostało wysłane przez prezesa Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Nie wiemy, czy doczekało się ono choćby pośredniej odpowiedzi.

### Prymas Polski o cenzurze

"Tygodnik Powszechny" nr 7 /datowany 12 lutego 1978/ zamieścił autoryzowany tekst homilii, wygłoszonej 6 stycznia w bazylice archikatedralnej przez Stefana kardynała Wyszyńskiego. Podajemy fragment dotyczący cenzury:

"Tego, co jest tu niezbędne, co wynika z postępowania Kościoła: "Idźcie i nauczajcie wszystkie narody" - "Coście usłyszeli w Izbie, mówcie i przekazyjcie na dachach" /Mt. 10, 27/ - tego wymaga także całe życie społeczne. Wymaga ono jawności i wolności opinii społecznej. Dlatego trzeba uniknąć wszelkiej alienacji w zakresie tworzenia opinii publicznej, zwłaszcza przez nadmierne rozbudowaną cenzurę, pod pozorem ochrony tajemnic państwowych. W rzeczywistości, nakłada ona okulary na oczy ludzi, dezinformuje ich, a co gorsza, zwalnia od odpowiedzialności za Naród. Bardzo często ludzie nie znają prawdy, nie wiedzą jak sprawy stoją i wskutek tego nie poczuwają się do odpowiedzialności w dziedzinie życia społecznego, gospodarczego czy moralnego. Gdybyśmy np. milczeli o istotnym stanie życia rodzinnego, oddawilibyśmy złą przysługę Narodowi. Podobnie i w wielu innych dziedzinach. Stąd tak ważną jest rzeczą, aby człowiek mógł widzieć rzeczywistość, dokładnie ją rozpoznać i wziąć za nią, w wymiarze swoich zadań, odpowiedzialność."

### A cenzura swoje

W grudniowych numerach "Tygodnika Powszechnego" z ub.r. cenzura zdjęła: 3 felietony Kłoseia/"Podrecznik stania na głowie", "Mowa służby", "Po tegorocznej kampanii" oraz fragmenty felietonu "Terejowe święto"/, 2 felietony Piotra Wierzbickiego /"Publicystyka śliniaczkowa" i "Felieton wzorowy"/, felieton Andrzeja Kijowskiego "Cicho zwierzęta" oraz fragmenty wywiadu Jerzego Turowicza z kardynałem Królem, fragmenty eseju Wojciecha Karpińskiego pt. "Jeździec miedziany", fragmenty Brandaettera, fragmenty eseju Tadeusza Chranzowskiego "Kultura polska, jej wloty i upadki" oraz nekrolog zawiadający o mszy św. za żołnierzy AK obwodu "Rozbrateli", "Rzemiosło", "Woda".

W styczniu zdjęto w tym samym piśmie m.in. komunikat Konferencji Plenarnej Episkopatu, fragmenty Oredzia Ojca Sw. Pawła VI na XI Światowy Dzień Pokoju oraz sprawozdanie Pawła Spiewka z sesji warszawskiego KIK-u poświęconej prawom człowieka; skonfiskowano także felieton Kisiała "Jedność czy polityczność".

W "Kulturze" zdjęto: część listów Marii Dąbrowskiej do Kazimierza Wierzyńskiego; reportaży Barbary Topieńskiej o Żąbkach.

W "Literaturze" zdjęto dwa reportaże Małgorzaty Szejnert: "Wybór robotnika roku" oraz reportaży o komentarzach w Zadzuski.

W trzecim numerze "Życia Literackiego" z 15 stycznia został w całości skonfiskowany felieton Olgierda Terleckiego "Przedwczesne wykreowanie" zawierający krytyczne uwagi o serialu "Polskie drogi". Autor zauważył m.in. że tylko raz, w jednym z ostatnich odcinków, użyto nazwy Armia Krajowa w związku ze sceną przedstawiającą aresztowanie Komendanta Głównego AK gen. Grota-Roweckiego. Sławne bitwy Batalionów Chłopskich pod Wojdą i Zaborecznem przypisane zostały partyzantom komunistycznej.



W "Więzi" zdjęto w roku bieżącym: wiersz Krystyny Kwiatkowskiej "Nie jestem żadną rewolucjonistką", Jerzego Krzysztońską głoszę o Pallotynach "dział" "Konfrontacji", szkic Jacka Wejrocha o "Polskich drogach", poemikę Tadeusza Mazowieckiego z Mieczysławem F. Rakowskim. Z numeru drugiego "Więzi" w którym zamieszczono referaty z sesji o prawach człowieka, przeprowadzonej w KIK-u w listopadzie ubiegłego roku, usunieto obszerny fragment z tekstu Jerzego Jedlińskiego "Antynomie liberalnej koncepcji wolności", pozbawiając go sensu/ w rezultacie musiał zostać wycofany/, zaś w tekście Jakuba Karpińskiego skonfliktowano cały fragment mówiący o postanowieniach zawartych w Akcie Końcowym konferencji w Helsinkach, jak również informacje o charakterze paktów praw obywatelskich /tzn. że pakty te mają być przestrzegane począwszy od momentu w którym stają się obowiązujące w danym państwie/. Skreślono również informację, że pakty praw gospodarczych mają na celu dążenie do realizacji tych paktów i że nakładają powinność podejmowania kroków w tym kierunku.

W "Twórczości" nr 3 zdjęto recenzję Sergiusza Sterny-Wachowiaka z tomu poezji Wiktora Woroszyńskiego wydanego przez klub studencki "Od nowa" w Poznaniu.

"Teksty" Numer 5/6 z 1977 opóźniony już o 5-miesiące z powodu poprzednich pociągnięć cenzury/ został w całości rozsypany/ Zdjęto między innymi artykuły: Stefana Amsterdamskiego o wartościowaniu w nauce; W. Boleckiego o związku nowatorstwa formalnego i etyki; Krzysztofa Dybciaka "Od programoburstwa do programotwórstwa"; J. Stepnia o recepcji "Świata nieprzedstawionego"; E. Balcerzana "Strategia agitatora"; A. K. Waśkiewicz o konkursach literackich.

### Wybory delegatów na zjazd ZLP

We wszystkich oddziałach Związku Literatów Polskich odbyły się wybory na XX zjazd tej organizacji, który ma się odbyć 7-8 kwietnia b.r. w Katowicach. Najwięcej delegatów - bo aż siedemdziesięciu pięciu - wybrała Warszawa, czterestu - Kraków, pozostałe zaś oddziały - mniej, proporcjonalnie do ilości członków. Zgodnie z ustaloną od lat procedura, zarząd oddziału rozsyła na jakiś czas przed walnym zebraniem proponowaną przez siebie listę kandydatów na delegatów, następnie zaś członkowie ZLP mają określony termin na zgłoszenie dodatkowych kandydatów, przy czym do wpisania kandydata na listę potrzeba dziesięciu popierających go podpisów, które nie mogą się powtarzać/tzn. każdy członek ZLP może poprze tylko jednego nowego kandydata, a do wystawienia dajmy na to, dziesięciu kandydatów potrzeba aż stu podpisów/. Procedura ta funkcjonowała i tym razem, jednakże - w Warszawie - w nieco dziwny sposób, o czym następnie mówiło się na walnym zebraniu. Otóż, jak się okazało, lista zarządu wcześniej została podana do wiadomości członkom podstawowej organizacji partyjnej, bezpartyjnym literatom odmańwano w sekretariacie Związku jej udostępnienia, chociaż znajdowała się już tam w zaadresowanych do nich kopertach. Jednocześnie organizacja partyjna sama przystąpiła do zbierania podpisów pod licznymi dodatkowymi kandydaturami, obligując swoich członków do popierania wskazanych osób oraz "drenując" podpisy części zdezorientowanych bezpartyjnych. W ten sposób, kiedy po kilku dniach do wszystkich dotarła lista oficjalna i stało się jawne, jak wielu godnych wyboru kolegów na niej zabrakło, dodatkowe wysunięcie pożądaných przez społeczność literacką kandydatów stało się wielce utrudnione.

Mimo wszystko, wkładając w to wiele wysiłku, zebrano podpisy pod kilkunastu jeszcze nazwiskami, które w oznaczonym terminie wpisano na ogólną listę. W tajnych wyborach dn. 7 marca b.r. wszystkie te osoby zostały wybrane delegatami/m.in. Jerzy Krzysztoń, Marek Nowakowski, Władysław Bartoszewski, Artur Miedzyrzecki, Julia Hartwig, Seweryn Pollak, Andrzej Szczypliński, Tomasz Burek, Janusz Maciejewski, Witold Dąbrowski, Joanna Guze, Wiktor Woroszyński, Jerzy Ficowski - obok znajdujących się już wcześniej na liście Mieczysława Jastruna, Pawła Hertza, Anny Kamieńskiej, Andrzeja Brauna, Jerzego S. Sity, Mariana Grześczaka, Camilla Mondral, Anny Trzeciakowskiej, Jerzego Zagórnego i Innych/. Jerzy Putrament znalazł się na ostatnim miejscu wśród wybranych, inni zaś oficjalnie lansowani kandydaci - jak Włodzimierz Sokorski, Aleksander Minkowski, Wojciech Żukrowski, Roman Bratny, Michał

Rusinek i Jan Maria Gisges - przepadli. Tak zostało jeszcze raz potwierdzone to, o czym w doskonałym przemówieniu na walnym zjeździe powiedział Andrzej Szczypiorski, że członkowie ZLP nie znoszą w życiu związkowym arbitralności, braku równoprawnienia dla różnych poglądów i postaw, dyktatu i kaprysu zorganizowanej siły. Również w Krakowie nie wybrano takich delegatów jak Władysław Machajek i Tadeusz Hołuj, wybrano natomiast m.in. Kornela Filipowicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Leszka Elektorowicza, Wiesławę Szymborską i Jacka Woźniakowskiego. W Poznaniu kandydaci wysunęci z sali - Egon Naganowski i Przemysław Bystrzycki - wyparli dwóch z pośród pięciu konkurentów z oficjalnej listy. Podobnie było w Gdańsku. Inaczej - w Łodzi, Katowicach i kilku mniejszych ośrodkach, gdzie związki twórcze ulegają przemożnemu wpływowi miejscowej administracji. W sumie nie wydaje się miło wszystko, żeby na zjeździe można było liczyć na przewagę delegatów niezależnych nad uzależnionymi od partii i jej przybudówką; ale wyniki wyborów warszawskich, krakowskich i paru innych mówią o rzeczywistych nastrojach szerokiej rzeszy związkowych i mają określone znaczenie moralne.

Na warszawskim zebraniu przedstawiciele ZPR usłtowałi też narzucić uchwałę wzywającą do zakazu bomby neutronowej; zgromadzeni przeradagowali wniosek i uchwalili protest przeciwko wszelkiej broni masowej zagłady.

### Sprawy wewnętrzne Związku Literatów - pod ochroną cenzury

W jednym z ostatnich felietonów Wiktora Woroszyńskiego w "Wiezi" cenzura skonfiskowała przytoczone w tekście /nie da się ukryć, że ironicznie/ fragmenty "Informatora Związku Literatów Polskich" nr 38-39 za rok 1976/1977. Oto fragment enigmatycznego sprawozdania z posiedzenia plenarnego ZG ZLP 22.X.1976 /wszystkie podkreślenia-felietonisty!/: "Na początku zebrania prezes Jarosław Iwaszkiewicz poinformował o WIELU SPRAWACH NURTUJĄCYCH ostatnio środowisko literackie oraz o rozmowach i stałych kontaktach Zarządu Głównego ZLP z władzami politycznymi i państwowymi w celu załatwienia i wyjaśnienia RÓŻNYCH PROBLEMÓW". I z posiedzenia plenarnego 28.I.1977: "Centralnym punktem zebrania była szeroka informacja złożona przez prezesa Jarosława Iwaszkiewicza, dotycząca prac prezydium ZG ZLP, a następnie TYCH SPRAW, KTÓRE W OSTATNIM CZASIE NURTUJĄ pisarzy oraz instancje naszego Związku. Prezes J. Iwaszkiewicz m.in. stwierdził, że Zarządowi Głównemu znane są WSZYSTKIE SPRAWY, KTÓRYMI ŻYJE środowisko literackie, czasem nawet więcej, niż należałoby się spodziewać. Stąd też podejmuje on WIELE DZIAŁAŃ zmierzających do załatwienia lub złagodzenia RÓŻNYCH PROBLEMÓW, a efekty te są wymierne i łatwe do sprawdzenia. Zarząd też napotyka w swoim działaniu na OKREŚLONE TRUDNOŚCI, wynikające m.in. z faktu, że nie zawsze towarzyszy tym przedsięwzięciom zrozumienie niektórych CZŁONKÓW ZLP."

W tym samym czasie w felietonie Jerzego Andrzejewskiego na łamach "Literatury" cenzura przepuściła wprowadzić wyrazy ubolewania, że Komisja Kwalifikacyjna ZG ZLP nie przyjęła do Związku pewnego ewidentnie utalentowanego młodego pisarza, ale konfiskacie uległo już zdanie następne: że sprawą tą powinien się zająć XX Zjazd w Katowicach....

### Z policyjnego punktu widzenia

W miesięczniku "Znak" /nr 11-12, 1977/ ukazał się przekład Ewangelii św. Marka piora Czesława Miłosza. Jest to wydarzenie wielkiej miary. Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich "Teksty" od kilku lat publikuje kompetentne studia o Gombrowiczu. Prace obydwu autorów cytuje się coraz częściej. Pisze się wtedy: Gombrowicz, Dziennik, t. I, Paryż, 1957 /nie podając wydawcy/. Zaszyfrowany autor "Traktatu moralnego" zmienia się powoli po prostu w Czesława Miłosza. Jakiś amerykański socjolog mógłby dopatrzeć się w tym znamion liberalizacji, oznak nieco rozumniejszej polityki wobec kultury polskiej, a szczególnie wobec autorów polskich publikujących za granicą. Ale socjolog amerykański wnioskowałby pochopnie. 31 marca 1978 do mieszkania Jakuba Karpińskiego wkroczyli funkcjonariusze MO i SB, którzy

przeprowadzili rewizję/zwaną obecnie przeszukanie/. Protokół rewizji stwierdza, że zabrano następujące książki Czesława Miłosza: „Traktat poetycki”, „Rodzinna Europa”, „Człowiek wśród skorpionów”, „Włdzenia nad zatoką San Francisko”, „Miasto bez imienia”, trzy tomy „Dzienników Gombrowicza”, „Pozmowy z Gombrowiczem” Dominika de Roux, oraz dwa wydania „Kosmosu” po polsku i po francusku /sprzedawane w warszawskiej księgarni obcojęzycznej/. Poza tym rewidenci z Komendy Stożecznej MO wynieśli z mieszkania Jakuba Karnińskiego kilkanaście tomów prac naukowych z dziedziny historii najnowszej i nauk politycznych w językach angielskim, francuskim i polskim, takich jak „Piłsudski's Coup d'Etat” Rotschilda, zbiór prac „The Russian Revolution and Polish Victory”, praca Tuckera „The Soviet Political Mind”, „Le marxisme soviétique” itp. Niektóre z tych prac były omawiane w polskich czasopiśmiech socjologicznych i historycznych. I znów ktoś mógłby pochopnie pomyśleć, że recenzowanie prac zagranicznych w polskiej literaturze naukowej jest znamieniem liberalizacji. Tak może byłoby, gdyby przebieg rewizji można było przypisać wyłącznie głupocie zwykłych milicyjnych funkcjonariuszy, którzy przecież nie są zobowiązani do rozszyfrowywania subtelności „liberalizacyjnej” polityki władz. Czy jednak polityka ta nie jest raczej po prostu dwutorowa, lub wielotorowa? Tu i ówdzie wolno dla przyzwolności coś zacytować, tu i ówdzie coś się opublikuje. Ale point de reverses! Panowie literaci i naukowcy żadnych marzeń.

### Historia cichociemnych - zakazana

Zamieszkały w Poznaniu pisarz Przemysław Ryszczycki - w czasie minionej wojny spadochroniarz Armii Krajowej, „cichociemny” - od dwudziestu lat zabiega o wydanie książki pt. „Znak cichociemnych”, poświęconej wojakom, w których uczestniczył był wraz z całą swą bohaterską formacją. Poprowadzenie do tej publikacji uważa za spoczywający na nim „hezwarunkowy nakaz moralny”, dług wobec poległych, obowiązek wobec żyjących”. Żadne starania jednak nie odnoszą skutku; nawet listy do Edwarda Gierka, na które Ryszczycki w ogóle nie otrzymuje odpowiedzi. Ostatni taki list wysłał w grudniu ub.r., wraz z popierającym go apelem dwudziestu pięciu zamieszkałych w kraju byłych cichociemnych, co do jednego kawalerów Wirtuli Militari/jak i sam Ryszczycki/. Odpis przesłał wraz z osobnym listem prezesowi Związku Literatów Polskich, Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Na to również nie otrzymał odpowiedzi. Odpowiedzi o ogłoszenia książki o cichociemnych nigdy nie próbowano uzasadnić, ale zakaz, jakim została dotknięta, ciągle jest ważny...

### Represyjne zwolnienie z pracy

Z dniem 1 lutego zwolniono z pracy Lecha Dymarskiego. Umowa zawarta uprzednio między nim a Telewizyjną Wytwórnią Filmową „Półtel” przewidywała zatrudnienie do 31 sierpnia b.r. Dymarski jest absolwentem polonistyki Uniwersytetu Poznańskiego, debiutował jako poeta w „Zapisie” nr 2, w numerze czwartym zamieścił recenzję z „Kompleksu polskiego” Tadeusza Konwickiego, a w piątym - omówienie czasopisma „Spotkania”.

### Wymuszone zakończenie cennej działalności

Donosiliśmy w poprzedniej kronice o różnorodnych imprezach kulturalnych, odbywających się w Krakowie, w duszpasterstwie akademickim przy parafii Najświętszego Salwatora/klasztor s.s. Norbertanek/, 8 marca b.r. zamknięty został cykl wykładów o filozofii Martina Heideggera /prowadził je ks. prof. Józef Tischer i dr. Karol Tarnowski/. Inne imprezy ostatniego okresu /styczeń-luty/ - to dyskusja o filmie „Śmierć prezydenta”, wieczory autorskie Stanisława Lema, Stanisława Barańczaka i Wiktora Woroszyńskiego, spotkanie z redakcją „Więzi”, pierwszy wykład /Andrzeja Wielowieyskiego/ z projektowanego cyklu socjologicznego i pierwsze dwa wykłady /Zdzisława Szpakowskiego i Jerzego Turowicza/ z projektowanego cyklu historycznego. Na tym, niestety zakończyła się działalność tego typu w duszpasterstwie akademickim u s.s. Norbertanek. Ostatni wykład Heideggerowski był w ogóle ostatnią imprezą na

Salwatorze. Stało się tak w wyniku wzmożonego nacisku władz administracyjnych i innych, którym gospodarze parafii nie mogli się oprzeć. Organizatorzy krakowskich imprez kulturalnych wyrażają jednak nadzieję, że działalność ta będzie kontynuowana w przyszłości.

### Spotkania z poezją w Klubie Inteligencji Katolickiej

W warszawskim KIK-u, w ramach sekcji kultury, odbyły się w styczniu-marcu 1978 wieczory poezji: Osipa Mandelsztama, Zbigniewa Herberta, Jana Twardowskiego i poezji żydowskiej /w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego, Anny Kamieńskiej, Czesława Miłosza i Antoniego Słonimskiego/.

### Wieczory literackie w całej Polsce

Maciej Rayzacher wystąpił z wieczorami Osipa Mandelsztama w Krakowie /w mieszkaniu prywatnym - staraniem Studenckiego Komitetu Solidarności, oraz w Piwnicy pod Baranami/, a także w Poznaniu, gdzie słowo wstępne wygłosił Stanisław Barańczak. Ten sam aktor recytował wiersze Czesława Miłosza w to-dzi, w ramach spotkań Niezależnego Klubu Dyskusyjnego. Jednocześnie odbyła się premiera opracowanej przez Rayzachera taśmy magnetofonowej "Czesław Miłosz", zawierającej rozmowę o Miłoszu z Jerzym Andrzejewskim oraz wiersze Miłosza w wykonaniu samego poety, Haliny Mikołajskiej i Macieja Rayzachera. Kilka wierszy śpiewa, akompaniując sobie na gitarze, Stanisław Klawe/ muzyka własna/. W Krakowie, w mieszkaniu prywatnym i w Piwnicy pod Baranami, odbyły się także wieczory poezji śpiewanej Jana Kelusa.

### Drugim numerem "Pulsu"

"Puls" nosi podtytuł "nieregularny kwartalnik literacki", trudno więc wnosić pretensje, że pomiędzy pierwszym a drugim numerem upłynęło prawie pół roku; zwłaszcza, że ten drugi numer jest od pierwszego obszerniejszy i naprawdę interesujący. Otwierają go wiersze /właściwie piosenki/ niedawno zmarłego Aleksandra Galicza w przekładach Stanisława Barańczaka, Jacka Bierzina i Viktora Woroszyńskiego. Pozostałe wiersze w numerze są pióra Jacka Bierzina, Łacha Dymarskiego i Zdzisława Jaskuły, proza - Jacka Bocheńskiego/rozdziat powieści o Tyberluszu, której inny rozdział drukowaliśmy w Zapisie nr1/, Tadeusza Korzeniowskiego i Leszka Szaruga. Szczególnie doniosły tekst - to "Prawa człowieka a kultura", referat wygłoszony przez Jacka Woźniakowskiego na sesji KIK-u "Chrześcijaństwo wobec praw człowieka"/fragmenty tego referatu przytoczyliśmy w poprzedniej kronice/. Adam Michnik udostępnił "Pulsowi" esej pt. "Poeta epoki paskiewiczowskiej", Stanisław Barańczak - wstęp do katalogu wystawy polskiej na weneckim Biennale 77 pt. "Fasada i tytuł", Kisiel - jeden ze swoich skonfiskowanych felietonów, Tadeusz Walendowski pisze o telewizji, anonimowy autor o wizycie prezydenta Cartera w Polsce, Szaruga recenzuje "Kompleks Polski" Konwickiego, Marian Klecha - książka "Kościół, łewka, dialog" Michnika. Jacek Bierzina ujawnił pazur felietonisty w tekście pt. "Głupstwo rządowe i głupstwo antyrządowe". W edycji bibliofilskiej umieszczono fotografie Bartosza Pietrzaka, przedstawiające Tadeusza Konwickiego, Zdzisława Jaskułę i Janusza Szpotańskiego.

### Bardzo dobre "spotkania"

W poprzednim "Zap. sie" omawialiśmy pierwszy numer "Spotkań"-niezależnego pisma młodych katolików, wydawanego w Lublinie poza zasięgiem cenzury. "Spotkania" redagują Zdzisław Bradel, Janusz Krupski i Stefan Ścieszowski. Drugi numer "Spotkań" ukazał się z opóźnieniem, ponieważ Służba Bezpieczeństwa w trakcie rewizji u jednego z redaktorów zabrała matryce z przygotowanymi do numeru materiałami. Pracę nad numerem trzeba było podjąć na nowo, orzy czym części materiałów nie dało się już zrekonstruować i zastąpiono je innymi - z "archiwum myśli ludzkiej", jak to określa nota redakcyjna. Te materiały zastępcze - fragmenty "Dziennika myśli" Lwa Szestowa i esej Henri Barsa "Polityka według Jacquesa Maritaina" - są zresztą też nader interesujące i dotyczą kręgu zagadnień chętnie penetrowanych przez młody zespół lubelski. W ogóle, mimo niefortunnej przygody z SB, drugi numer "Spotkań" jest bardzo dobry i świadczy, podobnie jak pierwszy, o powa-



dze, rzetelności i poczuciu odpowiedzialności animatorów tego przedsięwzięcia. Najbardziej reprezentatywne materiały w numerze to: "Rozważenia ewangeliczne" Witolda Zdziechowskiego / kontynuacja podobnych refleksji o praktycznej etyce chrześcijanina z numeru poprzedniego/, "Homilia na Nowy Rok" ks. Stanisława Małkowskiego oraz "Chrześcijaństwo wobec walki o sprawiedliwość" O. Ludwika M. Wiśniewskiego O.P. "Czy chrześcijaństwo, z racji swego chrześcijaństwa, mają obowiązek angażować się w doczesność?" - zapytuje autor. - Czy chrześcijaństwo jest odpowiedzialne za wykorzenienie niesprawiedliwości i zła? Czy mają oni obowiązek wkroczyć na arenę, gdzie toczy się walka o ludzkie wartości i ludzkie prawa? Po rozważeniu w sposób głęboki i wielostronny różnych punktów widzenia i argumentów za lub przeciw angażowaniu się chrześcijan w walkę o zlemą sprawiedliwość i tzw. "politykę"/te ostatnie zaś argumenty często też nie są błahe i łatwe do zbić/, Ojciec Ludwik odpowiada m.in.: "Nie można mieszać wyzwolenia doczesnego z wyzwoleniem eschatologicznym - Królestwem Bożym... Ale chociaż zbawienie niepomiernie przekracza wyzwolenie doczesne, to jednak nie ma tu i nie może być separacji. Gdybyśmy, oczekując na Absolut, zrezygnowali z uciążliwych wysiłków i zmagani aby realizować sprawiedliwość już tutaj, byłoby to zdrada naszego postąnnictwa... Chrześcijaństwo jest dla ludzkości znakiem nadziei na przyszłość przez to, że już tutaj na ziemi wykazuje swą wartość w tworzeniu królestwa miłości i sprawiedliwości. Jeżeli będziemy chronić tylko i wyłącznie ciasno pojęte życie wewnętrzne, niczego nie uchronimy. Takie życie wewnętrzne, które nie widzi błędów i ponizienia innych ludzi, wcześniej czy później stanie się karykaturą..."

Ponadto numer przynosi garść wierszy, fragment krótkiej prozy, felieton polityczny Piotra Krasnego, przedruk wywiadu Leszka Kotakowskiego udzielonego piśmie "Die Zeit", rozmaite dokumenty i wiadomości. Z dokumentów wymieńmy protest Rady Przewodniczącej Komisji Turystyki i Sportu ZG ZSP przeciwko bezzasadnej zmianie nazw miejscowości w południowo-wschodniej części Polski oraz Interpelację poselską w tej sprawie prof. Ryszarda Bendersa. Wiadomość o owej zmianie nazw około dwustu wsi w czterech województwach - nazw rdzennych, a często historycznych, na banalne i wymyślone - podawaliśmy w poprzedniej kronice "Zapisu". Niestety, nic nie wiadomo o jakichkolwiek reakcjach oficjalnych na głosy rozważli i sprzeciwu, w tej liczbie na interpelację posła Bendersa.

### Również Iwaszkiewicz przeciw przechrzceniu Młodowic na Walterowo.

W sprawie, o której wyżej, wypowiada się w "Twórczości" nr 1/styczeń 1978, protestując i bardzo ironizując, sam Jarosław Iwaszkiewicz. Przemilcza jednak skrupulatnie główną intencję zmian: chęć usunięcia z tych terenów - przy pomocy takiej pożałuj się Boże "polonizacji" - ostatnich śladów po mieszkającej tu kiedyś ludności ukraińskiej. Ciekawe, czy dyskretna interwencja Prezesa Związku Literatów Polskich odniosła skutek...

### Znowu "zapłaty karzei reakcji"?

Zmarły 5 marca b.r. pułkownik Zbigniew Załuski, i sekretarz podstawowej organizacji partyjnej przy Związku Literatów Polskich w Warszawie, tuż przed śmiercią udzielił wywiadu tygodnikowi "Literatura" /nr 9 datowany 2.III.1978/. Napomykając m.in. o "dramacie roku 44", publicysta utrzymywał, że "wpisywanie tego dramatu w ciąg tragedii polskich XVIII i XX /chyba miało być: XIX - przyp. nasz./ wieku jest fałszerstwem", że "choć ten sam Dewajtis szumił nad ludźmi roku 44 - to szumił nową melodią: melodią algierskiej palmy czy krzewów angolańskiego buszu"

"Mówiąc jeszcze prościej - ciągnął Załuski w następnym akapicie - np. w Rojstach /tytuł młodzieńczej książki Konwickiego o wileńskiej AK - przyp. nasz./ wyczułem nie koniec epopei Sierakowskiego, ale początek plastykierów z OAS". OAS, jak wiadomo, była terrorystyczną organizacją, utworzoną przez kolonistów i wojskowych francuskich w Afryce Północnej celem niedopuszczenia do oderwania od Francji Algieru. Z przytoczonego tu porównania ma zatem wynikać, że i Armia Krajowa na Wileńszczyźnie istniała nie dla walki z okupantem, lecz dla utrzymania przy Polsce "kolonialnego stanu posiadania"...

O autorze "Rojstów" Załuski oświadczył, iż "w latach tragedii narodowej zaczął strzelać i za późno, i nie w tę stronę, co trzeba"???. i czyniąc aluzję do ostatniej książki pisarza - powieści pt. "Kompleks Polski" /Zapis nr 3/: "Czy to jest kompleks polski, czy po prostu godny współczucia dramat osobisty, preradzający się w literacką dewiację?"

Już po śmierci Załuskiego zawtórował mu w stałej rubryce "Życia literackiego" /nr 11 z dn. 12.III.1978/ M.A.Styks/Józef Maśliński/, nie przytaczając wprawdzie zdania o OAS, ale karząc nie wymienionego z nazwiska pisarza, że "domniemywany" kompleks polski wmawia "narodowi rewolucyjnie odnowionemu, na zupełnie innym historycznym etapie"...

#### Likwidacja zespołu filmowego

W dwóch poprzednich numerach "Zapisu" pisaliśmy stosunkowo obszernie o ciężkiej - z winy Ministerstwa Kultury i Sztuki - sytuacji w kinematografii polskiej. M.in. donosiliśmy o zarządzanej przez ówczesnego, obecnie już nie żyjącego, kierownika Ministerstwa, Janusza Wilhelmiego, nieoficjalnej weryfikacji zespołów filmowych. W rezultacie owej weryfikacji z dniem 1 lutego b.r. rozwiązany został jeden z czołowych zespołów - "Pryzmat" - którego kierownikiem artystycznym był Aleksander Ścibor-Rylski, a kierownikiem literackim Tadeusz Konwicki. W zespole "Pryzmat" wyprodukowano w ostatnich czasach m.in. trzy filmy nie dopuszczone do rozpowszechniania: "Indeks" Janusza Kijowskiego/uchodzący za najwybitniejszy debiut trzydziestolecia/, "Pałace Hotel" Ewy Kruk, według scenariusza Stanisława Dygata oraz "Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" Barejki według scenariusza Stanisława Tyma. Również w tym zespole krecono "Na srebrnym globie" Andrzeja Żuławskiego, ale w połowie produkcji na rozkaz resortu przerwano zdjęcia. Dawniej w "Pryzmacie" powstał m.in. "Mazepa" Holoubka, "Dagny" Sandoya /w koprodukcji z Norwegami/ oraz kilka seriali telewizyjnych, w tej liczbie "Lalka" Ryszarda Bera i... "Polskie drogi" Morgensterna.

#### "Śmierć studenta" na taśmie filmowej

W Polsce nakrecony został film "Śmierć studenta", dotyczący okoliczności śmierci Stanisława Pyjasa w maju ub.r. i związanych z tym wydarzeń. Jest to film dokumentalny, produkcji TV Helsinki, scenariusz i realizacja: Jarmo Jaaskelainen, zdjęcia: Piotr Kwiatkowski, czas projekcji 50 minut. Pokaz filmu odbył się już w Finlandii, a także w Polsce - w Interpresie, który wykonywał był usługę dla fińskiego producenta w trakcie zdjęć. Film pokazuje m.in. demonstracje studentów krakowskich przez szereg rozmów na temat śmierci Pyjasa - z prokuratorem, adwokatem, przyjaciółmi nieżyjącego, autorami ekspertyzy lekarskiej i innymi osobami mającymi coś do powiedzenia w tej tragicznej sprawie. "Śmierć studenta" wywołała ostrą krytykę władz polskich - za "brak obiektywizmu" - i raczej nie wchodził w grę wyświetlanie jej w naszych kinach bądź telewizji.

#### Kto nie zasłużył na nagrodę

Jedną ze swolch dorocznych nagród redakcja "Życia literackiego" przyznała Hannie Krall za książkę "Zdażyć przed Panem Bogiem" /opartą na wywiadzie z dr. med. Markiem Edelmanem, jednym z przywódców powstania w getcie warszawskim/, obecnie wybitnym kardiologiem/. Nagroda ta jednak nie została wręczona laureatce ani w ogóle ogłoszona - ponieważ decyzję krakowskiego jury anulował Komitet Centralny PZPR. Nie wiadomo, kogo uznano za niegodnego wyróżnienia - znaną publicystkę "Polityki" Hannę Krall czy bohatera jej książki / sprzedawanej spod lady i rozchwytaną dostownie w ciągu paru dni?/

#### Kto zasłużył na nagrodę

Przyznając po raz siódmy doroczną nagrodę "Drożdży" - "za działalność - jak głosi formułka - która skłania do myślenia, poszukiwania nowych form i treści, nowatorskie podejścia do starych i nowych problemów, która sprzyja dyskusji i wymianie myśli niezbędnej w każdym społeczeństwie", re-

dakcja "Polityki" za najważniejszego aktualnie kandydata uznała... Janusza Rolickiego, dyrektora programowego do spraw artystycznych Telewizji Polskiej, wieloletniego szefa Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej. Wygląda to na kpiny, bo nawet dziecko wie, że cały program telewizyjny, włączając tę jego znaczną część, za którą odpowiada Rolicki, jest przykładem skłaniania do niemyślenia, konformizmu, upartego stosowania starych i poszukiwania nowych metod ogłupiania, ubezwłasnowolnienia widzów, wysiłków zmierzających do wybiicia im z głowy jakiegokolwiek dyskusji i wymiany myśli. Podobno część zespołu "Polityki" była przeciwna tej absurdałnej nagrodzie dla reprezentanta instytucji stanowiącej symbol polityki kulturalnej w PRL, jednakże przeforsował ją stanowczo, z sobie wiadomych powodów, redaktor naczelny pisma, Mieczysław F. Rakowski.

#### Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej - trwa

W ostatnich miesiącach nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazały się m.in.: tomiki wierszy Kazimierza Wierzyńskiego "Czarny Polonez" i Stanisława Barańczaka "Ja wiem, że to niesłuszne" / wydane uprzednio przez Instytut Literacki w Paryżu/, zbiór wypowiedzi różnych autorów pt. "Eurokomunizm", Władysława Bieńkowskiego "Socjalizm po 60 latach", "Zasady Ideowe" Jacka Kuronia, "Cienie zapomnianych przodków" Adama Michnika, "Śpiewnik uliczny i domowy" /zbiór około 40 pieśni i piosenek, dawnych i nowych, chętnie śpiewanych w środowiskach związanych z "kulturą niezależną"/, "Dwie rozmowy" /sensacyjne stenogramy polsko-chińskich rozmów na najwyższym szczeblu z roku 1960/, "Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju" /opracowane przez grono ekonomistów, z przedmową profesora Edwarda Lipińskiego/, "Zapis" nr 4" /wydanie masowe/. Nowe pozycje - : wznowienia niektórych wyczerpanych, jak "Niedrukowane" Andrzeja Kijowskiego - w przygotowaniu.

#### "Nierzeczywistość" w Paryżu

W znanej serii "Bez cenzury" paryskiego Instytutu Literackiego ukazała się powieść Kazimierza Brandysa "Nierzeczywistość", której fragment drukowaliśmy w "Zapisie nr 1". Jakis czas temu "Nierzeczywistość" wydała również Niezależna Oficyna Wydawnicza w kraju.

#### "Sztuczne oddychanie" z ilustracjami Lebensteina

Od kilku lat kursuje w kraju maszynopis /coraz na nowo powielany przez czytelników/ poematu Stanisława Barańczaka "Sztuczne oddychanie". W niniejszym numerze "Zapisu" publikujemy recenzję z tego utworu, pióra Leszka Szarugi. Ostatnio "Sztuczne oddychanie" ukazało się zagranicą, nakładem "Aneksu" /Uppsala-Londyn/, z oryginalnymi ilustracjami Jana Lebensteina.

#### "Kontynent" o Zapisie

Kwartalnik nowej emigracji rosyjskiej "Kontynent", który swego czasu przychylnie sygnalizował ukazanie się "Zapisu nr 1", w wydanym ostatnio numerze 14 omawia z kolei "Zapis nr 2 i nr 3" /obydwa dotarły do paryskiej redakcji w maszynopiście/. Wymienieni zostali wszyscy nasi autorzy i związane scharakteryzowane ich teksty, przy czym w nr-ze 2 za szczególnie interesujące sprawozdanie uznał działają kroniki i listów czytelników, świadczące o przelastczaniu się "Zapisu" z almanachu utworów zatrzymywanych przez cenzurę w regularne czasopismo wojnej literatury i myśli społecznej". Na razie jednak numer trzeci - zawierający w całości powieść Tadeusza Konwickiego "Kompleks polski" - odsunął spełnienie tych oczekiwań i "zademonstrował giętkość obranej przez redaktorów formuły". Po zwyciężym omówieniu pozycji i sytuacji Konwickiego w naszym życiu literackim, również zwyciężę i kompetentne streszczenie "Kompleksu polskiego" kończy to jak zawsze życiwe dla nas sprawozdanie.



## Ekspozycja polska z Wenecji "Fasada i tytuł" wędruje po świecie

Wystawa polskiej kultury niezależnej, o której pisaliśmy w sprawozdaniu z weneckiego Biennale 77, znalazła się następnie w Londynie, 31 stycznia 1978 otwarto ją w najbardziej reprezentacyjnym gmachu tamtejszej emigracji polskiej - POSK /Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny/. Konferencję prasową z tej okazji zagał z ramienia gospodarzy Józef Garliński, uczestniczyła w niej także przebywająca chwilowo za granicą Halina Mikołajska. Wieczorem w tym samym lokalu odbył się wieczór dyskusyjny pt. "Bez cenzury", pod przewodnictwem Jana Radomskiego, z udziałem Haliny Mikołajskiej i Pawła Bąkowskiego z Polski. Po Anglii wystawa "Fasada i tytuł" wywedrowała do USA.

## Z ostatnich chwil: przebieg zjazdu literatów w Katowicach

Nimo, że od początku usiłowano przytoczyć zjazd czasochłonnym rytuałem powitań, spotkań, dekoracji, owacji i innych gestów zunifikowanej gościnności, dość rychto zdołał sobie wytybić drogę poprzez te zatory nurt żywej, rzeczowej i niekiedy dramatycznej dyskusji. Istotnym jej elementem był sprzeciw wobec represyjnej i dewastacyjnej polityki kulturalnej ostatnich lat - znużenia zaś jałowością tej polityki jawnie zabrzmiało nie tylko w głosach pisarzy zaliczanych do "opozycji". Już w przedmówieniu sprawozdawczym Jarosława Iwaszkiewicza padły zdania o prawie pisarza do wydawania książek i wyjazdów zagranicznych, o zmatrwieniu, jakim jest dla Związku zatrzymywanie wielu książek, o gorzkiej liście niewydanych książek, na której widnieją nazwiska wybitnych twórców. Listę taką - podkreślając, że jest niepełna /około 40 pozycji/ - przytoczył później Jan Józef Szczepański, inni zaś mówcy dorzucali do niej dalsze tytuły. Marek Nowakowski zwrócił uwagę na sytuację utalentowanych młodych pisarzy - takich jak Komolka i Korzeniowski - którym uniemożliwiono normalny debiut; Wanda Zółkiewska mówiła o głodzie dobrych książek dla dzieci, które wypiera z rynku prymitywny, komiksowy "Relax"; Leszek Elektorowicz - o swelch doświadczeniach kierownika literackiego, próbującego wprowadzić w teatrze repertuar współczesny, co skończyło się tym, że on stracił pracę, a teatr wycofał się z tych niebezpiecznych prób; Zbigniew Żakiewicz - o fatalnej reformie studiów humanistycznych, po której dla przykładu na polonistyce z 3000 godzin dydaktycznych 1400 poświęca się przedmiotom niekierunkowym, a z historii Polski i z historii literatury powszechnej w ogóle nie ma wykładów, choć jest egzamin; Kazimierz Koźniewski - o regresie wydawniczym i szaleństwach cenzury, m.in. o 120 Ingerencjach cenzorskich na 170 stronicach nagrodzonej książki Janiny Włeczerskiej "Nie ma sprawy"; Jacek Woźniakowski - o niepodzielności kultury polskiej / w związku z utrudnieniami w wydawaniu pisarzy emigracyjnych/ i niepodzielności praworządności /go-dzi w nią istniejącej obok prawa drugi, niejawni, system przywilejów i dyskryminacji, te ostatnie dotyczą m.in. środowiska "Tygodnika Powszechnego"/... Ciekawych i ważkich głosów w dyskusji było więcej niż tu wymienione, zatrzymamy się jednak tylko na jednym, wystuchanym przez zjazd ze szczerą gołą uwagą i pokwitowanym najgorętszymi, najdłuższymi trwającymi oklaskami. Była to wypowiedź Andrzeja Brauna, stanowiąca próbę syntetycznego ujęcia sytuacji pisarzy polskich i w ogóle kultury.

Związek Literatów, mówił Braun, powołany jest do tego, żeby b r o - n i ć: po pierwsze - kultury i literatury polskiej, po drugie - praw moralnych i materialnych swelch członków-pisarzy. Do wartości kultury narodowej należy historia ojczysta, u nas ocenzurowana, sfałszowana, o całych potaciach objętych tabu, historia pozbawiona wstępu do szkoły i również do literatury, jakże mocącej się istnieć bez tego źródła? Do wartości takich należy też mowa ojczysta, w naszej rzeczywistości sorymitywizowana, zepsuta, zamieniona w żargon gazet i okólników, a nade wszystko codziennie w sposób więcej grozą deprawowana przez telewizję. Dalej, źródłem wartości naszej kultury jest tradycja literacka - dawna i nowa - jedna i druga okrawana, w każdym swelch fragmente zagrożona przez zakazy i proskrypcje, brutalnie wytrącające dzieła i ludzi z krwiobiegów literatury. Kulturę naszą zawsze cechowała otwartość na kontakty ze światem, brak ortodoksji w myśleniu, tolerancja i swobodna wymiana myśli. Obecnie eliminuje się z niej etyczne



i filozoficzne wpływy chrześcijaństwa, świat mitów i pojęć cywilizacji śródziemnomorskiej - jak można przystać na takie samookaleczenie? Wreszcie, Związek Literatów powinien bronić normalnego mechanizmu życia kulturalnego, to znaczy ścierania się opinii, nie zaś eliminacji adwersarzy i dyktatu administracyjnego. Przechodząc do obrony praw pisarzy, Braun zajął się przede wszystkim prawem do uprawiania zawodu. W tej dziedzinie bezprawie osiągnęto swe apogeum, cenzura decyduje, kto ma być pisarzem, o czym ma pisać, jak ma być przyjęty przez krytykę i opinie czytelniczą. Za praktykowanie w życiu troaki obywatelskiej i wrażliwości na krzywdę ludzka - liczni autorzy skazani na wieloletnie milczenie, na sławetny "Berufsverbot". Do tego dochodzą szykany, rewizje, konfiskaty papierów i ksiątek, zatrzymywanie przez milicję. Nawijając w zakończeniu do sprawozdania Zarządu Głównego, w którym wspomniano o "nierozważnej postawie politycznej niektórych członków Związku" i o tym, że "przed skutkami ich działań broniliśmy ich samych i ich twórczości", Braun powiedział: szkoda, że nie broniono ich przed kimś i przed czymś innym...

Powyższe sprawozdanie oparte na pośpiesznych notatkach w trakcie przemówienia Brauna, oddaje zaledwie jego najogólniejszy sens, pomija natomiast liczne przykłady, całe "mięso" opisywanej i analizowanej rzeczywistości, nie odzwierciedla też języka i stylu, a wreszcie nie może zachować temperatury, żarliwości, jaką, przy całym swoim spokoju i umiarze, tchnęła ta wypowiedź. Wiele osób, również członków partii, podchodziło potem do Brauna, gratulując mu i dziękując; wszyscy czuli, że stało się coś ważnego, że publicznie rozległo się słowo, na które czekano. W kilka godzin później, wskutek czyjejs zakulisowej decyzji, partia przystąpiła jednak do ostrego natarcia na Brauna, jakby chcąc zademonstrować w praktyce jeden z mechanizmów, o których mówił. Najpierw Wacław Sadkowski odczytał oświadczenie partyjnych delegatów, potępiające zuchwałca. Z kolei zawsze skory do usług Artur Sandauer zinterpretował z trybuny wypowiedź Brauna, przełaczając ją i spłaszczając. Jednocześnie upartyjniona część Komisji-Matki /powołanej do zaproponowania kandydatów w wyborach do Zarządu Głównego/ wycofała zgodę na umieszczenie na liście Andrzeja Brauna, choć uprzednio, i to już po przemówieniu Brauna, zgody tej była udzieliła. W tej sytuacji, inaczej niż w wypadku pozostałych trzydziestu kandydatów, propozycja wybrania Brauna do Zarządu Głównego zgłoszona została jedynie przez bezpartyjną część Komisji-Matki. Nie przeszkodziło by to prawdopodobnie jego wyborowi, gdyby nie rozpущzona w kuluarach pogłoska/ której prawdziwości nie umiemy potwierdzić ani zaprzeczyć/, że prezes ZLP, Jarosław Iwaszkiewicz, zapowiedział w wypadku wybrania Brauna swoje ustąpienie... Wiele delegatów uległo tej presji i w rezultacie Braun uzyskał 52 głosy na 127 oddanych, co okazało się niewystarczające.

Półki komisja skrutacyjna liczyła głosy, większość uczestników zjazdu udata się na tzw. uroczysty cocktail /w rzeczywistości - wystawny bankiet, ze stołami uginającymi się od mięsiva, ryb, alkoholi etc./, na który zostali zaproszeni przez ministra górnictwa. Okazję do bankietu nastęrczyto nadanie Jarosławowi Iwaszkiewiczowi tytułu Honorowego Górnika Kopalni "Staszic", ale ceremonię zakłóciły wydarzenia nie przewidziane przez bohatera imprezy i innych gości. Już w pierwszej mowie ministra Lejczaka zabrzmiały dziwne tony: coś tam o wicherzycielach czy macielciach, dla których nie ma miejsca między nami, ale wypowiedź tę można było uznać za abstrakcyjny popis werbalny. Jednakże wicewojewoda katowicki Gorczyca, wznosząc następny toast, skonkretyzował niecodzienny na takim przyjęciu atak: chodź! to o Andrzeja Brauna, który swoim wystąpieniem w dyskusji na zjeździe literatów obraził ponoć klasę robotniczą, ziemię śląską, powołanie pisarza, no i naturalnie wystugiwał się zagranicznym mocodawcom... Kiedy doszło do tego pasusu, kilkunastuosobowa grupa pisarzy opuściła gościnne progi; ci, którzy wyszli nieco później, opowiedzieli kolegom, że Iwaszkiewicz, dziękując za zaszczyt, jaki go spotkał, przeciwstawił się zarazem temu, co spotkało Brauna... Jeszcze trochę później, gdy delegaci znaleźli się ponownie na sali obrad, przyjęto przez aklamację rezolucję zgłoszoną przez Pawła Hertza, wyrażającą ubolewanie z powodu incydentu na przyjęciu w Ministerstwie Górnictwa i wdzięczność dla Prezesa za obronę integralności i swobody obrad przed niepowołaną ingerencją....

Wśród licznych wniosków uchwalonych przez Zjazd wymienimy zgłoszony przez Wł. L. Terleckiego i postulujący udział Związku w obchodach 60-lecia niepodległości Polski, inny Piotra Wojciechowskiego /dotyczący powołania do życia przynajmniej kilku liceów klasycznych, i jeszcze inny - o przywrócenie rdzennych nazw 200 wsiom w południowo-wschodniej Polsce, o niefortunnej zmianie tych nazw pisaliśmy również w "Zapisie".

Do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich wybrano - kolejność podajemy według ilości otrzymanych głosów - Kazimierza Dziewanowskiego, Wisławę Szymborską, Urszulę Kozioł, Janusza Krasieńskiego, Janusza Odrowąż-Pieniążkę, Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Nowaka, Jerzego S. Site, Witolda Zalewskiego, Jana Pieszczołowicza, Władysława L. Terleckiego, Mariana Grześczaka, Jana Kóprovskiego, Bohdana Ostronęckiego, Leszka Proroka, Erwina Kruka, Jacka Woźniakowskiego, Annę Kamińską, Marka Nowakowskiego, Jerzego Putramenta, Danutę Bieńkowską, Wiesławę Myśliwskiego, Kazimierza Koźniewskiego i Aleksandra Rymkiewicza. Reprezentacja pisarzy niezależnych wydaje się tu nieco okazalsza niż w poprzedniej kadencji. Na uwagę zasługuje też nie wybranie /mimo obecności na liście/ takich aktywistów partyjnych jak Andrzej Lam, Wilhelm Szewczyk, i Wacław Sadkowski. Halina Auderska /dotychczasowy wiceprezes/ i Eugeniusz Kabatc /dotychczasowy kierownik komisji zagranicznej/ nie znaleźli się już nawet na liście kandydatów.

## NOTY O AUTORACH

**STANISŁAW BARAŃCZAK**

Urodzony w roku 1946, Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. W latach 1976-78 objęty zarządzonymi centralnie represjami, nie może wydawać swoich książek w żadnym z oficjalnych wydawnictw krajowych. Tom wierszy "Ja wiem, że to niestuszne" wydał w Niezależnej Oficynie Wydawniczej oraz w Instytucie Literackim/Paryż/, poemat "Sztuczne oddychanie" - nakładem "Aneksu" /Uppsala-Londyn/, przekład wierszy Osipa Mandelstama - w Oficynie Malarzy i Poetów /Londyn/. Współtwórca i autor wszystkich numerów "Zapisu", specjalnie dla nas napisał też esej o "Ziemii Ulro" Czesława Miłosza.

**WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI**

Urodzony w roku 1906. Publicysta, lewicowy działacz polityczny, socjolog. Niedługo na eksponowanych stanowiskach partyjnych i państwowych, od dawna w opozycji. W ostatnich dziesięciu latach autor prac badawczych na temat mechanizmów społecznych w krajach socjalistycznych; prace te kursują w Polsce poza zasięgiem cenzury, częściowo zaś ukazują się za granicą nakładem Instytutu Literackiego /Paryż/ oraz w językach obcych. W poprzednim numerze "Zapisu" ogłosiliśmy pierwszy odcinek otrzymanego od autora nowego eseju "Filozofia dzieł a teoria społeczna"; w tym numerze publikujemy drugi; trzeci i ostatni ukazuje się w numerze następnym.

**JIRI BOREŠ**

Publicysta czeski, ogłaszający swoje prace poza zasięgiem cenzury.

**WANDA CHYLICKA**

Urodzona w roku 1914. Prozaik, publicystka. Wydała: "Ucieczki i powrót" /opowieść, 1954/, "Splątane korzenie" /opowiadania, 1955/, "Piątym asem" /opowiadania, 1959/. Swego czasu związana z Paxem, w roku 1956 wystąpiła zdecydowanie przeciw polityce tej instytucji. Ostatnio sporadycznie drukuje w "Więzi" i w "Opinie".

**ANDRZEJ DRAWICZ**

Urodzony w roku 1932. Doktor filozofii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej, tłumacz. W latach 1976-1978 objęty zakazem druku. Aktualnie za granicą, wykłada literaturę rosyjską na uniwersytecie w Kolonii. Uczestniczył w weneckim Biennale 77, skąd specjalnie dla nas napisał reportaż; tam też w trakcie sesji literackiej wygłosił przemówienie, które publikujemy.

**JERZY FICOWSKI**

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, badacz folkloru cygańskiego, badacz i wydawca twórczości Brunona Schulza. Trzeci rok z rzędu objęty represjami, w szczególności zakazem wydawania książek.

**STANISŁAW HARTMAN**

Urodzony w roku 1915. Matematyk, profesor zwyczajny, w roku 1968 usunięty z Uniwersytetu Wrocławskiego, obecnie pracownik Instytutu Matematycznego PAN. Autor ok. 50 oryginalnych prac matematycznych i dwóch podręczników. W roku 1970 opublikował w "Więzi" wspomnienie z Pawliaka. Przedmowa do "Stównia Racjonalnego" H. Steinhausa napisana została dla Wydawnictwa Ossolineum, które przez pół roku nie zgłaszało do niej żadnych zastrzeżeń, odrzuciło zaś pod błahym pretekstem po podpisaniu przez autora petycji o powołanie komisji poselskiej w związku z wydarzeniami czerwowymi 1976.

**LOTHAR HERBST**

Urodzony w roku 1940. Poeta, krytyk, pracownik naukowy, współzałożyciel i redaktor wrocławskiego czasopisma "Agora", zlikwidowanego w roku 1968. "Listy w sprawie wiary i nadziei" /1976-1977/ krążą w maszynopiśmie jako jedna z pozycji nowej, nie cenzurowanej Biblioteki Agory. Za zgodą autora wybrał liśmy dla "Zapisu" cztery spośród dwudziestu "Listów".

**STEFAN KISIELEWSKI**

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor, stały felietonista "Tygodnika Powszechnego". W poprzednich numerach "Zapisu" drukowaliśmy m.in. jego felietony, skonfiskowane przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym". Artykuł "Po 10 latach /marcu 1968/" napisany został specjalnie dla nas.

**TADEUSZ KORZENIEWSKI**

Urodzony w roku 1949. Prozaik. Studiował elektronikę na Politechnice Gdańskiej i filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował w poprzednim numerze "Zapisu" opowieścią pt. "W Polsce"; w tym numerze m.in. opowiada o okolicznościach jej powstania.

**ANKA KOWALSKA**

Urodzona w roku 1932. Poetka, prozaik, autorka wielokrotnie wznawianego bestsellera powieściowego "Restka" i trzech tomów wierszy.

**IGNACY MATUSZEWSKI**

1858-1919. Wybitny krytyk literacki i publicysta swoich czasów. Jego wypowiedź z 1906 roku przypominamy, jak w poprzednich numerach wypowiedzi Jana Nucharzewskiego i Jana Baudouina de Courtenay, dla unaocznienia zawsze żywej w naszym życiu kulturalnym tradycji potępienia wszelkiej cenzury.

**ZDENĚK MLYNÁŘ**

Naukowiec, polityk i publicysta czeski, ważna postać Wiosny Praskiej 1968, następnie jeden z animatorów Karty 77, ostatecznie zmuszony do emigracji. Felieton, który publikujemy, powstał jeszcze w Pradze i krążył tam poza zasięgiem cenzury.

**KAZIMIERZ ORŁOŚ**

Urodzony w roku 1935. Prozaik, reporter. Od pięciu lat podlega zakazowi druku, dopiero ostatnio nieco rozluźnionemu. W poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy jego opowiadania i artykuły, częściowo skonfiskowane gdzieś indziej przez cenzurę. Recenzja z książki N. Rieszetowskiej powstała specjalnie dla nas.

**ZYTA DRYSZYN**

Urodzona w roku 1940. Prozaik, debiutowała w roku 1969 na łamach "Twórczości" następnie wydała trzy powieści, otrzymała nagrodę Im. Macha za debiut prozatorski. "Czarna iluminacja" przez kilka lat leżała w "Czytelniku" i nie została wydana ze względów politycznych.

**JAN PROKOP**

Urodzony w roku 1931. Poeta, krytyk literacki, eseista, tłumacz. Wydał tom szkiców "Euklides i barbarzyńcy" /1964/ i kilka innych.

**G.S.**

Pracownik naukowy w jednej z dziedzin humanistyki.

**LESZEK SZARUGA**

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. W poprzednim numerze "Zapisu" ogłosiliśmy jego wiersze, w tym - publikujemy szkic o poemacie Stanisława Barańczaka, stanowiący fragment jednej z nie mogących się ukazać oficjalnie książek Szarugi.



**MAREK TURBACZ**

Urodzony w roku 1947. Pracownik naukowy w jednej z dziedzin wiedzy ścisłej. Od kilku lat zajmuje się również politologią. Autor m.in. eseju pt. "Możliwości działania opozycji w Polsce", który krążył w kraju od jesieni 1976 roku, a następnie ukazał się w czasopiśmie "Aneks" nr 16-17, Uppsala-Londyn 1978.

**LUDVIK VACULIK**

Prozak i publicysta czeski, autor wielu felietonów rozpowszechnianych w Pradze poza zasięgiem cenzury, jeden z czołowych działaczy Karty 77.

**JAN WĄLC**

Urodzony w roku 1948. Polonista, krytyk literacki, publikował m.in. w "Polityce" i "Literaturze na świecie".

**STANISŁAW WARECKI**

Pseudonim.

**PIOTR WIERZBICKI**

Urodzony w roku 1935. W latach 1957-1967 nauczyciel języka polskiego (nieodwrotnie ogłosił książkę "Entuzjasta w szkole" /, później dziennikarz, publicysta, felietonista. W "Zapiskach nr 4" wydrukowaliśmy kilka felietonów Wierzbickiego, skonfiskowanych przez cenzurę w tygodniku "Literatura". W tym numerze publikujemy rozdział świeżo ukończonej powieści satyrycznej pt. "Cyrk".

**WIKTOR WOROSZYLSKI**

Urodzony w roku 1927. Poeta, prozak, eselista, tłumacz. Od początku roku 1976 objęty zarządzeniami centralną represjami, nie może wydawać książek w żadnym z wydawnictw krajowych. W roku 1977 ogłosił w paryskim Instytucie Lit. i Terackim powieść pt. "Literatura", wcześniej jeszcze odrzuconą przez PIW i "Czytelnika", jako politycznie niecenzuralna.

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

\* **PROZA**  
Kazimierz Brandys  
Bohumil Hrabal  
Tadeusz Konwicki

**NIERZECZYWISTOŚĆ**  
**ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ**  
**KOMPLEKS POLSKI /Zapła nr 3/**

\* **poezja**  
Stanisław Barańczak  
Zdzisław Jaskuła  
Czesław Miłosz  
Kazimierz Mierzyński  
Wiktor Woroszyński

**JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE**  
**DWA POEMATY**  
**TRAKTAT POETYCKI**  
**TRAKTAT MORALNY**  
**CZARNY POLONEZ**  
**JESTEŚ I INNE WIERSZE**

\* **felietony, eseje**  
Andrzej Kijowski  
Adam Michnik  
Maria Ossowska

**NIEDRUKOWANE**  
**CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW**  
**O PEWNYCH PRZEŃMIANACH ETYKI**  
**WALKI**

\* **społeczno-polityczne**  
Władysław Bielecki  
Jacek Kuroń

**SOCJALIZM PO 60 LATACH**  
**MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA**  
**ZASADY IDEOWE**  
**UWAGI O STRUKTURZE RUCHU**  
**DEMOKRATYCZNEGO**  
**POCHODZENIE SYSTEMU**  
**DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ**  
**EUROKOMUNIZM**  
**ANTYSEMITYZM**  
**UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ**  
**KRAJU**

\* **dokumenty**

Z KSIĘGI ZAPISÓW GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY PUBLIKACJI I  
WIDOWISK  
DWIE ROZMOWY MOSKWA 1960 /stanogramy rozmów polsko-chińskich/  
DOKUMENTY BEZPRAWIA /tzw. Biała Księga/  
DZIENNIK USTAW PRL nr 38 /1977/, /Pakty Praw Człowieka i Obywatela

XXXXXXX Władysław Gnomacki

**TOW. SZMACIAK, CZYLI WSZYSTKO DOBRE**  
**CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY**  
**SPIEWNIK DONOWY I ULICZNY**

Ponadto nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartalniki  
literackie ZAPIS I PULS

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo nie  
stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyj-  
nego.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku  
politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA spełni swoje zadanie, jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia; jej powodzenie zależy od dostarc-  
zanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów  
i sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Od nas samych zależy  
los wolnego słowa w Polsce.

WOLNA MAŁKOWO BERNOWA Drukarnia POŁOWA IM. J. P.  
WARSZAWA, sierpień 1978  
Złec. nr 534

